

Władysław Stanisław Reymont

CHŁOPI

TOM TRZECI: WIOSNA

Wirtualna Biblioteka Literatury Polskiej



Uniwersytet Gdański • Polska.pl • NASK

Tekst pochodzi ze zbiorów
„Wirtualnej Biblioteki Literatury Polskiej”
Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Gdańskiego

SPIS TREŚCI

ROZDZIAŁ 1	3
ROZDZIAŁ 2	22
ROZDZIAŁ 3	44
ROZDZIAŁ 4	67
ROZDZIAŁ 5	93
ROZDZIAŁ 6	124
ROZDZIAŁ 7	150
ROZDZIAŁ 8	180
ROZDZIAŁ 9	212
ROZDZIAŁ 10	235
ROZDZIAŁ 11	255

ROZDZIAŁ 1

Czas był wiosenny o świtaniu.

Kwietniowy dzień dźwigał się leniwie z legowisk mroków i mgieł jako ten parob, któren legł spracowany, a nie wywczasowawszy się do cna zrywać się ano musi nade dniem, by wnetki imać się pługą i do orki się brać.

Poczynano dzień.

Ale cichość była jeszcze całkiem drętwa, tyle jeno, co rosy kapwały rześciście z drzew pośpionych w macie nieprzejrzanym.

Niebo, kiej ta płachta modrawa przejęta wilgotnością i orosiąta, przecierało się już ździebko nad ziemią czarną, głuchą i zgoła w mrokach zagubioną.

Mgły niby mleko wzburzone przy udoju zalewały łągi i pola nizinne. Kokoty zaczęły pisać na wypródki gźdiesik po wsiach jeszcze niewidnych.

Ostatnie gwiazdy gasły kiej oczy śpiączką morzone.

Na wschodzie zaś, jako zarzewie roztlewające spod ostygłych popiołów, jęły się rozżarzać zorze czerwone.

Mgły się zakolebały z nagłą, wzdęły i ruchający ciężko, niby wody roztopów wiosennych, biły w czarne pola albo zasie, kieby dymy kadielne, wionęły sinym przedziwem ku niebu.

Dzień się już stawał i przepierał z blednącą nocą, która przywierała do ziem grubym, przemoczonym kożuchem.

Niebo się rozlewało z wolna światłościami, zniżając się coraz barzej nad światem, że już kajś niekaj wydzierały się na jaśnień czuby drzew, oprzędzone mgłami, a gdzie znów, na wyżach, jakieś pola szare, przesiąkłe rosą, wyleniały się z nocy; to stawy zamigotały pośleplými lustrami albo strumienia kiej długachne, orosiąta przedze wlekły się wskroś mgieł rzednących i świtów.

Dzień się już czynił coraz większy, zorze rozsączały się w martwe siności, że na niebie poczynały gorzeć jakoby krwawe łuny pożarów jeszcze nie dojrzanych, i tak się galanto rozwidniało, iż ano bory wyra-

stały dokoła czarną obręczą, a wielka droga, obsiadła rzędami topoli pochylnych, utrudzonych jakoby w ciężkim chodzie pod wzgórze, dźwigała się coraz widniej na światłość, zaś wsie, potopione w mroczkach przyziemnych, wyzierały gdzieś pod zorze, kieby te czarne kamienie spod wody spienionej, i poniektóre już drzewa co bliższe srebrzyły się całe w rosach i brzaskach.

Słońca jeszcze nie było, czuło się jeno, że leda pacierz wylupie się z tych zórz rozgorzałych i padnie na świat, któren dolegiwał ostatków, ozwierał ciężko mgławicami zasnute oczy, poruchiwał się ździebko, przecykał z wolna, ale jeszcze się lenił w słodkim, odpoczywającym dośpiku, bo cichość padła barzej w uszach dzwoniąca, jakoby ziemia dech przytała – jeno wiater, jako to dychanie dzieciątka, cichuśki powiał od lasów, aż rosy potrząsły się z drzew.

Aż z tej omdlałej szarości świtów, z tych sennych jeszcze, omroczałych pól, jakoby w kościele rozmodlonym i oniemiałym, kiedy dobrodziej ma wzniesć na Podniesienie Hostię Przenajświętszą – wystrzelił z nagła głos skowronkowy...

Wyrwał się gdzieś z roli, zatrzepotał skrzydłami i jął świergotać, jako ta z czystego srebra sygnaturka, jako ten wonny pęd wiośniany tlił się w bladym niebie, bił w górę, głośnił, iż w onej świętej cichości wschodów rozdzwaniał się na świat cały.

Wraz i drugie jęły się zrywać, skrzydełkami bić, w niebo się drzeć i śpiewać zawzięcie, a poranek głosić wszemu stworzeniu czującym.

A po nich wnet i czajki zakwiliły jękliwie na moczarach.

Boćki też wzięły klekotać rozgłośnie gdzieś po wsiach, jeszcze nie rozpoznanych w szarościach.

Słońce zaś było już ino, ino...

Aż i ono pokazało się zza lasów dalekich, wychylało się z przepaści i kieby tę ogromną, złocistą i rozgorzałą ogniami patynę wynosiły Bóże, niewidzialne ręce nad sennymi ziemcami i żegnając światłością świat, żywe i umarłe, rodzące się i struchlałe, rozpoczynało świętą ofiarę dnia, że wszystko jakby z nagła padło w proch przed majestatem i zamilkło przywierając oczy niegodne.

I oto dzień się stał, jako to nieobjęte morze weselnej światłości.

Mgły kiej wonne dymy z trybularzów biły z łąk ku rozżłoczonemu niebu, a ptactwo i stworzenie wszelkie uderzyło w wielki krzyk śpiewań, jakoby w ten pacierz serdecznych dziękczyniń.

Słońce zaś urastało wciąż, wynosiło się nad bory czarne, nad wsie nieprzeliczone, coraz wyżej, i wielkie, gorejące, ciepłe kiej to święte

oko miłosierdzia Pańskiego brało we władną i słodką moc panowanie nad światem.

W ten czas właśnie, na wzgórzu piaszczystym pod lasem, spod dworskich stogów łubinowych, stojących wzdłuż szerokiej i wyboistej drogi, pokazała się stara Agata, powinowata czy krewniaczka Kłębów.

Powracała ona z żebrów, na które to chleb Jezusowy była poszła jeszcze w kopania, a teraz ci z nawrotem do Lipiec ciągnęła jako ci ptakowie, zawsze wracający o wiosnie do gniazd swoich.

Stare to było, schuchrane, słabe i ledwie dychające, iż się widziała jako ta wierzba przydrożna, pokrzywiona, spróchniała, co to się już ledwie tli i domiera w piachach; w łachmanach juści była, z kosturem dziadowskim w rękę, z tobołkami na plecach, obwieszona różańcami.

Wylazła spod brogów o samym wschodzie i śpiesznie drepcąc podnosiła do słońca twarz szarą i wyschłą jako te płone ugory zeszłoroczne; jeno jej siwe, zaczerwienione oczy rozblyskiwały radością.

Jakże!... po długiej i ciężkiej zimie do swojej wsi rodzonej wracała, to biegła aż truchcikiem, że ino torbeczki wyskakiwały po bokach i dzwoniły różańce, ale iż ją spierało, a zadychliwość raz wraz chwytła się bolących piersi to musiała przystawać, wolnieć i już szła ciężko, z utrudzeniem, jeno tymi głodnymi oczyma latając po świecie i pośmiechując się do tych pól szarych, w zielonawe mgły przysłonionych, do wsi wynurzających się z wolna z mgielnych topieli, do tych nagich jeszcze drzew stróżujących nad drogami lebo samotne stójki odbywających po polach, do całego świata!

Słońce się już było podniosło na parę chłopów, że dojrzał choćby i najdalsze kraje pól; wszystko błyszczało różaną rosą, czarne role połyskiwały się w słońcu, wody grały po rowach, skowronkowe głosy dzwoniły w chłodnym powietrzu, gdzie zaś pod kamionkami tliły się ostatnie płaty śniegów, żółte bazie na poniektórych drzewach trzęsły się kieby te bursztynowe paciorki, w zaciszach zaś albo i pod nagrzanymi kałużami spośród rdzawych, zeszłorocznych liści przedzierały się złotawe źdźbła traw młodych, gdzie znów patrzyły żółte oczy kaczeńców, wiaterek też wziął przygarniać leciuchno i roztrząsał wilgotne, rzeźwe zapachy pól, pławiących się leniwie w słońcu, a wszędy było tak wiosniano, rozległe, jasno, chociaż i jeszcze żdziebko szarawo, i taką lubością tchnęło, że już się dusza Agaty wyrывała, by lecieć, jako ten ptak radością opity niesie się z krzykiem w cały świat.

– Jezus mój! Jezusiczku kochany! – pojękiwała ledwie przysiadując nieco i jakby zgarniając ten świat wszystek w roztrzęsione radością i wielce czujące serce.

Hej! zwiesna ci to szła przeciech nieobjętymi polami, skowronkowe pieśni głośiły ją światu i to słońce święte, i ten wiatер pieszczący, słodki a ciepły kiej matczyne całunki, i to przytajone jeszczech dychanie ziemie, tęsknie czekających na pługi i ziarno, i to wrzenie wesela unoszące się wszędy, i to powietrze ciepłe, orzeźwiające i jakoby nabrzmiałe tym wszystkim, co wnetki się stanie zielenią, kwiatem i kłosem pełnym.

Hej! zwiesna ci to szła, jakoby ta jasna pani w słonecznym obleczeniu, z jutrzeńkową i młodą gębusią, z warkoczami modrych wód, od słońca płynęła, nad ziemiami się niesła w one kwietniowe poranki, a z rozpostartych rąk świętych puszczała skowronki, by głośiły wesele, a za nią ciągnęły żurawiane klucze z klangorem radosnym, a sznury dziłkich gęsi przepływały przez blade niebo, że boćki ważyły się nad łęgami, a jaskółki świegotały przy chatach i wszystek ród skrzydlaty nadciągał ze śpiewaniem, a kędy tknęła ziemię słoneczna szata, tam podnosiły się drzące trawy, nabrzmiwały lepkie pęki, chlustały zielone pędy i szeleściły listeczki nieśmiałe, i wstawało nowe, bujne, potężne życie, a zwiesna już szła całym światem, od wschodu do zachodu, jako ta wielmożna Boża wysłanniczka, łaski i miłosierdzie czyniąca...

Hej! zwiesna ci to ogarniała przyziemne, pokrzywione chaty, zagłądała pod strzechy miłosiernymi oczyma, budząc struchlałe, omroczone role serc człowiekowych, że dźwigały się z utrapień i ciemnic, poczynając wiarę na lepszą dolę, na obfitsze zbiory i na tę wytęsknionej szczęśliwości godzinę...

Ziemia się rozdzwaniała życiem kieby ten dzwon umarły, gdy mu nowe serce uwieszą, serce ze słońca uczynione, że bije górnje, dzwoni, huczy radośnie, budzi struchlałe i śpiewa takie rzeczy i sprawy, takie cuda i moce, aże serca biją do wtóru weselnego, aże same łzy leją się z oczu, aże dusza człowiekowa zmartwychwstaje w nieśmiertelnych mocach i klęczący ze szczęścia ogarnia sobą oną ziemię, ów świat cały, każdą grudkę napęczniałą, każde drzewo, każdy kamień i chmurę każdą, wszystko ano, co uwidzi i co poczuje...

Tak ci to i czuła Agata kuszykając z wolna i żrąc spragnionymi oczyma tę ziemię kochaną, tę ziemię świętą, że szła jak pijana.

Aż dopiero gdy sygnaturka zaświegotała na lipieckim kościele kiej ten ptaszek zwołujący na modlitwę, ocknęła stara z nagłą padając na kolana.

...iżesz swoją świętą przyczyną sprawił, jakom powróciła...

...iżesz, Panie, pokazał miłosierdzie nad sierotą...

Mogła to mówić! kiej łzy jako ten deszcz rzęsisty zalały jej serce i spływały po wynędzniałej twarzy, że jeno mamrotała cosik, a tak się trzęsa w sobie, że ani weź naleźć różańca, ni tych słów pacierza, które się rozsuly po duszy palącą rosą, to porwała się z mocą i poszła, pilnie patrząc po polach i powiadając w głos jakie słowo modlitwy, przypomniane z nagłą...

Że zaś dzień był już duży i mgły całkiem spadły, Lipce jawiły się przed nią jakby na dłoni, leżały nieco w dole nad ogromnym stawem modrzącym się kiej lustro spod białawej a leciuchnej przysłony, obsiadły wodę kręgiem niskich, szerokich chałup, co jak kumy w sobie wielce podufałe, przysiadły w sadach jeszcze nagich, dymy kajś niekaj rwały się nad strzechami, gdzie zaś szyby przebłyskiwały w słońcu albo bielily wskrosz czarniawych sadów świeżo pobielone ściany.

Każdą chałupę mogła już dojrzeć z osobna. Młyn ano, którego bełkotliwy turkot dochodził coraz żywiej, stał na kraju wsi przy drodze, którą szła, a naprzeciw prawie, na drugim końcu kościół wznosił wysokie, białe mury wśród drzew olbrzymich i grał oknami i złotym krzyżem na bani, a w podle niego czerwienily się dachówki plebanii. Wokół zaś, jak jeno dojrzeć, stały sinym wiankiem lasy i rozlewały się pola nieprzejrzane, leżały wsie dalekie, wsie kieby te szare liszki przywarte do ziemi, a w sady pochowane; drogi kręto powyciągane, kamionki, rzędy drzew przechylonych, piaszczyste wydmy, z rzadka porosłe jałowcami, i wąska przedza rzeczki, ciekącej połyskliwie i wlewającej się do stawu, między chałupami.

Bliżej zaś, dokoła wsi, wielgachnym kręgiem leżały lipieckie ziemie, pokrajane w pasy, kieby te postawy zgrzebnego płótna, rozciągnięte pod wzgórze i poćwiartowane na działki. Pola wiły się i wydłużały przy polach, porozdzielane krętymi miedzami, na których gęsto rozrastały się grusze rozłożyste, górzyły się kamionki cierniem obrosłe, w złotawym świetle ostro wyrzynały się szare i utyłane kiej ścierki ugory; to płachty zielonawe ozimin, to zeszlóroczne kartofliska czerniały abo i już latosie podorówki, miejscami zaś w dołkach siwiały wody i wlekły się kiej to szkliwo roztopione; za młynem rozlewały się łąki rudawe po których brodziły bociany raz wraz poklekujące, i kapuśniska

tak jeszcze pod wodą, że jeno grzbiety zagonów przemiękłych łyśniły się kiej piskorze, czajki biało brzuszne kołowały nad nimi, a po rozstajach stróżowały święte drzewa krzyżowe i jensze wyobrażenia Pańskie, zaś nad tym całym światem, zakląłym ździebko w miejscu, kędy wieś przywarła, wisiało rozgorzałe, złotawe słońce, pobrzmiewały skowronkowe śpiewania, rozlegały się niekiedy od obór tęskliwe ryki bydła, to gęsi gdziesik pokrzykiwały gęgliwie i leciały rozgłośnie wołania ludzkie, a wraz i wiater tchnął lubym, ciepłym powiewem zgarniając wszystkie te głosy, że ziemia stawała niekiedy w takiej cichości a zadumaniu, jakoby w tej świętej chwili rodów i poczynañ.

Jeno na polach mało gdzie dojrzał robotę, tyle tylko, co zaraz pod wsią gmerało się kilka kobiet rozrzucających nawóz, że ostry, przenikliwie w nozdrzach wiercący zapach płynął smugą całą.

– Zaspały próżniaki czy co, dzień taki wybrany, a na rolę mało kto ciągnie... ziemia aż się prosi pługa! – mruzczała zgorziona.

I aby być bliżej jeszcze zagonów, zlazła z drogi na ścieżkę ciągnącą się za rowem, gdzie już czerwone rzęsy stokrotek otwierały się do słońca i gęściej zieleniła się trawa.

Juści, że tak pusto było na polach, aże dziw brał! Przecie dobrze baczyła, jako po inne lata w tę porę to jeno się czerwieniło po zagonach od kiecek i aż się trzęsło od przyśpiewek i wrzasków dzieuszych; rozumiała też, jako przy takiej pogodzie najwyższy już czas do wywożenia gnojów, do podorówek, do siewów, a dzisiaj co? Jeden jedyny chłop, którego dojrzała gdziesik w pośrodku pól, siał cosik, szedł pochylony i zawracał, rozrzucający w półkole jakieś ziarno.

– Musi być, że groch sieje, kiej tak wcześniej... Dominikowej chłopaki, widzi mi się, bo akuratnie tam ich pola wypadają... A niech wama darzy i plonuje Bóg miłosierny, gospodarze kochane! – szeptała serdecznie.

Ścieżka była ciężka, nierówna, zawalona świeżymi kretowiskami, kamieniem, a miejscami błotna, ale nie zwracała na to uwagi wpatrując się z lubością i rozczuleniem w kaźden zagon, w kaźde półko z osobna.

– Księżę żyto, bujne, sielnie się ruszyło!... Prawda kiej wędrowała we świat orał pod nie rolę parobek, a dobrodziej siedzieli se gdzieś tutaj, baczę dobrze...

I znowu kuszykała wzdychając ciężko i łzawo wlokąc oczyma.

– Cie, Płoszkowe żyto... musi być późne albo i wymiękło ździebko.

Nachyliła się z trudem, dotykając drżącymi, starymi palcami wilgotnych ździebeł i głaszcząc je z miłością, jakoby te włosy dziecińskie.

– Borynowa pszenica, sielny kawał! Juści!... bo to nie gospodarz pierwszy na Lipce?... ale cosik przyżółta, musiało ją przemrozić czy co... ciężką zimę tu przeszła... – medytowała spostrzegając po przypłaszczonych zagonach i wbitych w ziemię, obwalanych mulem żdźbłach ozimin ślady wielkich śniegów i wód roztopowych.

– Wycierpieli się ludziska niemało, nabiedowali! – westchnęła przysłaniając oczy dłonią, bo naprzeciw od wsi szły jakieś chłopaki.

– Juścić, co Michał organistów z którymś organiściakiem. Po wielkanocnym spisie do Woli idą, kiej z tylachnymi koszykami... Juści, że nie kto drugi.

Pochwaliła Boga, gdy nadeszli, rada wielce zagadać z nimi coś niecoś, ale chłopcy odburknęli pozdrowienie i przeszli prędko, rozgadani ze sobą.

– Dyć od tylich skrzatów, baczę ich, a nie poznali mnie! – Markotność ją przejęła. – Cie! a skąd by i taką dziadówkę pamiętały! Ale Michał wyrósł galanto, pewnikiem już dobrodziejowi przygrywa na organach...

Rozmyślała wpatrując się znowu w drogę, że to wyszedł ze wsi Żyd jakiś pchając przed sobą sporego cielaka.

– A od kogo to kupione? – zagadnęła.

– Od Kłębowej! – odparł mocując się z biało-czerwonym ciołkiem, którego się opierał, zawracał i pobekiwał żałośnie.

– To ani chybi po granuli... juści... pognąła się była jeszcze przed zniwami... a może i po siwej... Sielny ciołek...

Obejrzała się za nim z gospodarską lubością, ale już ich nie było na drodze: ciołek wyrwał się z rąk, skoczył na pole i podniósłszy ogon rwał ku wsi na przelaj, a Żyd z rozwianym chałatem zabiegał mu drogę.

– W ogon go pocałuj, a poproś pięknie, to ci wróci... szepnęła z kumentnością przyglądając się gonitwie.

– A i na Kłębowych morgach ni żywej duszy! – zauważyła przy tym, ale nie było już czasu na pomyślunki: wieś była już tak blisko, że poczuła zapach dymów i dojrzała po sadach wietrzące się pierzyny, to jeno ogarniała oczyma wieś całą i najgłębsza, wdzięczna radość zatrzęsła jej sercem, że to Jezus pozwolił dożyć tej zwiesny i powraca ją oto do swoich, powraca do rodzonych...

A przeciech mogła zamrzeć zimą między obcymi, chorzała bowiem ciężko, ale Jezus ją powrócił...

Dyć tym ano żywiła duszę przez długą zimę, tym się jeno krzepiła w każdej godzinie i tym się broniła od mrozów, nędzy i śmierci...

Przysiadła pod krzakami, aby się ździebko przygarnąć, nim wejdzie między chałupy, ale miała to siły, kiej ją tak rozebrała radość, że każda kosteczka trzęsła się z osobna i serce tłukło się boleśnie niby ten ptak duszony?

– Są jeszczech dobre i miłosierne ludzie, są... – szeptała opatrując troskliwie torbecki. Jakże, uciulała sobie tyła, że musi starczyć na pochówek.

Przeciech od dawnych już lat o tym jeno deliberowała i w to całą duszę kładła, że skoro śmierci porę Pan Jezus spuści, aby się to mogło stać we wsi swojej, w chałupie, na łóżku zasłanym pierzynami, pod rzędem obrazów, tak jako umierały gospodynie wszystkie. Całe życie zbierała na chwilę oną świętą i ostatnią.

Miała ci już u Kłębów na górze skrzynię, a w niej pierzynę sporą, poduszki i prześcieradła, i wsyпки nowe, a wszystko czyste, nie używane zgoła, by nie marać, zawsze mieć gotowe, no i że nie było gdzie rozłożyć tej pościeli. Miała to kiej swoją izbę albo i łóżko? Kątem zawždy, na barłogu jakim, to w obórce, jak się zdarzyło i kaj ludzie dobre pozwolili przytulić głowę. Nie cisnęła się ta ona nigdy naprzód, między możne i władne, nie wyrzekała na dolę, bo wiedząca była dobrze, że wszystko urządzenie na świecie z woli Bożej pochodzi, a nie zmienić go człowiekowi grzesznemu.

To se jeno tajnie, po cichuśku, przepraszając Boga za pychę, o tym jedynie marzyła, by mieć gospodarski pochówek – o to jeno prosiła lękliwie...

Nie dziwota więc, że skoro się teraz przywlekła do wsi ostatkami sił, czując, że już ten czas ostatni przychodzi na nią, to wzięła sobie przypominać, czy aby czego nie przepomniała.

Ale nie, wszystko miała potrzebne – gromnicę niesła z sobą, co ją ano wyprosiła stróżując jakiegoś umarlaka, i buteleczkę z wodą święconą miała, i nowe kropidło kupiła, i obrazik poświęcany Częstochowskiej, jaki musi mieć w ręku w skonania godzinie, i te kilkadziesiąt złotych na pochówek... a może i starczy na mszę świętą przy trumnie, ze światłem i pokropieniem choćby w kruchcie! Juści, że i myśleć nie śmiała, by ją ksiądz eksportował na cmentarz.

Gdzieby zaś to mogło być!... Nie kaźden gospodarz dostępuje takiego honoru i szczęścia, a przy tym i wszystkich pieniędzy na to jedno by nie starczyło!

Westchnęła żałośnie podnosząc się na nogi.

Dziwnie jednak zasłabła, kłuło ją w piersiach, kaszel męczył, że ledwie się mogła ruchać, odpoczywając co chwila.

– Żeby choć do sianokosów dociągnąć albo i do żniw pierwszych – marzyła, słodko przywierając oczyma do chałup coraz bliższych.

– A potem już się położy i zamrę ci, Jezu kochany, zamrę... – jakby się tłumaczyła lękliwie z tych grzesznych nadziei.

Ale wraz spadła na nią troska: kto to ją przyjmie do chałupy na ten czas skonania?

– Poszukam se dobrych i czujących ludzi, a może i jaki grosz przyobiecaw, to się łacniej zgodzą... Juści! komu ta niewola kłopotać się cudzymi, a chałupę sobie mierzić.

Aby się to mogło stać u Kłębów, krewniaków, nawet pomyśleć nie śmiała.

– Tylachna dzieci, w chałupie ciasno, a to i drób teraz się lęgnie i trza mu miejsca, i niehonor byłby dla takich gospodarzy, by pod ich dachem krewniackie dziadówki pomierały...

Rozmyślała bez żalu wchodząc na drogę biegnącą po grobli wyniesionej nieco, by chronić staw od wylewów na niskie łąki a kapuśniska.

Młyn stał pobok grobli, jeno tak nisko, że omączone dachy wystawały nieco nad drogą, trząśł się cały i z głuchym łoskotem pracował.

A z lewa staw świecił się ano, słońce wlekło się złotymi włosami po cichej, rozmodrzonej od nieba wodzie, na brzegach, obrosłych przychylonymi olchami, trzepały się z krzykiem gęsi, na drogach zaś, jeszcze nieco błotnych, dzieci przeganiały stadami pokrzykując z uciechy.

Lipce ano siedziały z obu stron stawu jak przódzi, jak zawdy chyba od początku świata, całe w sadach rozrosłych a w opłotkach.

Agata wlekła się z trudem, chyżo jeno biegając oczyma, a wszystko widząc. W młynarzowym domu, co stał odsunięty od drogi, a podobien się zdał choćby i do dwora jakiego, przez wywarte okna powiewały białe firanki, a sama młynarzowa siedziała przed progiem w pośrodku piskliwego stada gęsiąt żółciuchnych kiej z wosku, które przygarniała.

Pochwaliła stara Boga i przeszła cicho, rada, że jej nie poczuły psy, wylegające się pod ścianami.

Przeszła most, pod którym woda z hukiem przewalała się na młyńskie koła; drogi stąd rozchodziły się kiej ręce ogarniające cały staw.

Kolebała się w sobie przez chwilę, ale chęć obejrzenia wszystkiego przemogła i wzięła się na lewo, dłuższą nieco drogą.

Kuźnia, stojąca pierwsza zaraz z brzega, była zamknięta i głucha; jakiś przodek od wozu i nieco zardzewiałych pługów leżało pod ścia-

nami okopconymi, ale kowała ani widu, jeno kowalowa, rozdzana do koszuli, kopała grządki w sadzie wzdłuż drogi.

Przystawała teraz przed każdą chałupą wspierając się o niskie, kamienne płoty i przeglądając ciekawie obejścia, opłotki, wywarte sienie i okna. Psy, ujadaly na nią niekiedy, ale obwąchawszy i jakby snadź poznając swojaczkę, wracały legać na przyzby w słońce.

A ona ci teraz szła wolniuśko, krok za krokiem, ledwie dychając z utrudzenia, a barzej i z uciechy serdecznej.

Sunęła się tak cichuśko jako ten wiaterek, który raz po raz powiewał po stawie i gmerał w rudych baziach olch, a szara była i niewidna kiej te płoty albo ta ziemia, miejscami już przesychnąca, albo zaś kieby ten chudy cień, od drzew nagich padający na ziemię, że jakby jej nikt i nie spostrzegął.

A radowała się całym sercem, że wszystko tak znajduje, jako i była zostawiła jesienią.

Śniadania musieli warzyć, bo kurzyło się z kominów, a gdzieś tam z wywartych okien buchały zapachy gotowanych ziemniaków.

Choć to i dzieci krzykały tu i owdzie albo i gęsi stróżujące przy gąsietach podnosiły często strwożone gegoty, a dziwnie cicho i pusto było we wsi.

Słońce się już ano podniosło na pół drogi do południa i siało kieby tym szczerym złotem, i jęło się przeglądać w stawie, a nikt się jeszcze nie kwapił w pole, żaden wóz nie turkotał z opłotków ni poskrzypowały pługi, ciągnięte na rolę.

– Na jarmarek musiały pojechać albo co? – myślała, baczniej się jeszcze rozglądając po chałupach.

Wójtowe stodoły żółciły się nowym drzewem spośród sadów bezlistnych, a Gulbasowa chałupa, obok stojąca, miała oberwane poszycie, że łąty dachu widać było kiej te żebra nagie.

– Wiatry zerwały, ale wałkonowi nie chciało się naprawić! – mruzczała.

Wpodle zaś Pryczki siedziały w starej pokrzywionej chałupinie, powybijanych szyb wzyierały słomiane wiechcie.

A oto i sołtysowa chałupa, szczytem do drogi, na starą modę.

Za nim też Płoszków dom, na dwie strony zamieszkały.

Potem Balcerków posiedzenie; poznałyby nie wiem gdzie, bo dom był znaczny, że to dzieuchy popstrzyły wapnem szare ściany i pofarbowwały ramy okien na niebiesko.

A tam znów, w szerokim, starym sadzie rozsiadły się Boryny, pierwsze gospodarze i bogacze lipeckie. Słońce jeno grało w czystych szybach; ściany jaśniały jakby z nowa pobielone; obejście było obszerne, budynki w rząd stawiane, a proste i tak galante, że niejedyn i chałupy takiej nie miał, płoty całe i wszystko w takim porządku, kieby u jakiego Olendra na koloniach a lepiej nie było.

A dalej dom Gołębiów.

I inszych, które wszystkie jako ten pacierz na pamięć wiedziały. Ale wszędy jednako było cicho i pusto, jeno w sadach czerwieniły się pościele wietrzone i różny przyodziewek, a jeno gdzieniegdzie uwijały się porozdziewane do koszul kobiety przy kopaniu grządek.

W zacisznych miejscach sadów kapuściane wysadki już puszczały zielone warkocze z ogniłych łbów, to zaś pod ścianami one lilije wyrastały z szarej ziemi bladymi kłami, rozsady wschodziły pod przykrywą tarniowych gałązek, drzewa stały w nabrzmałych, lepkich pąkach, a wszędzie pod płotami burzyły się pokrzywy i chwasty różne, i krze agrestowe obwiane były jasną, młodziuchną zielenią.

A choć to i najprawdziwsza zwiesna siała się prosto z nieba i tętniąca była w każdej grudce ziemi napęczniałej, a tak jakoś smutnie się widziało w Lipcach, cicho i dziwnie pusto.

– A chłopą to ni na lekarstwo nigdzie. Nic, jeno na sądy poszły albo na zebranie je zwołały.

Tłumaczyła tak sobie wchodząc do kościoła otwartego na rozcież.

Po mszy już było, dobrodziej spowiadał w konfesjonale, kilkanaścioro ludzi z dalszych wsi siedziało w ławkach w cichości a skupieniu, że jeno chwilami ciężkie wzdychy rwały się na kościół albo to jakie słowo pacierza głośniejsze.

Od lampki płonącej, uwieszanej na sznurze przed wielkim ołtarzem, wlekły się pasma dymów niebieskawych ku wysokim oknom, przez które padało słońce; za szybami ćwierkały wróble fruując niekiedy pod nawami ze żdźbłami w dziobach, a czasem jaskółki wpadały ze świegotem przez wielkie drzwi, pokołowały błędząco w cichościach i chłodach murów i uciekały chyżo na świat jasny.

Zmówiła jeno krótki pacierz, tak już było jej pilno do Kłębów, ale przed kościołem zaraz spotkała się oko w oko z Jagustynką.

– Jagata! – krzyknęła tamta z wydziwem niemalym.

– Dyc żywie jeszcze, gospodyni! żywie! – Chciała ją w rękę pocałować.

– A powiedali, żeście już nogi wyciągnęli gdziesik w ciepłych krajach... Ale wama ten letki chleb Jezusowy na zdrowie nie poszedł, bo coś mi na księżą oborę patrzycie... – mówiła, szydliwie ją rozglądając.

– Wasza prawda; gospodyni... a tom ledwie już dowlekła kosteczki... dojdę se już pomaluśku a wrychle, dojdę...

– Do Kłębów śpieszycie?

– A gdzież bym to szła? Krewniaki przeciech...

– Radzi was przyjmą, torbeczki dygujecie niezgorsze, a jakiś grosz też być musi w supełkach, to juści, że chętnie przypuszczą waju do krewniactwa.

– Zdrowi bych są? nie wiecie? – markotne jej były te przekpinki.

– Zdrowi... jeno Tomek, że słabował ździebko, to się teraz lekuje w kreminalu.

– Kłab! Tomasz! Nie powiedajcie, bo mnie nie do śmiechu!

– Rzekłam, a dołożę, że nie sam siedzi, a z dobrą kompanią, bo z całą wsią... I morgi nie pomogą, kiej sąd przyskrzybnie drzwiami a okratuje.

– Jezus Maria, Józefie święty! – jęknęła, jako słup stając w zdumieniu.

– Bieściez rychlej do Tomkowej, to się tam napasiecie nowinkami barzej drujkami niżli miód. Hi, hi! świętują se chłopcy aż miło! – zaśmiała się urągliwie, a złe jej oczy strzeliły nienawiścią.

Agata powlekła się ogłuszona, nie mogąc jeszcze uwierzyć w słyszane, spotkała kilka znajomych kobiet, które ją przywitały dobrym słowem zagadując o tym i owym, ale jakby nie słyszała pogwary, rozdygotana w sobie strachem coraz zjadliwszym, że już z umysłu przywalniała, bych jeno opóźnić sprawdzenie tych nowin piekących. Długo siedziała pod sztachetami plebanii, bezmyślnie patrząc na księży dom. Na ganku stał bociek na jednej nodze i jakby naglądał psów, baraszkujących po żółtych uliczkach ogrodu, a Jambroży z dziewczką okładali nową darnią boki klombu, którego się już rudział kieby szczotką żelazną tymi młodymi chlustami kwiatów przeróżnych.

Dopiero wzmógłszy się na siłach chyłkiem ruszyła w opłotki Kłębowego domu, stojącego tuż w rząd z plebanią.

Z dygotem juści szła czepiając się płotów i latając przetrwożonymi oczyma po sadzie i chałupie, siedzącej w głębi, ale jeno krowy pod oknami chlpały głośno z cebratek, sień wywarta była na przestrzał, że dojrzała maciorę z prosiętami wylegujące się w błocie podwórza i kury pilnie grzebiące w gnoju.

Podjawszy próżną już cebratkę, bo śmielej było jej z czymścić w garści wejść, wsunęła się do wielkiej mrocznej izby.

– Niech będzie pochwalony! – ledwie wykrztusiła.

– A na wieki! Kto tam? – ozwał się po chwili zajękliwy głos z komory.

– Dyc to ja, Agata! – Jezus, jak ją spierało pod piersiami!

– Agata! Widzieliście no, moi ludzie! Agata! – gadała prędko Kłębowa ukazując się na progu z pełną zapaską piszczących gąsiąt, stare zaś z sykiem i gęgotem dyrdały za nią. – No, to chwała Bogu! A powiadali ludzie, jakoście jeszcze na Gody pomarli, nie wiada było ino kaj, że nawet mój zbierał się do kancelarii na przewiady. Siadajcież... strudzeni pewnikiem jesteście. Gęsi się ano lęgną...

– Pięknie się wywiedły, kiej ich aż tyła!

– A będzie kopa bez mała, przez pięciu. Chodźcie przed dom, bo trza ich podkarmić i przypilnować, aby stare nie stratowały.

Wybrała je starannie z zapaski na ziemię, iż zaroily się kiej te żółciuchne pępuszki, a stare jęły radośnie gęgotać a wodzić nad nimi dziobami

Kłębowa wyniesła na deseczce posiekanego jajka wraz z pokrzywami i kaszą i przykucnęła przy nich pilnie bacząc, bo stare kuły w drobiazg, tratowały i kradły jedzenie, jak ino mogły, rejwach czyniąc krzykliwy.

– Siodłate wszystkie będą – zauważyła siadając na przyzbie.

– Juści, a z wielkiego gatunku. Organiścina odmieniła mi jaja, że trzy swoje dawałam za jedno... Dobrze, iżście już ściągnęli do chałupy... roboty tyła, że nie wiada, gdzie przódzi pazury zaczepić.

– Zaraz się wezmę do roboty, zaraz... jeno mocy nieco nabierę... chorzałam i całkiem się wyzbyłam z sił... ale niechaj ino wydycham... to zaraz...

I chciała się podnieść, chciała iść... by się wziąć za robotę jaką, ale chudzina jeno się potoczyła na ścianę i z jękiem padła.

– Do cna, widzę, zwątleliście, nie do roboty już wama, nie! – rzekła ciszej rozpatrując jej twarz siną, obrzękłą i dziwnie pokurczoną postać.

Zakłopotala się tym oglądem i strapila, że nie tylko wyręki mieć z niej nie będzie, ale gotów się jeszcze kłopot nawiązać.

Snadź przeczuła to Agata, bo się lękliwie, przepraszająco ozwała:

– Nie bójcie się, nie będę waju zawałała miejsca ni cisnęła się do miski, nie, wydychne se ino i pójdę... chciałam jeno obaczyć wszystkich... popytać... ale se pójdę... – Łzy cisnęły się do oczu.

– Nie wyganiam was przeciech, siedźcie, a wola wasza będzie iść, to se pójdziecie...

– A kaj to chłopaki? pewnikiem w polu z Tomkiem?– zapytała wreszcie.

– To nic nie wiecie? A dyć wszystkie w kreminalu!

Agata jeno ręce spletała w niemym krzyku bóleści.

– Powiedziała mi już to słowo Jagustynka, jeno uwierzyć nie mogłam.

– Najczystsza prawdę wam rzekła, tak ci jest, tak!

Wyprostowała się na te wspominki, a po wynędzniałej twarzy posypały się ciężkie łzy.

Agata patrzyła w nią jak w obraz, nie śmiejąc już dopytywać.

– Mój Jezu! Sąd ci tu był we wsi ostateczny, kiej ano wzięli wszystkich i do miasta powiedli, ostatnia godzina, powiadam wam, że dziw, jako żywię jeszcze i ten dzień jasny oglądam! A to już jutro będzie całe trzy tygodnie, a mnie się widzi, jakby to wczoraj się stało. Ostał jeno w chałupie Maciek, wiecie, i dzieuszyska, które teraz gnój powiezły w pole, i ja sierota nieszczęsna!

– A poszły! ścierwy... to własne dzieci tratują jako te świnię! – krzyknęła naraz na gęsi: – Pilusie, pilu, pilu, pilu!

Nawoływała gąsienią, bo całym stadem, z matkami na czele, ruszyły w opłotki.

– Niech się zabawią, gap nikaj nie widać, przypilnuję bacznie.

– Ruchać się nie możecie, a gdzie wam za gąsieniami biegać!..

– Już me ździebko chorość odeszła, skorom jeno w te progi stąpiła.

– To pilnujcie... narządę wama co jeść... a może mleka uwarzyć?

– Bóg wam zapłać, gospodyni, ale sobota to ci wielkopostna, to z mlekiem jeść mi się nie godzi... wrzątku dajcie jaki garnuszek, chleb mam, to se wdrobię i pojem galanto.

Jakoż Kłębowa wnet jej przyniesła osolonego wrzątku na miseczce, w której stara wdrobiła chleb i pojadła z wolna dmuchając w łyżkę, a Kłębowa zaś przysiadła w progu i oganiając oczyma gąsienią, skubiącą pod płotami, znowu powiedała:

– O las poszło. Dziedzic sprzedał go kryjomo przed Lipcami Żydom. Jeli go wnet rąbać! Krzywda była taka i sprawiedliwości znikąd, to i co miały począć? do kogo iść ze skargą? A do tego zawzjął się na cały naród, że ni jednego komornika ze wsi do roboty nie zawołał. Zmówili się też i całą wsią poszli swojego bronić, ile ino narodu było. Powiedali, że wszystkich karać nie pokarzą, jeśliby na to przyszło, ale

nikto o tym nie pomyślał, bo jakże? za co to mieli karać? przeciech o swoje jeno zabiegali. Poszli do poręby, pobili rębaczów, że po dobrej woli nie ustąpili, pobili dworskich i wszystkich ano z boru wygnali... Na swoim postawili, a po sprawiedliwości, bo póki z lasu nie wydziela, co jest czyje, ruchać go nikt prawa nie ma. Ale się dużo przy tym pomarnowało naszych, starego Borynę przywieźli z rozłupaną głową: boryny ci go tak uszlachtował, a tego ci znowuj Antek Boryniak zakatrupił za ojca.

– Jezus! zakatrupił, na śmierć?!

– Na śmierć, a stary do dzisiaj ano choruje i bez rozumu zgoła leży, juści, on najbardziej ucierpiał, ale i drugie też niemało: Szymek Dominikowej miał przetrącony kulas, Mateusz Gołąb był tak pobity, że go aż przywieźć musieli, Płoszce Stachowi rozwalili łeb, a drugim dostało się też dosyć, że i nie spamiętać, co i komu! Nikto się tym zbytnio nie frasował ni narzekał, bo swoje okazali, wrócili też bujno, ze śpiewami kiej po tej wojnie wygranej, całą noc w karczmie z uciechy pili, a barzej pobitym gorzałkę do chałup nieśli.

A na trzeci dzień jakoś, w niedzielę, śnieg padał mokry i zrobiła się taka plucha od samego rana, iż trudno było nosa wyścibić na dwór. Zbieraliśmy się właśnie do kościoła iść, kiedy Gulbasowe chłopaki poczęły na wsi krzyżeć: „Strażniki jadą!”

Jakoż może w pacierz przyjechało ich ze trzydziestu, a z nimi urzędniki i cały sąd, rozłożyli się na plebanii. No, że już i nie wypowiem, co się działo, kiej zaczęły sądzić, wypytywać, zapisywać, a naród po kolei brać pod stróżę... Nikto się nie opierał, każdy pewny był swojego, a wszystkie kiej na spowiedzi przyświarczały i prawdę szczerą mówili. Dopiero pod wieczór skończyli i chcieli zrazu całą wieś wraz ze wszystkimi kobietami brać, ale podniósł się taki krzyk a ten płacz dzieciński, że chłopcy już się za kołami oglądali... Dobrodziej musiał cosik przełożyć starszym, że nas poniechali, nawet Kozłowej, silnie wygrażającej wszystkim, nie wzięli, chłopów jeno samych zabrali do kreminału, Antka zaś Borynowego w postronki przykazali wiązać!

– Jezus! w postronki przykazali wiązać!

– I związali, ale porwał ci je kiej te nicie nadgniłe, aż się przelękły wszystkie, bo wydał się, jakby mu dur do łba przystąpił albo i zły opętał, a on stanął przed nimi, a w oczy im rzekł:

– Skujcie mię mocno w kajdany i pilnujta, bo wszystkich zakatrupię i sobie co złego zrobię...

Tak się ano zapamiętał, że mu ojca zabili, sam ano ręce podał w żelaza, sam nogi nastawił i tak go powieźli...

- Jezu mój miłościwy! Maryja! – jęczała Agata.
- Widzę zawdy i do samej śmierci nie zabaczę, jak ich brali...
- Wzieni mojego z chłopakami... wzieni Płoszków...
- Wzieni Pryczków...
- Wzieni Gołębiów...
- Wzieni Wachników...
- Wzieni Balcerków...
- Wzieni Sochów...

-...a tyła jeszczech drugich wzieni, że więcej niżli pięćdziesiąt chłopca popędzili do kreminalu...

Że i rozum ludzki nie poradzi wypowiedzieć, co się tutaj działo... jakie płacze się krwawiły, tych wrzasków lamentliwych... ni tych przekleństw strasznych.

A tu zwiesna nadeszła, śniegi rychło spłynęły, role podeschły, ziemia aż się prosi o obróbkę, czas na orki, czas na siewy, czas na wszystkie roboty, a robić nie ma kto!

Wójt jeno ostał, kowal i tych kilku staruchów ledwie się ruchających, a z parobków jeden ino głupawy, Jasiek Przewrotny!

A tu i czas przychodzi rodów, że już poniektóre zległy, krowy się też ciela, łągi wszędzie, o chłopach też trza myśleć i podwozić im to pożywienie, to grosz jaki albo i tę czystą koszulę, a roboty innej tyła, że już i nie wiada, za co się przódzi brać, samym przeciech nie uradzi, a najemnika dostać nie można po drugich wsiach, boć kuźden sobie przódzi obrobić musi...

– Nie puszczą ich to rychło?

– Bóg ta wie kiedy! Jeździł do urzędu ksiądz, jeździł i wójt i powiedają, że kiej śledztwa skończą, to ich popuszczają, że to sądy mają być później, ale już trzy niedziele przeszło, a jeszcze ni jeden nie wrócił. Rocho też we czwartek pojechał dowiadywać się.

– Boryna żywie to jeszcze?

– Żywie, jeno ledwie dycha i do rozumu nie przychodzi, jako ten klocek leży... Zwoziła Hanka dochtorów, to znających się, nic nie pomaga...

– Juści, pomogą tam dochtory, gdzie chto na śmierć chory!

Zmilkły wyczerpane wspominkami. Kłębowa zapatrzyła się wskroś sadu na daleką topolową drogę, wiodącą do miasta, i popłakiwała z cicha nos ciągiem ucierając...

Potem zaś krzając się pilnie kiele narządzania obiadu opowiadała z wolna wszystko, co się stało we wsi przez zimę, a czego Agata zgoła nie wiedziała.

Aż stara rozpletła ręce i pochyliła się ku ziemi ze zgrozy i zdumienia, bo te nowinki kiej kamienie spadały na nią i przejmowały duszę taką zgryzotą i bólem, że chlipać cicho poczęła.

– Mój Boże, tam we świecie ciągiem myślałam o Lipcach, ale żeby takie sprawy się działy, to mi nawet i do rozumu nie przychodziło... a tom nawet póki życia długiego i nie słyszała o podobnym! Złe się tutaj osadziło na dobre czy co?

– Juści, że jakby na to przychodziło!

– A może jeno dopust Boży za złość ludzką i grzechy!

– Pewnie, że nie inaczej. Pan Jezus karze choćby za takie śmiertelne grzechy, jako to Antka z macochą. Nowe zaś przewiny idą, stają się na wszystkich oczach!...

Już Agata bojała się rozpytywać o więcej, tylko podniosła roztrzęsioną rękę i jeła się śpiesznie żegnać pacierz mamląc gorący.

– Nieszczęście takie padło na cały naród i Boryna też leży bez duszy, a powiedają – ściszyła głos obzierając się strachliwie – jako Jagusia już się na dobre z wójtem sprzegła... Nie stało Antka, brakło Mateusza, brakło i drugich parobków, to dobry pierwszy z brzega, byle jeno wygodził... O świecie, świecie!... – jęknęła załamując ręce ze zgrozy.

Stara się już nie ozwała, poczuła się z nagłą utrudzoną i tak przejętą tymi nowinkami, że powlekła się do obórki wypoczywać.

Dopiero o samym zachodzie dojrzeli ją wlekącą się na wieś do znajomków, powróciła zaś, kiej już u Kłębów siedzieli przy wieczerzanych miskach.

Łyżka na nią czekała i miejsce, juści nie pierwsze, ale zawżdy nie ostatnie, bo przy Kłębowej, jeno że pojadała mało wiele, kiej to dzieciątko przebiezne, pogadując z cicha o świecie, to o tych odpustowych miejscach, które była schodziła, aż się niemało temu nadziwowali.

Zaś kiej już noc zapadła, że nawet i zorze grające po szybach przygasły, i wieś do cna ogłuchła, zapalili w izbie światło i jeli się z wolna do snu sposobić, wtedy Agata wyniesła swoje torbeczki pod światło wyjmując z wolna różne różności, jakie przyniosła.

Otoczyli ci ją zwartym kołem tając przydechy i dziw jej nie zjadając rozgorzałymi oczyma.

A ona najpierw po obraziku poświęcanym rozdała każdemu, potem zaś sznury paciorków dziewczuchom, a tak pięknych, że ino grały farba-

mi, wrzask się bez to uczynił w izbie, tak jedna przez drugą cisnęły się do lusterka, przymierzając, cieszyć się sobą i szyję wzdymać kiej te indory napuszone; a to i koziki sielne, prawdziwie misiarskie znalazły się la chłopaków, i cała paczka machorki dla Tomasza, w ostatku i la Kłębowej wyjęła fryzkę szeroką, wzburzoną i kolorową nicią obdzierganą, że gospodyni aż wręcz plasnęła z wielkiej kontentności...

I wszyscy radowali się niemało, nie raz i nie dwa oglądając te śliczności i ciesząc oczy podarunkami, a ona rada wielce, z niemałą lubością powiedała, co ile kosztuje i gdzie to kupione.

Długo w noc przesiedzieli poredzając jeszcze o nieobecnych.

– Aż strach za grdykę łapie, tak cicho na wsi! – zauważyła w końcu Agata, gdy przymilkli i opadło ich głuche, martwe milczenie. – Gdzie to po inne roki, w tym zwiesnowym czasie, to aże się wieś trzęsła od wrzasków i śmiechów!...

– Bo jako ten grób otwarty widzi się cała wieś, że jeno kamieniem przywalić i krzyże postawić... że nawet pacierza nie będzie miał kto zmówić ni na mszę dać... – potwierdziła smutnie Kłębowa.

– Prawda! Pozwolicie, gospodyni, to bym ano na górkę poszła, kości me bolą po drodze i oczy już śpik morzy.

– A śpijcie, gdzie wama do upodoby przylegnać, miejsca nie brakuje.

Stara wnet pozbierała sakwy i jęła się w sionce skrobać po drabce, gdy Kłębowa zaczęła mówić za nią przez wywarte drzwi:

– Hale! małom nie zabaczyła wama powiedzieć, że wzielim waszą pierzynkę ze skrzyni... Marcycha chorzała w zapusty na krosty... ziąb był taki, przyodziać nie było czym... tośwa se pożyczyci od waju... pierzyna już wywietrzona i choćby jutro a zaniesie się ją na górę...

– Pierzynę... wasza wola... juści, kiej było potrza... juści...

Chyciło ją tak cosik za gardziel, że urwała, dowlekła się po omacku do skrzyni, przykucnęła i podniósłszy wieko jęła śpiesznie drżącymi rękoma błądzić i obmacywać swoje wiano śmiertelne...

Juści... pierzyny nie było... a nową całkiem ostawiła... w czystym obleczeniu... ni razu nie używaną... dyć ją z tych należnych piórek po pastwiskach uścibała... byle mieć na tę ostatnią skonania godzinę...

A wzieni ją... wzieni...

Płacz ją taki chycił żałościwości pełen, że dziw jej serce nie pękło.

I długo pacierz mówiła łzami go polewając gorzkimi, długo płakała i boleśnie a cichuśko skarżyła się Jezusowi kochanemu na krzywdę swoją...

Noc musiała już być duża, bo ano kury piac zaczynały na północek albo i na odmianę.

ROZDZIAŁ 2

Nazajutrz była Palmowa Niedziela.

Jeszcze dobrze przed słońcem, ale już o dużym dniu, wyrzała z Borynowej chałupy Hanka, w wełniak jeno przyodziana i jakąś chuścinnę, że to ziąb był na świecie galanty.

Zajrzała aż za opłotki na drogę czarniawą, rosami opita, a gdzie-niegdzie oszroniała. Pusto było jeszcze i ni znaku życia, świt jeno skrzył się suchy i przyodziewał zmartwiałe czuby drzew w modre obleczenia, zaś resztki nocy czaiły się strachliwie pod płotami.

Powróciła na ganek i z trudem przyklękawszy, że to leda tydzień spodziewała się rodów, jęła mówić pacierz błędząc po świecie zaspaynymi oczyma.

Dzień zaś roznosił się z wolna białawą pożogą, zorze przecierały się kieby przez sito, brzaskami osypując wschodnią stronę, która podnosiła się coraz wyżej niby ten złoty baldach nad promieniejącą już, ale jeszcze niewidną monstrancją.

Że zaś przymrozek był z nocy, to płoty, mostki, dachy, i kamienie polśniewały szronem, a drzewa stały kiej chmury przebielone.

Wieś jeszcze spała w przyziemnych mrokach utopiona, że jeno poniektóre chałupy bardziej przy drodze wyłupywały się nieco jaśnią bielonych ścian, zaś po omglonej gładzi stawu wlekły się długachne, czarniawe pasma prądów, jakoby szkliwa tężejące.

Młyn gdziesik hurkotał bez przestanku, a jakaś niewidna rzeczka mrowiła się po kamieniach cichuśkim, przytajonym bełkotaniem.

Kokoty piały już na umor i ptaszyny różne zgwarzały się z cicha po sadach jakoby w tym pacierzu społecznym, kiej Hanka przecknęła, śpik ją ano zmorzył i strudzone, niewywczasowane kości ciągnęły pod pierzynę, ale się nie dała, szronem przetała oczy i nalazłszy to zagubione słowo pacierza poszła w podwórze naglądać chudoby a budzić śpiące.

Najpierw wywarła drzwi do wieprzka, któren usiłował na przednie kulasy się zwlec, ale że spaśny był wielce, zwałił się na gruby zad i

jeno chrząkającym ryjem wodził za nią, gdy mu żarcie przegarniała dorzucając niecoś świeżego.

– Portki tak ciężą, że ci i na kulasy niełacno; jak nic ma na cztery palce słoniny. – Obmacała mu boki z lubością.

Otworzyła potem do kur porzuciwszy przed progiem na przynętę świńskiego jedzenia przygarścią, że sfruwały z grzęd skwapliwie, koguty zaś piał wzięły rozgłośnie.

Gęsi, zawarte pobok, przyjęły ją gęganiem i sykami; wyгнаła precz gęsiory, iż wnetki wojnę uczyniły z kurami, a zaczęła wyciągać spod matek, siedzących w gniazdach, jaja i przepatrywać je pod światło.

– Leda godzina kluc się będą – myślała nasłuchując cichego, ledwie odczutego dziobania w jajach.

Rychtyk i Łapa wylazł z budy, kiej szła ku stajni, przeciągnął się a ziewał, nie bacząc na syczące nań gąsiory.

– Hale! próżniaczysko, niby parob noc przesypia, coby stróżował!

Pies pomachał ogonem, szczeknął radośnie, buchnął przez kury, aż się pierze posypało, i dalejże drzeć się do niej, skakać do piersi, a polizywać ręce, że rada nierada pogłaskała go po łbie.

– Drugi człowiek a tak czujący nie będzie, jako to stworzenie. Miarkuje jucha gospodarza! – Wyprostowała się ździebko wodząc oczyma po oszroniałych dachach, bo jaskółki, siedzące rzędem na kalenicy, zaświegotały pięściwie.

– Pietrek! Dzień ano kiej wół! – zakrzyczała bijąc pięścią we drzwi stajni, a posłyszawszy mruczenie i odsuwanie zawory wywarła drugie zaraz drzwi do obory.

Krowy leżały rzędem przed żłobami.

– Witek! A to śpi pokraka, kiej po weselu!

Chłopak się wraz przebudził, skoczył z pryczy i jął pośpiesznie wciągać portezyny i cosik mamrotać strachliwie.

– Przyrzuc krowom siana, by przejadły do udoju, i zaraz przychodź skrobać ziemniaki. A łysuli nie dawaj, niech ją sama pasie – dodała twardo, bo była to krowa Jagusi.

– Tak ją pasą, aż krowa ryczy i z głodu słomę spod siebie wyjada.

– A niech zdycha, nie moja strata! – szepnęła zawzięcie.

Witek jeszcze tam cosik mruknął, ale skoro wyszła, gruchnął się w poprzek barłogu z obertelkiem w garści, byle jeszcze z pacierz zadrzeć.

Hanka zaś poszła jeszcze do stodoły, gdzie na klepisku okryte słomą leżały ziemniaki przebierane do sadzenia i zajrzała pod szope, kędy

składali wszelki sprzęt gospodarski. Łapa wyskakiwał przed nią, co chwila zbaczając do gęsiarów i wojnę z nimi czyniąc, aż wszystko obejrzawszy baczenie, czy jakiej szkody z nocy nie ma, jak to czyniła co dnia, polazła do przełazu, wyrzeć w pola na oziminy.

Zaczęła znowu mówić przerwany pacierz.

Słońce też już wstało, wskroś sadów powiała wichura płomieni, że szrony się zaiskrzyły i rosy jeły skapywać z drzew; wiatery też się poruszył i gmerał cichuśko w gałęziach, skowronki dzwoniły coraz rzęsiściej, a we wsi, na drogach czynił się ruch, słycać było chlustanie wody przy nabieraniu ze stawu, wrótnie kajś niekajś darły się zardzewiałe, to gęsi gđziesik krzyczały i pies naszczekiwał abo i głos ludzki rozbrzmiewał w porankowej cichości.

Wieś się budziła później ździebko, że to niedziela była i kaźden rad dłużej wylegiwał pod pierzyną spracowane kości.

Hanka na nic nie baczyła, zstępując w siebie, w te różne myśle, jakie ją oprzędły, że pacierz jeno wargami mówiła, daleko od niego duszą i cała we wspomnieniach utopiona.

Podniosła ciche, opite radością oczy na pola szerokie, zawarte ścianą dalekiego lasu, po którym rozlewały się płomienie wschodu, iż spośród modrawych gąszczów wybłyskiwały bursztynowe, grubachne chojary; zaś wszystkie ziemie jakoby drgały w złotych, budzących brzaskach; ozime zboża mokrą, zielonąwą wełną otulały zagony, a kajś niekaj po bruzdach lśniły się poniki wody kiej te srebrne strużyny, niesły się z pól wilgotne, chłodne przydechy wraz z tą świętą cichością wiosnianą, w jakiej to rośnie wszystko i na świat się jawi...

Nie za tym jednakże patrzała i nie tego.

Jawiły się ano w niej przypominki bied, głody, krzywdy, Antkowe przენiewierstwa, bóle kiej góźdź raniące i tych smutków i utrapień ty-lachna, że aż ją dziw brał, jako to poredziła przemóc i przemogła, i doczekała się, że oto Pan Jezus przemienił wszystko na lepsze...

Przeciech na gospodarce jest znowu, na ziemi.

A kto mocen jest wyrwać ją stąd? Któren poredzi!

Zmogła już tyła, przecierpiała bez te pół roku, że drugi człowiek bez całe życie nie przecierpi, to udźwignie, co ta na nią Panu Jezusowi spuścić się spodoba, wydzierży i doczeka się Antkowego ustatkowania i że te ziemie będą ich na wieki.

Trzy niedziele całe, a jej się widzi, jakoby to wczoraj się stało, kiej chłopy szły na las...

Nie poszła z innymi, bo ano w jej stanie ciężko było i nieprzebiecznie...

Turbowała się jeno o Antka, bo zaraz jej rzekli, jako z narodem się nie złączył i nie poszedł; rozumiała, iż tu na złość staremu zrobił, a może i la tego, by się w ten czas gdzie z Jagusią zwieść...

Żarło ją to, ale wypatrywać go przeciech nie poszła.

Aż tu przed samym południem przylatuje Gulbasiak i wrzeszczy:

– Pobilim dworskich! pobilim! – i kiej wściekły pognał dalej.

Zmówiła się z Kłębową i poszły naprzeciw. Dominikowej chłopak nadbiegał i już z dala krzyczy:

– Boryna zabit, Antek zabit, Mateusz i drugie!... – zatrzepał rękoma, cosik zamamrotał i padł, że trza mu było nożem zęby ozwierać, by wlać wody, tak go ścisnęło z utrudzenia.

A jej wtedy dusza ze strachu zakrzepła na ten lity kamień.

Szcześnie, że nim jeszcze chłopaka docucili, wywalili się z boru na drogę i powiedali, jak było, a może w pacierz sama już dojrzała przy ojcowym wozie Antka żywego: jako trup był siny, okrwawiony, zgoła nieprzytomny.

Juści, że ją płacz chwycił i boleść ozdierała, ale się przemogła, ile że ją ociec, stary Bylica, odciągnął na bok i cicho powiedział:

– Stary wnet zamrze, Antek o Bożym świecie nie wie, a w Borynowej chałupie nikogój, j jeszcze się kował tam wniesie i nikto go już nie wygoni!...

Zmiarkowała rychło, że w dyrdy poleciała do chałupy, zabrała dzieci i co było na podorędziu ze szmat, resztę zaś zdała na Weronczyńską opiekę i przeniosła się chybcikiem na dawne miejsce, po drugiej stronie Borynowej chałupy.

Jeszczech Borynę opatrywał Jambroży, jeszczech ludzie byli się nie rozeszli, jeszczech cała wieś wrzała uciechą a gdzie jękami pobitych, a ona cichuśko się wniesła i osiadła na amen.

A stróżowała pilnie: toć Antkowy też był gront, a stary ledwie zipał i mógł leda pacierz wyciągnąć kulasy.

Wiadomo przecież, iż któren pierwszy dopadnie dziedzictwa i wczepi weń pazury, to i niełacno go oderwać, i prawo za sobą będzie miał.

Co jej tam znaczyły kowalowe krzyki i groźby, którymi jej bronił wstępu, srodze zgniewany, iż go uprzedziła!

Pytać się to miała kogój o przyzwolenstwo, chyciła się ziemi, a jak ta suka warowała i broniła swojego, pewna rychłej śmierci starego i że Antka wezmą, bo ją był o tym uprzedził Rocho.

To i komu się to miała oddać w opiekę? Kiej wiadomo, że jak się sam człowiek nie przyłoży, to mu i Pan Jezus nie dołoży.

Nie płaczem i skamlaniem dochodzi się swego, a jeno tymi kwardymi, nieustępliwymi pazurami – wiedziała ci ona już o tym, wiedziała!

Więc choć i Antka wzieni, uspokoiła się rychło, bo co poredzisz przeciw doli, człowieku? czym się oprzesz, kruszyno?

Gdzie zaś to był i czas na długie lamenty i wyrzekania, kiej tylachne gospodarstwo wzięła na swoją głowę!

Przeciech sama ostała kiej ten kierz na rozdrożnym wywieisku, jeno że się nie cofnęła przed robotą ni ludzi nie ulękła. A przeciwko niej była Jagna; byli kowalowie, zawzięci na nią, że niech Bóg broni; był wójt, któren był swoje zamysły na Jagnę powziął i bez to sielnie się nią opiekował; był nawet dobrodziej, rychtowany na sprzeciw przez Dominikową.

Tyle że jej nie przemogli, nie dała się niczemu, co dnia głębiej wrastając w ziemię i krzpeciej dzierząc w garściach rządy, iż ledwie po dwóch niedzielach, a już wszystko szło jej wolą, rozumem a mocą.

Ona zaś ni dojadła, ni dospała, ni wypoczęła harując nikiem ten wół w jarzmie od świtania do nocy późnej.

Jeno że to niezwyčajna była ni takiej pracy, ni stanowienia o wszystkim swoją głową, a wielce z natury nieśmiała i przez Antka zahukana, to jej tak ciężko nieraz przychodziło, aż ręce opadały.

Ale krzepił ją strach, by z gospodarki nie wysadzili, a i ta zawziętość przeciw Jagnie.

Zresztą z czego ta jej moc szła, to szła, dość że się nie dała, urastając we wszystkich oczach na niemały podziw i uważanie.

– A to! przódzi się widziała, jako trzech nie zliczy, a teraz ci już za dobrego chłopca stanie – powiedały o niej co najpierwsze we wsi gospodynie, że nawet Płoszkowa i drugie rade przyjacielstwa z nią szukały, chętnie wspomagając dobrym słowem i czym jeno mogły.

Juści, że wdzięcznym sercem przyjmowała nie stowarzyszając się jednak zbyt i nie ciesząc z ich łask, bo niełacno zapominała krzywd niedawnych.

Nie lubiła pleść bele czego, to i nie potrza jej było sąsiedzkich ugwarzań ni tego w opłotkach wystawiania la obmowy.

Mało to swoich miała frasunków, bych się jeszcze cudzym turbo-
wać!...

Właśnie wspomniało się jej o Jagnie, z którą wiedła zażartą, mil-
czącą i nieustępliwą wojnę, o Jagusi, której samo przypomnienie było
jako to żgnięcie w serce, że i teraz poderwała się z miejsca zegnając się
śpiesznie, a bijąc w piersi na dokończenie pacierza.

Zeżliła się jeszcze bardziej, iż w chałupie spali, a i w podwórzu by-
ło cicho.

Skrzyczała Witka, spędziła z barłogu Pietrka, dostało się przy tym i
Józce, że słońce na chłopca, a ona się wyleguje.

– Jeno z oka spuścić na ten pacierz, a wszystkie po kątach śpią!

Mamrotała rozpalając ogień na kominie.

Wywiedła dzieci na ganek i wetknawszy im po glonku chleba
przywołała Łapy, by się z nimi zabawiał, a sama poszła zajrzeć do Bo-
ryny.

Ale na ojcowej stronie było jeszcze całkiem cicho, że ze złością
huknęła drzwiami; nie przebudziło to Jagny, stary zaś tak samo leżał,
jak go była ostawiła wieczorem: na pasiatoczerwonej pościeli leżała
jego sina, obrosła twarz, wychudła i tak zmartwiała, że podobien się
stał do onych świątków w drzewie rzezanych; otwarte szeroko oczy
patrzyły przed się nieruchomo nic zgoła nie widzące, głowę miał owią-
zaną szmatami, a rozwiedzione szeroko ręce zwisały martwo kiej te
nadrąbane gałęzie.

Poprawiła mu pościeli strzepując pierzynę bardziej na nogi, że to
gorąco było w izbie, a potem nalewała mu po ździebku do ust świeżej
wody: pił z wolna, aże mu grdyka chodziła, ale się nie poruszył; leżał
wciąż kiej ta kłoda zwalona, jen w oczach zaświeciło mu cosik, jak
kiedy rzeka spod nocy się przetrze i rozbłyśnie na jedno oczymgnienie.

Westchnawszy nad nim żałośnie; trzasnęła znowu trepem w wia-
derko ciskając rozsrożonymi oczyma po śpiącej.

Ale Jagusia i tak nie przecknęła; leżała ano na bok, twarzą na izbę,
pierzynę snadź z gorąca zepchnawszy do pół piersi, że ramiona i szyja
leżały nagie, zrumienione i ździebko ruchające się w cichym dychaniu;
przez rozchylone, wiśniowe wargi lśniły się jej zęby kiej te paciorki
najbielsze, a rozplecione włosy burzyły się po białej poduszce spływają-
jąc aż na ziemię kiej ten len najczystszy, w słońcu wysuszony.

– Zedrzeć ci ino pazurami tę gębusię, a nie wynosiłabyś się urodą
nad drugie! – szepnęła Hanka z taką nienawiścią, aż ją w sercu zakłuło
i same palce się sprężyły do darcia, ale bezwolnie przyglądała sobie

włosy i zajrzała w lusterko, wiszące na okiennej ramie; cofnęła się jednak prędko dojrzwawszy swoją twarz wynędzniałą, pokrytą żółtymi plamami, i zaczerwienione oczy.

– Niczym się nie umartwi, dobrze się nażre, w ciepłe się wyśpi, dzieci nie rodzi, to nie ma być urodna! – pomyślała z taką goryczą, że wychodząc drzwiami trzasnęła, aż szyby zabrzęczały.

Obudziła się wreszcie Jagna. Jeno stary leżał wciąż bez ruchu, wpatrzony przed się.

Leżał już tak całe trzy niedziele, od kielka go z lasu przywieźli. Czasem się jeno jakby budził, Jagny wołał, za rękę ją brał, cosik chciał rzec i znowuj drętwiał nie przemówiwszy ni słowa jednego.

Już mu i Rocho przywoził z miasta doktora, któren go obejrzał, na papierku cosik przepisał, dziesięć rubli wziął, leki też kosztowały nie mało, a rychtyk pomogło tyle, co i te darmowe Dominikowej zamawiania.

Zrozumieli rychło, jako się już nie wyliże, i ostawili go w spokojności. Wiadomo jest, że kiej kto na śmierć choruje, to żeby mu już nie wiem jakie leki a doktory zwoził, zamrzeć musi, a ma zaś ozdrowieć, i bez niczyjej pomocy ozdrowieje.

Więc mieli kole niego tyle już jeno starunków, co mu ta często odmieniali na głowie zmoczone szmaty, wody pić podając albo i ździebko mleka, bo jeść nie mógł, że mu się to wszystko zwracało.

Miarkowali też ludzie, a najbardziej Jambroży, jako praktyk był wielki, iż jeśli Boryna do rozumu nie przyjdzie, to śmierć będzie miał letką i rychłą. Spodziewali się jej co dzień i nie przychodziła; aż się już mierziło to długie czekanie, boć trza go było pilnować i jaką taką dawać opiekę.

Jagny to było psie prawo doglądać i przy nim dulczyć – cóż, kiej nie poredziła i godziny w chałupie wysiedzieć? Stary obmierzył jej do cna i ciążyła ta ciągła wojna z Hanką, która ją odsuwała od wszystkiego i pilnowała gorzej złodzieja – to i nie dziwota, że ciągnęło ją na świat, że chciało się jej lecieć na te ugrzane przypołudnia, pomiędzy ludzi, na wolność, to zdawała pilnowanie Józce i niesła się nie wiada gdzie, iż nieraz dopiero wieczorami wracała...

Józka zaś tyle go jeno doglądała, co przy ludziach: skrzat był to jeszcze głupi a latawiec. Hanka więc i to musiała wziąć na swoją głowę i o chorego dbać, bo chociaż i kowalowie mało dziesięć razy na dzień zaglądali, to jeno po to, by jej pilnować, czy czego z chałupy nie wyno-

si, a głównie czekali; iż może stary przemówi jeszcze i majątkiem rozporządzi.

Żarli się przy tym jako te psy kiele zdychającego barana i przepie-rali z warkotem, kto pierwiej chyci kłami za lelita i jaką sztuczkę la siebie wyszarpie; tymczasowie zaś kował, co ino upatrzył, co mu tylko w pazury wpadło, to porywał, choćby i stary postronek albo kawał deski z garści trza mu było wrywać i na każdym kroku pilnować, że dzień nie przeszedł bez kłótni a srogich pomstowań.

Powiadają: kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje, i prawda, ale kował umiał wstawać i o północy, lecieć choćby na dziesiątą wieś, jeśli jeno szło o dobry zarobek; chłop był chciwy na grosz i tak zabiegliwy, jak mało któren.

Oto i teraz, ledwie co Jagna z łóżka wylazła i wełniaki na się wdziała, drzwi skrzypnęły i on się cicho wsunął prosto idąc do chorego.

– Nie gadał czego? – zajrzał mu z bliska w oczy.

– Dyc leży, jak leżał! – odburknęła zbierając włosy pod chustkę.

Bosa jeszcze była, w koszuli, ździebko rozespana i taka urodna, a jakowymś prażącym ciepłem buchająca i lubością, że powiódł po niej zmrużonymi ślepiami.

– Wiecie – przysunął się tuż do niej – organista wygadał się przede mną, że stary musi mieć sporo gotowego grosza, bo jeszcze przed Godami chciał dać chłopu z Dębicy całe pięćset rubli; o procenta się jeno nie zgodzili. Muszą te pieniądze być schowane gdzie w chałupie... Uważajcie pilnie na Hankę, bo jakby chyciła przed nami, już by ich ludzkie oko nie zobaczyło... Moglibyście z wolna, kryjomo przepatrywać wszystkie kąty, jeno by niktó się nie pomiarkował... Słuchacie to?

– Co by zaś nie! – okryła ramiona zapaską, bo jakby ją obmacywał tymi złodziejskimi ślepiami.

Przeszedł się kołujący po izbie i niby od niechcienia zaglądał za obrazy, wyszukując przy tym pilnie, gdzie popadło.

– Macie to klucz od komory? – łypnął ślepiami na małe, zawarte drzwi.

– A wisi na Pasyjce pod oknem.

– Dłutam mu pożyczyl, będzie już z miesiąc, a teraz mi potrzebne i nikaj go należć nie mogę. Myślę, co tam w rupieciach zarzucone...

– Szukajcie sami, ja go wama nie wyślípam.

Odstąpił od drzwi, bo rozległ się w sieni głos Hanki, klucz na miejscu powiesił i za czapkę wziął.

– To jutro poszukam... pilno mi biec do domu... Rocho przyjechał?

– Ja to wiem? Spytajcie Hanki!

Postał jeszcze ździebko, poskrobał rudych wąsów, a oczy to mu jak te złodziejki latały po kątach; zaśmiał się cosik do siebie i poszedł.

Jagna zrzuciła zapaskę i jęła się siania łóżka i drugich uprzętań, rzucając niekiedy przyczajone spojrzenia na męża, i tak zawsze chodziła po izbie, by się nie natknąć na jego oczy, wciąż rozwarte.

Juści, że był jej obmierzły, bojała się go i nienawidziła całą mocą za wszystkie krzywdy doznane, a ile razy ją wołał i brał w swoje rozpalone i lepkie ręce, zamierała z obrzydzenia i strachu, tak śmiercią wiało od niego i trupem, ale pomimo wszystkiego może jeno ona jedna najszczerzej pragnęła, by wyzdrowiał.

Teraz ci dopiero miarkowała, co straci, skoro go nie stanie; przy nim gospodynią się czuła, słuchali jej wszyscy, a drugie kobiety czy dzieuchy rade nierade uważać ją i ustępować pierwszego miejsca musiały – jakże! Borynową przeciech była – Maciej zaś, chociaż w domu był kąśliwy kiej pies i dobrego słowa nie dał, ale przed ludźmi wielce dbał o nią i strzegł, by jej kto nie śmiał nie poszanować.

Nie rozumiała ona tego przódzi, dopiero kiej Hanka zwała się do chałupy i górę nad nią brać poczęła, odsuwając od panowania, poczuła swoje opuszczenie i krzywdy.

Nie o gront jej szło przecież – co jej tam były majątki?... tyle stała o nie akuratnie, co o łońskie lato, a chociaż już się wzwyczaiła do rządów i rada była wielce wynosić się a puszyć bogactwem, i rozpierać na swoim, to i za tym by nie płakała, bo u matki było jej też niezgorzej – ale jedno ją ano gnębiło boleśnie, że przed Hanką ustępować musi, przed Antkową kobietą: to ją przypiekało do żywego budząc złość i chęć rozbicia na sprzeciwi.

Juści, że ją i matka podmawiała, i kowal rychtował codziennym podjudzaniem, bo sama z siebie to by może rychło ustąpiła. Tak ją już mierzyły te wojny, że nieraz chciała wszystko ciepnąć i przenieść się do matki.

– Ani się waż! siedź, póki nie zamrze! waruj swojego! – nakazywała srogo stara.

To i siedziała, choć cknęło się jej niewypowiedzianie – jakże? całe dni nie było do kogo gęby otworzyć ni pośmiać się z kim, ni wybiec do kogo...

A w domu pojękiwał stary, była Hanka zawsze gotowa do kłótni, szła ciąga wojna, że już zgoła było nie do wytrzymania.

U matki też było nie sposób wysiedzieć.

To latała z kądzielą po chałupach – ale mogła to i tam wytrzymać, kiej we wsi były same kobiety, rozkisle, rozplakane, rozwrzeszczane, jako te dni marcowe, a wszędy, jako ta nie ustająca litania, wyrzekania, a nikaj żadnego parobka, choćby na lekarstwo!

Że już ni miejsca, ni rady dać sobie nie mogła.

Do tego zaś często, coraz częściej nawiedzały ją wspominki o Antku.

Prawda, jako pod sam koniec, nim go wzięli, wielce ku niemu ochłodziła i te spotykania już były jeno strachem i męką; na ostatku zaś ukrzywdził ją jeszcze tak bardzo, aż dusza pęczniała żalem na przypominki... ale miała wyjść do kogo, wiedziała, że tam, pod brogiem, o każdym zmierzchu czeka na nią i wypatruje... że jest ktosik, któremu lubo się słuchać... To choć się trzęsła z trwogi, by nie wypatrzyli, choć i on nieraz skrzyczał za długie czekanie, ohotnie biegła zapominając o całym świecie, gdy ją przygarnął do siebie krzepko, niby ten smok ognisty, i brał, ni pytając o przyzwolenstwo... Ni w myśli powstało opieranie, kiej ścisnął, aż ją mdliło w dołku, i takim warem przejmował.

Nieraz do północkska zasnąć nie mogła, chłodząc rozpaloną całunkami twarz o zimną ścianę wzburzona do dna i pełna w kościach onych słodkich, prąjących ogniem wspominań!

A teraz jest jak ten kołek, sama, nikt jej nie podpatruje, nikt nad nią prawa nie ma, ale i do nikogo się nie wydiera, nikto już jej tam za przełazem nie czeka, i nikto nie przyniewala...

Że wójt za nią chodzi, podskubuje, słodkie słówka prawi, do płotów przyciska, do karczmy na poczęstunek ciągnie i rad by ją dla siebie zniewolił, to ino bez to mu przyzwala, że ckni się jej wielce i nie ma z kim drugim się pośmiać, ale tak mu do Antka kiej psu do gospodarza!

I przez złość to jeszcze robi la cała wsi i la tamtego.

Sposponował ci on ją i sponiewierał na ostatku! Jakże – całą noc i cały dzień przesiedział w chałupie przy starym, nawet spał na jej łóżku, krokiem się prawie z izby nie ruszał, a jej jakby nie dojrzał, choć wciąż stawała przed nim jak ten pies, skamląc oczyma o zmiłowanie:

Nie spojrzął na nią, ojca jeno widział a Hanke i dzieci, psa nawet.

To może i bez to już do cna straciła serce do niego, i całkiem się w niej przemieniło naprzeciw, bo kiej go brali w kajdany, wydał się jakimś drugim, obcym zgoła i tak obojętnym, że nie potrafiła go żałować,

a nawet ze skrytą radością przyglądała się Hance, jak ta włosy rwała łbem tłukąc o ścianę i wyjąc niby suka za topionymi szczeniętami.

Cieszyła się mściwie z jej udręki, odwracając z odrazą oczy od jego twarzy strasznej, jakoby wpółobląkanej.

Tak się wtenczas obcym stał dla niej, że nawet nie umiałyby go sobie teraz przypomnieć, jak człowieka raz jeden widzianego.

Ale tym ci lepiej baczyła tamtego Antka, tamtego z dni miłowań i szarów, z dni schadzek i przytulań, całunków i uniesień... tamtego, ku któremu teraz, w nie spane często noce wydzierala się jej dusza i rozprężone udręką serce krzyczało żalem i tęsknicą nieopowiedzianą.

Do tamtego... z tamtych dni szczęścia rwała się Jagusina dusza, ani wiedząc, kędy jest i żywie-li on gdzie we świecie szerokim...

Ano i teraz snuł się jej przez pamięć jako ten sen luby, z którym się ciężko rozstawać, kiej znowu rozległ się wrzaskliwy głos Hanki.

– Kiej pies odarty tak się wydziiera i dunderuje!– szepnęła rozbudzona z przypominków.

Słońce już bokiem zaglądało rozczzerwienając mroczną izbę, ptaki radośnie ćwierkały w sadzie, podnosiło się ciepło, bo z dachów kieby szklanymi paciorkami spływał przymrozek, a przez wywarte okno wraz z wietrzykiem porannym buchał krzyk gęsi trzepiących się w stawie.

Krzątała się po izbie kiej szczygieł, z cichą przyśpiewką, boć to niedziela była i czas nadchodził szykowania się do kościoła z palmami, już owe pędy łozy czerwonej, pokryte srebrzystymi kotkami, stały w dzbanku od wczoraj, pomdlałe nieco, że to im wody zapomniała nalać. Poczęła je właśnie troskliwie cucić, gdy Witek wrzasnął przez drzwi:

– Gospodyni kazali, byście swoją krowę napaśli, aż z głodu ryczy!

– Powiedz, że wara jej do krowy mojej! – odkrzyknęła w cały głos nasłuchując, co tamta wyszczekuje na odzew.

– A pyskuj, póki ci gęba nie ustanie: nie dowiedziesz me dzisiaj do złości!

I jęła najspokojniej wybierać ze skrzyni ubiory rozkładając je po łóżku, rozpatrując, w jakie by się przyodziać do kościoła; naraz, kiej ta chmura padnie na słońce, iż się wszystek świat przyciemni, tak ci i w niej dziwnie pomroczało. Po cóż się to przybierać będzie i stroić? dla kogo?

La tych babskich ślepiów, zazdrośnie taksujących każdą jej wstążkę i potem za to obnoszących ją na ozorach?

Odbiegła strojów z niechęcią i siadłszy w oknie czesała jasne, bujne włosy, smutnie spozierając na wieś, w słońcu już całą i w topliwych rosach połyskującą; domy kajś niekaj przebiełały się ze sadów i słupy niebieskich dymów buchały w górę, zaś na drodze, po drugiej stronie stawu, całkiem przysłoniętej drzewcami, przechodziły niekiedy kobiety, bo widziała czerwień wełniaków odbitą we wodzie i jak się przesuwają wskroś mdlejących już cieniów drzew nadbrzeżnych; potem gęsi przepływały białymi sznurami, że się wydawało, jakoby płynęły wskroś modrej topieli nieba odbitego, ostawiając za sobą te czarniawe, półkoliste kręgi kiej węże cicho pełznące; to chybotliwe jaskółki przewijały się niziutko łyskając białymi brzuchami, a gdziesik znowu u wodopojów krowy porykiwały lub pies naszczekiwał.

Zagubiła wnet pamięć tych rzeczy topiąc oczy w górze, wysoko, gdzie na modrym niebie pasły się stada chmur, białym, wełnistym barankom podobne, bo gdziesik spod nich, w wysokościach ciągnęło jakieś niedojrzane ptactwo, że jeno krzyk długi a jękliwy rozsypywał się nad ziemią rzewliwie, aż ją od tych głosów sparło cosik pod pierściami, a nagła, z dawna już czająca się tęsknica ścisnęła serce, że wodziła przygasłymi oczyma po rozruchanych drzewach po wodzie, kaj i owe chmury zdały się płynąć zanurzone w niebieskościach, po wszystkim świecie, nic jeno nie rozpoznając spoza wezbranej tęskności, że łyż ważne pocięły po zbladłych policzkach kieby te paciorki lśniące rozrwanego różańca i suły się wolno jedna za drugą, i gdziesik na samo dno duszy spływały.

Mogła to zmiarkować, co się jej stało?

Jeno czuła, iż ją cosik rozpiera, podrywa i ponosi, że oto poszłaby na kraj świata, gdzie oczy poniesą, gdzie jeno powiedzie ta tęskność niezmożona. I płakała tak bezwolnie i prawie bezboleśnie, jako to drzewo, obciążone kwiatem w wiosniane poranki, kiej słońce przygrzeje, a wiatry zakolebią, rosi obficie, wpiera się w ziemię, nabrzmięwa sokami rodnymi, a kwietne gałęzie ku niebu podaje...

– Witek! a poproś pięknie tej dziedziczki na śniadanie! – wrzasnęła znowu Hanka.

Jagna, kieby przecknęła, otarła łyż, doczesła włosów i poszła śpiesznie.

W Hanczynej izbie już wszyscy siedzieli przy śniadaniu. Z michy kurzyły się ziemniaki, właśnie je była Józka omaszczała śmietaną przesmażoną z cebulą, gdy reszta już bodła łychami wlepiając łakome ślepie w jadło.

Hanka wzięła pierwsze miejsce w pośrodku przed ławą, na której jedli, Pietrek siedział w końcu, a pobok niego przykuczał na ziemi Witek, Józka zaś pojadła stojący pilnując dokładania, a dzieci siedziały pod kominem przy niezgorszej miseczce oganiając się łyżkami przed Łapą, któren kiedy niekiedy pojadał razem z nimi.

Jagna miała swoje miejsce od drzwi, naprzeciwko Pietrka.

Jedli z wolna spozierając niekiedy spod łbów.

Darmo Józka trzepała trzy po trzy i Pietrek rzucał jakie słowo, a w końcu i Hanka zagadywała tknięta jej zapłakanymi, smutnymi oczyma, Jagusia ni pary z gęby nie puściła.

– Witek, a któren ci takiego guza nabił? – pytała Hanka.

– Zwaliłem się o złów! – Rozzczerwienił się kiej rak i potarł bolące miejsce, porozumiewawczo spoglądając na Józkę.

– Przyniosłeś to już gałązek z palmami?

– Zaraz polecę, ino zjem – tłumaczył się, śpiesznie dojadając.

Jagna położyła łyżkę i wyszła.

– Znowuj bąk ją jakiś ukąsił! – szepnęła Józka dolewając barszczu Pietrkowi.

– Nie kaźden umie trajkotać tak ciągiem jak ty. Doiła to już krowę?

– Zabrała szkopek, to pewnie poszła do obory.

– Hale, Józia, trza dla siwuli makuchu ugotować.

– Już siarę odpuszcza, próbowałam dzisiaj.

– Odpuszcza, to leda dzień się ocieli...

– Ciołka będzie miała! – rzekł Witek podnosząc się od jadła.

– Głupi! – szepnął pogardliwie Pietrek popuszczając ździebko obertelek, że to był niezgorzej podjadł, i zapaliwszy od główki papierosa wyszedł razem z chłopakiem.

Kobiety w milczeniu wzięły się do roboty. Józka zmywała naczy-
nia, a Hanka słała łóżka.

– Pójdziecie do kościoła z palmami?

– Idź z Witkiem, Pietrek też może, niech jeno konie obrządzi; ja ostanę, przypilnuję ojca i może Rocho wróci akuratnie i co nowego przyniesie od Antka...

– Nie powiedzieć to Jagustynce, żeby jutro przyszła do ziemniaków? co?

– Juści, same nie wydołamy, a na gwałt trza je przebierać.

– A i gnój już by rozrzuć!

– Pietrek jutro na południe ma skończyć wywózkę, to od obiadu weźmie się z Witkiem do rozrzucania; co czasu zbędzie, to i ty pomożesz...

Wrzask gęsi podniósł się przed oknami, wpadł zadyszany Witek.

– Że to nawet gęsiom spokoju nie dajesz!

– Szczypać me chciały, tom się ino obraniał!

Rzucił na skrzynię cały pęk wilgotnych jeszcze od rosy złotawych różeg osypanych bażkami, Józka jęła je układać związując czerwona wełną.

– Bocięk to kujnął cię w czoło? – spytała go po cichu.

– Juści, że nie kto drugi, nie wydam ino... – Obejrzał się na gospodynię, wybierając ze skrzyni świąteczne szmaty. – A to ci powiem, jak było... Wypatrzyłem, że na noc przed gankiem ostaje... podkradłem się późną nocą, kiej już wszyscy na plebanii spali... i jużem go brał... a choć me kujnął... byłbym spencerkiem go okręcił i wyniósł... kiej psy me zwietrzyły... znają me przeciech, a tak docierały zapowietrzone, że musiałem uciekać, jeszcze mi nogawice ozdarty... ale nie daruję...

– A jak się ksiądz dowie, żeś mu wziął boćka?

– A kto mu to powie?... A odbierę mu, bo mój.

– A kaj go schowasz, by ci nie odebrali?

– Już ja taki schówek umyśliłem, że i strażniki nie zwąchają... A potem, kiej przepomną, sprowadzę go do chałupy i powiem, com se nowego znęcił i obłaskiwał – rozpozna to kto, Józia? Ino me nie wydam, to ci jakich ptaszków przyniosę albo i młodego zajączka.

– Chłopak to jestem, bym się ptaszkami bawiła? Głupi, przebierz się zaraz, to razem pójdziem do kościoła.

– Józia, dasz mi ponieść palmę? co?

– Zachciało mu się!... dyć ino kobiety mogą nieść do poświęcania!

– Przed kościołem ci oddam, ino przez wieś...

Prosił tak gorąco, aż przyobiecała, zwracając się prędko do wchodzącej właśnie Nastki Gołębianki, już wyszykowanej do kościoła i z palmami w rękę.

– Nie miałaś czego o Mateuszu? – zagadnęła Hanka po przywitaniu.

– Tyle jeno, co wójt wczoraj przywiózł: jako zdrowszy.

– Wójt akuratnie tyle wie co nic albo i wymyśli, czego nie było.

– To samo pono i dobrodziejowi mówił.

– A o Antku to i słowa rzec nie umiał.

– Pono Mateusz siedzi z drugimi, Antek zaś osobno.

– I... tak jeno szczeka, żeby się miał z czym do chałup zamawiać...

– Był to z tym i u was!

– Co dnia zachodzi, ale do Jagusi; ma z nią jakieś sprawy, to się schodzą i przed ludźmi uredzają w opłotkach.

Powiedziała ciszej, z naciskiem, wyglądając oknem, bo w sam raz Jagna schodziła z ganku, wystrojona sielnie, z książką w rękę i z palmami. Długo patrzyła za nią.

– Spóźniła się, dzieuchy, ludzie już całą drogą wałą.

– Nie przedzwaniiali jeszcze.

Ale wraz i dzwony się ozwały hukliwie nawołując w dom Pański i bimbały wolno, długo i rozgłośnie.

Że w jaki pacierz, a wszyscy poszli z chałupy do kościoła.

Hanka ostała sama, nastawiła obiad, przyogarnęła się nieco i zabrawszy dzieci siadła z nimi na ganku, by je wyczesać i przeiskać, że to w tygodniu nie starczyło nigdy czasu.

Słońce podniosło się już dość wysoko i ludzie zewsząd zbierali się do kościoła, co trocha wysypując się z opłotków, że po drogach niby te maki czerwieniały się kobiece przyodziewy i brzmiały pogwary z krzykami dzieci, zabawiających się ciskaniem kamieni po wodzie i za ptakami; niekiedy wozy turkotały, pełne ludzi z drugiej wsi, to chłopcy jakieś, snadź obce, przechodziły pochwalając Boga, aż z wolna wszyscy przeszli i opustoszałe drogi pomilkły.

Hanka wyiskawszy dzieci do czysta zaprowadziła je na słomę przed doły, by się same zabawiały, zajrzała do parkocących garnków i wróciła na dawne miejsce modląc się półgłosem na koronce, że to na książce nie umiała.

Dzień już się podnosił ku południowi, cichość zgoła świąteczna ogarniała wieś, że nikaj głosów żadnych nie było, tyle jeno, co te wróble ćwierkania i świegoty jaskółek lepiących gniazda pod okapami. Czas był ciepły, pierwsza wiosna ledwie co trąciła ziemię i tknęła drzew; niebo wisiało młode; przemodrzone i dziwnie łyskliwe; sady stały bez ruchu, ku słońcu podając gałęzie, nabite spęczniałymi pąkami, zaś olchy, staw brzeżące, niby w cichuśkim dychaniu poruchiwały żółtymi baziami, a pędy topól rdzawe, lepkie i pachnące, a jakoby miodem ciekące, otwierały się na światło niby te dzioby piskłęce...

Pod chałupami dogrzewało galanto, że już muchy wylaziły na ogrzane ściany, a czasem i pszczoła się pokazywała, z brzękiem padając na stokrotki, patrzące spod płotów, albo się pilnie nosiła po krzaczach, co niby zielone płomienie buchały młodymi listkami.

Ale z pól i od borów zawiewał jeszcze ostry, wilgotny wiatr.

Msza już musiała być w połowie, bo w cichym i jakoby wrzącym wiosną powietrzu przeżyły się głosy śpiewów dalekich, organowe grania i czasem jako ten deszcz rzęsisty rozsypywały się w mdlejące dźwięki dzwonek.

Czas snuł się wolno i cicho, bo kiej słońce stanęło najwyżej, to nawet ptaki zamilkły, jeno że wrony, czające się złodziejsko za gąsieniami, przewijały się nisko nad stawem krzyk niecąc gąsiorów; bociek też raz jeden zaklekotał gdzieś i przeleciał blisko, że ino jego cień wielgachny poniósł się po ziemi.

Hanka modliła się żarliwie, bacząc na dzieci, a i do starego zaglądając niekiedy.

Ale cóż, leżał jak zawždy, bez ruchu i przed się zapatrzony.

Domierał se tak z wolna, dochodził swojego czasu po ździebku z dnia na dzień, jako to zboże kłosne w słońcu pod ostry sierp dojrzewające... Nie rozpoznawał nikogo, bo nawet wtedy, kiej Jagny wołał i za ręce ją brał, w inszą stronę patrzył; Hance się jeno wydawało, co na jej głos poruchuje wargami, a oczy mu chodzą, jakby chciał cosik rzec...

I tak było wciąż bez przemiany, aż płacz chwycił patrzących.

Mój Jezu, kto by się był tego spodziewał! Taki gospodarz, taki mądrała, taki bogacz, że trudno znaleźć drugiego, a teraz ci leży niby to drzewo piorunem rozłupane, gałązków zielonych jeszcze pełne, a już śmierci na pastwę wydane...

Nie pomarł przeciech i nie żywie, jeno wszystek już w rękach boskiego miłosierdzia.

O dolo człowiekowa, dolo nieustępliwa!

O boskich przeznaczeń mocy, która się jawisz, kiej się nikt nie spodzieje, czy w dzień biały, czy też li w noc ciemną, a jednako kruszynę ludzką mieciesz w gorzkiej śmierci strony!...

Dumała nad nim żałośnie poglądając ku niebu, westchnęła raz i drugi, skończyła koronkę i wziąć się musiała do południowych udojów, bo wzdychy wzdychami, a robota pierwsza przed wszystkim.

Kiej wróciła z pełnymi szkopkami, już wszyscy byli w chałupie. Józka powiedała, o czym ksiądz mówił z ambony i kto był w kościele; gwarno stało się w izbie i na ganku, że to kilka rówieśnic z nią przyszło i społecznie łykali te kotki poświęcane, chroniące pono od bólów gardzieli.

Śmiechu było niemało, że to niejedna przelknąć nie mogła i zakrzuszyła się, aż wodą popijając, albo ją musiano pięścią grdykać w plecy, by łacniej przeszło, co Witek z wielką uciechą robił.

Jagna jeno nie wróciła na obiad widzieli ją idącą z matką i kowalami. A ledwie co wstali od misek, kiej wszedł Rocho. Rzucili się witać radośnie, bo bliskim im się stał niby ten dziaduś rodzony, a on się witał cicho, każdemu coś rzekł i w głowę całował, ale gdy mu podano jeść, nie jadł: strudzony był srodze i troskliwie obzierał się po izbie. Hanka warowała jego oczu, a nie śmiejąc pytać.

– Widziałem się z Antkiem! – rzekł cicho nie patrząc na nikogo.

Zerwała się ze skrzyni, strach ją przejął i za serce ścisnął, że słowa nie mogła wykrztusić.

– Zdrowy całkiem i dobrej myśli. Choć strażnik nas pilnował, rozmawiałem z nim dobrą godzinę.

– W tych żelazach siedzi? – wykrztusiła strachliwie.

– Cóż znowu!... zwyczajnie, jak i drudzy!... nie jest mu tam tak źle, nie bójcie się.

– Bo Kozioł rozpowiadał, jako tam biją i do ściany przykuwają.

– Może tak i bywa gdzie indziej... za co inszego... ale Antka nie tknęli – powiadał.

Spletła ręce z radości, a uśmiech kiej słońce przemknął po niej.

– A na odchodnym zapowiedział, byście na nic nie bacząc wieprzka zabili jeszcze przed świętami, bo i on chce święconego zażyć.

– Głodzą go tam chudziaka, głodzą! – jęknęła zawodliwie.

– Kiej ociec mówili, że jak się podpasie, to przedadzą – zauważyła Józka.

– Mówili, ale kiej Antek przykazuje zabić, to jego teraz wola pierwsza po ojcowej – podniosła ostry, nieustępliwy głos.

– I jeszcze mówili, abyście na roli kazali robić wszystko, co potrzeba, na nic się nie oglądając. Powiedziałem, jako tu sobie zmyślnie poczynacie.

– Rzekł to co na to? powiedział?

Radość ją warem oblała.

– To mi powiedział, że jak zechcecie, poredzicie wszystkiemu...

– A poredzę, poredzę! – szepnęła z mocą i oczy jej rozblęsnęły nieustępliwą wolą.

– Cóż tu u was nowego?

– A nic, jak było... Puszczą go to rychło? – zapytała z dygotem trwogi.

– Może zaraz po świętach. może ździebko później, jak śledztwo skończą... A to się przewlecze że to wieś cała, tyle ludzi... – odpowiadał wymijająco nie patrząc jej w oczy.

– Pytał się to o chałupę, o dzieci, o... mnie... o wszystkich?... – zaczęła trwożnie.

– Pytał juści, kolejno powiadałem.

– I... o wszystkich we wsi?..

Strasznie się jej wiedzieć chciało, zali o Jagnę też pytał, cóż, kiej nie śmiała zagadać otwarcie, a ubocznie zaś, tak, by nie miarkując niczego samu się wygadał, długo się biedząc, nie potrafiła, że i sposobny czas przeszedł, bo się już rozniesło po wsi o jego powrocie, i wkrótce, jeszcze przed nieszporami, zaczęły się schodzić kobiety, ciekawe wielce posłyszeć nieco o swoich.

Wyszedł do nich przed dom i siedząc na przyźbie rozповідаł co się był o każdym z osobna wywiedział, i choć nic złego nie mówił, a to babskie ciche chlipanie jęło się wzmaczać w gromadzie, gdzie zaś i płacz głośny, a gdzie i słowo żałośliwe się wyrwało...

A potem zaś na wieś poszedł wstępując do każdej prawie chałupy, a widział się jako ten świętek z ową białą brodą i wzniesionymi oczyma, którego wszędy niósł te słowa pociechy, a kaj wstąpił, to jakby jasnością napełniały się izby, a w sercach zakwitwały nadzieje i dufność krzepiła chwiejne, ale i łzy rzęsiściej płynęły, i odnowione wspomnienia ciężej przygniatały, i żałośliwość tęskliwiej wstawiała...

Bo prawdę była rzekła wczoraj Kłębowa do Agaty, iż wieś stała się podobna do grobu otwartego; prawda, bo niby po zarazie widziało się w Lipcach, kiej to większą część narodu wywiezają pod mogiłki albo zaś i wtedy, kiej to wojna przetratuje a chłopów wybije, że jeno po chałupach opustoszałych ostają babie lamenty, dziecińskie płacze, wyrzekania i te wzdychy, i ta żywa a silnie boląca pamięć krzywd.

Że już i nie wypowiedzieć, co się w umęczonych duszach działo!

Trzecia niedziela się kończyła, a Lipce jeszcze się nie uspokajały, naprzeciw zaś, bo ciągiem wzrastało poczucie krzywdy i niesprawiedliwości, to i nie dziwota, jako o każdym świtaniu, kiej przecknęli jeno ze śpiku, w każde przypołudnie i na odwieczrzeu każdym – w chałupach czy na dworze, gdzie się jeno naród kupił, nieustannie i lamentliwie, niby ten pacierz dziadowski, rozlegały się wyrzekania i żądza odemsty pełniła się w sercach kiej to diabelskie, złe zielsko, że same pięści się zaciskały i krwawe, zawzięte słowa rwały się piorunami.

To juści, że Rochowe słowa, kiej ten kijaszek, jakim niebacznie rozgrzebią przytający ogień, iż płomień znowu siłą wybucha, to jedno sprawiły, co we wszystkich wszystka pamięć krzywd wywlekły przed oczy, iż nawet mało kto poszedł na nieszpory, zbierali się jeno po opłotkach, po drogach stowarzyszali, to do karczmy szli, poredzając, płacząc a pomstując...

Jedna Hanka spokojniejsza się uczuła i tak rada z mężowej pochwały, tak nią skrzepiona na duszy i pełna nadziei, żadna roboty i pokazania, że poradzi wszystkiemu, iż nie sposób tego wypowiedzieć.

Skoro się rozeszły kobiety, wraz też przysła kowalowa posiedzieć przy chorym, Hanka zaś z Józką udały się do chlewu wieprzka oglądać.

Wypuściły go na podwórze, ale że świętuch był spasiony, to uwalił się zaraz w gnojówce i ani chciał się ruszyć.

– Nie dawaj mu już dzisiaj jeść, niech się oczyści.

– Akuratnie i zapomniałam dać mu po południu...

– To i dobrze na ten raz, trza by go jutro sprawić. Wołałaś Jagustynki?

– Przyjść obiecała jeszcze dzisiaj, na odwieczeru...

– Odziej się i bieżyj do Jambroża, niech jutro, choćby i po mszy, a przychodzi ze statkami oporządzić wieprzka.

– Będzie to mógł, kiej dobrodziej zapowiadał, co jutro dwóch księży przyjedzie słuchać spowiedzi?

– Czas znajdzie!... wie, że gorzałki żałować nie będę, a on jeno poradzi galanto szlachtować i mięso sprawić. Jagustynka też pomoże.

– To bym raniuško jechała do miasta po sól i przyprawy...

– Zachciało ci się przewietrzyć!... nie potrza: wszystkiego dostanie u Jankła, sama tam zaraz pójde i przyniesę.

– Józka! – krzyknęła jeszcze za nią – a gdzie to Pietrek z Witkiem?

– Pewnikiem poszli na wieś, bo Pietrek wziął skrzypice.

– Spotkasz ich, to przypędź, niechby z szopy koryto przynieśli przed chałupę, trza je będzie rankiem wyparzyć.

Józka rada, że mogła się wyrwać na wieś, pognęła do Nastki, by wspólnie poszukać Jambroża.

Ale Hanka nie wybrała się do karczmy, zaraz bowiem przywłókł się jej ociec, stary Bylica, więc dała mu podjeść nieco, opowiadając radośnie, co był Rocho przywiózł od Antka, i nie skończyła wszystkiego, kiej wpadła z krzykiem Magda:

– Chodźcie prędzej, ojcu cosik jest!

Jakoż Boryna siedział na kraju łóżka rozglądając się po izbie. Hanka przypadła ku niemu trzymać, aby nie zleciał, a on wodził oczyma po niej wlepiając je naraz we drzwi którymi właśnie kowal wchodził niespodzianie.

– Hanka!

Powiedział wyraźnie i mocno, aż struchlała w sobie.

– Dyć jestem. Nie ruchajcie się ino, doktor wzbrania – szeptała ze strachana.

– Co tam na świecie?

Głód miał rozbity, obcy jakiś.

– Zwiesna idzie, ciepło... – jękała.

– Wstali to?... czas w pole...

Nie wiedzieli, co rzec, spoglądając na siebie; ino Magda ryknęła płaczem.

– Swojego bronić! nie dajta się, chłopy!

Krzyczał, ale słowa mu się rwały, jął się trząść i gibać w Hanczy-nych ręku, że kowalowie chcieli ją wyręczyć; nie popuściła jednak, mimo że już mdlały jej ramiona i grzbiet. Patrzali w niego z trwogą czekając, co powie.

– Jęczmiona by siać pierwsze... Do mnie, Chłopy!... ratunku!... – krzyknął naraz strasznie, wyprężył się i padł w tył, oczy mu się zwarły, zarzęział.

– Umiera!... Jezus!... umiera!... – wrzeszczała Hanka targając nim z całej mocy.

A Magda wnet zapaloną gromnicę wtykała mu w bezwładną rękę.

-Księdza, prędzej, Michał!...

Ale nim kowal wyszedł, Boryna otworzył oczy puszczając z rąk gromnicę, że się potrzaskała w kawałki.

– Już mu przeszło, szuka czegoś...

Szeptał nachylając się nad nim, ale stary odepchnął go dość silnie i zawołał zupełnie przytomnie:

– Hanka, wypraw tych ludzi.

Magda z płaczem rzuciła się do niego, ale snadź jej nie poznał.

– Nie chcę... nie potraza... wypędź... – powtarzał uporczywie.

– Choć do sieni ustąpcie, nie sprzeciwiajcie się... – błagała.

– Wyjdź, Magda, ja się z tego miejsca nie ruszę – wycedził nie-ustępliwie kowal miarkując, że stary chce coś tajnego Hance powiedzieć.

Dosłyszał to stary i uniósłszy się, tak groźnie spojrzął wskazując mu ręką drzwi że się wyniósł kiej ten pies kopnięty, z przekleństwem skoczył do płaczącej na ganku Magdy, ale z nagłą przycichł, rozejrzął się i wpadł do sadu i przebrawszy się chyłkiem pod szczytowe okno przywarł pod nim nasłuchiwać, bo jak raz tam dotykały głowy łóżka, że przez szyby można było posłyszeć coś niecoś.

– Siądź przy mnie...

Rozkazał stary po jego wyjściu.

Juści, że przysiadła na brzeżku, ledwie płacz powstrzymując.

– W komorze znajdziesz nieco grosza... schowaj, by ci go nie wydarli...

– Gdzie?

Trzęsła się już ze wzruszenia.

– We zbożu...

Mówił wyraźnie, odpoczywając po każdym słowie, a ona, tłumiąc strach jakiś, cała była w jego oczach, świecących dziwnie.

– Antka broń... pół gospodarki sprzedaj, a nie daj go... nie daj... twoje...

Nie skończył już, posiniał i zwałił się na pościel, oczy mu przygasły i zasnuły się mgłą, bełkotał jeszcze cosik, i jakby próbował się podnieść.

Hanka zakrzyczała ze strachu, przybiegli wnet kowalowie, cucili, wodą zlewali, ale już nie oprzytomniał i jak przódzi leżał drętwy, nieruchomy, z otwartymi oczyma, daleki od tego, co się przy nim działo.

Długi czas przesiedzieli przy nim, kobiety płakały cicho, a nikt nie rzekł i słowa; zmierzch już zapadał, izba pogrążała się w cieniach, kiej wyszli społem na dzień dogasający, że już jeno w stawie tliły się resztki zórz zachodnich.

Co wam powiedział? – zagadnął ostro przestępując jej drogę.

– Słyszeliście.

– Ale co później mówił?

– Co i przódzi, przy was...

– Hanka, nie doprowadzajcie me do złości, bo będzie źle...

– Tyle się waszych grózb bojam, co tego psa...

– I wtykał wam cosik w garście... – dorzucił podstępnie.

– A co, to jutro za stodołą znajdziecie... – szydziła urągliwie.

Rzucił się ku niej i może by doszło do czego gorszego, żeby nie Jagustynka, która nadeszła na ten czas i po swojemu zaraz rzekła:

– Tak se zgodliwie, po przyjacielsku poredzacie, że się po całej wsi roznosi...

Sklął ją, co wlazło, i poniósł się na wieś.

Noc wkrótce zapadła ciemna, chmurzyska przysłoniły niebo, że ni jeden gwiazdny migot się nie przedzierał, wstawał wiatr i miecił z wolna drzewinami, iż poszumiwały głucho i smutnie: szło znowu na jakąś odmianę.

W Hancynej izbie było jasno i dość gwarno, ogień trzaskał na kominie, wieszkała się dogotowywała, kilka starszych kobiet z Jagustynką na czele pogadywały różności, Józka zaś z Nastką i z Jaśkiem Przewrotnym siedziały na ganku, bo Pietrek wyciągał na skrzypicach taką nutę żalną, aż się im na płacz zbierało; jeno Hanka nie mogła usiedzieć na miejscu, wciąż rozmyślając nad Borynowymi słowami, a co trocha zaglądnąca na drugą stronę...

Ale cóż?... nie sposób teraz było w komorze szukać: Jagna siedziała w izbie układając świąteczne szmaty we skrzyni.

– Pietrek, a przestań, przecież to już prawie Wielki Poniedziałek, a ten dudli a dudli, grzech!

Zgromiła, tak roztrzęsiona w sobie, że jej się płakać chciało. Juści, że przestał i wszyscy przyszli do izby.

– O tym dziedzicowym bracie, głupim Jacku, mówimy – objaśniała któraś.

Nie mogła jednak wyrozumieć, o czym mówią, gdyż psy zaczęły coś głośno szczeleć w opłotkach, aż znowu wyrzała podszczuwając jeszcze. Łapa rzucił się zajadle w sad...

– Huzia go, Łapa!... Weź go, Burek!... Huzia!...

Ale psy zmiłły nagle i powróciwszy skamlały radośnie.

I niejeden raz tego wieczoru było tak samo, że wstało w niej jakieś strachliwe podejrzenie.

– Pietrek, a zawrzyj wszystko na noc, bo musi być, ktosik to penetruje, a swój, że psy nie chcą docierać.

Rozeszli się wnet wszyscy i wkrótce śpik ogarnął cały dom, jeno Hanka poszła jeszcze sprawdzić, czy drzwi pozawierane, a potem długo stała pod ścianą trwożnie nasłuchując...

– We zbożu... to juści w którejś z beczek... By ino me kto nie ubiegł!...

Zimny pot strachu ją oblał i serce gwałtownie zakołatało.

Prawie że nie spała tej nocy.

ROZDZIAŁ 3

– Józia, rozpal na kominie i co jest garnków, zbierz, nalej wodą i przystaw do ognia, ja polecę do Żyda po przyprawę.

– A śpieszcie, bo Jambroża ino patrzeć.

– Nie bój się, równo z dniem nie przykuszyka, kościół musi pierwszej obrządzić.

– Hale, przedzwoni i wnet się zjawi, bo Rocho mają go zastąpić.

– Zdażę jeszcze, a krzyknij no na chłopaków, by rychlej wyskrobali koryto i przywlekli je na ganek. Jagustynka przyjdzie, to niechby pomyśla cebrażyki, beczki też trza wynieść z komory i zatoczyć do stawu, niech odmiękną; jeno nie zabacz kamieni nakłaść, by ich woda nie wzięła. Dzieci nie budź, niech se śpią robaki, przestroniej będzie... – nakazywała ostro Hanka i przyokrywszy się zapaską na głowę, wysunęła się śpiesznie na wczesny i galanto rozkisły poranek.

Dzień co się był dopiero stał, chmurny, mokry i przykrym ziąbem przejęty; siwe mgły dymiły z przemiękłej ziemi opadając drobnym i zimnym dżdżem, oślizgłe drogi siwiły się opite wodą, a poczerniałe chałupy ledwie co były widne w szarudze, a przemiękłe drzewiny, skurczone, jawiły się kajś niekaj dygotliwym cieniem, kieby z tych skłaczonych, szklistych mgieł uczynione, i naglądały w staw ledwie siniejący, że jeno spod skołtunionych przysłon grążył się drzący, cichy bulgot kropel bijących nieustannie w wodę, a wszędy szła plucha, że świata Bożego ledwie dojrzał, i pusto było jeszcze.

Dopiero kiej sygnaturka jęła przedzwaniać, zaczerwieniły się gdzieniegdzie przyodziewy kobiet, przebierających się suchszymi miejscami do kościoła.

Hanka przyśpieszała, rachując, że może się z Jambrożym spotka już na skřęcie przed kościołem. ale nie wyszedł jeszcze, jeno jak co dnia o tej porze kręcił się przed stawem ślepy koń księdzowy ciągnąc na płozach beczkę, przystawał wciąż i utykał na wybojach, jeno węchem zmierzając ku wodzie, bo parob był właśnie przykucnął od pluchy w opłotkach i kurzył papierosa.

I wraz też przed plebanię zajeżdżała bryczka w spaśne kasztanki, z której wysiadał tłusty i czerwony ksiądz z Łaznowa.

– Spowiedzi słuchał będzie, a to i dobrodzieja ze Słupi jeno co patrzeć.

Pomyślała obzierając się na próżno za Jambrozym, że wnet ruszyła pobok kościoła, drogą barzej jeszcze błotną, bo obsadzoną rzędami wielgachnych topoli, ale tak potopionych w szarudze, że jakby za szybą zapoconą majaczyły ruchającymi się cieniami; minęła karczmę i wzięła się na prawo roztaplaną, polną dróżką.

Miarkowała, iż zdąży jeszcze odwiedzić ojca i z siostrą pogwarzy, z którą się już była całkiem pojednała od czasu przeprowadzki do Boryny.

Siedzieli wszyscy w chałupie.

– Bo to Józka pytlowała wczoraj, że ociec słabują – zaczęła wstępnie.

– I... by nie pomagał, to się wyleguje pod kozuchem i stęka, i chorobą się wymawia – odparła chmurnie Weronka.

– Ziąb tu u ciebie, że jaże po łystach liże.

Wzdrygnęła się, bo jakoż chałupa przeciekała kiej przetak i maziste błocko pokrywało podłogę.

– A bo to jest czym palić! Któż to przyniesie suszu? Mam to siły bieżyć do lasu tyli świat i dygować na plecach, kiej tyle inszej roboty, że nie wiada, za co pierwej ręce zaczepić! Uradzę to sama wszystkiemu!

Westchnęły obie na swoje sieroctwo i opuszczenie.

– Kiej Stacho był, to się zdało, że nic w chałupie nie stoi, a skoro go brakło, to widno dopiero, co chłop znaczy. Nie jedziesz do miasta?

– Juści, że chciałabym najprędzej, ale Rocho się dowiedział, co dopiero we święta będą do nich puszczali, to w niedzielę się zbierę i powiezę chudziakowi niecoś święconego.

– Poniesłabym i ja mojemu niejedno, ale cóż mogę? tę skibkę chleba?

– Nie frasuj się, narządę więcej, by la obu starczyło, i razem powieziemy.

– Bóg ci zapłać za dobrość, w porę to choćby odrobkiem odplacę.

– Ze szczerego serca dawam. Nie za odrobek. Kumałam ci się niezgorzej z biedą i wiem, jak ta suka gryzie, pamiętam... – szepnęła żałośnie.

– Człowiek całe życie przyjaźnielstwo z nią trzyma, że chyba do grobu przed nią uciecze. Miałam nieco zapasnego grosza; myślałam: na zwieszę kupię jakiego prosiaka, podkarmię i na kopania przyrosłoby kilka złotych. Stachowim dać musiała kilkanaście złotych, tu grosz, tam dwa, i kiej ta woda wyciekło wszystko, a nowego się nie złoży. Tyleśmy się dorobili, że z gromadą trzymał!...

– Nie powiadaj bele czego, po dobrej woli poszedł z drugimi swojego się dobijać, i wy tam jaką morgę lasu mieć będziecie...

– Będzie!... nim słońce wzejdzie, oczy rosa wyje: któren pieniądza ma, temu duda gra, a ty, biedaku, handluj głodem i ciesz się, że jeść kiedyś będziesz!...

– Braknie ci to czego? – spytała nieśmiało.

– A cóż to mam? Tyle co żyd albo młynarz na borg dadzą! – zawołała rozwodząc ręce z rozpaczą.

– Nie poredzę ci, żebym i z duszy chciała: nie na swoim jestem i sama oganiać się muszę kiej od psów i pilnować, by mnie nie wywiepnęli z chałupy... że już nieraz i rozum odchodzi z turbacji!

Wspomniała się jej noc dzisiejsza.

– Za to Jagusię o nic głowa nie zaboli: nie taka głupia, używa se do woli...

– Jakże?

Podniosła się niespokojnymi oczyma ogarniając siostrę.

– Nic wielkiego, jeno to, że się nażyje dobrego po grdykę; stroi się, po kumach spaceruje i święto se robi co dnia. Wczoraj na ten przykład widzieli ją z wójtem w karczmie, w alkierzu siedzieli, a Żyd ledwie nadążył donosić półkwatki... Nie taka głupia, bych starego żałowała...

– dorzuciła przekąśliwie.

– Wszystko swój koniec ma! – szepnęła ponuro Hanka naciągając zapaskę na głowę.

– Ale co się naużywa, tego jej nikto nie odbierze, mądra jucha...

– Łacno o rozum temu, któren się na nic nie ogląda! Hale, wieprzka dzisiaj szlachtujemy, zajrzyj na odwieczerzu, pomożesz... – przerwała te gorzkie wywody Hanka i wyszła.

Zajrzała do ojca na drugą stronę, do dawnej swojej izby, stary ledwie był widny w barłogu, jeno postękiwał z cicha.

– Ociec, co to wama jest?

Przykucnęła przy nim.

– Nic, córuchno, nic, tyle że me frybra trzęsie i w dołku okrutnie ściska...

– A bo tu ziąb i wilgoć kiej na dworze. Wstańcie i przyjdźcie do nas, dzieci przypilnujcie, bo wieprzka bijemy. Jeść się wama nie chce?

– Jeść!... juści ździebko... bo to zapomniły mi wczoraj dać... jakże... i sami jeno ziemniaki ze solą... a to Stacho w kryminale... Przyjść, Hanuś, przyjść... – pojękiwał radośnie gramoląc się z barłogu.

Hanka zaś, pełna myśleń o Jagnie, które ją bodły kiej te noże ostre, poleciała śpiesznie do karczmy czynić zakupy.

Juści, że już teraz Żyd nie żądał z góry pieniędzy, a jeno skwapliwie odważał i odmierzał, czego zechciała, jeszczech podsuwając pod oczy coraz to nowe la zachęty.

– Niech Jankiel daje, co mówię!... nie dzieciom, wiem po co przysłałam i czego mi potrza! – zgromiła go wyniośle, nie wdając się w rozmowę.

Żyd się jeno uśmiechał, bo i tak nabrała za kilkanaście złotych, jako że gorzałki wzięła więcej, aby już i na święta starczyło, a przy tym chleba pytlowego, parę rządków bułek, śledzi coś z mendel, a nawet w końcu dobrała małą buteleczkę araku, że ledwie mogła udźwignąć to-ból.

– Jagna może używać, a ja to pies? haruję przeciek kiej wół!

Myślała tak wracając do domu, ale żal się jej zrobiło wydatku zbędnego, iż gdyby nie wstyd, byłaby arak odniosła Żydowi.

W chałupie już zastała niemały rwetes przygotowań. Jambroży narzewał się przed kominem wiodąc swoim zwyczajem przekpinki z Jagustynką, tęgo zajętą wyparzaniem statków, aż para zapełniła całą izbę.

– Czekałem na was, bych przedzwonić pałą po łbie świntuchowi!

– Żeście to pośpieszyli tak rychło!

– Rocho me zastępuje w zakrystii, Walek księży zakalikuje organiście, a Magda kościół podmiecie. Narychtowałem wszystko, by ino wama zawodu nie zrobić! Księża dopiero po śniadaniu wezmą się do spowiedzi. Ale też ziąb dzisiaj, jaże kości truchleją! – wykrzyknął żałośnie.

– Zęby w ogniu suszą i na ziąb narzekają! – zdziwiła się Józka.

– Głupia, na wnątrzu zimno, jaże mi ten drewniany kulas stergnął.

– Zaraz naszykuję wama rozgrzywkę, Józia, namocz duchem śledzie.

– Dajcie, jakie są, jeno sporo gorzałką zalać, to galanto sól wyciągnie.

– A wy zawdy po swojemu, bych o północku w kieliszki zadzwonili, wstaniecie radzi na pijatykę – zauważyła złośliwie Jagustynka.

– Prawda wasza, babciu, ale widzi mi się, że wama cosik ozór skiełczał i radzi byście go też w gorzałce pomoczyć, co? – śmiał się zacierając ręce.

– Jeszczech byś me, stary zbuku, nie przepił.

– Ludzi coś mało ciągnie do kościoła – przerwała im Hanka, wielce nierada tym przymówkom do gorzałki.

– Bo wczas, jeszcze się zlecą, w dyrdy bieżyc będą wytrząchać grzechy.

– I polenić się, co nowego posłyszeć i świeżych grzechów nabrać...

– Od wczoraj już się dziewuchy szykowały – pisnęła skądciś Józia.

– Juści, bo im przed swoim dobrodziejem wstyd – dogadywała stara.

– Babciu, wam byłby już czas sięść na pokutę w kruchcie i te paciorki prząść, a nie ogadywać drugich!

– Poczekam, byś siadł wpodłe, kuternogo!

– Mam czas, pierwaj waju pięknie przedzwonię i łopata oklepię...

– Nie tykajcie me, bom zła! – warknęła cicho.

– Kijaszkciem się zastawię i nie ugryziecie, a ząbków szkoda, ile że ostatnie...

Jagustynka cisnęła się ze złością, ale nie odrzekła, bo i właśnie Hanka nalewała kieliszek przepijając do nich, a Józka podała śledzia, którego otrząskał o drewno nogi, ze skóry obłupił, na wąglikach przypiekł i ze smakiem zjadł.

– Dosyc zabawy! do roboty, ludzie! – zawołał naraz zrzucając kożuch, zakasał rękawy, poostrzył jeszcze na osełce noża, wziął z kąta tęgą pałę do rozcierania ziemniaków la świń i ruszył żwawo na dwór.

Wszyscy też poszli za nim w podwórze, on zaś z Pietrkiem wywodził z chlewu opierającego się silnie wieprzka.

– Nieckę na krew, a prędko! – krzyknął.

Przynieśli wnet, wieprzek czochał się o węgiel i pokwikiwał z cicha...

Stali kołem w milczeniu patrząc w jego białe boki i tłusty, obwisły brzuch, a moknąc galanto, bo deszcz mżył coraz gęstszy i mgły zwały się na sad. Łapa jeno naszczekiwał obiegając dokoła. Jakieś kobiety przystawały w opłotkach i kilkoro dzieci wieszalo się na płotach, ciekawie nagładając.

Jambroż się przeżegnał, pałę nieco wziął za się i jał zachodzić wieprzkowi z boku. Naraz przystanął, rękę odwiódł, przechylił się bokiem tak mocno, jaże mu guzik pod szyją puścił u koszuli, naprężył się i kiej nie huknie w wieprzkowy łeb między uszy, aż świntuch z kwikiem padł na przednie nogi, a potem kiej mu nie poprawi już obu rękoma, że zwałił się na bok wierzgając kulasami, wtedy mu w mig przysiadł na brzuchu, nożem błysnął i aż po osadę wbił w serce.

Podstawili niecki, krew chlusnęła kiej z sikawki, aż na ścianę chlewa, i jęła z bulgotem spływać parując niby wrzątek.

– Pódzi, Łapa! widzisz go, juchy mu się chce, post przeciek! – ozwał się wreszcie odganiając psa i dysząc ciężko. Zmęczył się był nieco.

– W ganku oparzycie?

– Do izby wniesę koryto, przecież trza go uwiesić do rozbierania..

– W izbie ciasno, myślałam.

– Macie drugą stronę, ojcową, tam dużo miejsca, staremu to nie przeszkodzi... ino prędej, bo nim ostygnie, łacniej mu szerść puści! – rozkazywał obdzierając mu tymczasem ze grzbietu szczecinę co dłuższą.

A w parę pacierzy wieprzek już oparzony, obrany ze szczeciny, wymyty, wisiał w Borynowej izbie, rozpięty na orczyku przywiązany do belki.

Jagny nie było, poszła zaraz z rana do kościoła, ani się spodziewając, co ma nastąpić; jeno stary jak zwykle na łóżku leżał, wpatrzony gdziesik nieprzytomnymi oczyma.

Zrazu sprawiali się cicho, często obzierając się na chorego, ale że się nie poruchiwał nawet, zabaczyli wnet o nim, mocno zajęci wieprzkiem, którego nie zawiódł przewidywać, bo słoninę na grzbiecie miał grubą dobrze na sześć palców i sielne sadło.

– Zaśpiewalim mu, przewieźlim, czas go już gorzałką skropić! – wołał Jambroży myjąc ręce nad korytem.

– Chodźcie na śniadanie, znajdzie się czym przepić.

Juści, że nim się zabrał do ziemniaków z barszczem, wypił z niegorszą przylewką, ale przy jadle siedział krótko, wnet się zabierając do roboty i wszystkich poganiając, zwłaszcza Jagustynkę, z którą wspólnie robił, że to zarówno się znała na soleniu i przyprawie mięsa.

Hanka też pomagała, co ino mogła, Józka zaś rada czepiała się bele czego, by ino przy wieprzku ostawać i w chałupie.

– Pomagaj gnój nakładać, niech prędko wywożą, bo widzi mi się, że dzisiaj nie skończą próżniaki! – krzyczała na nią.

Z żalem juści niemałym leciała w podwórze, całą złość wywierając na chłopaków, że ciągiem słycać było jej jazgoty – bo i jakże!... wyganiała ją, kiej w chałupie czyniło się coraz gwarniej, bo co trocha wpadała jaka kuma zamawiając się bele czym, po sąsiedzku, a ujrzawszy wiszącego wieprzka rozwodziła ręce i dalejże w głos wydziwiać, że taki wielgachny, taki spaśny, jakiego nie miał i młynarz albo organista.

Hanka była tym wielce rozradowana, puszyła się sielnie, że szlachtuje świniaka, i choć było jej nieco żal gorzałki, trudno, skoro musiała, jak to było we zwyczaju u gospodarzy przy takim święcie, częstowała, chleb z solą podając na przegryzkę i rada słuchając tych słówek przy-pochlebnych, i ugwarzając się niemało, bo to ledwie jedna za próg, już drugie w sieniach trepy z błota obijały, wstępując niby po drodze do kościoła i na te krótkie Zdrowaś – że kiej na odpust waliły, a dzieci się też sporo płałało po kątach i do okien zaglądać, aż je nieraz Józka musiała rozganiać.

Bo to i we wsi czynił się ruch nadspodziewanie, coraz więcej ludzi człapało po drogach, to wozy z drugich wsi raz po raz turkotały, że nad stawem kieby w procesji wciąż się czerwieniły babskie przyodziewy, naród bowiem ciągnął do spowiedzi, nie bacząc na złe drogi ni na dzień płaksiwy, przykry a tak zmienny, iż co kilka pacierzów padał deszcz, to ciepły wiater przewalał się po sadach albo zaś nawet sypały śnieżne krupy grube kiej pęczak, a przyszedł i taki czas, że słońce przedarło się z chmur i kieby złotem posuło świat – jak to zresztą zwyczajnie bywa na pierwszą zwiesnę, kiej czas podobien się czyni w matyjaśności do dziewczki poniektórej, której to posobnie i śmiech, i płacz, i wesele, i żałości biją do głowy, a sama nie miarkuje, co się z nią wyprawia.

Juści, że ta u Hanka nikto na pogodę nie baczył i robota a pogwary szły, jaże się rozlegało. Jambroży się zwijał, poganiał drugich, przekpinki wedle zwyczaju wiódł, ale że musiał co parę pacierzy do kościoła zaglądać, czy tam wszystko sprawnie idzie, to na ziąb narzekał i o rozgrzewkę wołał:

– Pousadzałem dobrodziejów, narodem ich obwaliłem, że do południa się nie ruszą.

– Hale, łaznowski proboszcz długo nie strzyma, powiadali, że mu gospodyni ciągiem porcenełę podawać musi!

– Babciu, pilnujcie nosa, poniechajcie księży!

Nie lubił tego.

– A o tym że Słupi też powiadają, że zawdy przy spowiedzi flaszuchną z pachnącym w garści trzyma i nos se przytyka, bo mu ano naród śmierdzi, że po każdym wyspowiadanym złe powietrze chustką rozgania i wykadza...

– Zawrzyjcie gębę: wara wam od księży! – wybuchnął zeźlony.

– Rocho są w kościele? – podjęła śpiesznie Hanka, również wielce nierada pyskowaniom Jagustynki.

– Siedzą od samego rana, do mszy służył i co potrza, obrządza.

– A kajże to Michał?

– Poszedł z organiściakiem do Rzepek, po spisie.

– Gęsią orze, piaskiem sieje i niezgorzej im się dzieje! – westchnął Jambroży.

– Jeszcze by, już najmniej jak za każdą duszę zapisaną jajko dostają...

– A za kartki do spowiedzi osobno przeciek bierze po trzy grosze z duszy. Co dnia widzę; jakie torby dygują z różnościami. Samych jajów sprzedała organiścina w zeszłym tygodniu coś dwadzieścia i dwie kopy – rzekła Jagustynka.

– Kiej nastał, to pono piechty przyszedł z jednym węzełkiem, a teraz by go i we cztery dworskie wozy nie wywiózł.

– Organista z górą dwadzieścia roków w Lipcach siedzi; parafia duża, pracuje, zabiega, grosza szczędzi, to się i dorobił – tłumaczył Jambroży.

– Dorobił się! Drze z narodu, jak ino może, a nim co komu zrobi dobrze, w garście cudze patrzy, po trzydzieści złotych od pochowku bierze za to, co ta pobeczy po łaćńsku i na organach poprzebiera.

– Zawdy uczony jest we swoim i nieraz dobrze musi się nagłować!

– Juści, że nauczny, kaj cieni beknąć, a kaj grubiej i jak wycyganiać.

– Jenszy by przepił, a ten syna na księdza kieruje.

– To i honor będzie miał niemały, i profit! – dogadywała stara zajadle.

Przerwali w najlepszym miejscu, gdyż Jaguś wpadła stając naraz w progu kiej wryta.

– Dziwujesz się wieprzkowi? – zaśmiała się Jagustynka.

– Nie mogliście to po swojej stronie szlachtować! Izbę mi całkiem zapaskudzą – wykrztusiła, w pąsach cała stając.

– Masz czas, to se wymyjesz! – odrzekła zimno, z naciskiem Hanka.

Jaguś cisnęła się naprzód kieby do kłótni, ale dała spokój, zakręciła się jeno po izbie, wzięła różańce z Pasyjki, a przyokrywszy rozbabrane łóżko jakąś chuścina wyszła bez słowa, choć wargi trzęsły się jej ze złości utajonej.

– Pomoglibyście, tyle roboty! – powiedziała jej w sieniach Józka.

Wywarła na nią gębę w takiej złości, że nawet słów nie można było rozeznąć, i poleciała jak wściekła. Witek za nią wyjrzał i mówił, jako prościutko do kowala się poniesła.

– A niech se idzie, poskarży się ździebko, to jej ulży!

– Wojować wama znowuj przyjdzie! – zauważyła ciszej Jagustynka.

– Moiście, dyć jeno wojną żyję! – odparła spokojnie, choć trwożna była, boć rozumiała, że musi tu lada chwila przylecieć kowal i bez srogiej kłótni się nie ubędzie.

– Ino ich patrzeć! – szepnęła ze współczuciem Jagustynka.

– Nie bójcie się, wytrzymam, nie ustraszę me – ozwała się z uśmiechem.

Jagustynka aż głową pokiwała z podziwu nad nią spoglądając porozumiewawczo na Jambroza, którego właśnie składał robotę.

– Zajrzę do kościoła, południe przedzwonię i zaraz na obiad wrócę! – rzekł.

Jakoż wrócił rychło opowiadając, że już księża przy stole siedzą, że młynarz przysłał ryb cały więcierz i że po obiedzie będą jeszcze spowiadali, gdyż siła narodu czeka.

Po prędkim i krótkim obiedzie, jeno tego zakropionym, bo Jambroz wyrzekał żałośliwie, jako gorzałka za słaba do tak przesłoniałych śledzi, wzięli się znowu do roboty.

Właśnie był Jambrozy ćwiertował wieprza i obrzynał mięsiwo na kielbasy, a Jagustynka, rozłożywszy połcie na stole; uczynionym ze drzwi, narzynała słoninę, troskliwie ją przesalając, gdy wleciał kowal.

Widno mu było z twarzy, że ledwie się hamował.

– Nie wiedziałem, żeście aż tylego wieprzka sobie kupili! – zaczął z przekąsem.

– A kupiłam i szlachtuję, widzicie!

Strach ją ździebko przejął.

– Sielny wieprzak, daliście ze trzydzieści rubli...

Oglądał go pilnie.

– A słoninę to ma grubą, że szukać! – zaśmiała się stara podsuwając mu pod oczy poćć.

– I... niecałe trzydzieści dałam, niecałe! – odpowiedziała z prześmiechem Hanka.

– Borynowy wieprzek! – wybuchnął naraz nie mogąc już powstrzymać złości.

– Jaki to zmysłny, nawet po ogonie rozpozna czyj! – szydziła stara.

– Niby jakim prawem żeście zarznęli! – zakrzyczał wzburzony.

– Nie wykrzykujcie, bo tu nie karczma, a takim prawem, że Antek przez Rocha przykazał go zarznąć.

– Cóż tu Antek ma do rządu? jego to?

– A juści, że jego!

Skrzepla już w sobie, nabrała mocy do walki.

– Do wszystkich należy!... drogo wy za niego zapłacicie!

– Nie przed tobą będziem zdawać sprawę!

– Ino przed kim? Do sądu pójdzie skarga.

– Cichocie, przywrzycie pysk, bo chory tu ano leży, a jego to wszycko...

– Ale wy będziecie jedli.

– Pewnie, że wama nie dam i powąchać.

– Pół świni dacie i piekła wam robić nie będę – szepnął łagodniej.

– I jednego kulasa przez mus nie dostaniecie.

– To po dobroci dacie tę oto ćwierć i poleć słoniny.

– Antek każe wam dać, to dam, ale bez jego przykazu ni kosteczki.

– Wściekła się baba!... Antków to wieprzak czy co? – złość go znów ponosiła.

– Ojcowy, to jakby było Antkowy, bo skoro ociec chorzy, to on tu rządzi za niego i jego głową wszycko stoi. A potem będzie, jak Pan Jezus da...

– W kreminale niech se rządzi, jak mu pozwolą... Smakuje mu gospodarka, powloką go w kajdanach na Sybir i tam se będzie gospodarzył! – wykrzyknął spieniony.

– Wara ci od niego!... może i powleką... jeno że i tak nie ogryziesz tych zagonów, byś latego i gorszym jeszcze judaszem stał się la narodu! – mówiła groźnie, roztrzęsiona nagłym strachem o męża.

Kowalowi aż kulasy zadygotały i ręce jeły drzeć i trzepać się po odzieniu, taką chęć poczuł za gardziel ją chyć, powlec po izbie i skopać, ale się jeszcze zdzierzył, ludzie byli – jeno ciskał w nią rozsrożonymi ślepiami, słowa nie mogąc wykrztusić. Ale ona się nie ulękła, biorąc nóż do krajania mięsa i bystro a urągliwie patrząc w niego, aż przysiadł na skrzyni, papierosa skręcał i czerwonymi ślepiami izbę ob-

latywał rozważając cosik w sobie i kalkulując, bo wstał rychło i rzekł dobrotliwie:

– Chodźcie no na drugą stronę, rzeknę coś waju na zgodę.

Otarłszy ręce poszła, pozostawiając wywarte na oścież drzwi.

– Nie chcę się z wami prawować tu i klócić – zaczął zapalając papierosa.

– Bo nic ze mną nie zwojujecie!

Uspokoila się znowu.

– Mówił co jeszcze ociec wczoraj?

Łagodny już był, uśmiechał się do niej.

– Ni... leżał cicho, jako i dzisiaj leży...

Podejrziwa czujność w niej wstała.

– Wieprzak fraszki małe ptaszki, zarzynajcie go sobie i zjedzcie, wasza wola... nie moja strata. Człowiek nieraz plecie, czego potem żałuje. Nie pamiętajcie, com rzekł! O ważniejszą sprawę idzie... Wiecie, powiadają we wsi, jako ociec mają mieć sporo gotowego grosza gdzieś w chałupie schowanego... – Przerwał wwiercając się oczyma w jej twarz. – Opląciłoby się poszukać, broń Boże śmierci, to jeszcze się kaj zapodzieją albo kto obcy złapie.

– A powie to, kaj schował!

Głębką nieprzenikliwość miała w oczach.

– Wam by wyśpiewał, byście go ino mądrze za język pociągnęli.

– Niech ino mu rozum przyjdzie, popróbuję wypytać...

– Byście mądrą byli i język za zębami trzymali, to o tym, gdyby się pieniądze znalazły, możem ino na spółkę wiedzieć. Znalazłby się większy grosz, to by było łącniej i Antka wykupić z kreminatu... a po co drugie wiedzieć mają?... Jagna ma dosyć zapisu... i można by też na proces mieć, by jej te morgi wyprawować... A Grzeli mało to posyłałi do wojska! – szeptał nachylając się do niej.

– Prawdę mówicie... juści... – jąkała strzegąc się, by z czym się nie wyrwać.

– Rachuję, że musiał kaj w chałupie schować... jak uważacie?

– Wiem to, kiej mi o tym ni słówkiem nie zatracił?..

– O zbożu wam cosik wczoraj prawił... nie baczycie to? – podsuwał.

– Juści, że o siewach wspominał.

I o beczkach cosik powiadał – przypominał nie spuszczaając z niej oczu.

– Jakże! boć w beczkach stoi zboże do siewu! – zawołała, niby nie rozumiejąc.

Zaklął z cicha, ale się teraz utwierdzał coraz bardziej że ona coś wie; wyczytał to z jej twarzy zamkniętej i z oczu zbyt przyczajonych i trwożnych.

– A com waju zawierzył, nie rozpowiadajcie...

– Pleciuch to jestem, któremu pilno z nowinkami po kumach?...

– Dycę przestrzegam ino... Ale pilnujcie dobrze, bo skoro już raz staremu zaświtało we łbie, to może mu się leda pacierz całkiem rozwidnić...

– No... niechby przyszło do tego co rychlej!...

Obrzucił ją lepkimi ślepiami raz i drugi, poskubał wąsów i wyszedł, odprowadzany jej oczyma, pełnymi przytajonej szydliwości.

– Judasz, ściervo, zbój!

Buchnęła nienawiścią, postępując za nim parę kroków; boć to nie po raz pierwszy ciska jej w oczy groźby i strachania, że Antka na Sybir poślą i do taczek przykują.

Juści, że nie całkiem wierzyła rozumiejąc, iż głównie przez złość pyskuje, aby ją przetrwożyć i bez to łacniej z chałupy wygrzyźć.

Ale mimo tego żarła ją trwoga o niego niemała. Przewiadywała się też nieraz i kaj jeno mogła, co go może za kara spotkać, miarkując ze smutkiem, iż całkiem na sucho ująć mu nie ujdzie.

– Po prawdzie, że ojca rodzonego bronił, ale borowego zakatrupił, to juści pokarać go muszą, jakże...

Mówili co rozważniejsi, że się nijakiej prawdy dobić nie mogła, bo kuźden inszą wywodził. Adwokat w mieście, do którego ją ksiądz z listem posłał, powiedział, jako może być różnie, i całkiem źle, i niezgorzej, trza jeno pieniędzy na sprawę nie skąpic i cierpliwie czekać. We wsi zaś najbarzej ją trwożyli, że to kowal podmawiał swoje wymysły i wszystkich podrychtowywał.

Nie dziwota też, że i teraz jego słowa kamieniami padły na duszę. Nogi pod nią truchlały przy robocie, mówić nie mogła, tak ją strach zatykał, a do tego zaś i Magda po jego odejściu przyleciała i siadła przy chorym oganiając go niby od much, których nie było, a śledząc wszystko baczynymi ślepiami.

Ale snadź jej to wrychle obmierzło, gdyż się w robocie pomagać ofiarowywała.

– Nie trudź się, uradzim sami, mało się to w chałupie naharujesz!

Odradzała Hanka takim głosem, że Magda dała spokój, pogadywała jeno niekiedy a lękliwie, że to już z samego przyrodzenia nieśmiała była i milcząca.

A jakoś na samym odwieczrze zjawiała się znowu Jaguś, ale wespół z matką.

Witały się, kieby w najlepszej zgodzie żyły, i tak przyjacielsko a przychlibnie, aż to Hanke tknęło, i chociaż odpłacała im tym samym, nie żałując dobrych słów ni nawet gorzałki, miała się jednak na baczności. Ale Dominikowa odsunęła kieliszek.

– Wielki Tydzień! Gdzieżbym to gorzałkę piła!

– Nie w karczmie i przy okazji, toć nie grzech!– usprawiedliwiała Hanka.

– Człowiek chętnie se folguje i rad zawždy sposobnością wymawia...

– Przepijcie, gospodyni, do mnie, ja to nie organista!– wykrzyknął Jambroż.

– Niech ino szkło brzęknie, to was zarno grzysi ponoszą – mruknęła Dominikowa zabierając się do opatrzenia głowy chorego.

– Cie... komu sygnaturka sprawia, że bije się pięścią pokutnie, a drugiemu zaś flaszkowy pobrzęk to czyni, że wpodle za kieliszkiem maca...

– Leży se ten chudziaczek, leży i o Bożym świecie nie wie! – zawołała żałośnie nad Boryną.

– I jadł kiełbasy nie będzie, i gorzałki nie posmakuje?– ciągnęła tym samym sposobem, a wielce szydliwie Jagustynka.

– Wama ino prześmiechy na pamięci! – zestrofowała ją gniewnie.

– A cóż to? płakaniem biedy se odejmę? Tyla mojego, co się pośmieję.

– Kto sieje zło, niech se smutki zbiera i pokutę odprawuje!...

– Nie darmo powiedają, że Jambroż, choć przy kościele służy, a gotów się by i z grzychem pokumać, bych jeno sobie pofolgować i użyć! – rzekła wyniośle Dominikowa obrzucając go srogimi oczyma.

– Przeciwić się dobremu i ze złym kumać potrafi, któren jeno nie baczy, jaką potem weźmie zapłatę – dodała ciszej, jakby grożąc.

Milczenie padło na izbę. Jambroż zakręcił się gniewnie, ale zdzierzał w sobie ostrą odpowiedź, boć wiedział, że i tak każde jego słowo znał będzie dobrodziej najpóźniej jutro po mszy; nie darmo Dominikowa przesiadywała ciągiem w kościele... A i reszta zwarzyła się

też pod jej sowimi ślepiami, nawet nieustępliwa Jagustynka przymilkła trwożnie.

Jakże, cała wieś się jej bojała; już pono niejeden poczuł na sobie moc jej złych ślepiów, niejednego już pokręciło albo rozchorzał, gdy nań urok rzuciła.

Pracowali w cichości z pochylonymi trwożnie twarzami, że jeno jej biała gęba, sucha i poradlona, kieby z blichowanego wosku, nosiła się po izbie. Nie odzywała się również zabierając się z Jagną do pomagania tak ostro, że Hanka wzbronić nie śmiała.

Że zaś Jambroża odwołał księży parobek do kościoła, ostały jeno same, pilnie układając mięso i połcie w cebrzyki a beczkę.

– Po tej stronie w komorze będzie chłodniej la mięsa, mniej się w izbie pali... – zarządziła stara, wraz zataczając statki z Jagusią.

Tak się to prędko stało, że nim się Hanka mogła sprzeciwić, nim pomiarkowała, już one powtaczały do komory, więc srodze rozeźlona zaczęła śpiesznie przenosić na swoją stronę, co ino pozostało, przywołując Józkę i Pietrka do pomocy.

O samym zmierzchu, gdy już zapalili światło, zabrali się pośpiesznie do robienia kielbas, kiszek i onych grubaśnych salcesonów. Hanka siekała mięso z jakąś ponurą wściekłością, tak była jeszcze wzburzona.

– Nie zostawię w tamtej komorze, żeby zechlała albo wyniesła! Niedoczekanie twoje! To ci fortelnica! – szepnęła wreszcie przez zęby.

– Rano, po cichuśku, jak pójdzie do kościoła, przenieść wszystko do swojej komory i będzie po krzyku! Nie odbije wam przeciech! – radziła Jagustynka szprycując mięso w długachne flaki, że się skręcały po stole, kiej te węże czerwone a tłuste, i co trochu rozwieszała je na żerdce nad kominem.

– Niech spróbuje! Zmówiły się i z tym przyleciały?

Nie mogła się uspokoić.

– Nim Jambroż wróci, kielbasy będą gotowe... – zagadywała stara.

Ale Hanka zmlkła, zajęta pracą, a głównie rozmyślaniem, jak by odebrać połcie owe i szynki.

Ogień trzaskał na kominie i tak się galanto buzowało, że w całej izbie było czerwono, w garach parkotały gotujące się różności, z których czyniono kiszki, a dzieci cosik trwożnie gaworzyły nad nieckami z krwią.

– Laboga, jaże me mdli od tych smaków! – westchnął Witek pociągając nosem.

– Nie wywączuj, bo możesz co oberwać! Krowy ano pój, siano zakładaj i sieczkę na noc zasypuj... Późno już! Kiedy to obrzędzisz?...

– Pietrek zaraz przyjdzie, sam przeciek nie uredzę...

– A kajże to poszedł?

– Nie wiecie?... pomaga sprzątać po drugiej stronie!...

– Co? Pietrek! ruszaj bydło obrzędzać!

Krzyknęła naraz Hanka w sień z taką mocą, że Pietrek w ten mig poleciał w podwórze.

– A przyłóż kulasów i sama se izbę wyporządź!... widzisz ją!... dziedziczka jakaś, rączków se szcędzi, parobkiem się wyręcza! – wołała rozłoszczona do ostatka wywalając jednocześnie na stół z garnka dymiącą się wątrobę i dutki, gdy jakiś wóz zaturkotał i dzwonek zajechał na dworze.

– A to ksiądz z Panem Jezusem jedzie do kogoś!... – objaśniał Bylica akuratnie wchodząc do izby.

– Któż by zachorzał? nie słyhać było!...

– Za wójtową chałupę pojechali! – krzyknął przez okno zadyszany Witek.

– Ani chybi do któregoś z komorników...

– A może do waszych, do Pryczków, tam ano siedzą...

– Hale! zdrowe były, takim ścierwom nic się złego nie stanie – szepnęła Jagustynka, ale chociaż w niezgodzie żyła z dziećmi, a w ciągłych procesach, zadrzała.

– Przewiem się nieco i zaraz przyletę...

Wybiegła śpiesznie.

Ale kawał wieczoru się przewlekło i Jambroży zdążył z nawrotem, a ona nie powróciła; właśnie był stary powiadał, iż księdza wzywali do Agaty, Kłębowej krewniaczki, co to w sobotę z żebrów przyciągnęła.

– Jakże? nie u Kłębów to siedzi?

– U Kozłów czy ta u Pryczków pono się przytuliła na skonanie.

Tyle jeno o tym przerzekli, zajęci wielce robotą, jeszcze i bez to opóźnianą, że Józka, a to i sama Hanka ciągiem odbiegały roboty, by lecieć w podwórze do wieczornych obrzędów.

Wieczór się ciągnął z wolna i przykrzył się wielce a dłużył, że to i ciemnica zwała się na świat, iż pięści nie dojrzał, deszcz zacinał ziębiący, wiatер ciepiał się raz po raz o ściany i tratował sady, że drzewiny z szumem tłukły się w ciemnościach, a niekiedy buchał w komin, aż głośnie wyskakiwały na izbę.

Prawie przed samą północą skończyli, a Jagustynka jeszcze nie wróciła.

– Plucha i błocko, to się jej nie chciało po omacku utykać! – myślała Hanka wyzierając na dwór przed spaniem.

Juści, czas był taki, że psa żal by na świat gonić, wiejba, aż dachy trzeszczały, chmurzyska opite deszczem, bure i napęczniałe przewalały się po zmętniałym niebie, a nikaj w wysokościach ni jednej gwiazdy, ni też ogniowego migotu w chałupach, zgoła przepadłych w nocy. Wieś już dawno spała, wiatery jeno hulał po polach i barował się z drzewami, a wody stawu przegarniał ze świstem.

Zaraz poszli spać, już nie czekając.

Jagustynka zaś dopiero nazajutrz rano się zjawiała, ale mroczna kiej ten dzień przebłocony, wiejny i zimny; ugrzała jeno w chałupie ręce i zaraz poszła do stodoły przebierać ziemniaki, już tam z dołów na kupę zwalone.

Robiła prawie w pojedynkę, bo Józka odbiegała często nakładać gnój, którego od świtania wywoził śpiesznie Pietrek, niemało już dzisiaj skrzyuczany od Hanki, że to wczoraj się lenił i nie zdążył; poganiał też tego, na Witka hukął, konie batem prażył i jeździł, aż błoto się otwierało.

– Wałkoń jucha, na bydłatkach tera się odbija! – rzekła stara ciskając na gęsi, bo się przywiedły całym stadem na klepisko i nuż szczytać ziemniaki a przykry gęgot czynić. Zagadnęła potem do niej Józka: nie odezwała się siedząc kiej ten mruk i pilnie kryjąc pod nasuniętą na czoło zapaskę oczy zaczerwienione jakoś.

Hanka zrazu jeno raz jeden zajrzała do nich czatując w izbie na wyjście Jagny, by wtedy zabrać mięso do swojej komory i spenetrować zarazem beczki ze zbożem, ale jakby na złość Jagna ni krokiem nie ruszała się z chałupy, że już nie mogąc wstrzymać, zaglądała do chorego, to zamówiwszy się o coś, wlaźła do komory.

– Czegoj szukacie? dyć wiem, gdzie co jest, to wama pokażę! – wołała Jagna idąc za nią, że trzeba było wychodzić, ledwie co wraziwszy ręce we zboże, a pieniądze mogły być głębiej, na spodzie...

Zrozumiała też rychło, że tamta jej stróżuje, więc choć po niewoli, dała spokój odkładając swoje zamysły na sposobniejszą porę.

– Trza się wziąć do szykowania podarunków – pomyślała żałośnie przyglądając się kielbasom, rozwieszonym na drążku; we zwyczaju bowiem było u Borynów i co pierwszych gospodarzy, iż któregoś świnię zaszlachtował, ten zaraz nazajutrz rozsyłał w podarunku najbliższym

krewniakom albo z którymi przyjacielstwo trzymał, po kielbasie lebo czego inszego po kawale.

– Juści, łącno nie jest, ale dać musisz, powiedziałyby, co żałujesz...
– rzekł naraz Bylica utrafiając w sam raz w żałośliwe strapienia.

Więc chocia serce ścisnął żal, jęła rychtować na talerzach i miseczkach z ciężkim westchnieniem zmieniając nie po raz jeden zbyt krótkie kawałki na dłuższe, to przydając niektórym po kawale kiszki, to znowu odbierając, aż w końcu, zmęczona i rozboleła, przywołała Józki.

– Przyodziej się pięknie i rozniesiesz po ludziach...

– Jezus, tylachna wszystkiego!...

– Cóż poredzić, kiej trzeba! Sam Maciek stłoczy, ale sam nie wyskoczy! Te dłuższe nieś stryjnie najpierw, zbójem na mnie patrzy, pyskuje, ale nie ma rady; to ci z miseczkom wójtom, łajdus on, ale z Maciejem żyli w przyjacielstwie i może być w czym pomocny; cała kiszka, kielbasa i kawał boczku la Magdy, la kowali, niech nie szczekają, że sami zjadamy ojcowego świniaka, juści, całkiem im tym pyska nie zatka, ale przyczepkę będą miały mniejszą... Pryczkowej tę tu kielbasę, harda, wynośliwa, pyskata, ale z przyjacielstwem szła pierwsza... Kłębowej ten ostatni...

– Dominikowej to nie ślecie?

– Później się da, po południu... juści, że trzeba... z taką to jak z tym łajnem, nie porusz i jeszcze z dala obchodź. Noś posobnie, ino nie zagaduj się tam z dzieuchami, bo robotą czeka.

– Dajcie i Nastce, one takie biedne, nawet na sól nie mają... – prosiła cicho.

– Niech przyjdzie, to dam niecoś. Ociec, la Weronki zabierzecie, miała wczoraj zajrzeć...

– Młynarzowa ją przed wieczorem wezwwała sprzątać pokoje, bo pewnikiem goście do nich zwalą na święta.

I długo jeszcze jąkał nowinki, ale Hanka, wyprawiwszy Józkę, przyodziała się nieco cieplej i pobiegnęła pomagać Jagustynce a poganiać chłopaków.

– Czekalim na was z kolacją – zaczęła, zdziwiona milczeniem starej.

– I... najadłam się tam patrzeniem, jaże me jeszcze dzisiaj w dołku gniecie...

– To Agata pono zachorzała?

– Juści, u Kozłów se dochodzi sierota.

– Jakże, nie u Kłębów leży?

– Krewniakiem przyznają, któremu niczego nie potra albo i z pełną garścią przychodzi, na inszych, choćby rodzonych, piesków się ano spuszcza...

– Co wy też! przeciek jej nie wygnały!

– Hale, przywlekła się do nich w sobotę i zaraz w nocy zachorowała... Powiedają, że Kłębowa wziena jej pierzynę i prawie nagą we świat puściła...

– Kłębowa! Nie może być, taka pocziwa kobieta, cheba plotki ple-tą.

– Swojego nie mówię, ino co mi w uszy wlało...

– I u Kozłowej leży! A któż by się spodział, że taka litościwa!

– Za pieniądze to i ksiądz litościwy. Kozłowa wzięła od Agaty dwadzieścia złotych gotowego grosza i za to mają ją przetrzymać u siebie do śmierci, bo stara liczy, że lada dzień zamrze. Ale pochówek osobno, a stara se nie dzisiaj, to jutro dojdzie, niedługo jej czekać... nie...

Zmilkła naraz, usiłując na próżno powstrzymać chlipanie.

– Cóż to wama, chorzyście? – pytała Hanka ze współczuciem.

– Tyle się już ludzkiej biedy najadłam, że me w końcu do cna rozebrało. Człowiek nie kamień, broni się przed sobą choćby tą złością na cały świat, ale się nie obroni, przyjdzie taka pora, co już nie zdzierzy więcej i w ten piasek dusza mu się rozsypie żalсны.

Zaniesła się płaczem i długo się trzęsła nos głośno wycierając, aż znowu ją mówić boleśnie, że te jej słowa kiej łyzy gorzkie i palące kapały na Hanczyną duszę.

– I nie ma końca tej ludzkiej marnacji. Siadłam przy Agacie, kiej już ksiądz odjechał, aż tu przylatuje Filipka zza wody z krzykiem, że jej najstarsza kończy... Poleciałam juści... Jezus, w chałupie żywy mróz siedzi... Okna wiehciami pozatykane... jedno łóżko w chałupie, a reszta w barłogu kiej psy się gnieździ... nie pomarła dzieucha, ino ją tak z głodu sparło... ziemniaków już brakło, pierzynę już przedali... każdą kwartę kaszy wymodlają u młynarza, nikt nie chce zborgować i pożyczyc do nowego... bo i kto? Poratunku nie ma, Filip przecież w kreminalu z drugimi... Ledwiem wyszła od nich, powie-da Grzegorzowa, że Florka Pryczkowa zległa i pomocy potrzebuje... Łajdusy to i krzywdzicie-le moi, choć dzieci rodzone... zaszłam, nie czas krzywdy pamiętać... No i tam niezgorzej bieda kły szcerzy, drobiazgu pełno, Florka chora, grosza jednego w zapasie nie ma i pomocy znikąd... grontu przeciek nie ugryzie... jeść nie ma kto uwarzyć, pole odłogiem stoi, choć zwiesna

idzie... bo Adam jak drugie w kreminalu... Chłopaka urodziła zdrowego kiej krzemień, żeby się jeno odchowwał, bo Florcka wyschła kiej szczapa i tej kropli mleka w piersiach nie ma, a krowa dopiero na ocieleniu... I wszędzie tak źle, a u komorników to już trudno wypowiedzieć... Ni komu robić, ni gdzie zarobić, ni grosza, ni poratunku znikąd... Mógłby już to Jezus sprawić, by choć letką śmiercią pomarły, nie męczyłby się naród co nabiedniejszy.

– A komuż się to we wsi przelewa? wszędzie bieda i ten skrzybot serdeczny.

– Hale, i gospodarze turbacje niemałe mają... jeden się frasuje, czym by lepszym kichy nadzieiał, a inszy, komu by na większy present pieniądz rozpozyczył, ale żaden się nie poturbuje o biedotę, chociażby ta pode płotem zdychała... Mój Boże, w jednej wsi siedzą, przez miedzę, a nikomu to śpiku nie psuje... Juści, każdy Jezusowi ostawia starunek o biedotę i na zrządzenie boskie zwała wszystko, a sam rad przy pełnej misce brzuchowi folguje i choćby ciepłym kożuchem uszy odgradza, by ino skamlania biedujących nie posłyszeć...

– Cóż poredzić? któryż to ma tylachna, by wszystkiej biedzie zaradził?

– Kto nie ma chęci, ten wie, jak wykręci! Nie do was piję, nie na swoim siedzicie i dobrze wiem, jak wam ciężko, ale są takie, co by mogły pomóc, są: a młynarz, a ksiądz, a organista, a drugie...

– By im kto podsunał o tym, to może by się zlitowały... – tłumaczyła.

– Kto ma czujną duszę, ten sam dosłyszcy wołanie cierpiących, nie potraza mu o tym z ambony krzykiwać! Moiściewy, dobrze one wiedzą, co się z narodem biednym dzieje, boć tą biedą ludzką się ano pasą i na niej tłuścieją... Młynarzowi to żniwo teraz, chociaż do przednówka daleko, procesjami ludzie ciągną po mąkę i kaszę; za ostatni grosz, na bóg, za odrodek albo dobry present, a choćby pierzynę Żydowi sprzedać, a jeść trza kupić...

– Prawda, darmo nikto nie da...

Przypomniała sobie własne, niedawne nędze i westchnęła ciężko.

– Przesiedziałam do późna przy Florce, kobiet się też naschodziło i powiadały, co się we wsi dzieje, powiadały...

– W imię Ojca i Syna! – krzyknęła naraz Hanka zrywając się na równe nogi, bo wiatr tak ano trzasnął wrótniami, że dziw się nie rozleciały. Wywarła je z trudem, mocno podparłszy kołkami.

– Wieje sielnie, jeno ciepły jakiś, by deszczu nie sprowadził.

- Już i tak wóz się w polu po sękle zarzyna.
- Parę dni dobrego słońca i wnet przeschnie, zwiesna przeciech.
- Żeby choć zacząć sadzić przed świętami!

Przegadywały niekiedy, pilnie zajęte, aż i całkiem przycichły, jeno pacanie przebieranych ziemniaków słychać było, że to drobne rzuciły na jedną kupę, a nadbutwiały na drugą.

- Będzie czym podpaść maciorę i la krów też starczy na picie...

Ale Hanka jakby nie słyszała przemyśliwając wciąż, jak by się do tych ojcowych pieniędzy dobrać najsprawniej, że tylko niekiedy spoglądała przez wrótnie na świat, na drzewiny rozciapane i szamocące się z wichurą. Postrzępione, sine chmurzyska przewalały się po niebie kiej roztrzęsione snopy, a wiaterek jeszcze się wciąż wznosił i tak jakoś ci podwiewał z dołu, iżże poszycia na chałupie jeżyły się niby szczotka. Ziab przy tym ciągnął wilgotny i srodze przejęty nawozem, którego wybierali z gnojowiska. W podwórzu zaś było prawie pusto, jeno niekiedy przebiegały rozczapierzone kury, poganiane przez wiaterek, gęsi siedziały w zaciszu pod płotem na gąsienicach, cicho piukających, a co parę pacierzy podjeżdżał ostro Pietrek z pustym wozem, zakręcał dookoła, stawał rychtyk na prost klepiska, zabijał ręce, koniom podrzucał kłak siana i nakładłszy wespół z Witkiem gnoju, podpierał wóz na wybojach i ruszał w pole.

Czasami znów Józka wpadała z krzykiem, zaczerwieniona, zdyszana, przejęta tym roznoszeniem kiełbas, i trajkotała.

- Zaniesłam wójtom, teraz poletę do stryjecznych... W chałupie siedzieli, izby już bielą na święta, tak dziękowali, tak dziękowali...

Rozповідаła szeroko, choć nikt jej za język nie ciągał, i znowu leciała na wieś, niosąc ostrożnie, w chustkę białą owiązane, miseczki z podarunkami.

- Trajkot dzieucha, ale zmyślna – zauważyła Jagustynka.

- Juści, co zmyślna wielce, jeno że do psich figłów i gdzie by się zabawić...

- Cóż chcecie?... skrzat to jeszcze, dzieciuch...

- Witek, obacz no, kto tam wszedł do chałupy! – zawołała naraz Hanka.

- Kowal poszli dopiero co!

Tknięta jakimś złym przeczuciem, pobiegła prosto na ojcową stronę; chory leżał jak zwyczajnie wznak. Jagna cosik szyła pod oknem, w izbie nie było więcej nikogo.

- A kajże się to Michał podział?...

– Muszą być gdziesik, szukają klucza od wozów, którego byli kiejś pożyczili Maciejowi – objaśniała, nie podnosząc oczu.

Hanka zajrzała do sieni, nie było go; zajrzała na swoją stronę, jeno Bylica siedział z dziećmi przy kominie i wystrugiwał im wiatraczki; nawet w podwórzu szukała; nikaj ni znaku po nim, więc już prosto rzucała się do komory, choć drzwi były przywarte.

Jakoż kowal stał tam przy becze z rękoma po łokcie we zbożu i pilnie w nim grzebał.

– W jęczmieniu to by klucz chowali? co? – wyrzuciła zdyszana, ledwie ziściąc ze wzburzenia i stając groźnie naprzeciw.

– Patrę, czy nie spleśniały, czy aby zda się do siewu... – jąkał zaskoczony niespodzianie.

Nie wasza sprawa!... Po coście tu wleźli? – krzyknęła.

Wyjął niechętnie ręce i ledwie hamując wściekłość, zamruczał:

– A wy pilnujecie me, kiej złodzieja...

– Niby to nie wiem, po cóżeście tu przyszli, co? Hale, do cudzej komory wleźli będzie i penetrował po beczkach, kłódki może będziecie ukrecać, do skrzyń otwierać... co? – wrzeszczała coraz głośniejsze.

– Nie powiadałem wama wczoraj, czego nam szukać potraza...

Wysilał się na spokój.

– Przede mną cyganiliście, jedno by mi piaskiem oczy zasypać, a robicie drugie. Przejrzałam już wasze judaszowe zamysły, przejrzałam...

– Hanka, stul pysk, bo ci go przymknę! – zaryczał złowrogo.

– Spróbuj, zbóju jeden! tknij me choć palcem, a takiego wrzasku narobię, że pół wsi się zbiegnie i obaczy, coś ty za ptaszek! – groziła.

Rozejrzał się dobrze po ścianach i ustąpił wreszcie klnąc siarczyście.

Popatrzyli sobie w oczy z bliska i z taką mocą, że bych mogli, na śmierć by się przebodli tymi rozgorzałymi ślepiami.

Hanka aż wodę piła, długo nie mogąc się opamiętać po tym wzburzeniu.

– Trza je naleźć i schować przezpiecznie, bo niechby ich dopadł, ukradnie rozmyślała wracając do stodoły, ale naraz zawróciła z pół drogi.

– Siedzisz w chałupie, stróżujesz, a obcych do komory puszczasz! – krzyknęła z góry na Jagnę otwierając drzwi.

– Michał nie obcy, ma takie prawo jak i wy! – wcale się nie ulękała jej krzyku.

– Szczekasz kiej ten pies, zmówiłaś się z nim, dobrze, ale bacz, że niech jeno co z chałupy zginie, to jak Bóg w niebie, do sądu podam i ciebie wskażę, żeś pomagała... Zapamiętaj to sobie!... –wrzeszczała rozszrożona.

Jagna skoczyła z miejsca, chwytając w garść, co było na podorędziu.

– Bić się chcesz! bij! popróbuj ino, to ci te cacaną gębusię tak sprawię, aż się czerwona oblejesz i rodzona matka cię nie pozna!...

Dunderowała, zajadle krzykając nad nią, co tylko ślina i złość na język stoczyła.

I nie wiada zgoła, na czym by się to skończyło, bo już pazury rozczapierały drąc się coraz bliżej siebie, gdyby nie Rocho, któren akuratnie w samą porę nadszedł, że Hanka, przywstydzona jego patrzeniem, ochłonęła nieco i zmiłkła zatrząskując jeno za sobą drzwi z całej złości.

Jagna zaś ostała na izbie, ruchać się nie mogąc z przerażenia, wargi jej latały niby we febrze i serce kołatało, łzy posypały się kiej groch. Aż w końcu oprzytomniała, rzucając w kąt maglownicę ścisną w garści, buchnęła się na łóżko, w boleściwym, nieutulonym płaczu roztrzęsiona

Hanka tymczasem opowiadała Rochowi, o co im poszło.

Słuchał cierpliwie jazgotliwych i szlochem przeplatanych powiadań, a nie mogąc z nich wiele wymiarkować, przerwał ostro i jął ją surowo gromić, odsunął nawet podawane jedzenie i wielce rozgniewany po czapkę sięgał.

– Już mi we świat iść przyjdzie i nigdy Lipiec na oczy nie oglądać, kiejście tacy. Złemu to wszystko na pociechę albo Żydowinom, co się ze swarliwości a głupoty chrześcijańskiego narodu prześmiewają! Jezus mój miłosierny, to mało bied, mało chorób, mało głodowań, to się jeszcze w pojedynkę za łby biorą i złością dokładają.

Zadyszał się tą przemową, Hanke zaś przejęła taka żałość i strach, by w gniewie nie odszedł, że pocałowała go w rękę przeprasząc z całego serca...

– Byście wiedzieli, co z nią już wytrzymać ciężko, na złość wszystko robi, a na moją szkodę. Przecież z krzywdą naszą tu siedzi... jakże, tylachna gruntu ma zapisane... A nie wiecie to, jaka jest?... co to wyprawiała z parobkami... jaka... (– nie, nie potrafiła wypomnieć o Antku –)... a teraz już się pono z wójtem zmawia... – dodała ciszej. – To juści,

że skoro ją dojrzę, to się jaże we mnie gotuje ze złości, iż prosto bym nożem pchnęła...

– Pomstę ostawcie Bogu! ona też człowiek i krzywdy czuje, a za swoje grzechy ciężko odpowie. Powiadam wam, nie krzywdźcie jej!

– To ja ją krzywdzę?

Zdumiała się wielce, nie mogąc wymiarkować, w czym się Jagnie krzywda dzieje.

Rocho przegryzał chleb wodząc za nią oczyma, a cosik medytując, wreszcie pogładził dziecińskie głowiny, tulące mu się do kolan, i zabierał się do wyjścia.

– Zajrzę do was którego dnia wieczorem, a teraz wama jeno rzeknę: Poniechajcie jej, róbcie swoje, a resztę Pan Jezus sprawi...

Pochwalił Boga i poszedł na wieś.

ROZDZIAŁ 4

Rocho włókł się wolno drogą nad stawem, raz, że wiatr tak w niego siepał, iż ledwie się na nogach utrzymał, a po drugie, jako strapiony był wielce tym wszystkim, co się we wsi działo, to jeno raz po raz wznosił rozpalone oczy na chałupy, przemyśliwał ważnie i wzdychał żałośnie. Tak źle się bowiem działo w Lipcach, że już zgoła gorzej nie mogło.

Zaś nie to było najgorsze, że niejednym głodem przymierał, że choroby się krzewiły, że się kłócili barzej i za łby brali, że nawet śmierć wybierała swoje gęściej niżli po inne roki – takusieńko było i łoni, i drzewiej, do tego się już był naród wezwyczał rozumiejąc dobrze, jako inaczej być nie będzie... Złe i o wiele gorsze było całkiem co inszego – oto, że ziemia stojała odłogiem, bo nie miał w niej kto robić...

Zwiesna już szła całym światem wraz z tym ptactwem, ciągnącym do łośskich gniazd, na wyżnich miejscach podsychały role, wody opadły i ziemia się prawie prosiła o pługi, o nawozy i o to ziarno święte...

A któż miał iść w pole, kiej wszystkie robotne ręce były w kreminalu!... Przeciech prawie same kobiety ostały we wsi, a nie ich to moc ni głowa poredzić wszystkiemu.

A tu na niejedną przychodziła pora rodów, jak to na zwiesnę zwyczajnie, a tu krowy się cielily, drób się łągł, maciory się prosiły, w ogródkach też czas był zasiewać i wysadki sadzić, ziemniaki trza było przebierać z dołów przed sadzeniem, wodę z pól spuszczać, gnój wybierać i wywozić – to choć urób kulasy po łokcie, a bez chłopa nie wydolisz... A tu jeszcze trza obrządzać inwentarz, rznąć sieczkę, poić, drwa rąbać lebo i z lasu wieźć, a tylachna inszej, codziennej roboty, choćby na ten przykład z dzieciskami, których było wszędzie kiej maku, że Jezus! gnatów już nie czuły, krzyże im ano drętwiały na odwieczery z utrudzenia, a i połowy nie było zrobione – bo kaj to jeszcze te ze wszystkich najpierwsze – polne roboty?...

A ziemia czekała; wygrzewało ją młode słońce, suszyły wiatry, przejmowały na wskroś te ciepłe i płodne deszcze, stęzały owe mgliste i nagrzone noce zwiesnowe – że trawy już puszczały zieloną szczotką,

oziminy podnosiły się w chyżym roście, skowronki przedzwaniały nad zagonami, boćki brodziły po łągach, kwiaty też kajś niekaj buchały z moczarów ku niebu połyskliwemu, ku niebu, co się co dnia, niby ta płachta jasna i obtulna, podnosiła coraz wyżej, że już coraz dalej sięgały tęskliwe oczy, aż po owe wręby wsi i borów, niedojrzanych w zimowych mrokach; cały świat przecykał z martwego śpiku i prężył się a przystrajał do zwiesnowych godów wesela i radości...

Zaś wszędy po sąsiedztwach, kaj jeno okiem dosięgnąć, robili tak pilno, że całe dni, deszcz był czy pogoda, rozlegały się wesołe przyspiewy i kukania, po polach błyskały pługi, ruchali się ludzie, konie rżały i wozy turkotały wesoło, a jeno lipeckie role stały puste, ciche, zgoła obumarłe i jako ten smętarz żalosne...

A kieby na dobitkę jeszcze te ciężkie strapienia o uwięzionych...

Mało jeśli co dnia nie ciągnęło do miasta po kilkoro ludzi z węzłkami, a i z tym płonym skamłaniem, bych wypuścili niewinowatych.

Hale! będzie ta kto miał miłosierdzie nad pokrzywdzonym narodem, jeśli on sam sobie sprawiedliwości nie wydrze!...

Źle się działo, tak źle, że nawet obce ludzie, z drugich wsi, zaczęli już miarkować, jako krzywda Lipiec jest krzywdą wszystkiego narodu chłopskiego. Jakże, jeno małpa małpie zajdy szarpie, a człowiek za człowiekiem powinien trzymać, bych i jemu na taki sam koniec nie przy– szło.

Więc i nie dziwota, jako drugie wsie, choć ta przódzi koty darły z Lipcami o granice i różne szkody sąsiedzkie albo i z czystej zazdrości, że to Lipczaki wynosiły się hardo nad wszystkie, a wieś swoją uważały za najpierwszą, teraz poniechali sporów otrząchając z siebie zawziętość, bo często chłop jakiś z Rudek, to z Wólki, to z Dębicy, a nawet i z rzepeckiej szlachty niejeden przebierał się do Lipiec na kryjome przeviady.

Zaś w niedzielę po sumie albo jak wczoraj przy zjeździe do spowiedzi rozpytywali się pilnie o uwięzionych srożąc przy tym twarze, siarczyście klnąc, a zarówno z lipeckimi pięście zaciskając na krzywdzicieli i wielce się litując nad dolą pokrzywdzonego narodu.

Właśnie był teraz nad tym Rocho medytował postanawiając razem jakieś przedsięwzięcie ważne, gdyż jeszcze barzej zwolnił kroku, często przystawał, chroniąc się od wiatru za grubsze drzewa i jakby nic dokoła nie widzący, we świat poglądał daleki...

A widniej się jakoś zrobiło i cieplej, jeno ten uprzykrzony wiatер wzmagął się z godziny na godzinę, że jeden szum niósł się całym swia-

tem, i już co cieńsze drzewiny pokładały się z jękiem, trzepiąc gałęziami po stawie, snopki ano wrywał z dachów i co kruchsze gałęzie odzierał, a wiał już teraz górą i z taką mocą, że wszystko się ruchało: i sady, i płoty, i chałupy, i pojedyncze drzewa, aż się zdało, jako z nim w jedną stronę lecą, a nawet to blade słońce, co się spoza rozwalonych chmur wysupłało, wydało się również uciekającym po niebie, zawlekającym kieby piaskami rozwianymi, zaś nad kościołem jakieś stado ptaków z rozczapierzonymi skrzydłami nie mogąc się uporać z pędem, dały się nieść wicherze i ze strachliwym krzykiem rozbijały się o wieżę i rozchwiane drzewa.

Ale wiater, choć był przykry i nieco szkodliwy, sielnie też przesuwał rolę, bo już od rana galanto zbieleły zagony, a drogi ociekały z wody...

Rocho długo stał w medytacji onej, o Bożym świecie zapomniawszy, aż poruszył się z nagłą, doszły go bowiem z wichurą jakieś swarliwe głosy.

Rozejrzał się bystro: po drugiej stronie stawu, przed sołtysową chałupą, w opłotkach, czerwieniła się kupa kobiet z jakimiś ludźmi w pośrodku...

Pośpieszył tam z ciekawością, co by się stało nie wiedząc.

Ale dojrawszy z dala strażników z wójtem, skreślił w najbliższe opłotki, a stamtąd jął się ostrożnie przebierać sadami ku gromadzie; nie lubił jakoś leżeć w oczu urzędom.

Gwar zaś był coraz wrzaskliwszy, kobiet wciąż przybywało, dzieci też całą hurmą zbiegały ze wszystkich stron cisnąc się do starszych, a poszturchując między sobą, aż ciasno się uczyniło w opłotkach, i wywalili się na drogę, nie bacząc na błoto ni na rozkolebane drzewa, siekące gałęziami. Jazgotali cosik spólnie, to jakieś osobne głosy się wydierały, ale co by, nie mógł wymiarkować, bo wiater porywał słowa. Dojrzał jeno przez drzewa, że Płoszkowa rej wiodła: gruba, spaśna, z rozczervenioną gębą, wykrzykiwała cosik najgłośniej i tak zajadle podjeżdżała pięściami pod wójtowy nos, że się ten cofał, a reszta przytwierdzała jej wrzaskiem, kiej to stado indorów rozwścieczonych. Kobusowa zaś uwijała się po bokach, próżno chcąc się przedrzeć do strażników, nad którymi co chwila trzęsły się zaciśnięte pięście, a gdzie-niedzie już i kij albo utyłana mietlica...

Wójt cosik tłumaczył drapiąc się frasobliwie po głowie, a powstrzymując na sobie babski napór, że strażnicy wysunęli się ostrożnie

z kupy nad staw i poszli ku młynowi; wójt ruszył za nimi odszczekując się niekiedy, a grożąc chłopakom, bo zaczęli frygać za nim błotem.

– Czego chcieli? – pytał Rocho wchodząc między kobiety.

– Czego! aby wieś dała dwadzieścia wozów i ludzi do szarwarku, by w ten mig jechali naprawiać drogę w lesie... – objaśniała go Płoszkowa.

– Jakiś większy urząd ma przejeżdżać tamtędy i bez to przykazują zawozić wyrwy...

– Powiedzielim, że wozów ni koni nie damy.

– Któż to pojedzie?

– Niech pierwej puszczą naszych chłopów, to im drogę narządzą.

– Dziedzica by zaprzęgły!

– Same by się wzięły do roboty, a nie penetrowały po chałupach!

– Ścierwy, ukrzywdziciele! – wołała jedna przez drugą, a coraz głośniej.

– Jeno dojrzałam strażników, zaraz mnie cosik niedobrego tknęło...

– Przeciek z wójtem już od rana naradzały się w karczmie.

– Nachlały się gorzałki i dalejże chodzić po chałupach, a ludzi pędzić do roboty...

– Wójt dobrze wie, powinien był w urzędzie przełożyć, jak jest w Lipcach – ozwał się Rocho, próżno chcąc przekrzyczeć wzburzone głosy.

– Hale, dobrze on z nimi trzyma!

– I pierwszy na wszystko naprowadza.

– A o to jeno stoi, z czego ma profit – zakrzyczały znowu.

– Namawiał, aby dać tamtym po mendlu jajek z chałupy albo po kurze, tu poniechają i drugie wsie do szarwarku wygonią.

– Tych kamieni bym dała!

– Kijaszkiem przyłożyła!

– Cichocie, kobiety, by was nie skarali za ubliżenie urzędowi!

– Niech karzą, niech wezmą do kozy, do oczu stanę choćby największemu urzędowi i wypowiem wszystko, w jakim to ukrzywdzeniu żyjemy!...

– Wójta bym się bojała!... Figura zapowietrzona!... Tyle mi znaczy, co ta kukła do strachania wróbli!... Nie pamięta o tym, że chłopcy go wybrały, to i one mogą z tego urzędu zesadzić... – wrzeszczała Płoszkowa.

– Karać by jeszcze mieli!... A nie płacim to podatków, nie dajem chłopaków w rekruty, nie robim, co ino każą!.. Mało im jeszcze, że nam chłopów pobrali!...

– A niech się zjawią, wnet jakaś bieda pada na kogoś.

– Psa mi ano we żniwa w polu ustrzelili!...

– Mnie zaś do sądu podali, że się sadze zapaliły!...

– A mnie to nie, zem to łoni len suszyła za stodołą?

– A jak to sprawy Gulbasiaka, że kamieniem na nich puścił!...

Krzyczały wspólnie, cizbiąc się do Rocha, aż uszy zatykał od wrzasku.

– A dyć przyciszcie się! Gadaniem nic nie poredzi! Cichocie!... – wołał.

– To idźcie do wójta i przedstawcie, albo wszystkie tam pociągniem z mietłami!... – darła się zawzięcie Kobusowa.

– Pójdę, ino już się rozejdźcie!... Przecież tyle roboty ma każda w chałupie... już ja przedstawię dobrze!... – prosił gorąco bojąc się powrotu strażników.

Że zaś w tę porę przedzwonili południe na kościele, tu się zaczęły z wolna rozchodzić rajcując głośno i przystając przed chałupami.

Rocho zaś prędko wszedł do sołtysowego domu, gdzie był teraz mieszkał, nauczał bowiem dzieci w pustej izbie Sikorów, na drugim końcu wsi, za karczmą. Sołtysa nie było doma, podatki powiózł do powiatu.

Opowiedziała mu zaraz Sochowa spokojnie, po porządku, jak to było.

– Bych jeno z tych wrzasków nie wyszło co złego!... – zauważyła w końcu.

– Wójtowa wina. Strażniki robią, co im przykazali, on zaś wie, jako we wsi ostały same prawie kobiety, że w polu nie ma kto robić, a nie dopiero na szarwarki jeździć. Pójdę do niego, niech załagodzi sprawę, by sztrafów nie kazali płacić!...

– To wszystko patrzy, jakby się na Lipcach mściły za las!... – powiedziała.

– Któż by?... – dziedzić?!... Moiściewy! a cóż on ma do urzędów?

– Zawszy pan z panem łącniej się zmówi, w przyjacielstwie żyją, a mścić się na Lipcach zapowiadał!...

– Boże! że to i dnia spokojnego nie ma!... Cięgiem coś nowego!...

– Bych ino gorsze już nie przyszło!... – westchnęła składając ręce jak do pacierza.

- Zleciały się kiej sroki, a pyskowały, że niech Bóg broni!...
- Jakże, ten się drapie, kogo śwędzi!...
- Wrzaskiem nie poradzi, jeno nową biedę można sprowadzić!...

Rozdrażniony był i zestrachany, by znowu na wieś co złego nie padło.

- Wracacie to do dzieci?

Podniósł się był z ławy.

– Rozpuściłem swoją szkołę: święta; a po drugie, że muszą w chałupach pomagać, tyle wszędzie roboty!...

– Byłam rano za najemnikami na Woli, po trzy złote obiecywałam od orki, jeść bym dała i ni jednego nie namówiłam. Każden swoje przódzi obrabia: gdzie mu to dbać o kogo! Obiecują przyjąć za niedzielę abo i dwie!...

– Jezu! że to człowiek ma ino te dwie, i słabe, ręce!... westchnął ciężko.

– Pomagacie wy i talk narodowi, pomagacie!... Kiejby nie wasz rozum i to serce dobre, to już nie wiada, co by się z nami wszystkimi stało!...

- Bym to mógł, co chcę, nie byłoby biedy na świecie nie!

Rozwiódł ręce w onej niemocy ciężkiej i wyszedł śpiesznie do wójta. Jeno że tam nierychło doszedł wstępując po chałupach:

Wieś się już uspokoiła nieco; jeszcze tam kajś w poniektórych opłotkach pyskowały co najzawziętsze, ale większość rozeszła się szykować warzę obiednią, a po drogach jeno wiatер hulał jak przódzi i drzewinami miotał.

Ale wnetki po przypołudniu, mimo wichury uprzykrzonej, zaroilo się wszędy od ludzi, że w obejściach, po ogrodach, przed chałupami, w sieniach i izbach zawrzało kiej w ulach od roboty i nieustających jazgotów babich – boć to przeciech ino same kobiety się zwijały a dziewczyniska, zaś trafił się chłopak, to jeszcze taki z koszulą w zębach, a najwyżej do pasionki przydatny, gdyż co starsze wraz z ojcami siedziały.

Zwijali się żwawo, jesczek popędzając do pośpiechu, że to wczoraj z powodu zjazdu księży do spowiedzi dziadoskie świątko se zrobili przesiadując prawie dzień cały w kościele, a dzisiaj znowu zabałamucili przez strażników.

A tu i święta nadchodziły, Wielki Wtorek już był na karku, toć i roboty przybyło, i różnych turbacji niemało – to kiele chałup trza było porządki czynić, to dzieci obszyć, siebie też ździebko obrządzić, do

młyna wieść, o święconym pomyśleć i tyle jeszcze inszych różności, że już w każdej chałupie głowiły się ciężko gospodynie, jak tu wszystkim zaradzić, a przepatrywały pilnie komory, co by karczmarzowi sprzedać albo do miasta wywieźć na ten grosz potrzebny. Nawet już kilka kobiet pojechało zaraz po obiedzie wioząc cosik pod słomą na przedanie.

– By was tam gdzie drzewo nie przywaliło! – ostrzegał Rocho Gulbasową, przejeżdżającą właśnie taką mizerną koniną, że ledwie szła pod wiatr.

I skreślił zaraz do jej chałupy, dojrzwawszy, że dziewczyny, wylepiające szpary, nie mogą sięgnąć nad okna. Pomógł im w tym i jeszcze wapno w szaflu rozrobił do bielienia ścian i galanty pędzel wyrzucił ze słomy.

I polazł dalej.

U Wachników gnój wywoziły na pobliskie pole, ale tak sprawnie im to szło, że połowa wytrząchała się z desek po drodze, a dzieuchy we dwie konia za uzdę ciągnęły, bo słuhać pono nie chciał. Wszedł tam Rocho, gnój na wozie oklepał, jak się należało, i konia batem złoził, iż ciągnął posłusznie kiej dziecko...

U Balcerków znowu Marysia, ta, co po Jagnie Borynowej za najgładszą była we wsi uważana, siała groch tuż za płotem w czarną i sielnie znawozoną ziemię; jeno że się ruchała kiej mucha w smole, okręcona na głowie w chustkę i w ojcowej kapocie do ziemi, by jej kiecki nie rozwiewało.

– Nie śpiesz się tak, jeszcze wydolisz!... – zaśmiał się wchodząc na zagon.

– Jakże... kto groch sieje w Wielki Wtorek – za garniec zbierze worek! – odrzyknęła.

– Nim dosiejesz, już ci pierwszy wzjedzie! Ale za gęsto, Maryś, za gęsto... niechby wyrósł, to zwieje się w kołtuny i położy!

Pokazywał, jak siał z wiatrem, bo głupia nie zmiarkowała się, siejąc jak popadło.

– A Wawrzon Socha mi powiedział, jakoś do wszystkiego sposobna! – rzekł od niechcienia idąc wpodług bruzdą pełną błota.

– Mówiliście to z nim?... – wykrzyknęła przystając nagle, by tchu złapać.

Sczerwieniła się strasznie, ale bojała pytać.

Rocho się jeno uśmiechnął, ale odchodząc powiedział:

– We święta mu powiem, jak się to sielnie przypinasz do roboty!...

Zaś u Płoszków, stryjecznych Stacha, dwóch chłopaków podorywało tuż przy drodze kartoflisko: jeden poganiał, drugi niby to orał, a skrzaty były oba, ledwie nosem ogona końskiego sięgające i przez żadnej mocy, to jużci, że pług im chodził kiej chłop napity, a koń co trocha do stajni zawracał, prały go też wciąż na spółkę i kłęły swarząc się między sobą.

– Poredzim, Rochu, poredzim, ino bez te ścierwy kamienie pług wyskakuje, a i kobyła ciągnie do żróbka... – tłumaczył się z płaczem starszy, kiej mu Rocho odebrał pług i rznął skibę założną, przyuczając zarazem trzymania kobyły.

– Teraz już całe staje podorzem do nocki!... – wykrzykiwał zuchowato, rozglądając się strachliwie, czy kto nie dojrzał Rochowej pomocy, a gdy stary poszedł, przysiadł wnet na pługu od wiatru, jak to ociec robili, i zakurzył papierosa.

A Rocho szedł dalej po chałupach miarkując, gdzie może być w czym pomocny.

Przyciszał kłótnie, spory łagodził, doredzał, a gdzie było potrza, i w robocie, choćby najcięższej, pomagał, bo jak u Kłębów drev narąbał widząc, że Kłębowa nie mogła poradzić sękatemu pniakowi, a Paczesiowej wody przyniósł ze stawu; gdzie znowu rozswawolone dzieci do posłuchu napędzał...

A zauważył, że się kajś zbytnio smucą i wyrzekają – żarty stroił ucieszne i te prześmiechy... Z dzieuchami też rad o pannowych sprawach radził i chłopaków wspominał; z kobietami pogadywał o dzieciach, o kłopotach, o sąsiadkach i o tym wszyćkim, w czym jeno babi gatunek pociechę najduje – byle jeno naród ku lepszym myślom doprowadzić...

A że człowiek był mądry, pobożny, we świecie niemało bywały, to wiedział zaraz z pierwszego spojrzenia, co rzec i komu, jaką przypowiastką wyrwać duszę smutkowi, komu był potrzebny śmiech, komu wspólny pacierz albo to twarde, mądre słowo lub i pogroza...

Taki zaś dobry był i społecznie czujący, że choć i nieproszony, a niejedną nockę przesiedział przy chorych krzepiąc swoją dobrością nieboraków, że go już nawet więcej uważali niżli dobrodzieja...

Aż w końcu to się już narodowi począł widzieć jako ten świętek Pański, po zagrodach roznoszący Boże zmiłowanie a pociechy.

Hale! mógł to zaradzić biedzie wszytkiej? mógł to przeprzeć dolę i przekarmić głodne, uzdrowić chore albo wystarczyć swoimi za brakujące ręce?...

Nad moc jednego człowieka się trudził pomagając i broniąc narodu – jeno że la wszystkim wsi było to jedną okruszyną, tym, jakoby kto w spiekocie wargi spragnione rosą odwilżał, pić nie podając!...

Jakże! wieś przecież była ogromna, samych chałup stało ponad pięćdziesiąt i ziemi do obróbki leżał szmat wielgachny, i lewentarza do obrządków, a i gąb do przeżywienia czekało co niemiara.

A zaś to wszystko, od czasu wzięcia chłopów, trzymało się więcej boską Opatrznością niżli ludzkimi zabiegami, więc i nie dziwota, że z dniem każdym więcej się mnożyło bied, potrzeb, skamlań i turbacji...

Rocho dobrze to wszystko czuł i wiedział, ale dopiero dzisiaj, chodząc od chałupy do chałupy, dojrzał, jaki to upadek wszędy się wkra-da...

Mało bowiem, że pola leżały odłogiem, że nikt nie orał, nie siał, nie sadił, boć co tam w roli paprali, za dziecińską zabawę starczyło – ale już ruinę i opuszczenie widać było na każdym kroku: płoty się ano waliły miejscami, gdzie zaś przez odarte dachy krokwie i łaty wylażyły, to oberwane wrótnie zwisały, kiej przetrącone skrzydła trzepiąc o ściany, a niejedna chałupa się wypinała, daremnie prosząc podpory.

A wszędy wody gniły pod chałupami, błoto po kolana i nieporządki pod ścianami, że przejść było niełatwo, a na każdym kroku taka marnacja, że aż za serce ścisnęło; toć często krowy porykiwały z głodu i konie prosto w gnój obrastały, bo nie było komu oczyścić.

I tak się działo ze wszystkim, że nawet cielaki utyłane w błocie kiej świnię łaziły samopas po drogach, statki gospodarskie niszczały na deszczu, pługi rdza zjadała, w półkoszkach wylegiwały maciory, a co się zaś pochyliło, co oberwało, co nadłamane padło – już tak ostać ostawało, bo któż to miał co podjąć? któż naprawiać? kto złemu zaradzić i gorszemu zapobiec?... Kobiety?...

Ależ tym chudzinom ledwie już sił i czasu starczyło na to, co najpilniejsze! Juści, niechby chłopcy wrócili, a w mig byłoby inaczej...

Czekali też na ich powrót jak na zmiłowanie Pańskie, czekali z dnia na dzień, krzepiąc się tą nadzieją...

Ale chłopcy nie powracali i ni sposobu było się dowiedzieć, kiej ich puszcza. Więc tymczasowie jeno zły miał uciechę i profit z tej marnacji narodu, z tych kłyźnień, swarów a bitek, z tego umęczenia serc w biedzie a żałościach...

Już siwy zmierzch zasiewał świat, kiej Rocho wyszedł z ostaniej za kościołem chałupy, od Gołębiów, i powlókł się do wójta na drugi koniec wsi...

Wiater wciąż hurkotał ciskając się coraz barzej, a tak miecąc drzewinami, że nie było przezpiecznie iść, bo raz po raz leciały na drogę odłamane gałęzie.

Stary też, zgarbiony, przemykał pod samymi płotami, ledwie widny w tej dziwnej szarości zmierzchu, kieby ze startego na proch szkła uczynionego.

– Jeśli do wójta idziecie, we młynie pono, w chałupie go nie ma! – Jagustynka zjawiła się przed nim niespodziewanie.

Zawrócił ku młynowi bez słowa, nie cierpiał bowiem tego pleciucha.

Dopędziła go wnet i drepcąc pobok, zaszeptała prawie w same uszy:

– Zajrzyjcie do moich Pryczków abo i do Filipki... zajrzyjcie!...

– Bym co pomógł, to zajrzę...

– Tak skamlały, abyście do nich zajrzeli... przyjdźcie!... – gorąco prosiła.

– Dobrze, jeno przódzi muszę z wójtem pomówić.

– Bóg zapłać!

Pocałowała go w rękę roztrzęsionymi wargami.

– A wam co?

Zdumiał się, bo zawsze byli z sobą jakby we wojnie.

– Co by zaś, jeno na każdego przychodzi taki czas, że jako ten pies zgoniony a bezpański, rad, kiej go pocziwa ręka pogłaszcze... – szepnęła łzawo, ale nim znalazł dla niej to dobre słowo, odeszła śpiesznie.

A on i we młynie wójta nie znalazł; ze strażnikami pono do miasta pojechał – powiedział młynarczyk zapraszając na odpocznienie do swojej izdebki, gdzie już dosyć siedziało lipeckich bab i chłopów z drugich wsi, oczekujących na swoją kolej mielenia. Byłby tam Rocho chętnie posiedział dłużej, ale Tereska żołnierka, siedząca z innymi, przysiadła wnet do niego i jęła nieśmiało a cichusko wypytywać o Mateusza Gołębia.

– Byliście u chłopów, toście i jego musieli widzieć... a zdrowy? a dobrej myśli? a kiej go puszcza?... – przycierała, w oczy mu nie spoglądając.

– A jak się ma wasz we wojsku? zdrowy? rychło wraca?... – spytał w końcu również cicho uderzając ją srogimi oczyma.

Sczerwieniła się i uciekła za młyn.

Pokiwał głową nad jej zaślepieniem i poszedł, chcąc cosik przełożyć a strzec przed grzechem, ale na młynicy, choć się paliły lampki, w tym roztrzęsionym kurzu mącznym i mroku nie mógł jej odnaleźć: schowała się przed nim. Młyn zaś tak turkotał, wody z takim krzykiem nieustannym waliły na koła, a wiaterek kieby tymi największymi worami rypał raz po razie we ściany i dachy, że wszystko było w takim dygocie i roztrzęsieniu, jakby leda mgnienie rozlecieć się miało, aż Rocho dał spokój szukaniu i zaraz poszedł do tych nieboraczek.

Tymczasem noc się już stała zupełna; wskroś rozkolebanych drzew trzęsły się gdzieniegdzie zapalone światła, jako te ślepie wilcze, ale na świecie było dziwnie jasno, że dojrzał chałupy pokryte w sadach, a nawet pół mogły sięgnąć oczy, niebo zaś wisiało wysokie i ciemne, granatowe, prawie czyste, bo ino kajś niekaj jakby śniegiem przyprószone, i gwiazdy się coraz rześściej wysypywały, tylko wiaterek nie ścichał, a naprzeciw, mocy jeszczek nabierał większej i całym światem już się przewalał.

I wiał tak bez mała całą noc, że mało kto poredził oczy zmrużyć choćby na pacierz, gdyż chałupy srodze przewiewał, drzewa chlastały po ścianach i szyby gnietyły, a tak we ściany rypał i tłukł, kieby tymi barami, iż myśleli nieraz, co całą wieś wyrwie i po świecie roztrzęsie.

Uspokoilo się dopiero nad ranem, ale ino co kokoty przepiały na świtanie i pomordowany naród zasnął, grzmoty jeły huczeć i przewalać się nad światem, a łyskawice zamigotały krwawymi postronkami, potem zaś deszcz spadł ulewny. Nawet powiadali, że pioruny gdziesik biły nad borami.

Ale dobrym już rankiem całkiem się uspokoilo, deszcz przestał i ciepło prosto buchało z pół, a ptaki jeły świergotać radośnie, a choć słońce się nie pokazało, jednak miejscami rozrywały się niskie, białawe chmury i niebo galanto modrzało. Mówili, że na pogodę idzie.

Zaś we wsi lament powstał i krzyki, bo się pokazało tyle szkód po wichurze, że i nie zliczyć: na drogach leżały pokotem połamane drzewa, kawały dachów, płoty, iż nie można było przejechać.

U Płoszków zwałilo chlewy i wszystkie gęsi przygnietło. I tak w każdej chałupie pokazała się jakaś szkoda, że wszystkie opłotki zaroily się kobietami, a biadania i płacze sypały się jako ten deszcz rześisty.

Właśnie i Hanka wyszła na świat, by obejrzeć gospodarstwo i sprawdzić szkody, gdy na podwórze wpadła Sikorzyna.

– A to nie wiecie?... Stachom rozwałilo chałupę!... cud boski, że ich nie pozabijało! – wrzeszczała już z daleka.

– Jezus Maria!...

Zmartwiała z przerażenia.

– Przyleciałam po was, bo oni tam prosto przez rozum, płaczą ino...

Hanka, chwyciwszy jeno zapaskę na głowę, w dyrdy pobiegła, ludzie zaś, rychło zwiedziawszy się o nieszczęściu, gęsto ciągnęli za nią.

Jakoż prawda się okazała: z chałupy Stachowej zostały tylko ściany, ino barzej jeszcze pogięte i w ziemię wbite; dachu nie było całkiem, tyle co jakieś nadłamane krokwie chwiały się nad szczytem; komin też się zwałił, że ostał z niego niewielki osztych, kiej ten ząb wypróchniały sterczący; ziemię dokoła zaścielały potargane snopki a rupiecie potrząskane.

Weronka zaś siedziała pod ścianą na kupie zwałonych rzeczy i ogarniając rękoma rozplakane dzieci, ryczała w głos.

Przypadła do niej Hanka, ludzie też kołem otoczyli pocieszając, ale nie słyszała nic i nie widziała zanosząc się coraz cięższym szlochaniem.

– O sieroty my biedne, sieroty nieszczęśliwe!... – jęczała boleśnie, że niejednej łzy się puszczały z żalu.

– I gdzie się podziem nieszczęśliwe? kaj głowy przytulim? kaj pójdziem?!... – krzyczała bez pamięci przytulając dzieci.

A stary Bylica, skurczony i siny kiej trup, obchodził wciąż rumowiska i kury zganiał do kupy, to krowie uwiązanej do trześni kłak siana podrzucał albo przykucał pod ścianą, gwizdał na psa i patrzył na ludzi kiej ten głupi...

Myśleli, że rozum do cna stracił.

Naraz poruszyli się wszyscy, rozstępując a chyląc pokornie do ziemi, bo proboszcz ano nadszedł niespodziewanie.

– Ambroży dopiero co powiedział mi o tym nieszczęściu. Gdzież Stachowa?

Odsłonili ją, w bok się odsuwając, ale ona nic nie dojrzała przez płacz.

– Weronka, dyć sam dobrodziej przyszli! – szepnęła jej Hanka.

Zerwała się wtedy, a spostrzegłszy księdza przed sobą rymnęła mu do nóg wybuchając płaczem jeszcze jękliwszym i barzej zawodzącym.

– Uspokójcie się, nie płaczcie!... cóż poradzić?... wola Boża... no, mówię: wola Boża! – powtórzył, ale tak wzruszony, że sam ukradkiem łzy ocierał.

– Na żebry przyjdzie nam iść, na żebry, w cały świat!

– No, nie krzyczcie, dobrzy ludzie nie pozwolą wam zginąć i Pan Bóg was w czym innym zapomoże. Nie potłukło was? co?

– Bóg jeszcze łaskaw!

– Cud się stał prawdziwy.

– Mogło co do jednego wydusić, jak te gąski Płoszkowej.

– Że i żywa noga mogła nie wyjść! – powiadały jedna przez drugą.

– A w inwentarzu macie jaką stratę? co? W inwentarzu, mówię!

– Bóg jakoś ustrzegł, w sieni było wszystko, a ona w całości ostała.

Ksiądz zażywał tabakę rozglądając łzawymi oczyma tę kupę rumowisk, która jeno ostała z chałupy, boć dach się zwałił do cna i razem z sufitem runął do środka, że przez wygniecione szyby widać było tylko kupy połamanego drzewa i przegniłej słomy z poszycia.

– Macie szczęście, bo mogło wszystkich przygnieść... no, no!

– A niechby przygniotło, niechby nas wszystkich zabiło, to już bym na ten upadek nie patrzyła, to już bym tego biedowania i marnacji nie dożyła... O Jezu mój, Jezu! Bez niczegoostałam z tymi sierotami... A kaj się teraz podziękuję? co pocznę? – zaryczała znowu drąc się za włosy rozpacznie.

Ksiądz rozłożył bezradnie ręce przestępując z nogi na nogę.

– Suszej będzie! – szepnęła któraś nieśmiało podsuwając mu kawał deski, bo w błocie po kostki stał, przestąpił na nią i zażywając tabaki rozmyślał, co by tu powiedzieć na pocieszenie.

Hanka zajęła się gorliwie siostrą i ojcem, a reszta ciżbiła się przy dobrodzieju wlepiając w niego oczy.

Ze wsi nadchodziło coraz więcej kobiet i dzieci, że ino blocko chlupało pod trepami, a przyciszone, trwożliwe głosy poszemrywały w zwiększającej się kupie, to płacz dzieciński albo Weronczyne, słabnące już szlochanie, zaś na twarzach, ledwie widnych spod nasuniętych na czoło zapasek, żal się taił i leżała troska chmurna jako to niebo wiszące nad głowami, a nie po jednym policzku łzy skapywały gorące...

Ale w sobie byli wszyscy spokojni, z poddaniem się znosząc ten dopust Boży. Jakże? gdyby tak kuźden człowiek jeszcze cudze biedy brał w serce, to bych mu na swoje mocy nie starczyło, a przy tym: odrobi to, kiej się już złe stanie? zapobieży?...

Ksiądz naraz przystanął do Weronki i rzekł:

– A najpierw to Panu Bogu powinniście podziękować za ocalenie...

– Juści, prawda i choćby prosię przedam, a na mszę zaniesę...

– Nie potrzeba, schowajcie pieniądze na pilniejsze potrzeby, ja i tak zaraz po świętach mszę odprawię na waszą intencję.

Ucałowała mu gorąco ręce i za nogi obłapiła w serdecznym dziękczynieniu za dobrość i miłosierdzie, on zaś przeżegnał ją błogosławiący i za głowę ścisnął, a dzieci tulące mu się z piskiem do kolan przytulił pocziwie i kiej ten najlepszy ociec popieszczał...

– Tylko dufności nie traćcie, a wszystko się na dobre obróci. Jakże to było?

– Jak? Poszlim spać zaruteńko z wieczora, bo gazu nie było w lampce, a i dREW brakowało na opał. Wiało juści sielnie, aż chałupa trzeszczała, ale się nic nie bojałam, bo nie takie wichry przetrzymała. Nie spałam zrazu, tak cugi przez izbę wiały, ale musiałam potem zadrzemać. Aż tu naraz kiej nie huknie, kiej się nie zatrząsie, kiej cosik nie rypnie w ściany! Jezus!... myślałam, że wszystek świat się przewala. Skoczyłam z łóżka i ledwiem co dzieci zgarnęła w naręcze, a tu już wszystko trzeszczy, łamie się, na głowę leci... ledwiem co do sieni zdążyła i chałupa się za mną zapadła... Jeszczem i myśli nie zebrała, kiej i komin obalił się z hukiem... Na dworze zaś tak wiało, że na nogach trudno było ustoić i wiater roznosił poszycie. A tu noc, do wsi kawał drogi, wszyscy śpią i ani sposób, by krzyki posłyszeli... Do dołu ziemniaczanego wciągnęłam się z dziećmi i tak do świtania przesiedzielim.

– Opatrzność boska czuwała nad wami. Czyjaż to krowa przy trześni?

– A dyć moja to, moja żywicielka jedyna!

– Mleczna będzie, grzbiet jak belka, kłęby wysokie... Cielna?

– Leda dzień powinna się ocielić.

– Przyprawdźcie ją do mojej obory, zmieści się, do trawy może tam postać... Ale gdzie się wy podziejecie?... mówię: gdzie?...

Naraz pies jakiś zaczął szczekać i na ludzi rzucać się zajadle, a kiej go odegnali, w progu usiadł i przeraźliwie zawył.

– Wściekł się czy co? czyj to? – pytał ksiądz chroniąc się ździebko za baby.

– Dyć to Kruczek, nasz... juści, żal mu szkody... czujący piesek... – jękał Bylica idąc go przyciszać.

A ksiądz pochwalił Boga na pożegnanie, skinął na Sikorzyne, by szła za nim, i wyciągnawszy obie ręce do kobiet, cisnących się je całować, odchodził z wolna.

Widzieli, że długo z nią na drodze o czymś rozprawiał.

Naród zaś babski, ugwarzywszy się ździebko i naużalawszy nad pokrzywdzoną, jął się rozchodzić dość śpiesznie, przypominając sobie z nagła o śniadaniach i pilnych robotach.

Przy rumowisku ostała jeno sama rodzina i właśnie medytowali, jak by tu co niebądź wydobyć z zawalonej izby, gdy powróciła zadyszana Sikorzyna.

– A to do mnie się przenieście, na drugą stronę, kaj Rocho dzieci nauczał... Juści, komina braknie, ale wstawicie cyganek i waju wystarczy... – rzekła pędko.

– Moiście, a czymże to wama za komorne zapłacę!

– Niech was o to głowa nie boli. Znajdziecie jaki grosz, zapłacicie, a nie, to przy robocie jakiej pomożecie, albo prosto i za Bóg zapłać siedźcie. Pustką przecież ta izba stoi! Z duszy serca proszę, a ksiądz ten papierek wama przysyła na pierwsze wspomnienie!

Rozwinęła jej przed oczyma trzy ruble.

– Niech mu Bóg da zdrowie! – wykrzyknęła Weronka całując ten papierek.

– Pocziwy, że drugiego nie naleźć! – dodała Hanka.

– Krowie na księżej oborze też będzie niezgorzej! juści... – stary powiedział.

I zaraz zaczęły się przenosiny.

Chałupa Sikorów stała tuż przy dróżce, na skwercie do wsi, może o jakie dwa stajania od Stachów, zaraz też jęli tam przenosić pozostałą chudobę i co się jeno poradziło naprędce wydostać spod rumowisk ze statków i pościeli. Hanka aż parobka swojego przyzwała do pomocy, a w końcu i Rocho nadszedł, rażno zabierając się do pomagania, że nim przedzwonili południe, Weronka już była osiedlona na nowym pomieszkaniu.

– Komornica teraz jestem, dziadówka prawie! Cztery kąty i piec piąty, ani obrazu nawet, ni jednej całej miski! – wyrzekała gorzko rozglądając się.

– Obraz ci jaki przyniesę, a i statków, co ino najdę zbędnych. Stacho wróć i chałupę przy ludzkiej pomocy rychło podźwignę, że nie ostaniesz tak długo... – uspokajała ją Hanka pocziwie. – A kaj to ociec?

Chciała go zabrać do siebie.

Stary ostał przy rumowiskach, w progu ano siedział opatrując bok pieskowi.

– Zbierajcie się ze mną, u Weronki na nowym ciasno, a u nas przeciech znajdzie się la was kąć jakiś.

– Nie pójde, Hanuś... juści... ostanę... urodziłech się tutaj, to i zamrę.

Co się go naprosiła, co mu się naprzekładała, nie chciał i nie.

– W sieni se legowisko wyszykuję... juści... a jeśli każesz... to do waju jeść przyjdę... dzieci ci za to przypilnuję... juści... Pieska ino zabierz, bok mu skaleczyło... juści... stróżować ci będzie... czujny wielce.

– Zwałą się ściany i jeszcze was przygniecie! – prosiła przekładając.

– I... dłużej przetrzymają niżli człowiek niejeden... Pieska weź...

Nie nalegała już więcej, skoro nie chciał. Po prawdzie i u niej było ciasno, a ze starym nowy kłopot by był.

Przykazała Pietrkowi wziąć Kruczka na postronek i do chałupy prowadzić.

– Stanie za Burka, któren gdzieś uciekł. Niezguła dopiero! – krzyknęła niecierpliwie, gdyż Pietrek nie mógł dać rady psu.

– Głupi... gryzł tu będzie... tam żreć co dnia dostaniesz... juści, a w ciepłe się wyleżysz... Kruczek! – napominał go stary pomagając brać na sznurek.

Pobiegła przodem, bych jeszcze na odchodnym zajrzeć do siostry.

Zdziwiła się, zastawszy w izbie kilka kobiet i Weronkę znowu rozpłakaną.

– A czym to sobie u was zasłużyłam na tyle dobrości? czym? – białoliła.

– Niewiela mozem, wszędy bieda, ale co przynieśli, bierzcie, bo ze szczerego serca dajem – przemówiła Kłębowa wtykając jej w garść spory węzełek.

– Takie nieszczęście was spotkało!

– Nie z kamienia przeciech naród i kuźden z biedą się zna.

– I przez chłopa jesteście, jak drugie.

– To w taką porę waju ciężej niżli inszym.

– I barzej was Pan Jezus doświadcza... – powiadały wraz składając przed nią węzełki, bo ano społecznie się zmówiły i nanieśli jej, co ino która mogła: to grochu, to krup jęczmiennych, to mąki...

– Ludzie kochane, gospodynie, matki rodzone! – szlochała rzewliwie, obłapiając się z nimi tak gorąco, aż się wszystkie popłakały.

– Są jeszcze dobre na świecie, są!... – myślała Hanka z rozczuleniem.

A tu i organiścina wtaczała się we drzwi, bochen chleba dźwigając pod pachą i kawał słoniny w papierze.

Hanka nie czekając już na jej przemowę, że to południe akuratnie przedzwaniiali, śpiesznie poleciała do chałupy.

Jasno było na świecie, słońce się nie pokazywało, ale mimo to dzień posiewał dziwnie przesłonecznioną widność; niebo wisiało wysoko, niby ta modrawa płachta, z rzadka jeno pozarzucana białymi chustami strzępiastych chmur, dołem zaś role rozlewały się w roztocz nieobjętą, widną kiej na dłoni, pozieleniałą miejscami, a gdzie płową od rżysk i ugorów, strugami wód łyskającą, jakby tymi szybami.

Skowronki wyśpiewywały rozgłośnie, a z pól, od borów, z niebieskawych dali, całym światem płynęło rzeźwe, wiośniane powietrze, przejęte ciepłą wilgocią i miodnym zapachem topolowych pąków.

A po drogach wsi roilo się od ludzi: ściągali w opłotki gałęzie i drzewa przez wichurę wyłamane.

W powietrzu zaś było tak cicho, że drzewiny, jakby obwiane jeno puchem pierwszej zieleni pąków, ledwie się poruchiwały.

Nieprzeliczona chmara wróbli kotłowała się przy kościele, że czarno było jakby od sadzy na klonach i lipach rozłożystych, aż wrzask i ogłuszający świergot rozchodził się na całą wieś.

Zaś nad wygładzonym, lśniącym stawem krzyczały gęsiory stróżujące gęsiąt i klepały ostro kijanki, gdyż prano w wielu naraz miejscach.

A wszędy był rajwach, pośpieszna robota, przekrzyki między chałupami, chmary dzieciaków i czerwieniejących po sadach kobiet.

Sienie i izby stały na przestrzał wywarte, po płotach suszyli przeprane dopiero co szmaty, wietrzyli po sadach pościele, ściany bielono tu i owdzie, psy wojnę czyniły ze świniami bobrującymi po rowach, a kajś znów krowy wynosiły rogate łby zza ogrodzeń, porykując tęskliwie.

Niejeden też wóz wyjechał do miasteczka po świąteczne zakupy. A zaraz z południa nadjechał długim wasągiem stary handlarz Judka ze swoją Żydowicą i bachorem.

Jeździli od chałupy do chałupy, przeprowadzani przez pieski sielnie docierające, a mało skąd Judka wychodził z pustymi rękoma, bo nie był okpis, jak karczmarz albo i drugie, płacił niezgorzej, a nawet, jak komu na przednowku było potrza, to na niewielki procent wygodził. Mądry był Żyd, znał wszystkich we wsi i wiedział, jak do kogo przemówić, to i raz po raz ciągał na wóz ciołka albo zboża jakiego ćwiartkę wynosił, a Żydowica osobno na swoją rękę handlowała znosząc jajka, koguty, to jakąś wypierzoną kokoszkę albo i tego płótna półsztuczek, że to głównie na zamianę wycyganiała za owe fryzki a wstążki, a tasiemki, a szpilki, i cały ów kram do przystrajania, na któren babski gatunek za-

wždy łakomy, a co w wielgachnym pudle nosiła z sobą kusząc nim co łakomsze...

Zajeżdżały właśnie przed Borynów dom, gdy Józka przy padła z piśkiem:

– Hanuś, kupcie czerwonej tasiemki!... a i tej brezylii do jajek potrza farbowania... nici też zabrakło! – prosiła skamląco Hanki.

– Jutro pojedziesz do miasta, to nakupisz, co potrzeba.

– A nawet w mieście taniej i tak nie ocyganiają! – upewniała, rada też jeździć, że już bez nakazu wyleciała do handlarzy krzycząc, iż niczego im nie potrza i nic nie przedadzą.

– A spędź kury, by się jaka do żydowskiego woza nie zaprzęła! – krzyknęła za nią Hanka wyglądając przed dom.

Tereska żołnierka skręcała właśnie w opłotki, jakby uciekając przed Żydowicą, która za nią cosik wykrzykiwała.

Wpadła do izby, słowa nie mogąc przemówić a jākając się jeno i czerwieniąc okrutnie, a tak jakoś strapiona, że aż łzy zasiwiły się u jej rżęś długich.

– Co to wam, Teresko? – spytała wielce rozciekawiona.

– A bo te oszukańce dają mi tylko piętnaście złotych, a wełniak całkiem nowy! Tak mi potrza pieniędzy, że dziw się nie skręcę...

– Pokażcie... a drogi? – łakoma była na przyodziewę.

– Choćby ze trzydzieści złotych! Wełniak nowiutki ma całe siedm łokci pół piędzi, samej czystej wełny wyszło na niego więcej niżli cztery funty, farbierzowi też płaciłam.

Rozwinęła go na izbie, że zabłysnął i zamigotał kiej tęcza i grał farbami aż oczy trza było mrużyć.

– Śliczności, nie wełniak! Wielka szkoda, ale cóż?... sama potrzebuję grosza na święta. Nie możecie to poczekać do Przewodów?

– Hale, kiej mi choćby w tej godzinie potrzeba!

Zwijała prędko wełniak odwracając twarz jakby zawstydzona.

– Może wójtowa kupi... łatwiej u nich o grosz.

Wzięła go raz jeszcze oglądać, a do boku przymierzać i z westchnieniem żalu oddała.

– Swojemu chcesz posłać pieniędzy do wojska?

– Juści... pisał... skamle, że mu bieda... Ostajcie z Bogiem!

I prawie pędem wybiegła z chałupy, a Jagustynka rozcierająca w cebratce ziemniaki la maciory zaczęła się śmiać na całe gardło.

– Przyparliście ją, że dziw kiecki nie zgubiła z pośpiechu! Pieniędzy jej potrza la Mateusza, nie la chłopa.

- To one się tak znają! – zdumiała się wielce.
- Cie! jakbyście w lesie siedzieli...
- Skądże to mam wiedzieć?
- A dyć Tereska co tydzień lata do Mateusza i jak pies dni całe waruje pod kryminałem, a zanosi mu, co ino może.
- Bójcie się Boga!... nie ma to swojego chłopca?
- Wiadomo, ale tamten we wojsku, daleko i nie wiada, czy wróci, a kobiecie samej się cni, Mateusz zaś był blisko, na podorędziu, i chłopkiej smok. Cóż to ma sobie żałować?!

Hance przyszedł na myśl Antek z Jagną. Głęboko się zamedytowała.

– A jak Mateusza wzieni, skompaniła się z jego siostrą, z Nastką, nawet siedzi w ich chałupie i razem już do miasta latają. Nastka niby to do brata, a głównie, bych Szymkowi Dominikowej się przypominać...

- Że to wy wiecie o wszystkim! no, no!
- Na oczach głupie szyćko robią, to przejrzyć łącno. Wełniak sprzedaje ostatni, by Mateuszowi święta sprawić! – szydziła złośliwie.
- No, no, co się to nie wyrabia z ludźmi... I mnie by trza jechać do Antka.

– Tyli świat drogi w waszym stanie, jeszcze się pochorujecie... Nie może to Józka albo kto drugi? – ledwie się wstrzymała, by Jagny nie wymienić...

– Sama pójdę, da Bóg, że mi się nic nie stanie. Rocho mówili, że we święta będą puszczały do niego, pojedę... Ale, trza by już te boczki poprzekładać na drugą stronę.

– Trzeci dzień słonieją, juści, że nie zawadzi, zaraz tam pójdę.

I poszła, ale jeszcze rychlej wróciła zmieszana jakoś, oznajmiając, że mięsa z połowę brakuje.

Porwała się do komory Hanka, poleciała za nią Józka i stanęły wystraszone nad cebrzykiem, deliberując, kaj się mogło podziąć.

– To nie psia robota: wyraźnie znać odkrojenie nożem... złodziej obcy też nie przyszedł po parę funtów... To Jagusina sprawa! – zawyrokowała Hanka rzucając się zajadle do izby, ale Jagny nie było, jeno stary leżał jak zawsze z wytrzeszczonymi ślepiami.

Dopiero Józce się przypomniało, jako Jaguś wychodząc rano z domu cosik kryła pod zapaską, ale myślała, iż to jakiś stroik, którego sobie szykowała na święta wespół z Balcerkówną.

– Do matki wyniesła... Komu smakuje, nie pyta czyje...

Ale na te słowa Jagustyńki Hanka zakrzyczała w złości:

– Józka! wołaj Pietrka!... trza tę resztę przenieść do mojej komory.

W mig też przenieśli; chciała przy tej okazji beczki ze zbożem przetoczyć na swoją stronę, by w nich swobodnie przeszukać, ale poniechała: za wiele ich było, i mogliby o tym donieść kowalowi.

I już całe popołudnie jak pies warowała na Jagnę i gdy ta nadeszła o zmierzchu, wsiadła zaraz na nią z góry o mięso.

– A zjadłam!... tak moje, jak i wasze, to urznąłam kawał zjadłam! – odpowiedziała hardo i mimo że już prawie cały wieczór Hanka nie dawała jej spokoju dunderując zawzięcie, nie odezwała się więcej ani słowa, jakby z rozmysłem drażniąc. Nawet przyszła na kolację jakby nigdy nic i z uśmiechem w oczy jej poglądała.

Hanka dziw się nie wściekła ze złości, że to jej przemóc nie porzuciła.

Przez to już cały wieczór dopiekała wszystkim o byle co, spać nawet wcześniej wyganając, że to jutro Wielki Czwartek i trza się będzie brać do porządków.

I sama też legła rychlej niżli zazwyczaj, ale długo w noc nie zasnęła i posłyszawszy zajadłe naszczekiwanie piesków wyjrzała na dwór.

U Jagny jeszcze się świeciło.

– Późno, gazu szkoda, za darmo go nie dają! – warknęła w sieni.

– Palcie i wy choćby całą noc! – odpowiedziała jej przez drzwi.

Tak się znowu zeźliła, że dopiero po pierwszych kurach zadrzemała.

A wczesnym rankiem, na samym świtaniu, Józka, choć śpioch był największy, pierwsza się zerwała z łóżka przypominając jazdę po zakupy i biegnąc budzić chłopaków, żeby konie szykowali, a nawet potem hardo się postawiła, kiej Hanka przykazała Pietrkowi założyć do wozu gniadą.

– Ja w deskach i ślepą kobyłą nie pojedę! – wrzeszczała z płaczem.

– Cóżem to dziadówka, by mnie w gnojnicach wozili? Wiedzą przeciek w mieście, czyjam córka! Ociec by nigdy na to nie pozwolili...

Narobiła tyle piekła, że postawiła na swoim i wyjechała bryką i parą koni, z parobkiem na przednim siedzeniu, jak to gospodynie zazwyczaj jeździły.

– A czerwonego kup, a złocistego i jakie ino będą papiery! – wołał za nią Witek z ogródka, gdzie już równo ze świtaniem rozbijał na zagonikach pecyny i spulchniał ziemię, gdyż Hanka jeszcze dzisiaj zamierzała tam posiać rozsadę. A gdy gospodyni dłużej się nie pokazywała z chałupy, leciał na drogę i z drugimi chłopakami grzechotał pod

plotami, że to od rana dzwony umilkły, jak to było we zwyczaju w kuźden Wielki Czwartek.

Pogoda się ustalała podobna wczorajszej; smutniej jeno było jakoś na świecie i jakby ciszej. W nocy przyszedł ziąb, to rano podnosił się osiwiwały rosami, przemglony a chłodny, że już na dużym dniu, a jeszcze świegotały jaskółki na dachach pokulone i rozgłośniej krzyczały gęsi wypędzone nad staw, ale wieś, skoro jeno rozedniało, wstała od razu na równe nogi.

Jeszcze do śniadań było daleko, a już powstał rwetes i krętanina, dzieci zaś wypędzane z chałup, by nie przeszkadzały, nosiły się po drogach, grzechocąc a klekotając w kołatki.

Nawet mało która poszła na mszę, odprawiającą się dzisiaj bez grania i dzwonienia.

Szła już bowiem ostatnia pora, bych się zabierać do porządków świątecznych, a głównie do wypieku chlebów i zaczyniania na placki a owe wymyślne kukielki, toteż prawie w każdej chałupie okna i drzwi stały szczelnie poprzywierane by ciast nie zaziębić, buzowały się ognie, a z kominów biły dymy w pochmurzone niebo.

Po oborach zaś ryczały inwentarze, żłoby ogryzając z głodu, świnie pyskały w ogródkach, drób się wałęsał po drogach, a dzieci robiły, co chciały, za łby się wodząc i po drzewach łażąc za wronimi gniazdami, gdyż nie było komu przeszkodzić, bo wszystkie kobiety tak się zajęły rozcynianiem i toceniem bochenków, otulaniem w pierzyny dzież i niecek z ciastem, wsadzaniem do pieców, że jakby o całym świecie zapomniały, tym się jedynie frasując, by zakalec nie wlaźł do placka albo się nie spaliły.

A wszędzie szło to samo: u młynarza, u organistów, na plebanii, u gospodarzy czy komorników, bo żeby najbiedniejszy i choćby na bóg albo za tę ostatnią ćwiartkę, a musiał sobie narządzić jakie takie święcone, żebych chocia raz w rok, na Wielkanoc, podjeść se do woli mięsiwa i onych smakowitych różności.

Że zaś nie wszędzie mieli szabaśniki do wypieku, to w sadach między chałupami gęsto krążyły dzieuchy z naręczami szczap, a niekiedy ukazywały się nad stawem kobiety umączone, rozbabrane i kieby na procesji owe feretrony, ostrożnie dźwigające wielgachne stolnice i niecki pełne placków, ponakrywanych poduszkami.

Nawet w kościele szła robota: parobek księży zwoził z lasu świerczaki, a organista wespół z Rochem i Jambrożym jął przystrajać grób Panajezusowy.

A nazajutrz, w piątek, robota się jeszcze wzmogła tak bardzo, że nawet mało kto dojrzał organistowego Jasia, którego z klas na święta przyjechał i spacerował po wsi w okna jeno zaglądając, gdyż ani sposobu zajrzeć było do kogo, ni z kim pogadać.

Jakże, ani wleźć do której chałupy, bo wszędzie przejścia i nawet sady stały zawałone szafami, łózkami a sprzętem przeróżnym, że to izby bielili dzisiaj na gwałt, szorowali podłogi, a przed domami myli do czysta obrazy, powystawiane pod ściany.

Wszędy zaś taki gwałt panował i krętanina, że w dyrdy biegali poganiając się jeszcze do pośpiechu i wrzawę czyniąc coraz większą, dzieci nawet pędząc do zgarnywania błota w obejściach i wysypywania żółtym piaskiem opłotków.

A że wedle starego obyczaju od piątku rana aż do niedzieli nie godziło się jeść ciepłej warzy, więc głodowali ździebko na chwałę Pańską poprzestając na suchym chlebie i ziemniakach pieczonych.

Juści, iż przez te dni takusienko kaj indziej działo się i u Borynów, tyle jeno różnie, że więcej było rąk i z groszem skrzybot mniejszy, to i rychlej pokończyli przygotowania.

W piątek, już o samym zmierzchu, Hanka wespół z Pietrkiem skończyła bielenie izb i chałupy, więc zaczęła się śpiesznie myć i przyogarniać do kościoła, bo już szły drugie kobiety na złożenie do grobu Ciała Jezusowego.

Na kominie huczał duży ogień i w grapie, którą dwojgu ciężko było podjąć, gotowała się cała świńska noga, naprędce wczoraj przywędziona, w mniejszym zaś saganie kiełbasy parkotały, że po izbie chodziły takie wierzące w nozdrzach smaki, aż Witek strugający cosik wpośród dzieci raz po raz nosem pociągał i wzdychał.

A pod kominem, w samym świetle ognia, siedziały zgodnie Jagna z Józką, zajęte pilnie kraszeniem jajek, a każda swoje z osobna chroniła i kryjomo, aby się barzej wysadzić. Jagusia najpierw myła swoje w ciepłej wodzie i wytarte do sucha dopiero znaczyła w różności roztopionym woskiem, a potem wpuszczała we wrzątek bełkocący we trzech garnuszkach, w których je kolejno zanurzała. Żmudna była robota, bo wosk miejscami nie chciał trzymać albo jajka w rękach się gnietły lub pękały przy gotowaniu, ale w końcu naczyniły ich przeszło pół kopy i nuż dopiero okazywać sobie i przechwalać się piękniej kraszonymi.

Kaj się ta było Józce mierzyć z Jagusią! Pokazywała swoje, w piórkach żytnich i cebulowych gotowane, żółciuchne, białymi figlasami ukraszone i tak galante, jak mało która by potrafiła, ale ujrzawszy Ja-

gusine, gębę ozwarła z podziwu i markotność ją chyciła. Jakże, to aż mieniło się w oczach, czerwone były, żółte, fioletowe, i jak lnowe kwiatuszki niebieskie, a widać było na nich takie rzeczy, że prosto nie do uwierzenia: koguty piejące na płocie, gąski na drugim syczały na maciory, uwalone w błocie; gdzie znów stado gołębi białych nad polami czerwonymi, a na inszych wzory takie i cudeńka, kiej na szybach, gdy zamróż je lodem potrząsie.

Dziwowali się temu oglądając raz po raz, a kiej Hanka powróciła z Jagustynką z kościoła, też wzięła patrzeć, ale nic nie rzekła, jeno stara, przejrzawszy wszystkie, szepnęła w zdumieniu:

– Skąd się to bierze u ciebie?... no, no...

– Skąd?... a samo tak z głowy pod palce przychodzi!

Uradowana była!

– Dobrodziejowi by parę zanieść!

– Świecił jutro będzie, to mu podam, może weźmie...

– Takie śliczności, że dobrodziej nie widzieli!... zdziwiają się wielce! – mruknęła urągliwie Hanka, gdy Jagna poszła na swoją stronę, bo już późno było.

Na wsi też długo w noc siedzieli tego wieczora.

Chmurno było na świecie i ciemno, choć spokojnie; młyn jeno turkotał zawzięcie, a po chałupach prawie do północkska świeciło się w oknach, że kładły się światła na drogach, a kajś niekaj aż na stawie się trzęsły wraz z wodą: majstrowali ano świąteczne przyodziewy i kończyli jeszcze roboty.

Sobota zaś przyszła całkiem ciepła i mgłami rzadkimi otulona, ale tak jakoś weselnie było na świecie, że naród, chociaż po ciężkiej pracy wczorajszej, żwawo się podnosił do nowych utrudzeń i turbacji.

A przed kościołem wnet się zatrzęsło od przekrzyków i biegów, bo jak to było we zwyczaju odwiecznym, w każdą Wielką Sobotę zebrali się zaraz rankiem chować żur i grzebać śledzia, jako tych najgorszych trapieli przez Wielki Post. Nie było parobków ni starszych, to zmówiły się na to same chłopaki, jeno z Jaśkiem Przewrotnym na czele, porwali gdziesik wielki garnek z żurem, do którego jeszcze dołożyli różnych paskudności.

Witek dał się namówić i poniósł garnek na plecach w siatce od serów, drugi zaś chłopak włókł pobok na postronku śledzia, wystruganego z drzewa. Żur ze śledziem szły w parze przodem, a za nimi całą hurmą reszta, grzechocąc, kołatając a wrzeszcząc, co ino gardzieli starczyło. Jasiek wiódł wszystkich, bo chociaż głupawy był i niemrawa, ale

do psich figlów głowę miał i sprawność. Obeszli w procesji cały staw i koło kościoła skręcali już na topolową drogę, kaj się to miał odbyć pochówek, gdy wtem Jasiek walnął łopata w garnek, że rozleciał się w kawałki, a żur z onymi różnościami polał się po Witku.

Uciecha zapanowała, że aż przysiadali na drodze, ale Witek się zeźlił i prosto z gołymi rękoma rzucił się na Jaśka, pobił się i z drugimi; aż wyrwawszy się poleciał z rykiem do chałupy.

Dołożyła mu jeszcze Hanka od siebie za zniszczony całkiem spencerek i w las pognąła po borowinowe gałązki i wasy zajęcze.

Jeszcze się z niego ześmiał Pietrek, a i Józka nie pożałowała, pilnie wysypując szerokie opłotki, aż do drogi, piaskiem, przywiezionym spod cmentarza, bo tam był najżółciejszy; wysypała też cały zajazd przed gankiem i ścieżka pod okapem, że jakby opasała chałupę w żółtą wstęgę.

A w Borynowej izbie już się wzięli szykować święcone.

Izba była wymyta i piaskiem wysypana, okna czyste i ściany, a obrazy omiecione z pajęczyn, Jagusine zaś łóżko pięknie chustką przykryte.

Hanka z Jagusią i Dominikową, choć nie mówiły prawie z sobą, ustawiły pod szczytowym oknem, w podle Borynowego łóżka, duży stół, nakryty cieniuseką, białą płachtą, której wręby oblepiła Jagusia szerokim pasem czerwonych wystrzyganek. Na środku, z kraja od okna, postawili wysoką Pasyjkę, przybraną papierowymi kwiatami, a przed nią na wywróconej donicy baranka z masła, tak zmyślnie przez Jagnę uczynionego, że kiej żywy się widział: oczy miał ze ziarn różańcowych wlepione, a ogon, uszy, kopytka i chorągiewkę z czerwonej, postrzępionej wełny. Dopiero zaś pierwszym kołem legły chleby pytlowe i kołacze pszenne z masłem zagniatane i na mleku, po nich następowały placki żółciuchne, a rodzynkami kieby tymi gwoździami gęsto ponabijane; były i mniejsze, Józine i dzieci, były i takie specjały z serem, i drugie jajeczne cukrem posypane i tym maczkiem słodziuskim, a na ostatku postawili wielką michę ze zwojem kielbas, ubranych jajkami obłupanymi, a na brytfance całą świńską nogę i galanty karwas głowizny, wszystko zaś poubierane jajkami kraszonymi, czekając jeszcze na Witka, by ponatykać zielonej borowiny i tymi zajęczymi wąsami opleść stół cały.

A tyle co skończyły, sąsiadki jęły z wolna znosić swoje na miskach, niecułkach a donicach i ustawiać je na ławie pobok stołu, gdyż ino w kilku chałupach co przedniejszych gospodarzy zbierać się ze święco-

nym ksiądz nakazywał, że mu to czasu brakowało chodzić po wszystkich.

Lipce miał najbliżej, to święcił na ostatku, nieraz już o samym zmierzchu.

Porozchodziły się bez dłuższej pogwary, by zdążyć jeszcze do kościoła na uroczystość poświęcenia ognia i wody, zalewając przedtem ogniska w chałupach, by je znowu rozniecić tym młodym, poświęconym ogniem.

Poleciała na to i Józka zabrawszy dzieci z sobą.

Ale siedzieli dość długo, bo dopiero w samo południe powracały kobiety, ostrożnie przysłaniając i chroniąc świece zapalone w kościele...

Józka przyniosła wody całą flaszkę i ogień, którym zaraz Hanka rozpałała drwa przygotowane i pierwsza też wody święconej popiła dając kolejnie wszystkim – od chorób gardzieli pono strzegła – a potem skropiła nią inwentarz i drzewiny rodne w sadzie, że to się przyczyniało do urodzajów i dawało bydłatom letkie łągi.

A później widząc, że ni Jagna, ni kowalowa nie pomyślały o starym, umyła go w ciepłej wodzie, przyczesła jego skołtunione włosy i przewlekła mu koszulę i pościele. Boryna dozwalał z sobą robić wszystko, nie poruszywszy się ani razu, leżał jak zawždy wpatrzony przed siebie i martwy jak zawždy...

Zaraz z południa zrobiło się na wsi jakby święto, jeszcze tu i owdzie doganiali grubszej roboty, ale już głównie zajęli się przyodziewkiem świątecznym, czesaniem, myciem i szorowaniem dzieci, że nie z jednej chałupy wydzierały się krzyki obronne.

I wypatrywali niecierpliwie księdza, któren przyjechał ze dworów dopiero przed zmrokiem i zaraz zjawił się na wsi, w komżę ubrany.

Michał organistowy niósł za nim miednik z wodą święconą i kropiło.

Hanka wyszła go przyjmować aż na drogę.

Spieszył się, wpadł pędkiem do chałupy, odmówił modlitwę, pokropił dary Boże i zajrzał w siną, obroslą twarz Borynową.

– Bez zmiany? co?

– A juści, rana się prawie zagoiła, a im nic nie lepiej.

Zażył tabaki, powłókł oczyma po kupiących się przy progu i w sieniach.

– Gdzie to ten chłopiec, który mi sprzedał bociana?

Józka wypchnęła spod komina na środek zawstydzonego Witka.

– Naści dziesiątkę, udał ci się: tak kury goni z ogrodu, że ni jedna nie zostaje!... A jutro które do mężów idą?

– Z pół wsi się wybiera!

– To dobrze, byle tylko zgodnie i cicho, a na rezurekcję przychodzić, o dziesiątej zacznę, mówię: o dziesiątej! A śpijcie w kościele, to Ambrożemu każę wyprowadzić! – dodał groźnie, wychodząc powoli.

Ruszyli z nim całą gromadą odprowadzając do młynarzów.

A Witek, pokazując Józce miedzianą dziesiątkę, szepnął ze złością:

– Niedługo będzie mój bociek księżu kury płoszył, nie!..

Rozbiegli się we dwie strony, bo gospodyni wracała na ganek.

Ściemniało się z wolna, zmierzch cichuśko sypał się na ziemię zaptapiając sady, domy i pola okólne w modrawym, ledwie przejrzanym mącie, białały kajś niekaj ściany z przypadłych do ziemi chałup i trzęsły się wskroś sadów zapalone światła, górą zaś na niebie jasnym wyrzynał się blady sierp młodego miesiąca.

Świąteczną cichością osnuła się wieś i mrokiem, w kościele wyniesionym nad chałupami zagorzały wszystkie okna i z otwartych wielkich drzwi biła szeroka smuga światłości.

Wkrótce zaturkotały pierwsze wozy zajeżdżając przed cmentarz i ludzie z dalszych wsi nadchodząc poczęli gromadami, z chałup lipcekich też raz po raz wychodzono do kościoła, bo często z wywieranych drzwi padała w noc struga światła topiąc się w omroczałym stawie, i tupoty a przyciszone pogwary mrowiły się w ciepłym i omglonym powietrzu. Pozdrawiali się na drogach, nie dojrzawszy w nocy, i niby ta rzeka, wzbierająca z wolna a bezustannie, ciągnęli na rezurekcję.

U Borynów na gospodarstwie do pilnowania ostawały ino psy, stary Bylica i Witek, któren pilnie majstrował wespół z Maćkiem Kłębowym kogutka, co to z nim mieli pójść po dyngusie.

Hanka wyprawiła najpierw Józkę z dziećmi i parobka; sama później miała nadejść. Ubrana już była, ale ociągała się z wyjściem, jakby na coś oczekując, że wciąż wystawała w ganku i stróżowała na drodze. Dopiero gdy Jagna poszła z kowalową i dosłyszała kowala idącego z wójtem ku kościołowi, wróciła do izby, przykazując cosik po cichu staremu. Stał na straży w opłotkach, a ona wsunęła się na palcach do ojcowej komory... Po dobrej półgodzinie wyszła stamtąd, coś pilnie zapinając stanik; oczy jej gorzały i ręce się trzęsły.

Nagadała, czego nikto nie pojął, i poszła na rezurekcję.

ROZDZIAŁ 5

Na drogach było pusto i ciemno, w chałupach gasły światła i przechodzili już ostatni ludzie, jeno na kościelnym placu stały gęstwą wozy z wyłożonymi końmi, że tylko tupoty a parskania roznosiły się w mroku, a pod dzwonnica czerniały dworskie powozy.

Hanka jeszcze raz w kruchcie cosik pomajdrowała kiele stanika i spuściwszy chustę na plecy, jęła się ostro przepychać do przednich ławek.

Kościół już był jakby nabity, ściżbiony naród kłębił się i wrzał niby woda, z poszumem pacierzy, wzdychań, kaszłów a pozdrawiań, i kołysał się od ściany do ściany, aż się od tego naporu kolebały chorągwie w ławki pozatykane i te świerczaki, którymi umaili ołtarze i ściany wszystkie.

Ledwie co się przepchała do swojego miejsca, kiej proboszcz wyszedł z nabożeństwem, i wraz też jęły się z gęstwy rwać głośne wzdychy i te ręce szeroko rozwodzone. Klękali kornie cisnąc się coraz barzej, że wnet cały naród był na kolanach, ramię przy ramieniu, dusza przy duszy, jako to pole nasadzone głowami, że ino w tym rozkołysanym ździebko, człowieczym łanie oczy się mrowiły, połyskliwie kiej motyle niesąc się ku ołtarzowi wielkiemu, na figurę Jezusa zmarłychwstałego, któren stał nagi, skrwawiony, ranami pokryty i w płaszcz czerwony jeno przyodziany z chorągiewką w rękę.

Cichość z nagłą objęła kościół, jakby tego zwieszowego przypołudnia, kiej to słońce przypiecze pola, wiater ustanie i przygięte zboża se kłosami gwarzą, a jeno gdziesik wysoko, pod niebem modrym, skowronkowe pieśni słodko podzwaniają...

Rozmadlali się z wolna, że wargi się wszędy trzęsły i pacierze ze wzdychaniami szemrały cichuśko a rzęsiście kiej ten deszczyk trzepiący po liściach; głowy pochylały się coraz niżej, czasem jęk wyrwał się skądciś, to czyjeś rozmodlone ręce wychyły prosiąc ku ołtarzowi albo i płacz zakwilił piskłęcy, żalorny, z tej ciżby, co jak krze przyziemne tuliła się trwożnie w cieniach naw wyniosłych i mrocznych,

niby bór odwieczny, bo chociaż na ołtarzach gorzały światła, gęsty mrok zalegał kościół, że to oknami a głównie przez wielkie drzwi wywarła noc się cisnęła czarna i zaglądał blady sierp księżyca zza chmur.

Jeno Hanka nie mogła się przyłożyć do pacierza, trzęsła się w sobie tak zalękniona, jakby to jeszcze tam była, w komorze ojcowej.

Dreszcz ją przejmował, czuła na rękach sypkie zimno zboża i raz po raz ścisnęła ramiona, aby poczuć między piersiami wtulony węzełek.

Tak ją roztrzęsła radość i strach jakiś zarazem, że często różaniec wysuwał się z palców, zapominała słów modlitwy wodząc rozpalonymi oczyma po ludziach, a nie dostrzegając nikogo, choć pobok siedziała Józka, Jaguś z matką i drugie.

W ławkach stojących z boku ołtarza modliły się na książkach dziewczeczki z Rudki, z Modlicy i dziedzicówny z Wólki, a dziedzice stały we drzwiach zakrystii, poredzając cosik; na stopniach ołtarza stała z daleka młynarzowa i organiścina, sielnie wystrojone. Zasie przed kratą, tam, kaj było miejsce la najpierwszych gospodarzy lipeckich, które zawsze stróżę trzymali w czas nabożeństwa, baldach nosili nad dobrodziejem i pod ręce go wiedli na procesjach, klęczały teraz gęstą ławą chłopcy z drugich wsi, że ledwie było można dojrzeć między nimi wójta, sołtysa i ten czerwony łeb kowalowy.

Niejedne kobiece oczy się tam niesły wypatrując tęskliwie swoich... ale na darmo: były tam chłopcy z Dębicy, z Woli, z Rzepek, z całej parafii, jeno lipeckich nie dojrzał, jeno tych najpierwszych dzisiaj nie stało. Zatrzepotały się też dusze kobiece kiej ptaki spłoszone, że niejedna głowa z płaczem do ziemi przywarła, niejednen jęk żalony rwał się z gęstw, a bolesne przypominki sieroctwa żywym ogniem zapiekły.

Jakże, największe święta w całym roku, Wielkanoc, i tyła obcego narodu się zebrało, a na wszystkich twarzach choć ździebko przychudłych z postu, radość się rozlewa, puszą się ano, paradują strojami, rozpierają w kościele kieby dziedzice, toczą hardo oczyma, zajmują pierwsze miejsca, a tamte, lipeckie mizeraki, cóż teraz czynią, co? W ciemnicach ano o głodzie i chłodzie krzywdę gorzką gryzą i żalem się pasą, i tęsknicą...

La wszystkiego stworzenia dzień radości nastaje, jeno nie dla nich... chudziaków pokrzywdzonych... Wszystkie społem do chałup powrócą radośnie zażywać świąt, odpoczynku, jadła, zwiesnowego słońca, przyjacielskich ugwarzeń, jak Pan Bóg przykazał, jeno nie te opuszczone lipeckie sieroty...

Same rozbolełe, chyłkiem rozejdą się do pustych domów i ze łzami przegryzać będą ten placek świąteczny, a z tęsknicą i turbacjami społem do snów legną...

Jezus mój, Jezus! rwały się żalne, przyduszone skowyty dokoła Hanki, aż przecknęła dojrzwawszy naraz znajome twarze i oczy łzami przeszkłone... Nawet Jaguś zwiesiła głowę nad książką i na białe karty lała ciężkimi łzami, aż ją matka szturchaniem przywodziła do opamiętania, hale! poredziła się utulić, kiej właśnie Antek jawił się w pamięci tak żywo, że jak wtedy w Boże Narodzenie słyszała głos jego gorący i zdało się jej, iż wpodłe klęczy cisnąc głowę do jej kolan... to żal ją ściśnął za serce i same łzy się polały z nagłej tęskności...

Szczeńciem, co dobrodziej w tę porę rozpoczął kazanie i rumor się czynił w kościele, gdyż powstawali z klęczek, cisnąc się jeszcze barzej ku ambonie i zadzierając głowy w górę, ku księdzu, któren o Męce Pańskiej powiadał i o tym, jak go to paskudne Żydowiny ukrzyżowały, że to świat przyszedł zbawić, że sprawiedliwość chciał dawać pokrzywdzonym, że za biedotą się upominał. Tak rzewliwie owe krzywdy Pańskie na oczy przywodził, jaże się gorąco robiło i niejedna pięść chłopska zwierala się na odemstę, a babi naród w głos szlochał czyniąc sprawę wedle nosów.

Długo nauczał wykładając wszystko dokumentnie, jaże kajś niekaj oczy kleiły się śpikiem, a po kątach już na dobre drzemali, ale pod koniec zwrócił się prosto do narodu i wychylony z ambony, jał sielnie wytrząchać pięściami a krzyczeć, jako co dnia, co godzina i na każdym miejscu Jezus umęczon jest przez grzechy nasze, zabity przez złość, bezbożności a nieposłuszeństwo prawom boskim, jako kaźden człowiek krzyżuje Go w sobie, nie pomnąc na Jego rany ni krew świętą, wylaną dla naszego zbawienia!

Ryknął ci na to cały naród i płacze, szlochania kiej wichur roznieśli się jękiem wstrząsającym po kościele, aż przestał mówić. Dopiero kiej przycichli, zaczął znowu, ale już radośnie i krzepiąco, o Zmartwychwstaniu Pańskim powiadać. O onej zwieśnie, jaką Pan w dobroci swojej czyni co rok człowiekowi grzesznemu i czynić będzie aż do owej pory, kiej Jezus powróci znowu na świat, by sądzić żywe i pomarłe, by harde poniżyć, grzeszne w ogień piekielny na wiek wieków spychać, a sprawiedliwe po prawice swojej sadzać w chwale wiekuistej! Jako przyjdzie ten czas, iż wszelka niesprawiedliwość ustanie, wszelka krzywda weźmie zapłatę, a płakania cierpiących ustaną i zło panować nie będzie...

I tak gorąco to mówił, tak pocziwie, że każde słowo kiej słodkość lało się w serca i kieby słońce rozpałało w duszach, że dziwna błogość przejmowała wszystkich, jeno lipeckie ludzie zatrzęśli się z żalu i przypomnienia krzywd tak boleśnie ścisnęły dusze, jaże ryknęli wraz z płaczem, krzykiem, szlochaniem i walili się krzyżem na podłogę, tym jękiem żalnym, tym skrzybotem serdecznym wołając o zmiłowanie i poratunek...

Zakotłowało się w kościele, płacz się podniósł powszechny i krzyki, ale wnet pomiarkowali drudzy i jęli podnosić lipeckie kobiety, usadzać je a krzepić dobrymi słowy, a dobrodziej pocziwy ocierając łzy rękawem wołał, że Pan Jezus doświadcza tych, których miłuje, iż chociaż zawinili, kara rychło się skończy, bych jeno dufali w miłosierdzie Pańskie, a lada dzień powrócą wszystkie chłopy...

Uspokoiłi się po tych słowach, ulżyło im galanto i dufność wstąpiła w serca.

A gdy wnet potem ksiądz zaintonował u ołtarza pieśń Zmartwychwstania, kiej organy wtórem huknęły z całej mocy, kiej dzwony zaśpiewały na cały świat, a dobrodziej z Przenajświętszym Sakramentem jał zstępować ku narodowi w sinym obłoku kadzideł i dzwonnej wrzawie, pieśń buchnęła ze wszystkich gardzieli, zakolebała się ciżba, palący wichur uniesienia osuszył łzy i porwał dusze, iż naraz społem, kiej ten bór człowieczy, rozchwiany i śpiewający jednym, ogromnym głosem, ruszył procesją za proboszczem, któren monstrancję dźwierzł przed sobą, że jakoby słońce złociste, słońce promieniejące rozgorzało nad głowami, płynąc z wolna skroś gęstwy nieprzeliczonej, wskroś światła jarzących, w kadzielnych dymach ledwie dojrzone, śpiewaniami opowite i przez oczy wszystkiego narodu, i przez serca wszystkie z miłością niesione...

Obchodzili kościół we środku a wolniuśko, noga za nogą, cisnąc się w strasznej ciasnocie i śpiewając z całej mocy, a organy wciąż grały, a dzwony bezustannie biły...

Alleluja! Alleluja! Alleluja! Huczał kościół, aż mury się trzęsły, śpiewały serca wszystkie i gardziele, a te głosy płomienne i ogniem nabrzmiałe niby żar-ptaki rwały się z krzykiem wesela ogromnym, kołowały pod sklepieniami, kieby pośleple w upale, i w noc wiośnianą płynęły, na słońca się gdziesik niesły, we wszystek świat, kaj jeno uniesieniem dusze człowiecze sięgają...

Prawie przed północkingiem skończyło się nabożeństwo i ludzie jęli się śpieszno na świat wywalać. Tylko Hanka ostała jeszcze, bo się tak

rozmodliła gorąco, tak ją ano słowa księże przejęły otuchą, a te śpiewy radosne, nabożeństwo i pamięć tego, czego to dzisiaj dopięła, tak ją ukrzepiły, iż całą radość składała pod Jezusowe nogi, zapomniawszy w pacierzu o całym świecie. Dopiero Jambroży brząkaniem kluczków przyniewolił ją do wyjścia z pustego już kościoła.

Że nawet i ten strach o Antka, którego od tyła czasu żył w niej i skowyczał za leda powodem, jakby w niej pomarł nagle, tak bardzo poczuła się spokojna i dufna w sobie.

Rozglądała się za swoimi posuwając się wolno ku domowi, gdyż wozy toczyły się nieprzerwanym łańcuchem i ludzie szli całymi kupami bokiem drogi, ledwie dojrzanej, bo księżyc już zaszedł i ciemno było na świecie, bure chmurzyska ciągnęły górą, co trocha przesłaniając te granatowe pola nieba, kaj się jarzyły gwiazdy dalekie.

Noc szła ciepła, cicha i od ros obfitych wilgotnawa, z pól pociągał mięciuchny wiaterek, przejęty surowizną ziemi i mokradeł, a po drogach roznosiły się miodne zapachy topoli i brzoźek. Ludzie mrowili się w cieniach wsi, że ino kajś niekaj zamajaczyły głowy na jaśni powietrza nieprzysłonionego; wszędy rozlegały się kroki a głosy, pieski też zajadlej docierały z opłotków, a po chałupach tu i owdzie rozbłykiwały światła.

Hanka, opatrzywszy po drodze stajnie i obory, poszła do chałupy. Już się tam kładli spać.

– Niech jeno wróci a gospodarzy, to ni słówkiem mu przypomnę przeszłe. – Postanawiała rozdziewając się do snu. – A jeżeli znówuj się z nią sprzęgnie? – pomyślała naraz, dosłyszawszy Jagusię wracającą na swoją stronę.

Legła w pościel, nasłuchując czas jakiś. Na wsi było cicho, jeno z dróg dalekich trzęsły się ostatnie turkoty wozów i głosy zamierające w pustych oddalach.

– Boga by nie było ni sprawiedliwości na świecie!– szepnęła groźnie, ale zbrakło jej sił do rozmyślań, bo śpik ją zaraz z miejsca zmorzył.

.....

Nazajutrz bardzo późno obudziły się Lipce.

Dzień się już rozwierał kiej to modre oko, jeszcze bielmem śpiku zasnutę, ale już widne do cna i połyskujące, a wieś spała w najlepsze.

Nie kwapili się zrywać z barłogów, choć dzień ci to szedł Pańskiego Zmartwychwstania. Słońce wyniesło się zarno od wschodu i zagrało

w stawach a rosach, i płynęło po bladym, wysokim niebie, jakby śpiewając wszemu światu ciepłem a światłością: Alleluja!

Niesło się ogromne i płomienne wskroś mgieł przyziemnych; wskroś sadów i chałup, i pól, że ptaki zaśpiewały radośnie, wody dzwoniły weselnym bełkotem, bory zaszumiały, wiatery powiały, zatrzęsły się młode liście, a ziemia zadrgała, że gęste runie zbóż zakolebały się cichuśko i rosy kiej łzy posypały się na ziemię.

Hej! wesóły dzień nastał! Chrystus nam zmartwychwstał! Alleluja!

Zmartwychwstał On, umęczon i lutą złością zabity! Powstał ci znowu w żywe, z ciemności, z mrozów, z pluch się wyniósł Najmilszy! Śmierci srogiej się wydarł, zmógł niezmożone ku człowiekowemu szczęściu i oto w ten czas wiosniany, w tę porę rodną unosi się nad ziemiami, w tym słońcu przenajświętszym utajony, i rozsiewa wokół wesele, budzi omdlałe, ożywia martwe, wznosi przygięte, jałowe zapładnia.

Alleluja! Alleluja! Alleluja!...

Tym ci to świat wszystkim się rozlegał onego dnia Pańskiego.

Jeno w Lipcach było ciszej i smutniej niżli po inne roki w tę porę.

Zaspali galanto, bo już o dużym dniu, kiej słońce wciągało się nad sady, dopiero ruch się czynił po chałupach, skrzypiały wierzeje i rozczochrane głowy wyglądały rozziwane na świat Boży, którego stał w słońcu, skowronkowymi świergotami dzwoniący i młodą zielenią przytrząśnięty.

I u Borynów zaspali. Jedna Hanka, co się ździebko poraniła, by obudzić Pietrka do szykowania konia i bryki, sama zaś zajęła się przygotowaniem święconego. Józka. tymczasem z niemałym piskiem pucowała dzieci, sama się też we świąteczne szmaty przyodziewając, a pod studnią na podwórzu Pietrek z Witkiem domywali się do czysta; tylko stary Bylica zabawiał się z pieskiem na ganku, często nosem pociągając, czy już krają kiełbasy.

Wedle zwyczaju nie rozpalono ognia w kominie, kontentując się zimnym święconym. Właśnie je była Hanka przynosiła z ojcowej izby, rozdzielając po talerzach, że każdemu po równo wypadło po kawale kiełbasy, szynki, sera, chleba, jajek i placka słodkiego.

Dopiero kiej się i sama ogarnęła, zwołała wszystkich do jadła i nawet poszła po Jagusię; przyszła ci zaraz sielnie zestrojona i tak piękna, że kiejby zorza się widziała, a modre oczy niby gwiazdy jarzyły się spod lnowych, gładko przyczesanych włosów. Ale wszyscy zarówno byli w szmatach świątecznych, że ino grały w oczach wełniaki i gorse-

ty, a i Witek, choć boso, w nowym był spencerku ze świecącymi guzikami, co je był uprosił od Pietrka, któren dzisiaj wystąpił w całkiem nowej przyodziewie: w granatowym żupanie i portkach pasiastych żółtozielonych, wygolił się do czysta, włosy obciął, jak drugie, równo nad czołem i koszulę na czerwoną wstążkę zawiązał, że skoro wszedł, zdumieli się przemianą, a Józka jaże w ręce zaklaskała:

– Pietrek ci to? a to by cię rodzona nie poznali!

– Burkową skórę zrzucił i parobek kiej świeca... – zauważył Bylica.

Prześmiechnął się ino parob tocząc oczyma za Jagusią a robiąc grydką, gdyż Hanka, przeżegnawszy się, przepijała gorzałką do każdego i niewoliła zasiadać do stołu. Zajęli ławki, że nawet Witek, choć nieśmiało, przysiadł na kraju.

I pojadali z wolna, w cichości smakując święconego, że to bez tyle tygodni niezgorzej się wypościli. Kielbasy czujne były, czosnkiem dobrze przyprawione, gdyż po izbie rozniosły się zapachy, jaże psy się wierciły między ludźmi skamlając żałośnie.

Nikto się nie ozwał, póki pierwszego głodu nie zapchali tęgo pracując, że ino w onej uroczystej cichości spożywania glamania się rozchodziły, przysapki a bulgoty gorzałki, bo Hanka nie żałowała nikomu, sama jeszcze przyniewalając do picia.

– Rychło to pojedziem? – ozwał się pierwszy Pietrek.

– Zaraz choćby, po śniadaniu.

– Jagustynka chciała się z wami zabrać do miasta – wtrąciła Józka.

– Przyjdzie na czas, to pojedzie, czekać nie będę.

– Obroków to wziąć?

– Na jeden popas, wieczorem wrócimy.

I znowuj jedli, aż niejednemu ślepie wylaziły z onej lubości, twarze czerwieniały i sytność rozpierała serca gorącym i głęboką radością. Wolniuśko pojedali nadziewając się z rozmysłem, by jak najwięcej zmieścić i jak najdłużej czuć w gębie smakowitości. Dopiero kiej Hanka się podniosła, wzięli się też dźwigać od nich z dobrą już wagą w kałdunach, a Pietrek z Witkiem, czego byli nie dojedli, do stajni ponieśli z sobą.

– Szykujże zaraz konie! – zarządziła Hanka i przyrychtowawszy la męza toboł święconego, co go ledwie uniesła, odziewać się jęła do drogi.

Już ano konie czekały przed chałupą, kiej wpadła zadyszana Jagustynka.

– Mało co nie czekałam na waju!...

– Toście już po święconym? – westchnęła żałośnie pociągając nosem.

– Znajdzie się jeszcze la was, siadajcie, przegryźcie coniebądź...

Juści, nie potrza było wygłodzonej biedoty przyniewalać, przypięła się do jadła kiej wilk i zmiatała, co ino było na podorędziu.

– Pan Jezus wiedział, na co świńtucha stworzył! – szepnęła, podjadłszy nieco. – Jeno to dziwna, że choć mu za życia w błocie legać pozwalają, to po śmierci radzi go w gorzałce moczą! – prześmiewała po swojemu.

– Pijcie na zdrowie a prędko, bo czas nagli.

I może w pacierz pojechały. Hanka już z bryki nakazywała Józce, by nie zapominała o ojcu, tak że dziewczyna zaraz nadrobiła różności na talerz i poniesła. Nie ozwał się na jej zagadywania ni nawet spojrzął na nią, ale co mu wetknęła w zęby, zjadł chciwie, patrząc wciąż martwym wzrokiem jak zawdy. Może by nawet i więcej pojadł, ale Józce się przykrzyło i poleciała na dwór patrzeć, jak prawie z każdej chałupy wyjeżdżały lub wychodziły kobiety z tobołkami, że kilkanaście wozów toczyło się do miasta i nad rowami ciągnęły rzędem kobiety, czerwono przyodziane, z węzełkami na plecach.

A kiej się rozwiały ostatnie turkoty, padła na wieś dziwnie smutna cichość i pustka; dzień się powłókł wolno, głucho milczenie zaległo drogi, ni gwarów zwyczajnych w taką porę, ni śpiewań, ni ludzi, tyle jeno, co tam nieco dzieci uwijało się nad stawem śmigając kamieniami na gęsi.

Słońce szło w górę, jasnością zalewając świat, ciepło się podnosiło, że już muchy brzęczały po szybach, jaskółki zapamiętałe chlustały wskroś przejrzystego powietrza, staw mienił się w ogniach, drzewa zaś, kiejby spławione w zieleni, polśniewały świeżyzną rozlewając miodne zapachy; z pól ogromnych, opłyniętych niebieskością, bił niekiedy chłodnawy, ziemią przejęty ciąg i skowronkowe śpiewania; wszystek świat tchnął zwiesnową cichą lubością, a od wsi, ledwie widnych w dalekościach, słoneczną pożogą przemglonych, niesły się czasami jędrne krzykania i huki pistoletowych strzelań!

Jeno w Lipcach było pusto i żalobnie kiejby po pogrzebie, tyle co wypuszczone do picia bydło łąziło, kiej chciało, cochając się o drzewa i porykując ku polom zieleniejącym. Pustką zarówno stały opłotki, jak i sienie powywierane, jeno miejscami na słonecznej stronie wygrzewali się pod białymi ścianami, gdzie zaś dziewczyny czesały się w oknach otwartych, a staruchy rozsiadłe na progach przeiskiwały dzieci.

I tak oto przechodziły godziny cichości sennej i smutnej, niekiedy wiatry zatrzęsły drzewinami, że poszumiały cichuśko wążąc się ku chatom i lękliwie jakby poglądając w puste izby, to wróble stado z wrzaskiem przenosiło się z sadu na drogę albo zaszarpały się krótkie krzyki dzieci, odganiających wrony od kurczątów.

Mój Jezu, nie tak było przódzi w ten dzień, nie tak!...

Słońce się już wspinało ku południowi, nad kominy, kiej Rocho przylaźł do Borynów, zajrzał do chorego, pogadał z dziećmi i zasiadł w ganku na słońcu. Poczytywał cosik na książce i bacznie wodził oczyma po drogach. A wkrótce nadeszła kowalowa z dziećmi i odwiedziwszy ojca, przysiadła na przyźbie.

– Wasz w domu? – zapytał Rocho po długiej chwili.

– Gdzie zaś!... do miasta zabrał się z wójtem.

– Cała wieś tam dzisiaj.

– Juści, pocieszą się nieco święconym, chudziaki.

– Wyście to z matką nie pojechali? – pytał Jagny wychodzącej.

– A cóż tam po mnie! – wyszła w opłotki spoglądając tęsknie na pola.

– Nowy wełniak ma dzisiaj! – szepnęła z westchnieniem Magda.

– Po matuli, nie poznajecie go to, co? A i korale wszystkie zawiesiła, i bursztyny te wielgachne też po matusi! – pouczała ją Józka żałośnie. – Jeny chustkę na głowie ma swoją...

– Prawda, tylachna szmat ostało po nieboszczkach, to nama ich tknąć nie pozwolili, a jej wszystko oddał, i paraduje se teraz...

– Hale, jeszcze kiejś wyrzekła przed Nastką, co są zleżałe i śmierdzą...

– Żeby jej tak zapachnęło to łajno diabelskie!

– Niech jeno ociec ozdrowieją, zarno upomnę się o korale, pięć sznurków ostało długich kiej bicze i jak groch największy!

Magda się już nie odezwała; westchnąwszy ciężko zaczęła iskać najmłodsze dziecko. Józka się też zaraz poniesła na wieś, Witek pod stajnią majstrował jeszcze cosik kiele kogutka, dzieci zaś baraszkowały razem z pieskami przed gankiem, pod okiem Bylicy, którego czuwał nad nimi kiej kokosz, a Rocho jakby ździebko zadrzemał.

– Skończyliście polne roboty?

– Tyle jeno, że ziemniaki wsadzone i groch posiany.

– U drugich i tyła nie zrobione!

– Zdążą jeszcze; powiedali, co puszczą chłopów na Przewody.

– Któż to taki wiedzący powiadał?

– A różni mówili w kościele! Kozłowa zbiera się iść prosić dziedzica...

– Głupia, dziedzic to ich więzi czy co?

– Bych się wstawił, to może by puścili...

– Wstawiał się już nieraz i nie pomogło...

– Żeby ino chciał, ale nie chce przez złość la Lipiec, mój powiada...

– urwała nagle pochylając zmieszana twarz nad dziecińską głową, trzymaną między kolanami, że Rocho na próżno czekał jakiegoś słowa.

– Kiedyż się tam Kozłowa wybiera? – pytał ciekawie.

– A zaraz po południu iść mają...

– Tyle wskórają, co się przeleczą i powietrza innego zachwyca.

Nie odrzekła, gdyż w opłotki skręcał z drogi pan Jacek, dziedziców brat, o którym powiadali, że głupawy był nieco, bo zawsze ze skrzypkami się nosił, na rozstajach pod figurami grywał i tylko z chłopami przestawał. Szedł przygięty ze skrzypicą pod pachą, z fajeczką w zębach, chudy, wysoki, z żółtą bródką i rozbieganymi oczyma. Rocho wyszedł naprzeciw. Musieli się znać, bo poszli razem nad staw i długo tam siedzieli na kamieniach, cosik cicho poredzając, że już dawno przedzwonili południe, kiej się rozeszli. Rocho wrócił na ganek, ale był jakiś osowiały i markotno patrzył.

– Schuchrało się panisko, że ledwiem go poznał! – ozwał się Bylica.

– Znaliście go? – ściszył głos oglądając się na kowalową.

– Jakżeby... Niemało dokazywał za młodu, niemało... Kat ci był la dzieuch... we Woli ni jednej nie przepuścił... dobrze baczę, w jakie to cuganty jeździł... jak se używał... baczę... – pojękiwał stary.

– Wziął za to ciężką pokutę, ciężką! Toście i najstarsi we wsi, co? Jambroży musi być starszy, bo jak ino baczę, on zawdy był stary.

– Sam rozpowiada, co śmierć o nim zapomniała! – wtrąciła kowalowa.

– Kostucha ta o nikim nie zabaczy, jeno tego ostawia se, by lepiej skruszał, bo kwardy, juści... wycygania się, jak może... juści... – jąkał cicho.

Zamilkli na długo.

– Baczę, kiej to w Lipcach wszystkiego piętnastu gospodarzy siedziało – zaczął znowu Bylica wyciągając nieśmiało palce ku tabace Rochowej.

– A teraz siedzi czterdziestu! – podsunął mu tabakierkę.

– I nowe już czekają na działą, urodzi rok czy nie, a naród zawsze jednako plonuje, juści... a ziemi nie przybywa... jeszcze nieco lat, a zbraknie la wszystkich... – Kichał rześście.

– A bo to już dzisiaj we wsi nie ciasno! – rzekła kowalowa.

– Prawda, a kiej się chłopaki pożenią, to już la ich dzieci nie ostanie i po morgu, juści...

– To we świat iść muszą! – zauważył Rocho.

– Z czym to pójdą? z gołymi pazurami ten wiater zagrabiąć?

– A Niemcy ano na Słupi wykupiły dziedzica i teraz się stawiają... po dwie włóki na osadę – mówił Rocho dość smutnie.

– Juści... powiadali o tym... hale Niemcy naród inszy, uczony i zasobny, handlują wespół z Żydami, a krzywdą ludzką se pomagają... a niechby tak po chłopsku z gołymi palicami chytały się ziemie, to by i trzech siewów nie przetrzymały... i co do jednego wykupiły... W Lipcach ciasno, duszą się ludzie, a tamten ma tylachna pola, że ugorem prawie leży... – wskazał dworskie ziemie za młynem, wzgórzem pod las biegnące, kaj czerniały lubinowe stogi.

– Na Podlesiu?

– Rychtyk przyległe do naszych, w sam raz do wykupna, ze trzydzieści gospodarstw tam by wymierzył, juści... ze trzydzieści... ale bo to dziedzic przeda, kiej mu pieniędzy nie potrza?... bogacz taki...

– Hale! bogacz, a kręci się za groszem kiej piskorz za błotem, że już od chłopów pożyczka i kaj ino może. Żydy go przyduszają o swoje, co na las dały, podatki winien, dworskim nie płaci, jesczek ordynarii na Nowy Rok należnej nie dostały, wszędzie winien, a skąd to weźmie oddać, kiej boru zabronił urząd ciąć, póki się z chłopami nie ugodzi? Nie wysiedzi on długo na Woli, nie! Powiadali, co się już za kupcami ogląda... – rozgadała się niespodzianie kowalowa, ale kiej Rocho chciał ją więcej pociągnąć za język, zacięła się jakoś i zbywszy go bele czym, dzieci zwołała i do dom poszła.

– Sporo musi wiedzieć od swojego, jeno się boja popuścić... Juści, że przyległe ziemie rodne, łąki dwukośne, juści... – rozmyślał głośno stary, wpatrzony w podleskie pola, kaj widać było za stogami dachy zabudowań folwarcznych, jeno że Rocho nie słuchał, bo dojrzawszy Kozłową stojącą nad stawem z kobietami, poszedł do nich prędko.

– Hi... hi... zmogły dziedzica... Mój Jezu, a pożywiłybv się chłopcy niezgorzej... Juści... druga wieś by stanęła, rąk nie zbraknie ni głodnych na ziemie... juści... – rozmarzył się Bylica dyrdając za dziećmi, bo jaże na drogę się wytoczyły.

Na nieszpory zaczęli dzwonić.

Słońce się już przetaczało ku borom i drzewa poczęły kłaść długie cienie na drogi i staw, a przedwieczorna cichość tak przywalała świat, że słychać było dalekie jeszcze dudnienie wozów, krzyki ptactwa na ogorzelskich i ciche, przejmujące granie organów w kościele.

Że zaś powracały już niektóre z miasta, zaklekotały od trepów wszystkie mostki, tak biegli nowin posłuchać.

Zaś po nieszporych, o samym zachodzie, dobrodziej pojechał drogą do Wólki. Jambroży powiedział, że do dworu na bal, a zaraz po jego wyjeździe organisty z całym domem walili w goście do młynarzów; Jasio wiódł matkę sielnie zestrojoną i wesoło pozdrawiał dzieuchy, wyzierające z opłotków.

Zmierch się roztrząsał cichy po ziemiach, słońce zaszło i zorze się rozlewały coraz szerzej, że z pół nieba stanęło w krwawych ogniach, kieby tym zarzewiem przysypane, wody się krwawo zatliły i szyby rozgorzały, od miasta zaś coraz więcej nadjeżdżało wozów i coraz rozgłośniej wrzały krzyki przed domami.

Hanki jeno nie było widać, ale mimo to przed chałupą gwarno było i wesoło; dzieuch rówiesnych naszło się do Józki, że kiej te szczygły świergotliwe obsiadły przyźbę i ganek, zabawiając się prześmiechami z Jaśkiem Przewrotnym, któren przyleciał za Nastusią, choć go ta już całkiem odpędzała od siebie, na kogo innego rachując. Józka ugaszczala je, jak ino mogła, plackiem jajecznym a kielbasą.

Nastusia rej wiedła, jako najstarsza i że to najbardziej się przekpiwała z chłopaka, co to był niezguła, a siarczystego parobka chciał udawać. Stojął właśnie przed wszystkimi, w pasiastych portkach, w nowym spencerku i w kapelusie na bakier, ujął się pod boki, a ze śmiechem powiadał:

- Musita o mnie stoic, bom sam jeden parobek we wsi!
- Nie bój się, za krowami dyrdać ma kto jeszcze!
- Pokraka jedna, do skrobania ziemniaków sposobny!
- Dzieciom nosy obcierać! – wrzeszczały jedna przez drugą, rozgłośnym śmiechem wybuchając, ale Jasiek się nie stropił, strzyknął śliną przez zęby i rzekł:
 - O takie głupie skrzaty nie stoję!... Gęsi wama paść jeszcze!
 - Sam łoni za krowim ogonem tańcował, a tera parobka udaje...
 - I co dnia portki gubił, tak przed bykiem uciekał.
 - Ożeń się z Magdą od Jankła, ta ci pasuje w sam raz.
 - Żydowskie bachory niańczy, to i tobie nos będzie umiała ucierać.

– Albo z Jagatą, to ją na odpusty poprowadzisz – rzucali w niego szydlowie.

– A jakbym do której z wódką posłał, to by się do Częstochowy ochfiarowała i wszystkie piątki suszyła z radości! – odpowiedział.

– A pozwoli ci to matka, kiejś w chałupie potrzebny do mycia garnków i macania kur! – zawołała Nastka.

– Bo się ozgniewam i pójdę do Marysi Balcerkówny!

– Idź, już tam Marysia czeka na cię z pomietłem albo czymś gorszym...

– A niech cię jeno dojrzy, to zaraz pieski pospuszcza.

– I nie zgub czego po drodze! – śmiała się Nastuś pociągając go ździebko za portki, bo miał wszystką przyrodziwę kiejby na wyrost.

– Po dziadku dodziera buciarów.

– Kamizele ma ze wsypy, co ją to świnię podarły.

Leciały słowa kiej grad wraz ze śmiechem; śmiał się zarówno i skoczył, by Nastkę wpół ująć, ale mu któraś podstawiała nogę, że runął jak długi pod ścianę, nie mogąc powstać, bo go wciąż popychały.

– Dajta mu spokój, jakże... – przyciszała Józka pomagając mu wstać, bo choć niedojda, gospodarskim był synem i jej powinowatym przez matkę.

A potem zabawiali się w ślepą babkę.

Jaśka na nią obrały i zawiązawszy mu oczy, ustawiły go wprost ganku rozbiegając się naraz z krzykiem na wsze strony kiej wróble. Pogonił za nimi z rozczapierzonymi rękoma natykając się co trocha na płoty i ściany; kierował się za śmiechami, ale niełacno którą przychwycił, bo śmigały kole niego kiej jaskółki, potracając w przelocie, że za-tętniało przed chałupą, jakby to stado źrebaków przeganiał po grudzi, a piski, wrzawa, śmiechy się zatrzęsły, aż na całą wieś się rozlegało.

Mrok już gęstniał, zorze się dopalały i zabawa trwała w najlepsze, kiej naraz w podwórzu buchnął wrzask kurzy.

Józka poleciała tam w te pędy.

Witek stał pod szopą chowając cosik za siebie, a Gulbasiak przywarował za pługami, że mu ino łeb się bielił.

– Nic, Józia... nic... – szeptał pomieszany.

– Kureńście dusili... pióra jeszcze ano lecą...

– Inom kogutowi trochę z ogona wyrwał, bo mi potrza la mojego ptaka. Ale nie nasz kogut, nie, Józia! Gulbasiak skądciś przyniósł... swojego...

– Pokaż! – rozkazała surowo.

Cisnął jej pod nogi na pół żywego ptaka, całkiem oskubanego z piór.

– Pewnie, że nie nasz! – rzekła nie mogąc rozpoznać. – Ale pokaż swojego cudaka.

Wyniósł na jaśnię już całkiem gotowego kogutka: z drzewa był wystrugany i oblepiony ciastem, w które powtykano piórek, że kiej żywy się widział, bo i łeb z dziobem miał prawdziwego, na patyk nadziany.

Na desce se stał czerwono ukrazonej, a tak zmyślnie przyręchowanej do maluśkiego wozika, że skoro Witek zaruchał długim dyszelkiem, kogut jął tańcować i skrzydła rozkładać, do tego zaś zapiał Gulbasiak, jaże się kury z grzęd odezwały.

– Jezu, a tom póki życia takiego cudaka nie увидziała! – przykucnęła pobok.

– Dobry jest, co? Utrafiłem, Józia, co? – szeptał z dumą.

– Sameś to wystroił? ze swojej głowy?

Dziw ją rozpierał.

– A sam! Jędrak mi jeno koguta żywego przyniósł... a sam, Józia...

– Moiściewy, a to kiej żywy się rucha, choć z drewna. Pokaż go dzieuchom!... dopiero to będą wydziwiać!... Pokaż, Witek!

– Ni, jutro pójdziemy po dyngusie, to obaczą. Jeszcze sztachetków brak kiele niego, żeby nie sfrunął.

– To opatrz krowy i do izby przychodź robić, widniej ci będzie...

– Przyjdę, jeno jeszczech na wsi cosik sprawię...

Wróciła przed dom, ale dziewczyny już skończyły zabawę i zaczęły się rozchodzić, bo noc się robiła, światła zapalali po domach, gwiazdy się też kajś niekaj pokazywały, a chłód wieczorny zaciągał z pól.

Już wszystkie kobiety powróciły z miasta, a Hanka nie nadjeżdżała.

Józka narządziła sutą wieczerzę: barszcz na kiełbasie i ziemniaki tłusto omaszczone. Zaczęła ją podawać na ławę, gdyż Rocho czekał, dzieci jeść skamlały, a Jagna raz po raz zaglądała do izby, kiej Witek wsunął się cichusko i zaraz przykucnął przed dymiącymi michami. Dziwnie był czerwony, mało jadł i łyżką po zębach dzwonił, tak mu się ręce trzęsły, a nie dojadłszy do końca, poleciał.

Złapała go Józka w podwórzu przed chlewem, jak nabierał w połę świńskiego żarcia z cebratki, a ostro nastawała: co mu się stało?

Wykręcał się, jak mógł, wycyganiał, ale w końcu prawdę powiedział:

– A to odebrałem dobrodziejowi swojego boćka!

– Jezus, Maria, a nie dojrzał cię kto?

– Nie, dobrodziej pojechali, psy poszły żreć, a bociek w ganku stał! Maciuś to wypatrzył i przyleciał powiedzieć! Kapotą Pietrkową go przydusiłem, by me nie kujnął, i poniesłem do schowka. Ino pary z gęby nie puść, moja złociuśka! Za parę niedziel przywiedę go do chałupy, obaczysz, jak parodował na ganku będzie, a nikt go przeciech nie rozpozna. Nie wydaj me ino!

– Hale! kiej cię to z czym wydałam? Dziw mi jeno, żeś to się wazył, Jezu!

– Swoje odebrałem. Pedziałem, co nie daruję, i odebrałem... Po tom go pewnie łaskawił, żeby drugie uciechę miały, juści!... – szepnął i poleciał gdzieś w pole. Niezadługo się jawił z nawrotem i zasiadł przed kominem wraz z dziećmi do wykończania kogutka.

A w izbie zrobiło się jakoś sennie i smutno. Jaguś poszła na swoją stronę, zaś Rocho siedział przed domem razem z Bylicą, któren już żydy woził, tak go śpik morzył.

– Idźcie do dom, bo tam na was czeka pan Jacek!– szepnął mu Rocho.

– Na mnie czeka... pan Jacek... dyć lecę... na mnie?... no... no – jąkał zdumiony, całkiem wytrzeźwiawszy, i poszedł.

A Rocho na przyźbie ostał, pacierz szeptał, wpatrzony w noc, w owe nieprzejrzone dalekości nieba, kaj się aż trzęsło od gwiazdnych migotów, dołem zaś, nad ziemią wynosił się już srodze rogaty miesiąc i bódł ciemności.

W chałupach światła gasły posobnie, kiej oczy snem zwierane; milczenie, przejęte cichuśkim dygotaniem listeczków i głuchym, dalekim bełkotem rzeczki, rozlewało się dokoła. Tylko jeszcze u młynarzów gorzały okna i zabawiali się do późna.

W izbie Borynów już przycichło, spać wszyscy legli gasząc światło, że ino koło garnków z wieczerzą ustawionych w kominie żarzyły się węgle, a świerszcz poskrzypował gdzieś w kącie, ale Rocho wciąż siedział na dworze oczekując na Hanke, że dopiero koło samego półnoka zadudniły kopyta na moście koło młyna i wkrótce wtoczyła się bryka.

Hanka była dziwnie smutna i milcząca, że dopiero kiej zjadła wieczerzę i parobek poszedł do stajni, odważył się pytać:

– Widzieliście męża?

– Całe popołudnie z nim przesiedziałam! Zdrowy jest i dobrej myśli... kazał was pozdrowić... I drugich chłopów też widziałam... mają ich puścić, jeno nikt nie wie kiedy... U tego, co ma na sądach Antka

bronić, też byłam... Nie mówiła tego, co jej kamieniem zacieżyło na sercu, a jeno takie różności drugie, Antka się nie tyczące, aż rozplakała się nagle, i choć przysłoniła twarz rękoma, łzy pociekły przez palce.

– Przyjdę rano... odpocznijcie sobie: strząśliście się mocno... by wam nie zaszkodziło.

– A niechbym już raz zdechła i więcej nie cierpiała! – wybuchnęła.

Pokiwał głową i wyniół się bez słowa, jeno przed chałupą pieski cosik rozszczekane gniewnie przyciszał do budy zapędzając.

Ale Hanka, choć się zarno do dzieci przyłożyła, usnąć nie mogła mimo utrudzenia. Jakże!... toć Antek ją przyjął kiej tego psa uprzykrzonego... Świącone ze smakiem jadł, te kilkanaście złotych wziął, nie pytając, skąd miała, i nawet się nie użalił nad jej umęczeniem daleką drogą!...

Opowiadała mu, co i jak się robi w gospodarce – nie pochwalił, a naprzeciw niejednemu ze złością przyganiał... O całą wieś rozpytywał, a o dzieciach ni wspomniął... Szła ku niemu z tym sercem wiernym i kochającym, utęskniona wielce łask jego; żoną mu przeciech ślubną była i matką jego dzieci, to jej nawet nie przyhołubił, nie pocałował, nie zatroskał się o jej zdrowie... Kiej obcy się widział i kiej na obcą sobie spoglądał, nie bardzo słuchając jej rozpowiadań, że już w końcu i mówić nie mogła, żal ją dusił, łzy zalewały, to jeszcze krzyknął, by mu z bekami nie przyjeżdżała! Jezus kochany, dziw, że trupem nie padła... To za tę ciężką służbę kole jego dobra, za pracę nad siły, za te cierpienia wszystkie – nic w zapłacie: ni jednego słowa łaski, ni jednego słowa pociechy!

– Jezu, wejrzyj miłościwie, wspomóż, bo nie zdzierzę! – jęczała cಿಸnąc głowę w poduszki, bych dzieci nie rozbudzić, a każda kostka w niej z osobna się trzęsła płakaniem, żalnością, poniżeniem i strasznym poczuciem krzywdy! Nie mogła sobie popuścić duszy tam przy nim ni potem z powrotem przy ludziach, więc teraz dopiero oddawała się rozpacz, teraz pozwalała męce rozdzierać serce i łzom gorzkim płynąć.

.....

Zaś nazajutrz, w świąteczny poniedziałek, dzień się podnosił jeszcze jaśniejszy, barzej jeno skąpany w rosach i modrawych omgleniach, ale i barzej rozsloneczniony i jakiś zgoła weselszy. Ptaki śpiewały rozgłośniej, a ciepły wiatер przeganiał po drzewinach, że szemrały jakby pacierzem cichuśkim; ludzie zrywali się raźniej wywierając drzwi a

okna, na świat Boży lecieli spojrzeć, na sady przytrzaśnięte zielenią, na te nieobjęte ziemie zwiesną oprzędzone, całe rosami skrzące, w słońcu radosnym utopione, na pola, kaj już oziminy, wiatrem kolebane, niby płowe, pomarszczone wody ku chałupom spływały.

Myli się przed domami, przekrzyki się niesły wskroś sadów, kajś już dym walił z komina, konie rzały po stajniach, skrzypiały wierzeje, wodę czerpali ze stawu, bydło szło do picia, krzyczały gęsi, a kiej dzwony uderzyły i ogromne, niebosiężne głośy jeły huczeć i rozlewać się na wieś, na pola, na bory dalekie, wzmogły się jeszcze krzyki, a serca żywiej i weselej zabiły.

Chłopaki już latały z sikawkami, sprawiając sobie śmigus, albo przyczajone za drzewami nad stawem, lały nie tylko przechodzących, ale każdego, kto ino na próg wyjrzał, że już nawet ściany były pomoczone i kałuże siwiły się pod domami.

Zawrzały wszystkie drogi i obejścia, wrzaski, śmiechy, przegony narastały coraz barzej, bo i dzieuchy gziły się niezgorzej, lejąc się między sobą i ganiając po sadach, że zaś ich dużo było i dorosłych, to wnet dały radę chłopakom rozganiając ich na wszystkie strony, a tak się rozswawolili, że nawet Jaśka Przewrotnego, któren się z sikawką od gaszienia pożarów zaczął na Nastkę, dopadły Balcerkówny, wodą zlały i jeszcze do stawu zepchnęły na pośmiewisko...

Ale ozgniewany za despekt, iż to dzieuchy górę nad nim wzięły, przyzwał w pomoc Pietrka Borynowego i tak się zmyślnie zasadzili na Nastkę, aż ją dostali w pazury i pod studnię zawlekli, a tak srodze spławili, jaże wniebogłośy wrzeszczała... Zaś potem, dobrawszy jeszcze Witka, Gulbasiaka i co starszych, chycili Marysię Balcerkównę i taką jej kąpiel sprawili, aż matka z kijem leciała na pomoc; przyparli też gdzieś Jagnę i tego utyłali, nawet Józce nie przepuszczając, choć się prosiła i z bekiem leciała na skargę do Hanki.

– Skarży się, a rada, oczy się jej skrzą do figłów!

– A i mnie zapowietrzone do żywej skóry dojeły!– uzałała się wesoło Jagustynka wpadając do chałupy.

– Niby te obwiesie komu przepuszczają! – biadolila Józka przewłócząc się w suche szmaty, ale mimo strachu wyszła potem na ganek, bo aż dudniało na drogach od przeganiań i wieś się trzęsła wrzaskami: chłopaki dziw nie oszalały z uciechy, chodzili całą hurmą, zaganiając, kto się napatoczył, pod sikawki, aż sołtys musiał rozganiać swawolników, bo nie sposób się było pokazać z chałupy.

– Wama cosik niezdrowo po wczorajszym? – szepnęła Jagustynka susząc plecy przed kominem.

– Juści, trzęsie się we mnie i ciągiem me kopie, mgli me przy tym...

– Połóżcie się. Trzeba by się wam napić maciorkowego naparu! Strzęśliście się wczoraj! – zafrasowała się bardzo, ale że zapachnęła kiszka przysmażona, siadła wraz z innymi do śniadania, łakomie wypatrując większego kawałka.

– Pojedzcie i wy, gospodyni: głódeniem zdrowiu nie pomoże...

– Kiej mi się mierzi mięso; arbaty se zgotuję.

– Na przepłukanie flaków niezgorsze, ale byście się gorzałki przegotowanej z tłustością i korzeniami napili, rychlej by pomogło...

– Juści, zmarlaka by postawiły takie leki!... – zaśmiał się Pietrek, któren wziął miejsce kole Jagusi, w oczy jej zaglądał podając usłużliwie, na co jeno spojrzała, i ciągiem, ją zagadując, ale że go zbywała bele czym, jął rozpytywać Jagustynkę o Mateusza, o Stacha Płoszkę i drugich.

– Jakże, widziałam wszystkich, spólnie se siedzą, a pokoje mają dworskie zgoła, wysokie, widne, z podłogą, jeno że z tą żelazną pajęczyną w oknach, bych się im na spacer nie zachciało. A przekarmiają ich też niezgorzej. Grochówkę im przynieśli w południe, spróbowałam: kieby na starym bucie zgotowana i smarowidłem od woza omaszczona. Na drugie zaś prażonych jagieł im postawili... no, Łapa by kulas na nie podniósł, a nie powąchał nawet. Za swoje się żywią, któren zaś nie ma grosza, pacierzem se to jadło doprawia – opowiadała urągliwie.

– Rychło zaczną puszczać?

– Powiedały, że już na Przewody niektóre wróca! – szepnęła ciszej obzierając się trwożnie na Hankę, a Jagnę jakby coś podrzuciło z miejsca, że uciekła z izby, jeść nie skończywszy, stara zaś o Kozłowej zaczęła mówić.

– Późno wróciły i z niczym, przetrzęsły się jeno po kiełbasach i dworowi się napatrzyły! Powiedają, że czymś innym pachnie niżli chałupą!... Dziedzic im powiedział, co nikomu poradzić nie może bo to sprawa komisarza i urzędu, a kiejby nawet mógł, też by się nie wstawił za żadnym Lipczakiem, boć przez nich sam jest szkodny najbarzej! Wiecie, że to las mu sprzedawać wzbronili, a kupce go teraz po sądach włóczą. Klął pono siarczyście i krzyczał, że kiej on przez chłopów ma iść z torbami, to niech całą wieś zaraza wytraci!... Kozłowa już z tym od rana po chałupach lata i pomstą odgraża.

– Głupia, co mu ta zrobi pogrozą!

– Moiście, a bo to wiada, kiej kto komu miętkie miejsce wymaca, że i najlichszy... – urwała porywając się podtrzymać Hanke, lecącą na ścianę.

– Laboga! By to prędzej nie przyszło przed czasem – szeptała wystraszona ciągnąc ją do łóżka, bo jej w rękę zemgłała, pot kroplisty wystąpił na jej twarz, żółtymi plamami okrytą. Leżała ledwie dychając, stara zaś octem wycierała jej skronie i dopiero kiej chrzanu pod nos nakładła, Hanka oprzytomniała otwierając oczy, zgudka ją jeno chyciła.

Rozeszli się do obrządzeń gospodarskich, Witek tylko ostał i upatrzywszy sposobną porę, jął prosić gospodyni, aby go puściła z kogutkiem.

– A idź, przydziwiewy jeno nie ściarachaj i sprawuj się dobrze! Psy uwiąż, by za wami na drugie wsie nie poleciały! Kiedyż pójdzieta?

– A zarno no kościele.

Jagustynka wraziła głowę przez okno i zapytała:

– Kaj to psy, Witek? Wyniesłam im jeść, wołam i ni jednego!

– Prawda, dyć i w oborze rano nie były! Łapa! Burek! na tu! – nawoływał wybiegając przed dom, ale się nie odezwały.

– Musiały na wieś polecieć, bo suka Kłębów się goni... objaśnił.

Nikom do głowy nie przyszło myśleć, kaj się psy podziały – zwyczajna przeciech rzecz. Dopiero po jakimś czasie Józka posłyszała gdziesik w podwórzu jakby głuche skamlenie, a nic tam nie znalazłszy, pobiegła w sad myśląc, że to Witek się rozprawia z jakimś psem obcym. Zdziwiła się nie dojrawszy nikogo, sad był pusty i to skomlenie ucichło; ale powracając natknęła się na Burka; leżał nieżywy pod szczytową ścianą – łeb miał rozwalony.

Narobiła takiego wrzasku, że się wszyscy zlecieli.

– Burek zabity! Złodzieje pewnie!

Trwoga powiała nad nimi.

– A dyć nie co insze, w imię Ojca i Syna! – krzyknęła Jagustynka dojrawszy naraz kupę ziemi wywalonej i dół wielki pod przyciesiami.

– Podkopali się do ojcowej komory!

– Jama, że konia by przewlókł!

– A zboża pełno w dole.

– Jezu, a może tam jeszcze są zbóje! – zakrzyczała Józka.

Rzucili się na Borynową stronę, Jagusi już nie było, stary ino leżał twarzą do izby, w komorze zaś, zawdy mroczej, widno było, światło buchało dziurą, że łącno dojrzeli, jako wszystko było pomieszane kiej

groch z kapustą, zboże powysypywane zalegało ziemię razem ze szmatami, pościaganymi z drągów; nawet motki przędzy i wełna leżały portargane i zwichlone. Nie sposób było na razie zmiarkować, czego brakowało.

Ale Hanka od razu pomiarkowała, że to kowalowa być musi robota; gorąc ją przejął na myśl, iż kiejby się jeden dzień opóźniła, nalazłby pieniądze i zabrał... Nachyliła się nad dołem kryjąc przed ludźmi kuintentność, a sprawdzając cosik sobie za stanikiem.

– Czy aby nie brak czego w oborze? – rzekła, niby tknięta podejrzeniem.

Na szczęście, nic nigdzie nie brakowało.

Dobrze były drzwi pozawierane! – ozwał się Pietrek i skoczył naraz do ziemniaczanego dołu, odwalił z wejścia ocipkę wielgachną i wyciągnął stamtąd Łapę skowyczącego.

– Juści, że złodzieje go tam wrzucili, ale to dziwne, pies zły i dał się...

– I nikto w nocy nie słyszał szczekania!

Dali znać o sprawie sołtysowi, rozniosło się też migiem po wsi, że w dyrdy lecieli oglądać, wyrzekać a deliberować. Sad zapełnił się ludźmi, cisnęli się kiej do konfesjonatu, kuźden głowę wtykał do dołu, powiadał swoje i Burka pilnie oglądał.

Zjawił się i Rocho, a uspokoiwszy rozplakaną i wrzeszczącą Józkę, która każdemu z osobna opowiadała, jak to było, poszedł do Hanki, leżącej znowu na łóżku, ale jakoś dziwnie spokojnej...

– Zląkłem się, byście tego zbytnio do serca nie wzięli! – zaczął.

– I... niczego chwała Bogu nie wziął... zapóźnił się... – przyciszyła głos.

– Miarkujecie, kto?...

– Dałabym głowę, że kowal.

– To chyba na cosik upatrzonego polował?

– Juści... jeno że mu się wypsnęło, do waju tylko mówię...

– Juści, za rękę trza by złapać albo świadków mieć... No, na co się to człowiek waży la grosza!...

– Nawet przed Antkiem się nie wygadajcie, moi drodzy! – prosiła.

– Wiecie, zem nieskory do zwierzeń, a łacniej przecież zabić człowieka niżli go urodzić. Znałem go, że krętacz, ale o taką rzecz bym nie posądził.

– Jego stać na najgorsze, znam ja go dobrze...

Wójt nadszedł z sołtysem i wzięli oglądać szczegółowo, wypytując się Józki o wszystko.

– Żeby Kozioł nie siedział, myślałbym, co to jego sprawa... – szepnął wójt.

– Cichoście, Pietrze, bo Kozłowa ku nam zmierza – trącił go sołtys.

– Spłoszyli się, że nic pono nie unieśli.

– Pewnie, strażnikom trza by dać znać... nowa robota diabli nadali, że człowiek świąt nawet zażyć spokojnie nie może...

Sołtys naraz się schylił i podniósł żelazny, okrwawiony pręt.

– Tym ci zakatrupili Burka!

Żelazo przechodziło z rąk do rąk.

– Pręt, z jakiego zęby do bron kuja.

– Mogli ukraść choćby i z kuźni Michałowej.

– Kuźnia już od piątku zawarta.

– Kowala trza wyptać, czy mu nie zginęło.

– Tak mogli ukraść, jak mogli przynieść z sobą, wójt to wama mówi, a kowala w chałupie nie ma, co zaś robić, moja to sprawa z sołtysem! – podniósł głos, krzycząc, by się nie tłoczyli po próżnicy i do dom szli.

Nikto się go nie ulęknał, jeno że czas się było zbierać do kościoła, to wnet się porozchodzili, bo już i ludzie z drugich wsi nad płotami ciągnęli gęsiego, i wozy coraz częściej dudniały na moście.

A kiej się do cna wyludniło, wsunął się do sadu Bylica i nuże dopiero oglądać swojego pieska, cucić go a przemawiać do niego cichuśko.

Dom też opustoszał, do kościoła poszli, Hanka jeno w łóżku ostała, pacierze se przepowiadając, a myśląc o Antku, że zaś cicho się zrobiło, bo stary dzieci powiódł na drogę, zasnęła kwardo.

Już ano stanęło przypołudnie, galancie przygrzane i tak cichuśkie, jaże śpiewy narodu rozchodziły się z kościoła i brzęczały po szybach, już i przedzwonili na Podniesienie, a ona ciągiem spała. Zbudził ją dopiero turkot wozów pędzących po wybojach, bo jak to było we zwyczaj, w drugie święto Wielkanocy, po sumie, ścigali się, któren pierwej dopadnie swojej chałupy, że ino migały przez drzewa bryki, zapchane ludźmi, i konie prane batami. Ścigali się tak siarczyście, że Chałupa się trzęsa i wrzawa turkotów i śmiechów wichrem przeleciała. Chciała się podnieść, obaczyć, ale domowi wracali i Jagustynka, krzątając się kiele obiadu, jęła opowiadać, jak zważyło się tylachna narodu, co i połowa nie miała miejsca w kościele, że wszystkie dwory zjechały, a po sumie dobrodziej zwoływał gospodarzy do zakrystii i cosik z nimi uredzał,

Józka zaś znowuj rozpowiadała o dziedziczkach, jak to były wystrojone.

– Wiecie, a to panienki z Woli to ci takie kupry dźwigają na zadzie, jakby te indory, kiej se ogony rozczapierzone postawią.

– Sianem se te miejsca wypychają lebo gałganami – pojaśniała stara.

– A w pasie wcięte kiej osy, batem bych je poprzecinał, że ani poznać, kiej te brzuchy dziewają... Z bliskam wypatrywała.

– Kaj? a pod gorsety wypychają. Powiadała mi jedna dwórka, co za pokojową była w modlickim dworze, jak to poniektóre dziedziczki się głodzą i pasami na noc ściągają, by ino nie pogrubieć. Taka moda dworska, aby każda pani cieniuską się wydawała, niby tyczka, na zadzie jeno wydęta.

– We wsi inaczej, boć z chudych przekpiwają się parobki.

– Zaśby nie! dzieucha musi być kiej lepa, rozrosła wszędzie, taka, co to jak się człek do niej przyprze, to jakby do pieca gorącego... – powiedział Pietrek, wpatrzony w Jagusię, wystawiającą garnki z komina.

– Widzisz go, pokrakę, wypróżnował się, podjadł se mięsem i jakie mu to już smaki na ozór przychodzą! – zgromiła go Jagustynka.

– Jak taka się przy robocie rucha, to dziw się jej wełniak nie rozpęknie...

Chciał jeszcze cosik trefnego dodać, ale Dominikowa przyszła opatrywać Hankę, i wygonili go z izby.

Obiad też zaraz podawali na ganku, gdyż ciepło było i słonecznie. Młoda zieleń polśniewała, trzączając się cichusko na gałązkach i gmerząc kiej motyle, ptasie świegoty roznosiły się ze sadów.

Dominikowa zakazała Hance ruszać się z pościeli, a że zaraz po obiedzie nadeszła Weronka z dziećmi, do łóżka przystawili ławę i Józka naniosła święconego i flachę gorzałki z miodem, bo Hanuś, choć z trudem nieco, ale godnie, po gospodarsku podejmowała siostrę i sąsiadki, które wedle zwyczaju jeły posobnie przychodzić w goście uważać się nad nią, gorzałki pociągać, słodkim plackiem wolniuśko się delectować i różności sąsiedzkie rozpowiadać, głównie zaś o tym podkopie pod komorę trajkotać.

Zasie domowi przed chałupą się wygrzewali poredzając z ludźmi, jacy wciąż do sadu szli, a srodze medytowali nad jamą jeszcze nie zawaloną, gdyż wójt wzbronił do czasu przyjazdu pisarza i strażników.

Właśnie Jagustynka była rozpowiadała o tym, nie wiada już dzisiaj po raz który, kiej z podwórza wywalili się chłopaki z kogutkiem. Witek

ich wiódł, wystrojony sielnie, w butach nawet i kaszkiecie Borynowym, srodze na bakier nadzianym, a pobok w kupie szedł Maciuś Kłębów, Gulbasiak, Jędrek, Kuba Grzeli z krzywą gębą syn i drugie. Kije mieli w rękach i torbeczki przez plecy, Witek zaś tulił pod pachą skrzypice Pietrkowe.

Wywiedli się na drogę z paradą i najpierwej ruszyli do dobrodzieja, bo tak po inne roki parobki poczynają. Śmiało weszli do ogrodu, przed plebanię, ustawili się w rząd, wysuwając przed się kogutka. Witek zagrał na skrzypicy, Gulbasiak jął kręcić cudakiem i pisać, a wszyscy, rypiąc kijami i nogami do wtóru, wraz zaśpiewali piskliwie:

Przyszliśmy tu po dyngusie!
 Zaśpiewamy o Jezusie,
 O Jezusie, o Maryje –
 Dajcie nam co, gospodynie!...

I długo śpiewali, a coraz śmiej i rozgłośniej, aż wyszedł dobrodziej i po dziesiątku im rozdał, kogutka pochwalił i z łaską ich odpuścił...

Witek jaże spotniał ze strachu, czy o boćka nie zagada, snadź go jednak wśród drugich nie rozpoznał, ale na pokoje odszedł, przysyłając jeszcze przez dziewczynę słodzińskiego placka, że huknęli mu śpiewkę na podziękę i do organistów pociągnęli.

Potem zaś już chałupy nawiedzali wraz z całą chmarą dzieci rozwrzeszczanych i tak się cisnących, że musieli obraniać kogutka przed naporem, gdyż każde piórek chciało tykać i kijaszkiem zaruchać.

Witek ich prowadził rej wiodąc i na wszystko mając czujne oko, nogą znać dawał, by zaczynać, a smykiem rządził, kaj nutę wyciągać cieniušką, a kiej grubą; jemu też oddawali gościńce. A z taką paradą się wodzili i tak szumnie, jaże na całą wieś roznosiły się śpiewania i przygrywki skrzypicy, a ludzie wielce się dziwowali, że to skrzaty, ledwie odrosłe od ziemi, a poczynają sobie niby parobki.

Pod zachód się już miało, poczerwieniałe ździebko słońce przetaczało się nad bory, a po niebie modrym rozwłóczyły się białe chmurki, kiej te nieprzeliczone stado gęsi, wiater się też ruchał kajś górą chwiejąc czubami ordzawiających topoli, a we wsi czyniło się coraz rojniej i gwarliwiej: starsi poredzali przed chałupami zasiedając progi, dzieuchy gziły się nad stawem lub ujawszy się wpół chodziły kolebiąco, pieśniczki zawodząc, iż kiej kwiaty makowe lebo nasturcji roiły się mię-

dzy drzewinami, we wodzie się odbijając niby w lustrze, dzieci latały z dyngusiarzami, zaś jeszcze insi w pola szli miedzami.

Na nieszpór już przedzwaniiali, kiej gruba Płoszkowa, odwiedziwszy przódzi Borynę, wchodziła do Hanki.

– Byłam u chorego. Jezu, a to leży, jak leżał... Zagadywałam: ani spojrział na mnie. Słońce mu świeci na łóżko, to je palicami zagrabia, jakby w garście chciał ująć i kiej to maluśkie dzieciątko w nim grzebie! Prosto płakać, co się to z człowieka zrobiło! – rozpowiadała siadając przy łóżku, ale przepięła jak i drugie, sięgając do placka. – Jada to teraz, bo widzi mi się potłuścił?

– Już niezgorzej, że może mu ku zdrowiu idzie!...

– Chłopaki poszły z kogutkiem do Woli! – zatrajkotała Józka wpadając, ale dojrzawszy Płoszkową, wyniesła się przed dom do Jagusi.

– Józka, bydło czas obrządzać! – zawołała.

– Pewnie komu święta, to święta, a brzuch zawdy o głodzie pamięta! Byli z kogutkiem i u mnie... sprawny ten wasz Witek i ze ślepiów mu dobrze patrzy.

– Juści, co do figłów pierwszy, do roboty jeno go trza kijem napędzać!

– Moiście, a dyc ze służbą wszędy jednaka bieda! Młynarzowa się przede mną uskarżała na swoje dziewczki, że pół roku utrzymać nie może.

– Prędko się tam dorabiają dzieciaków... Świeży chleb pomaga!

– Chleb jak chleb, ale to czeladnik sprawi, to synek, ten z klas, do domu zajrzy, a powiadają, że i sam młynarz żadnej nie przepuści... to i trudno dziewczki dotrzymać do roku. Co prawda, to i służba hardziej... Mój ano chłopak do pasionki, że to chłopaków w domu brak, za psa me uważa i każe se mleka na podwieczorek podawać! Słyszane to rzeczy!

– Parobka mam, to mi nie nowina, czego im się zachciewa, ale gościć się na wszycko muszę, bo pójdzie se we świat w największą robotę i cóż pocznę przez niego w tylim gospodarstwie!

– Żeby go wama tylko nie odmówiła która – rzekła ciszej.

– Wiecie to co? – zatrwożyła się niemało.

– Doszło me cosik z boku... może cyganią, to nie rozpowiadam. Hale, gadu, gadu, a z czym to ja przyszłam? Obiecały się przyjść niektóre, ugwarzym się, sieroty, przyjdźcie i wy... jakże, Borynowej by nie było, kiej co najpierwsze się zbierają.

Przypochlebiała, ale Hanka wymówiła się słabością, po prawdzie, bo już poczuła się ździebko napitą.

Płoszkowa, wielce markotna odmową, Jagnę poszła zapraszać.

Ale i Jagusia się wymawiała, że to już kajś indziej z matką się obiecały...

– Poszlibyście, Jagna, cknij się wama za chłopami, a do Płoszkowej ani chybi co Jambroży zajrzy albo któren z dziadków i zawždy chocia portkami zaleci... – szepnęła Jagustynka spod chałupy.

– A wy to po swojemu tym słowem kieby nożem żgacie...

– Weszło mi, tom rada kuźdemu, czego mu potrza! – szydziła.

Jaguś ciepnęła się ze złości i na drogę wyszła, bezradnie wodząc oczyma po świecie i ledwie płacz wstrzymując. Juści, że się jej strasznie cknio!

Cóż, że święta czuć było wszędzie, że ludzie się roili, że śmiechy i krzyki trzęsły się nad wsią, że nawet po szarych polach czerwieniały kobiety i piesneczki kajś niekaj dzwoniły?... – jej było smutnie i tak cknio czegoś, że już wytrzymać nie mogła. Od samego rana tak ją cosik rozpierało i ponosiło, że po znajomych latała, po drogach, w pole wychodziła i nawet coś ze trzy razy się przeobłoczyła, na darmo wszystko, nie pomogło: rwało ją coraz barzej, by gdziesik lecieć, coś robić, szukać czegoś...

Że i teraz się poniesła aż na topolową drogę i szła zapatrzona w czerwoną, ogromną kulę słońca, spadającego nad bory, szła przez te progi cieniów i lśnień, które zachód rzucał przez drzewa.

Chłód mroków ją owionął, a ciche, nagrzone dychanie pól przejmowało na wskroś lubym dygotem; od wsi gonily słabnące gwary, a skądciś zawiewał zawodliwy głos skrzypicy i czepiał się serca, kiejbym ta złotymi rosami brzęcząca pajęczyna, jaże rozsunęła się w cichuśkim trzepocie topoli, w mrokach, co już pełzały bruzdami i czały się w krzaczach tarnin.

Szła przed siebie, ani wiedząc, co ją niesie i dokąd.

Wzdychała głęboko, czasami ręce rozwodząc, czasami przystając bezradnie i tocząc rozpalonymi oczyma, jakby zaczepki dla udreżonej duszy szukała, ale szła dalej przedąc myśli wiotkie i nikłe, jako te świetliste nici na wodzie, że nie uchycisz, bo zmacą się i przepadną od cienia ręki. Patrzała w słońce, nie widząc niczego, topole, co rzędami pochylały się nad nią, zdały się jej jako zamglone przypomnienia... Siebie jeno mocno czuła i to, że ją rozpiera aż do bólu, do krzyku, do płaczu, że ją ponosi gdziesik, iż czepiłaby się tych ptaków lecących pod zachód i na kraj świata pofrunęła. Wzbierała w niej jakaś moc pałaca i tak rze-

wliwa, że łzy przysłaniały oczy i ognie się po niej rozlewały; rwała lepkie, pachnące pędy topoli, chłodząc nimi rozpalone usta i oczy...

Czasem przysiadła pod drzewem i skulona, wsparłszy twarz na pięściach, zapadała w siebie bez pamięci, cisnąc się jeno do pnia i prężąc... i ledwie dysząc...

Jakby i w niej wiosna zaśpiewała swoją pieśń upalną, że burzyło się w niej i cosik poczynało, jako w tych ziemiach rodnych, ugorem leżących, poczyna się o wiosnie, jako w tych drzewinach, opitych mocą rostu, śpiewa i jako wszędy się rozpręża, kiej pierwsze słońce przygrzeje...

Dygotała w sobie, paliły ją oczy, zaś omdlałe nogi stulały się bezwolnie i ledwie ją niesły. Płakać się jej chciało, śpiewać, tarzać po ruinach zbóż mięciuchnych i chłodnymi rosami operlonych, to brała ją szalona chęć skoczyć w ciernie, przedzierać się wskroś szarpiących gąszczów i poczuć dziki, luby ból przepierań i szamotań.

Zawróciła naraz z powrotem i dosłyszawszy głosy skrzypicy pobiegła ku nim. Hej, tak zakręciły się w niej, taką zawrotną lubością przejęły, że w tany by się puściła, w ścisk karczmy rozhukanej, w tumult, w pijatykę nawet, że choćby w samo zatracenie, hej!...

Dróżką od cmentarza do topolowej, całą w czerwonych ogniach zachodu, szedł ktosik z książką w rękę i pod białymi brzózkami przystawał.

Jasio to był, organistów syn.

Zza drzewa chciała popatrzeć na niego, ale ją dojrzał.

I uciec nie poredziła, nogi jakby się ziemi czepiły i oczu nie mogła oderwać od niego; zbliżał się z uśmiechem, zęby mu grały w czerwonych wargach, smukły był, rosły i białe na gębie.

– Jakbyście mnie, Jaguś, nie poznali?

Aż ją w dołku ścisnęło od tego głosu.

– Co bym ta nie poznała!... jeno pan Jaś taki tera galanty, taki inszy...

– Pewnie, lata idą... Byliście u kogo na Budach?

– Tak sobie ino chodziłam, święto przeciek. Nabożna? – tknęła nieśmiało książki.

– Nie, o krajach dalekich i o morzach!

– Jezu! o morzach! A te obraziki też nie święte?

– Zobaczcie! – podsunął jej pod oczy książkę i pokazywał.

Stali ramię w ramię, bezwolnie wpierając się w siebie biodrami, a tykając głowami nisko przychyłonymi. Pojaśniał ją niekiedy, wtedy

podnosiła na niego oczy podziwu pełne, nie śmiejąc dychać ze wzruszenia, a cisnąc się coraz barzej, bych lepiej dojrzeć, gdyż słońce opuściło się już za bory.

Naraz wstrząsnął się cały i odsunął ździebko.

– Mroczeje, czas do domu! – szepnął cicho.

– A to pódźmy!

Szli w milczeniu, nakryci prawie cieniami drzew. Słońce zaszło, modrawe mroki trzęsły się na pola, zórz dzisiaj nie było, jeno przez grubachne pnie topoli widniał na niebie złocisty rozlew, świat przygaszał.

– I to wszystko prawda, co tam pokazane? – przystanąła.

– Wszystko, Jaguś, wszystko.

Jezu, takie wody wielgachne, takie światy, że uwierzyć trudno.

– Są, Jaguś, są! – szeptał coraz ciszej zaglądając jej w oczy z tak bliska, że wstrzymała oddech, dreszcz ją przeszedł i podała się pierśmi naprzód, czekała, iż ją obejmie i do pnia przyprze, jaże ramiona się jej ozwały i gotowa się była dać, ale Jasio odsunął się śpiesznie.

– Muszę iść prędzej, dobranoc Jagusi! – i poleciał.

Z dobry pacierz przestojała, nim się poredziła ruszyć z miejsca.

– Urzekł me czy co! – myślała wlekąc się ociężale, mąt jakiś miała w głowie, ciągotki ją rozbierały.

Wieczór się robił, światła błyskały tu i owdzie, a z karczmy roznosiło się granie i przytłumione rozmowy.

Zajrzała przez okno do izby rozświetlonej: pan Jacek stał w pośrodku i rznął na skrzypcach, zaś przed szynkwasem kolebał się Jambroży, krzykliwie cosik rozpowiadał komornicom, często po kieliszek sięgając.

Naraz ktosik ją wpół krzepko ujął, że krzyknęła kurcząc się i wydzierając.

– Przydybałem cię i nie puszcę... napijem się ździebko... pódzi... – szeptał wójt nie zwalnając z pazurów i pociągnął ją bocznymi drzwiami do alkierza.

Nikto nie dojrzał, bo już prawie ciemno było na świecie i mało kto przechodził drogą.

Wieś już przycichała, milkły gwary i pustoszały opłotki, naród rozchodził się po chałupach, dobiegały święta i dni słodkich wczasowań, powszednie jutro stało za progiem i w mrokach ostre kły szczyrzyło, że niejedną duszę lek ścisnął i turbacje obsiadały na nowo...

Posmutniała wieś i przygłuchła, jakby do ziemi barzej przywierając i tuląc się w sady oniemiałe, jeszcze tam kajś niekaj siedzieli na przyżbach dojadając święcone i z cicha gwarząc, gdzie zaś spać się rychlej wybierali, pieśnie pobożne przyśpiewując.

Tylko u Płoszkowej rojno było i gwarno, zeszyły się były sąsiadki, a obsiadłszy ławy, poredzały godnie między sobą. Wójtowa na pierwszym miejscu siedziała, zaś pobok pękata, wyszczekana Balcerkowa swojego dowodziła; była i chuda Sikorzyna, była i jazgocząca cięgiem Borynowa, stryjeczna chorego, była i kowalowa z najmłodszym przy piersi, ugwarzająca się z pobożną, cichą sołtysową, i drugie były co najpierwsze we wsi.

Siedziały napuszone i odęte kiej kwoki w barłogu, a wszyćkie we świątecznych sutych wełniakach, w chustkach, lipecką modą do pól pleców opuszczonych, w czepcach kiej koła bieluchne, a rześciście skarbowane nad czołami, we fryzkach po uszy nastroszonych, na które tyle koralu nawiesiły, ile która miała. Zabawiały się galanto. gęby z wolna czerwieniały i kumentność rozpierała, poprawiały pilnie wełniaków, by się nie przygnietły, i już jęły do się przysiądać coraz bliżej, a ciszej poredzać bierąc się wzajem na ozory.

A kiej kowal się jawił, powiedział, co prosto z miasta wraca, na dobre się rozweseliły. Chłop był wyszczekany, jak mało któren, że zaś był już zdziebko napity, to jał wycyganiać takie rzeczy do śmiechu, jaże za boki się brały; izba się zatrzęsła, on zaś śmiał się najgłośniej, jaże ten jego rechot słyhać było u Borynów.

Długo se używali, bo coś trzy razy Płoszkowa po gorzałkę posyłała do Żyda.

Zaś u Borynów jeszcze siedzieli przed chałupą. Hanka wstała i otulona w kożuch, gdyż ziań wziął po zachodzie, była z drugimi.

Póki dnia starczyło, Rocho im czytał z książki, że nieraz Hanka, rozglądając się, przykazywała cicho Józce:

– Wyjrzyj no na drogę...

Ale nikogój nie było i czytał, póki wieczór nie zamroczył ziemi, a potem powiadał jeszcze różności, gdyż srodze się rozciekawili. Noc ich okrywała, iż ledwie się znaczyli na białej ścianie chałupy; wieczór się stawał ciemny i chłodny, gwiazdy nie wzeszły, głucha cichość ogarniała świat, jeno co woda bełkotała kajściś i psy warczały.

Zbili się w kupę, że Nastuś z Józką, Weronka z dziećmi, Jagustynka, Kłębowa i Pietrek prawie u nóg Rochowych przysiedli, a Hanka nieco z boku na kamieniu.

Rozповідаł o całym polskim narodzie historie różne, to przypowieście święte, to cudeńka takie o świecie, że kto by je ta pojął i zapamiętał!

Zasłuchali się, nie ważąc odsapnąć ni poruszyć się z miejsc i całą duszą pijąc te słowa miodne, jak wyschła ziemia pije dżdże rosiste i ciepłe.

On zaś, prawie niewidny la oczu, uroczystym, cichym głosem powiedział:

– „Po zimie zwiesna przychodzi każdemu, któren jej czeka w pracy, modlitwie a gotowości.”

– „Dufajcie, bo pokrzywdzone zawždy górę wezmą.”

– „Ochfiarną krwią i trudem trza posiewać człowieczą szczęśliwość, a któren posiał, wzejdzie mu i czas żniwny miał będzie.”

– „Ale kto jeno o chleb powszedni zabiega, do stołu Pańskiego nie siądzie.”

– „Kto ino wyrzeka na złe, nie czyniąc dobra, ten gorsze zło rodzi.”

Długo powiadał, a tak mądrze, że nie spamiętać, i coraz ciszej a rzewliwiej, że zaś go noc całkiem okryła, to się zdawało, jakoby ten głos święty z ziemi wychodził albo że to głos pomarłych pokoleń Borynowych, co w noc tę Zmartwychwstania Bóg je na świat odpuścił i prawią teraz ze zmurszałych ścian, z drzew pochylonych, z gęstej nocy, ku przestrodze a opamiętaniu rodzonych.

Dusze się wszystkie ważyły na tych słowach, bijących w serca jak dzwon, i niesły się w omroczone utęsknienia, w niepojęte dziwy marzeń.

Nikto nie dosłyszał nawet, że psy zaczęły w całej wsi ujadać, ktoś krzyczał na drogach i zadudniały bieganiny.

– Podlesie się pali! – zawrzęszczał jakiś głos przez sad.

Wybiegli na drogę.

Prawda była: dworskie budynki na Podlesiu stały w ogniu, płomień kiej czerwone krze wybuchały z ciemności.

– A słowo ciałem się stało! – szepnęła Jagustynka Kozłową wspominając.

– Kara boska przychodzi.

– Za naszą krzywdę! – krzyżowały się w ciemnościach głosy.

Drzwi chałup trzaskały, ludzie w dyrdy a na pół odziani wpadali na drogi, a coraz większą kupą cisnęli się na most przed młynem, skąd widać było najlepiej, że może w jakiś pacierz cała wieś już się stłoczyła.

Pożar zaś urastał co chwila, folwark stał na wzgórzu pod lasem, więc chociaż o parę wiorst od Lipiec, widać było jak na dłoni wzmaganie się ognia. Na czarnej ścianie lasu roiły się ogniste jęczory i wybuchaly krwawe, skłębione chmury. Nie było wiatru i ogień wynosił się coraz wyżej, budynki płonęły kiej smolne szczapy, czarne dymy waliły słupami, a krwawy, zwichrzony brzask rozlewał się w ciemnościach rzeką ognistą i chwiał się już nad borem.

Przeraźliwe ryki rozdarły powietrze.

– Wołowina się pali, nie uratują wiele, bo jedne drzwi.

– Stogi się teraz zajmują!

– Już stodoły w ogniu! – wołali strwożeni.

Ksiądz nadbiegł, kowal, sołtys, a w końcu i wójt skądciś się zjawił, ale choć pijany, że ledwie się trzymał na nogach, zaczął wrzeszczeć i wyganiać ludzi, bych na pomoc lecieli dworowi.

Ale nikt się z tym nie śpieszył, a jeno zły pomruk zerwał się w ciszbie:

– Niechaj chłopów puszcza, to polecą ratować!

I nie pomogły klątwy ni groźby, ani nawet proboszczowe płaksiwe błagania: naród stał nieporuszony i w ogień ponuro patrzył.

– Psiekrwie paroby dworskie! – zakrzyczała Kobusowa pięścią grożąc.

Że tylko wójt wraz ze sołtysiem i kowalem pojechali do ognia, i to z gołymi rękoma, gdyż ani bosaków, ni wiader nie pozwolili zabierać z chałup.

– Kijami tego, któren ruszy! Na stracenie ścierwę! – zawrzeszczały jak jedna.

A cała wieś się już zebrała, do najmłodszych, co je rozkrzyczane na rękę przyhuśtywali, i kłębili się wielką, ponurą cizbą, że mało kto się odzywał, a i to szeptem, paśli jeno chciwe oczy i wzdychali, bo w każdym sercu krzewiły się przytajone srogo radoście, że to za lipeckie krzywdy Pan Bóg dziedzica ogniem pokarał.

Do późna w noc się paliło, a nikto do dom nie poszedł: czekali cierpliwie końca, że to już jedno morze ognia przewalało się nad folwarkiem i biło spiętrzonymi falami w niebo, zapalone snopki z dachów i gonty roznosiły się krwawym deszczem, a od czerwonych łun, co jak ogniste płachty wiewały w ciemnościach, zrumieniły się czuby drzew i dachy młynicy zaś staw jakby kto potrząsł bladym zarzewiem.

Turkoty wozów, krzyki ludzi, ryki, straszna groza zniszczenia były z pożaru, a wieś wciąż stała, jakby ten żywy mur w ziemię wrosły, a pasący oczy i dusze odemstą...

Zaś od karczmy rozlegał się ochrypły głos pijanego Jambroża:

Dziś Maryś moja, Maryś!

Da dobre piwo warzysz!

ROZDZIAŁ 6

Na taką dziwną wieść Hanka aż się uniesła z pościeli, że Jagustynka przechwyciła ją jeszcze w porę i do poduszek przygnietła.

– Dyc się nie ruchajcie, nie pali się nikaj!

– Bo taką rzecz powiedzieli, jakby im we łbie zamroczyło; przemycie sobie ciemną święconą wodą, to wama dur przejdzie.

– Nie, Hanuś, rozum swój mam i prawdę rzekłem, jako pan Jacek od wczoraj siedzi wraz ze mną... juści... – jąkał Bylica przyginając się do kichania po tęgim zażyciu.

– Widać już do cna ogłupiał! Obaczcie; czy nie wracają, dziecko mi zagłodzą.

– Od kościoła nikogój jeszcze nie widno! – objaśniła po chwili Jagustynka, znowu zabierając się do uprzątnięcia izby, posypując ją piaskiem.

Stary kichał zawzięcie raz po razie, że aż na ławie przysiadł.

– Trąbicie kiej w mieście na rynku!

– Bo krzepka tabaka pana Jackowa, całą paczkę mi dał... całą...

Rano jeszcze było, oknem zazierało jasne i ciepłe słońce drzewa się w sadzie chwiały od wiatru, zaś przez wywarte drzwi do sieni cisnęły się pogięte gęsie szyje i czerwone, syczące dzioby, a całe stado utaplanych w błocie i piszczących gąsiąt skrabało się na próg wysoki. Naraz pies gdziesik zawarczał, że gęsi podniosły krzyk, a kwoki siedzące na jajach gdakać poczęły strachliwie i sfruwać z gniazd.

– A dyc chociaż do sadu wypędźcie, może się trawą zabawią.

– Wypędzę, Hanuś, i od gap przypilnuję...

Wnet przycichło w izbie, jeno szum drzew dochodził ze dworu i kolebały się zdziebko światy, wiszące u czarnego pułapu.

– Co tam chłopaki robią? – zapytała Hanka po długiej chwili.

– Pietrek orze ziemniaczysko pod górką, a Witek we wałacha bronuje zagony pod len na świńskim dołku.

– Mokro tam jeszcze?

– Juści, trepy całkiem więzną, ale po zbronowaniu rychlej prze-schnie.

– Nim się też ziemia wygrzeje do siewu, może już wstanę...

– O sobie teraz pamiętajcie, a roboty wama nikt nie ukradnie!

– Wydojone to krowy?

– Samam doła, bo Jaguś pod oborą szkopki ustawiła i gdziesik po-szła.

– Nosi się ciągiem po wsi jak ten pies, że żadnej pomocy ni wyręki. Hale, powiedzcie Kobusowej, że zagony pod kapustę dam i Pietrek gnój od niej wywiezie i zaorze, ale po cztery dni odrobku z jednego. Przy sadzeniu ziemniaków odrobiłaby połowę, a resztę we żniwo.

– Kozłowa też chciałaby zagon pod len na odrobek.

– Tyla odrobi, co pies napłaczę. Niech se kaj indziej szuka, dosyć się łoni naszczekała przed całą wsią na ojca, że ją ukrzywdził.

– Jak wam do upodoby, wasz gront, to i wasza wola! Filipka tu wczoraj podczas waszych rodów zachodziła o ziemniaki.

– Za pieniądze chciała?

– Odrobiłaby; tam grosza w chałupie nie poświeci, głodem przy-mierają.

– Z pół korczyka do jedzenia zaraz niech weźmie, a potrza jej wię-cej, to dopiero po sadzeniu, boć nie wiada, wiela ostanie. Przyjdzie Józ-ka, to odmierzy, choć robotnica z Filipki, no!... zbywa jeno...

– A z czego to nabierze mocy? Nie doje, nie dośni, a co rok rodzi.

– Marnacja, mój Jezu, żniwa jeszcze za górami, a przedówek za progiem.

– Za progiem! W chałupach już siedzi, za brzuchy ściska, że ledwie zipią.

– Wypuściliście to maciorę?

– Legła pod ścianą, ale prosiaki śliczne, okrągłuchne kiej te bułecz-ki.

Bylica stanął we drzwiach i zająkał:

– Geśi pod jangrestami ostawiłem. A to przyszedł niby pan Jacek we święto i powiada: „Wprowadzę się do ciebie, Bylica, na komorne i dobrze zapłacę...” Myślałech: przekpiwa se z chłopą, jako u panów zwyczajnie, i rzekę: „Grosza mi potrza i pokoje wolne mam!” Zaśmiał się, dał mi paczkę peterburki, chałupę obejrzał i mówi: „Wy możecie tu wysiedzieć, to i ja poradzę, a chałupę z wolna wyporządzim, że za dwór starczy!”

– Cie, taki szlachcic, dziedziców brat! – dziwiła się stara.

– Zrobił se legowisko pobok mojego i siedzi. Wychodziłem, to na progu papierosa kurzył i wróble ziarnem przynęcał.

– A cóż to jadł będzie?

– Garnuszki ze sobą sprowadził i arbatę cięgiem warzy a popija...

– Na darmo tego nie robi, cosik w tym być musi, że taki pan...

– A jest, że do cna ogłupiał! Człowiek każdy zawdy zabiega i turbuje się o lepsze, a taki pan chciałby mieć gorzej? Nic inszego, jeno rozum stracił – mówiła Hanka unosząc głowę, gdyż w opłotkach rozległy się głosy.

Wracali już z kościoła od chrztu. Przodem Józka niesła dziecko w poduszce, chustą przykrytej, pod stróżą Dominikowej, a za nimi walili wójt z Płoszkową, w kumy proszeni, z tyłu zaś kusztykał Jambroży nie mogąc nadażyć.

Ale nim próg przestąpili, Dominikowa odebrała dziecko i przeżegnawszy się jąła z nim, wedle starego obyczaju, obchodzić cały dom, na węglach jeno przystając i przy każdym z osobna mówiąc:

– Na wschodzie – tu wieje...

– Na północy – tu ziębi...

– Na zachodzie – tu ciemno...

– Na południu – tu grzeje...

– A wszędy strzeż się złego, duszo ludzka, i jeno w Bogu miej nadzieję.

– Niby nabożna, a taka guślarka z Dominikowej! – śmiał się wójt.

– Pacierz pomaga, ale i zamawianie nie zaszkodzi, wiadomo! – szepnęła Płoszkowa.

Szumno weszli do izby. Stara rozpowiła dzieciątko i jak je Pan Bóg stworzył, nagusieńkie i kiej rak czerwone, matce do rąk podała.

– Prawego chrześcijanina, któremu Rocho na imię przy chrzcie świętym dano, przynosim wam, matko. Niech się zdrowo chowa na pociechę!

– I niechaj z tuzin Rochów wywiedzie! Tęgi parobek: krzyczał, że nie trza go była szczypać przy chrzcie, a sól wypławał, jaże śmiech brał...

– Bo idzie z rodu, któren się gorzałki nie wyprzysięgał – ozwał się Jambroży.

Chłopak piszcział i majdał kulasami na pierzynie, Dominikowa przetarła mu wódką oczy, usta i czoło i dopiero go Hance przystawiła do piersi. Przypiął się kiej smok i ścichnął.

Hanka dziękowała serdecznie kumom całując się ze wszystkimi, a przeprasząc, że chrzciny nie takie, jak być powinny Borynowego dziecka.

– Urodzicie za rok czwartego, poprawim sobie wtedy i odbijem! – żartował wójt ocierając wąsy, bo już kieliszek szedł ku niemu.

– Chrzciny bez ojca to jakby grzech bez odpuszczenia – ozwał się niebacznie Jambroży.

Rozplakała się na to Hanka, aż kobiety jęły do niej przepijać na pocieszenie i w ramiona brać, że utuliwszy żalście zapraszała, bych się do jadła braли, gdyż jajecznica na kielbasie już pachnęła z michy.

Jagustynka czyniła przyjęcie, bo Józka przyśpiewywała dzieciątku usypiając je w dużej niecce, że to u starej kołyski biegunów brakowało.

Długo skrzybotały łyżki, a nikt słowa nie wypuścił.

Że zaś dzieci do sieni się naszło i coraz to główiny do izby wtykały, wójt rzucił im przygarść karmelków, iż z piskiem a bijatyką wytoczyły się przed dom...

– Nawet Jambroż zapomniał języka w gębie! – zaczęła Jagustynka.

– Bo se po cichu miarkuje, że chłopakowi gospodarę trza szykować i dzieuchę.

– Gront – ojcowy to kłopot, a dzieucha – kumów.

– Nie zbraknie tego nasienia, nie! Proszą się z nim i by kto wziął, dopłacają.

– Musi być, co wójtowej ckni się do małego; widziałam, jak wietrzyła na płocie przyodziewę po swoich nieborakach!

– Pono na jesień wójt obiecują sprawić chrzciny!

– Przy takim urzędzie, a o czym potrza, nie zapominają!

– A bo smutno w chałupie bez dziecińskich wrzasków! – rzekł poważnie.

– Prawda, że i utrapień z nimi niemało, ale i wyręka jest, i pociecha...

– Specjały! I na złocie straci, kto je przepłaci! – mruknęła Jagustynka.

– Pewnie, że bywają i złe, za nic mające ojców, kwarde, ale jaka mać, taka nać, to się zbiera, co się zasiało! – westchnęła Dominikowa.

Rozsrożyła się Jagustynka, czując, że to jej przymawia.

– Łacno wam prześmiewać z drugich, że macie takich dobrych chłopaków, co to i oprędą, i wydoją, i garnki pomyją jak najsprawniejsze dzieuchy.

– Bo w poczciwości chowane i w posłuszeństwie.

– Prawda, same nawet pysków nastawiają do bicia! Wypisz, wymaluj – podobne do swojego ojca! Juści, jaka mać, taka nać, prawdęście rzekli; a że pamiętam, coście za młodu z chłopakami wyprawiali, to mi nie dziwota, co Jagusia do was się całkiem udała, bo takusienka jako i wy: niechby kolek, bele w czapie na bakier, zechciał... nie odmówi z poczciwości – syczała jej nad uchem, aż tamta pobladła chyląc głowę coraz niżej.

Jagna właśnie się przechodziła, zawołała jej Hanka, wódką częstując: wypila i nie patrząc na nikogo, na swoją stronę poszła.

Wójt schmurniał, na próżno oczekując, że powróci.

Rozmowy jakoś nie szły, nasłuchiwał i chodził oczyma kryjomo za nią, gdy znowu się ukazała i na podwórze przeszła.

I kobietom odechciało się pogwary; stare jeno się żarły rozwścieklonymi ślepiami, zaś Płoszkowa poredzała z cicha z Hanką. Jeden Jambroży nie przepuszczał flaszce i choć nikto nie słuchał, plótlł cosik i wycyganiał niestworzone rzeczy.

Wójt się naraz podniósł i niby za dom się wyniósł, a chyłkiem, przez sad na podwórze poszedł. Jagusia siedziała na progu obory dając pić po palcu srokatemu ciołkowi.

Obejrzał się trwoźnie i pchając jej za gors karmelki szepnął:

– Naści, Jaguś, przyjdź o zmierzchu do alkierza, to dam ci cosik lepszego.

I nie czekając odpowiedzi, do izby śpiesznie powracał.

– Ho, ho, ciołek wam się zdarzył, dobrze go przedacie – mówił rozpinając kapot.

– Na chowanie pójdzie, bo to z dworskiego gatunku.

– Profit będzie pewny, ile że młynarzowy byk już do niczego.

Ucieszy się Antek z takiego przychowku.

– Mój Jezu! kiej on go obaczy? kiej?

– Niezadługo, ja to wama powiadam, to wierzcie.

– Dyc wszystkich z dnia na dzień czekają.

– Mówię, że leda dzień się zjawią, cosik się ta przeciek z urzędu wie...

– A najgorsze, co pola nie chcą czekać.

– Jak się w porę nie obsieje, to straszno myśleć o jesieni!

Wóz jakiś zaturkotał. Józka wyjrzawszy za nim powiedziała:

– Proboszcz z Rochem przejechali.

– Ksiądz po wino do mszy się wybierał – objaśniał Jambroży.

– Że to Rocha wziął na probanta, nie Dominikową! – drwiła stara.

Nie zdążyła się odciąć Dominikowa, bo kowal wszedł i wójt podniósł się do niego z kieliszkiem.

- Spóźniłeś się, Michał, to gońże nas teraz!
- Prędko was, kumie, zgonię, bo tu już po was lecą...

Co jeno domówił, wpadł zadyszany sołtys.

- A chodźże, Pietrze, pisarz ze strażnikami na was czekają.
- Psiachmać, że to ni pacierza spokojności! Hale cóż, urząd pierwszy...
- Odprawcie ich prędko i powracajcie.
- Abo to chwaci czasu; o pożar na Podlesiu i o wasz podkop będą penetrowali...

Wybiegł wraz z sołtysem, a Hanka wpierając oczy w kowala rzekła:

- Przyjdą opisywać, to im rozpowiecie wszystko, Michale.
- Skubał wąsy i wbił ślepie w dzieciaka, niby się to mu przypatrując.
- Cóż to im powiem? tyła, co i Józka poredzi!
- Dzieuchy przeciek do urzędników nie wyślę, nie przystoi, a powiecie, że ile wiadomo, z komory niczego nie wynieśli, czy zaś co innego nie zginęło, to już... Bogu jednemu wiadomo... i... – strzepnęła pierzynę pokaszlując, by nie pokazać mu twarzy szydliwej, ale on się jeno ciepnął i wyszedł.
- Świędlerz jucha! – prześmiechnęła się leciuchno.
- Że krótkie były, to się jeszcze urwały! – narzekał Jambroż po czapkę sięgając.
- Józka, urznij im kielbasy, niech se chrzciny w domu przydłużą.
- Geś to jestem, bym suchą kielbasę ćkał?
- Podleście se gorzałką, byście nie wyrzekali.
- Mądre ludzie powiadają: rachuj kaszę, kiej ją sypiesz do garnka, paliców przy robocie nie oglądaj, ale kieliszków przy poczęstunku nie licz...

– Kaj grzysi przydzwaniają, tam pijak do mszy służy!

Przegadywali, nie szcędząc gorzałki, ale nie wyszły i dwa pacierze, kiej sołtys ją oblatywał chałupy i wołać, by się wszyscy schodzili do wójta przed pisarza i strażników.

Ozgniewało to Płoszkową, że ująwszy się pod boki pysk na niego wywarła:

– A mam gdziesik... za pazuchą... wójtowe przyказы! Nasza to sprawa? prosilim ich? czas mamy la strażników, co? Nie psy jesteśmy, co na leda gwizd do nogi się zlatują! Potrza im czego, niech przyjdą i

pytają! Jedna droga! Nie pójdziemy! – zawrzeszczała wybiegając na drogę do gromadki wylękłych kobiet, zbierających się nad stawem.

– Do roboty, kumy, w pola, kto ma sprawę do gospodyń, powinien wiedzieć, kaj nas szukać. Hale, niedoczekanie ich, byśmy na bele przykaz rzucały wszystko i szły wystawać pod drzwiami kiej psy, trąby jedne! – krzyczała, srodze zaperzona.

Gospodynią była po Borynach pierwszą, to posłuchały jej rozlatując się kiej spłoszone kokoszki, że zaś już większość w polach robiła od rana, pusto się zrobiło na wsi, dzieci jeno kajś niekaj bawiły się nad stawem i staruchy wygrzewały pod słońce.

Juści, że pisarz się zeźlił i sielnie sklął sołtysa, ale rad nierad musiał poleżeć w pola... Długo uganił się po zagonach rozpytując ludzi, czy kto czego nie wie o pożarze na Podlesiu. Rychtyk to samo powiedali, co i on wiedział, bo kto by się to wydał z tym przed strażnikami, co la siebie taił?

Czas jeno stracili do południa, nałazili się po wertepach i zabłócili po pasy, gdyż role były jeszcze miejscami przepadziste, a na darmo.

Tak byli tym rozgniewani, że skoro przyszli do Boryny opisywać ów podkop, starszy kłął na czym świat stoi, a natknąwszy się w ganku na Bylicę, z pięściami do niego skoczył i krzyczał:

– Ty, mordo sobacza, czemu to nie pilnujesz, że ci się złodzieje podkopują, co! – i już od maci jął mu wywodzić.

– A pilnuj sobie, od tegoś postanowiony, ja nie twój parobek, słyszysz! – odciął z miejsca stary, do żywego dotknięty.

Aż pisarz ryknął, by pysk stulił, kiej z osobą urzędową mówi, bo do kozy pójdzie za hardość, ale stary się rozwścieklił na dobre. Prostował się hardo i groźny, miotający oczyma, zachrypiał:

– A tyś co za osoba? Gromadzie służysz, gromada ci płaci, to rób, coć masz przez wójta nakazane, a wara ci od gospodarzy! Widzisz go, łachmytek jeden, pisarek jakiś! Odpasł się na naszym chlebie i będzie tu ludźmi pomiatał... i na ciebie się znajdzie większy urząd i kara...

Wójt z sołtysem rzucili się go przyciszać, bo srożył się coraz barzej i już kole siebie za czymś twardym macał drżącymi rękoma.

– A zapisz me do śtrafu, zapłacę i jeszcze ci na gorzałkę dołożę, jak mi się spodoba! – wołał.

Nie zwracali na niego uwagi opisując wszystko podrobno i rozpytując domowych o podkop, a stary mruzczał cosik do siebie, obchodził dom, zazierał po kątach, psa nawet kopnął, nie mogąc się uspokoić.

Po skończeniu chcieli co przegryźć, ale Hanka kazała powiedzieć, że mleka i chleba zbrakło akuratnie, są jeno ziemniaki od śniadania.

Poniesli się do karczmy, w żywe kamienie Lipce wyklinając.

– Dobrześ zrobiła, Hanuś, nic ci nie zrobią. Jezu, to nawet nieboszczyk dziedzic, choć miał prawo, a tak me nigdy nie sponiewierał, nigdy...

Długo nie mógł zapomnieć obrazu.

Zaraz po południu któraś wstąpiła powiedając że jeszcze w karczmie siedzą i sołtys polecił sprowadzić Kozłową.

– Szukaj wiatru w polu! – zaśmiała się Jagustynka.

– Pewnie po susz do lasu poleciała!

– We Warsiawie siedzi od wczoraj, po dzieci pojechała do szpitala, ma dwoje przywieźć na odchowanie, niby z tych podrzutków...

– By je głodem zamorzyć, jak to było z tamtymi dwa roki temu.

– Może to i lepiej la chudziaków, nie będą się całe życie tyrały kiej psy...

– I bękart człowiecze nasienie... już ona ciężko przed Bogiem odpowie.

– Przeciek z rozmysłu nie głodzi, sama nieczęsto naje się do syta, to skąd i la dzieci weźmie...

– Płacą na utrzymanie, nie z dobrości je przytula! – rzekła Hanka surowo.

– Pięćdziesiąt złotych na cały rok od sztuki, niewielka to obrada...

– Niewielka, bo przepija z miejsca, a potem dzieciska z głodu mrą.

– Dyć nie wszystkie: a nie wychował się to wasz Witek, a i ten drugi, co to jest w Modlicy u gospodarza!

– A bo Witka ociec wzięli takim skrzatem, co jeszcze koszulę w zębach nosił, i w chałupie się odgryzł. Tak samo było i z tamtym.

– Bronię to Kozłowej?... powiadam ino, jak się mi widzi. Musi kobieta szukać jakiego zarobku, bo do garnka nie ma co wstawić.

– Juści, Kozła nie ma, to nie ma kto ukraść.

– A z Jagatą się jej nie udało: stara miasto umrzeć pozdrowiała galanto i wyniesła się od niej. Wyżala się teraz po wsi, że Kozłowa co dnia jej wymawiała, iż ze śmiercią zwłóczy, by ją poszkodować.

– Wróci pewnie do Kłębów: gdzież jej szukać schronienia?

– Nie wróci: rozżaliła się na krewniaków. Kłębowa nierada ją puściła od siebie, boć to i pościel stara ma, i grosz pewnie spory, ale nie chciała ostać; przeniesła skrzynie do sołtyski i upatruje se, u kogo by mogła pomrzeć spokojnie.

– Pożyje jeszcze, a w każdej chałupie teraz się przyda, choćby gęsi popaść albo za krowami wyjrzeć. Kaj się to znowu Jagna zadziała?

– Pewnikiem u organistów panience fryzki wyszywa.

– Pora na zabawę, jakby w chałupie brakowało roboty!

– Dyc od samych świąt przesiaduje tam ciągiem – skarżyła Józka.

– Zrobię z nią porządek, że mnie popamięta... Pokażcie mi dziecko.

Wzięła je do siebie i skoro posprzątały po obiedzie, rozegnała wszystkich do roboty. Sama jeno w izbie ostała nasłuchując niekiedy za dziećmi, bawiącymi się przed domem pod okiem Bylicy, a po drugiej stronie Boryna leżał jak zawdy samotnie, patrzył w słońce, co się przez okno kładło na izbę smugą rozdraną i gmerał w niej palcami, a cosik do siebie gwarzył z cicha, jak to dzieciątko sobie ostawione.

Na wsi też pustką wiało, bo czas się zrobił wybrany i kto jeno mógł się ruchać, wychodził w pola, do roboty.

Od samych świąt pogoda się już ustaliła, że co dzień było cieplej i jaśniej.

Dni już szły długachne, rankami omglone, szarawe i cicho nagrzone w południa, a zorzami o zachodzie rozpalone, prawej zwiesny dni.

Ponieważ wlewały się cichuśko, kiej te strumienia w słońcu roziskrzane, chłodnawe jak one i jak one przejrzyste i zdziebko pluszczące o brzegi, puste i sinawe, a jeno kajś niekaj żółte od mleczów, to stokrótkami rozbielone albo rozzieleniałe wierzbowymi pędami.

Przychodziły i ciepłe całkiem, nagrzone, wilgotnawe, przesiane słońcem, pachnące świeżozną i tak przejęte rostem, tak zwiesną nabrzmiące, tak mocą opite, że z wieczora, kiej ptasie głosy przycichły i wieś legła, to zdawało się czuć w ziemi parcie korzeni i wynoszenie się ździebeł i jakby słyszał cichuśkie szmery otwierających się pąkowi, pęd rostów i głosy stworzeń, wydających się na świat Boży...

Szły zaś i drugie, do tamtych zgoła niepodobne.

Bez słońca, przemglone, szaromodrawe, niskie, chmurzyskami brzuchatymi przywalone a parne, ciężkie i bijące do głowy kiej gorzałka, iż ludzie czuli się jakby pijani; drzewiny kurczyły się w dygocie, a wszelkie stworzenie, rozpierane jakąś lubością, darło się gdzieś i ponosiło nie wiada kaj i po co, że ino krzyzczyć się chciało, przeciągać albo tulać choćby i po tych trawach mokrych, jako te psy ogłupiałe czyniły.

To przychodziły już od samego świtania zadeszczone, jakby zgrzebnym przedziwem obmotane, że światu nie dojrzał ni dróg, ni chat skulonych pod przemokłymi sadami. Deszcz padał wolno, ciągle, bezu-

stannie, równiufkie, drzące nici szare jakby się odwijają z jakiegoś wrzeczona niedojrzanego, wiążąc niebo z ziemią, że ino przygięło się wszystko cierpliwie i mokło, nasłuchując rzęsistego trzepotu i bulgotów strug, co się z białymi kłakami staczały z pól czarniawych.

Zwyczajnie to było, jak każdego roku na pierwszą zwiesnę, niktó się też nad nimi nie zastanawiał, nie pora była na deliberowanie, świt bowiem wyganiał naród do roboty, a późny mrok dopiero spędzał, że ledwie czasu starczyło, by pojeść i nieco wytchnąć.

Lipce też przez to całe dni stały pustką, pod strażą tylko staruch, psów i tych sadów coraz gęściej przysłaniających chałupy; czasem się jeno dziad jakiś przewłókl, odprowadzany psimi jazgotami, albo wóz do młyna i znowu drogi leżały puste, a oniemiałe chałupy przezierały wskroś sadów przepalonymi szybkami na pola szerokie, na pola nieobjęte, co jakby morzem ziem wieś całą okręzały, na pola, co niby matka rodzona tuliła na podołku dzieciny swoje i przy piersi wezbranej trzymała w żywiącym objęciu.

Juści, co dnie to szły robotne, ciepłe, deszczami przekrapiane, raz nawet śnieg pierzasty jął walić, że przysiwł pola, jeno co na krótko, bo go wnet słońce do cna zeżarło – to i nie dziwota, że na wsi przycichały swary, kłótnie a sprawy wszelkie, bo robota zaprzęgała w twarde jarzma i do ziemi wszystkie łby przygięła.

Że już co rano, jeno świt rosisty otwarł siwe ślepie; a pierwsze skowronki zaśpiewały, wieś zrywała się na równe nogi, rejwach się podnosił, trzaskanie wrótni, płacze dzieci, krzyki gęsi wypędzanych nad rowy i wnet wyprowadzali konie, chłopaki pługi wiodły, ziemniaki wynosili na wozy i rozchodzili się tak prędko w pola, że w pacierz abo dwa cicho już było na wsi a pusto. Nawet na mszę prawie niktó nie wstępował, że często granie organów huczało w pustym kościele, rozlewając się na pola co bliższe, a dopiero na głos sygnaturki klękali po rolach do rannych pacierzy.

Wychodzili wszyscy do roboty, a prawie tego znać nie było na ziemiach; dopiero przyjrząwszy się baczniej, to tam kajś niekaj dopatrzył pługi, konie przygięte w pracy, gdzie wóz na miedzy i kobiety, co jak liszki czerwone gmerały się wśród pól ogromnych, pod niebem jasnym i wysokim.

A wokół od Rudki, od Woli, od Modlicy, od wszystkich wsi, widnych czubami sadów i białymi ścianami w niebieskawym powietrzu, roztrzęsały się gwarliwe, pełne krzykań i śpiewów odgłosy robót. Kaj jeno okiem sięgnął za kopce graniczne, wszędy dojrzał chłopów sieją-

cych, pługi w orce, ludzi przy sadzeniu ziemniaków, zaś po piaszczystych rolach już kurz się podnosił za bronami.

Jeno lipeckie ziemie leżały w odrętwiąłej cichości, smutne, ogłuchłe, jako te nieplodne wywieiska albo drzewiny schnące wśród lasu młodego. Bo i w opuszczeniu sierocym leżały, mój Boże, odłogiem prawie, gdyż te kobiece ręce nie znaczyły i za dziesięciu chłopów, choć się wieś cała trudziła w pocie od świtu do nocy.

Cóż to mogły same poradzić? Zwijają się jeno kole ziemniaków a lnów, a po reszcie pół kuropatki skrzykiwały się coraz głośniejsze, to zajęczek często kicał, a tak wolno, że mogli zrachować, ile razy zabielił podogoniem z ozimin; wrony łążyły stadami po ugorujących zagonach, leniwie wyciągających się w słońcu, na próżno czekając ręki ludzkiej.

Cóż to naród miał z tego, że dni przychodziły wybrane i cudne, że wynosiły się rankami, jakby we srebrze skapane złote monstrancje, że zielone były, pachnące ziołami, nagrzane i śpiewające ptasimi głosami, że każdy rów złocił się od mleczów, każda miedza mieniła się kiej wstęga szyta w stokrocie, a łęgi kiej tym puchem różowionym kwiatami były potrząśnięte, że każda drzewina tryskała wezbraną zielenią, a wszystek świat wzbierał taką zwiesną, aż ziemia zdawała się kipieć i bulgotać od tego wrzątku zwieszowego!

A cóż z tego, kiej pola nie zaorane, nie obsiane, nie obrobione leżały, niby paroby zdrowe i krzepkie, przeciągające się jeno na słońcu, a całe tygodnie trawiąc na niczym, zasie na tłustych, rodnych ziemiach miasto zbóż ognichy się pleniły, osty strzelały w górę, lebiody trzęsły się po dołkach, rudziały szczawie, perze kłuły się gęsto po podorówkach jesiennych, a na rżyskach wynosiły się smukłe dziewanny i łopiany kiej te kumy podufałe zasiadały szeroko, że co ino tliło się w przytąjeniu i strachem dotela żyło, kiełkowało teraz weselnie, szło chyżym rostem, pchało się z bruzd na zagony i panoszyło się bujnie po rolach.

Aż lęk jakiś przewiewał po tych polach opuszczonych.

Że zdawało się, jakby bory, chylące się nisko nad ugorami, gwarzyły zdumione, że strumienie lęklawiej wiły się skoś pustek, a tarniny już obwalone białymi pąkami, grusze po miedzach, przelotne ptactwo, to jakiś wędrownik z obcych stron i nawet te krzyże i figury, stróżujące nad drogami, wszystko się rozgląda w zdumieniu i pyta dni jasnych i tych odłogów pustych:

– A kaj się to podziały gospodarze? kaj to te śpiewy, te bujne radoście kaj?...

Jeno ten płacz kobiecy im powiadał, co się w Lipcach stało.

I tak schodził dzień po dniu bez żadnej przemiany na lepsze; na-
przeciw, gdyż co dnia prawie mniej kobiet wychodziło w pole, że to w
chałupach zaległej robocie ledwie poradził.

Tylko u Borynów szło wszystko jak zwyczajnie, wolniej jeno niżli
po inne lata i ździebko gorzej, że to Pietrek dopiero się przyuczał do
polowych robót, ale zawdy szło jakoś, boć i rąk pomocnych nie brakło.

Hanka, choć jeszcze z łóżka, rządziła wszystkim tak zmyślnie i
kwardo, że nawet Jaguś musiała z drugimi stawać do roboty, i o wszel-
kiej rzeczy równą pamięć miała: o lewentarzu, o chorym, kaj orać i co
gdzie siał, o dzieciach, gdyż Bylica już od chrzcina nie przychodził,
zachorzał pono. Juści, że całe dni leżała w samotności, tyle jeno ludzi
widując, co w obiad i wieczorem, albo Dominikową, zaglądnącą do
niej raz w dzień; żadna z sąsiadek nie pokazywała się, nawet Magda, a
o Rochu to jakby słuch za- ginął: jak pojechał wtenczas z probosz-
czem, tak i nie powrócił. Strasznie mierzilo się jej to leżenie, więc aby
rychlej ozdrowieć i sił nabrać, nie żałowała sobie tłustego jądła ni jaj-
ków, ni mięsa, nawet przykazała zarznąć na rosół kokoszkę, nie nieśną
po prawdzie, ale zawdy wartała ze dwa złote.

Toteż tak prędko zmogła chorobę, że już w Przewody wstała, po-
stanawiając iść na wywód do kościoła; odradzały jej kobiety, ale się
uparła i zaraz po sumie poszła z Płoszkową.

Chwiała się jeszcze na nogach i często wspierała na kumie.

- Jaże mi się w głowie kołuje, tak zwiesną pachnie.
- Dzień, dwa i wzwyczaicie się.
- Tydzień dopiero, a zmiany na świecie za cały miesiąc.
- Na bystrym koniu zwiesna jedzie, że nie przegoni.
- Zielono też, mój Jezu, zielono!

Juści, sady wisiały nad ziemią kiej ta chmura zieloności, że ino
kominy z niej białaly i dachy się wynosiły. Po gąszczach ptastwo
świergotało zapamiętałe, dołem zaś od pól ciepły wiater pociągał, aż
się burzyły chwasty pod płotami, a staw marszczył się i pęgował.

- Tęgie paki wzbierają na wiśniach, ino patrzeć kwiatu.
- By mróz nie zwarzył, to owocu będzie galanto.
- Powiadają, że kiedy chleb nie zrodzi, sad dogodzi!
- Ma się na to w Lipcach, idzie po temu!... – westchnęła smutnie,
spoglądając łzawo na nie obsiane pola.

Prędko się uwinęły z wywodem, bo dzieciak się rozkrzycał, a i
Hanka poczuła się tak utrudzoną, że zaraz po powrocie do izby przyle-

gła nieco na pościeli, ale nie odzipsnęła jeszcze, kiej Witek z krzykiem wleciał:

– Gospodyni, a to Cygany do wsi idą!

– Masz diable kaftan, tego jeszcze brakowało. Zawołaj Pietrka drzwi pozamykać, bych czego nie porwały.

Przed dom wyszła zatrwożona wielce.

Jakoż wkrótce rozleciała się po wsi cała banda Cyganek, obdartych, rozmamłanych czarnych kiej sagany, z dziećmi na plecach, a uprzykrzonych, że niech Bóg broni; łaziły żebrząc, wróżyć chciały i do izb gwałtem się cisnęły. Z dziesięć ich było, a narobiły wrzasku na całą wieś.

– Józka, spędź gęsi i kury w podwórze, dzieci przywiedź do chałupy, jeszcze ukradną! – siadła w ganku pilnować, a dojrzawszy jakąś Cyganicę zmierzającą w opłotki, poszczuła ją psem. Łapa się rozsrożył i nie puścił, że czarownica pogroziła kijem i cosik na nią mamrotała.

– Hale, gdzieś mam twoje przekleństwa, złodziejko!

– Nie urzekłaby, gdybyście ją puścili – szepnęła Jagna z przekąsem.

– Aleby co ukradła. Takiej nie upilnuje, choćby jej na ręce patrzył, a chcecie wróżenia, to gońcie se za nimi.

Snadź trafiła w przytające chęci, bo Jagna poniesła się na wieś i całe to niedzielne popołudnie łaziła za Cygankami. Nie poredziła wyzbyć się jakiejś głuchej obawy ni przewyciężyć ciekawości wróżby, że po sto razy zawracała do chałupy i niesła się znowu za nimi, aż dopiero na zmierzchu, kiej Cyganichy pociągnęła ku lasowi, dojrzawszy, że jedna wstąpiła do karczmy, wsunęła się za nią i z wielkim strachem, żegnając się raz po raz, kazała sobie wróżyć, nie bacząc na ludzi przy szynkwasię stojących.

Wieczorem, po kolacji, zeszyły się do Józki na ganek dziewczyny i rajcowały o Cyganach, opowiadając, co której wywróżyły: że Marysi Balcerkównie wesele przepowiedziały na kopaniu, Nastce wielgi majątek i chłopa, Ulisi Sochównie, że ją zwiedzie kawaler, tej pękatej Weronce Bartkowej chorobę, zasie Teresce żołnierce...

– Pewnikiem bękarta! – zawarczała Jagustynka, siedząca z boku.

Nie zważali na nią, bo właśnie Pietrek się przysiadł i jął im prawić różności, jak to Cygany swojego króla mają, któren cały we srebrnych guzach chodzi, a taki ma posłuch, że kiejby przykazał la śmiechu tylko powiesić się któremu, a w mig to robią.

- Złodziejski król, mocarz taki, a psami go szczują– szepnął Witek.
 - Pieskie nasienie, pogany zatracone! – mruknęła stara i przysunawszy się rozpowiadała, jak to Cygany dzieci kradną po wsiach.
 - I żeby czarne były, to je kąpią we wywarze z olszyny, że i rodzona matka potem nie rozpozna, zaś cegłą ścierają jaże do kości te miejscy, kaj przy chrzcie Oleje święte kładli na nie, i prosto w diabła przemieniają.
 - A pono takie czary i zamawiania potrafią, jaże strach mówić! – pisnęła któraś.
 - Prawda, niechby cię ochuchała, a już by ci wasy wyrosły na łokieć.
 - Prześmiewacie!... Opowiadają, że chłopu ze słupskiej parafii, co ich pono wyszczuł psami, to Cyganicha jeno mignęła jakimś lusterkiem przed ślepiami, a zaraz całkiem zaniewidział.
 - I podobno ludzi, w co chcą, przemieniają, nawet we zwierzaki.
 - Kto się spije, ten się sam najlepiej we swinię przemienia.
 - Hale, a ten gospodarz z Modlicy, co to łoni na odpuszcie beł, nie łąził to na czworakach, nie szczekał?...
 - Zły go opętał, przeciek dobrodziej wypędzali z niego diabła.
 - Jezu, że to są na świecie takie sprawy, jaże skóra cierpnie!...
 - Bo złe wszędy się czai, jak ten wilk kiele owiec.
- Trwoga wionęła przez serca, że skupiły się barzej, a Witek rozdygotany strachem cicho szepnął:
- A u nas też cosik straszy...
 - Nie pleć bele czego! – powstała na niego Jagustynka.
 - Śmiałbym to, kiej chodzi cosik po stajni, obroków przysypuje, konie rzą... i za bróg chodzi, bo widziałem, jak Łapa tam leciał, warczał, kręcił ogonem i łąsił się, a nikogój nie było... To pewnikiem Kubowa dusza przychodzi...– dodał ciszej oglądając się na wszystkie strony.
 - Kubowa dusza! – szepnęła Józka zegnając się raz po raz.
- Zatrzęsły się wszystkie, mróz przeszedł kości, a kiej drzwi jakieś skrzypnęły, zerwały się z krzykiem. To Hanka stanęła w progu.
- Pietrek, a kaj te Cygany stoją?
 - Mówili w kościele, że siedzą w lesie za Borynowym krzyżem.
 - Trza stróżować w nocy, bych czego nie wyprowadzili.
 - W bliskości pono nie kradną.
 - Jak się im uda, dwa roki temu też tam stali, a Sosze maciorkę wzięli... Nie trza się na to spuszczać! – ostrzegła Hanka – i kiej się

dziewczyny rozeszły, pilnowała chłopaków, by za sobą dobrze pozamykali oborę i stajnię, zaś powracając zajrzała na ojcową stronę, czy już jest Jagusia.

– Skocz no, Józka, po Jagnę, niech przychodzi do chałupy, nie ostawię dzisiaj drzwi na całą noc wywartych.

Ale Józka rychło oznajmiła, że u Dominikowej ciemno i na wsi już prawie wszędzie śpią.

– Nie puszczyć latawca, niech se do rana posiedzi na dworze – wygrażała zasuważąc drzwi.

Musiało też być już bardzo późno, kiej posłyszawszy targanie drzwiami zwlekła się otwierać i aż się cofnęła, tak od Jagny buchnęło gorzałką. Niezgorzej musiała być napita, gdyż długo macała za klamką i słyhać było z izby potykanie się o sprzęty i to, że jak stała, buchnęła się na łózko.

– Ciel! Że i na odpuscie galanciej by się nie uraczyła, no, no!...

Ale już ta noc nie miała przejść spokojnie, gdyż na samym świtaniu zatrzęsł się na wsi taki wrzask i lament, że kto jeszcze spał, w koszuli śpiesznie wybiegał na drogę myśląc, iż się kaj pali...

To Balcerkowa z córkami darła się wniebogłosy, że jej konia wyprowadzili złodzieje.

W mig cała wieś się zleciała przed chałupę, a one rozmamłane opowiadały nieprzytomnie pośród płaczów i lamentów, jako Marysia poszła o świcie przysypać obroku, a tu drzwi wywarte, stajnia pusta i konia przy żłobie nie ma.

– Ratuj, Jezu miłościwy! ratujcie, ludzie, ratujcie! – ryczała stara drąc się za łeb i tłukąc się o płoty kiej ten ptak spętany.

Przyleciał sołtys, po wójta też posłali, ale go w domu nie było, zjawił się dopiero w parę pacierzy, jeno że się ledwie na nogach utrzymał: napity był, rozespany i zgoła nieprzytomny, bo jął cosik mamrotać i ludzi rozganiał, aż go sołtys musiał usunąć z oczu.

Ale i tak mało kto zważał na niego w tym ciężkim strapieniu, co jak kamienie przywalało wszystkie dusze; słuchali wciąż opowiadań drepzcząc ze stajni na drogę i z nawrotem, nie wiedząc, co począć, bezradni i do cna wystraszeni, aż któraś rzuciła w głos:

– To cygańska robota!

– Prawda, w lesie stoją! penetrowały wczoraj!

– Nie kto drugi ukradł, nie! – zerwały się burzliwe głosy.

– Lecieć do nich i odebrać, a sprać złodziejów! – wrzasnęła Gulbasowa.

– Na śmierć zakatrupić za taką krzywdę!

Wrzask buchnął ogromny ku wschodzącemu właśnie słońcu, kołki zaczęły rwać z płotów, trząchać pięściami, kręcić się w kółko, to gdzieś już naprzód wybiegać z krzykiem, kiej nowa sprawa się wydała.

Sołtyska z płaczem przybiegła, że i im wóz ukradli z podwórza.

Ośłupieli, jak kieby piorun trzasnął gdzieś z bliskości, że długi czas jeno wzdychali rozwodząc ręce i spoglądając na sie ze zgrozą.

– Konia z wozem ukradły, no, tego jeszcze we wsi nie bywało.

– Jakaś kara spada na Lipce.

– I co tydzień gorzej!

– Przódzi bez całe roki tylachna się nie zdarzało, co teraz przez miesiąc.

– A na czym się to jeszcze skończy, na czym! – poszeptywały trwożnie.

Naraz rzucili się za sołtysem do Balcerkowego sadu, kaj widne były końskie ślady, znaczne po rosie i na świeżej ziemi, aż do sołtysowej stodoły; tam konia wprzęgli do wozu złodzieje i kołując po rolach, wyjechali koło młynarza na drogę, biegnącą do Woli.

Pół wsi poszło rozpatrując w cichości ślady, które dopiero pod stogami spalonymi, przy skręcie na Podlesie, urwały się z nagłą, że nie sposób ich było odszukać.

Ale ta kradzież tak sturbowwała wszystkich, że choć dzień był bardzo cudny, mało kto wziął się do roboty: łazili powarzeni, łamali ręce użalając się nad Balcerkową, przejmując się coraz większym strachem o swój dobytek.

Zaś Balcerkowa siedziała przed stajnią, jakby przy tym katafalku, zapuchła z płaczu i ledwie już zapiąc, wybuchała niekiedy wśród jęków:

– O mój kasztan jedyny, moje konisko kochane, mój parobku najlepszy! A to mu dopiero na dziesiąty rok szło, samam go od źrebięcia wychowała, jak to dzieciątko rodzone, dyć w tym samym roku się ulągl co i mój Stacho! A cóż my teraz sieroty poczniemy bez ciebie, co?

Zawodziła tak żałośliwie, iż co mięsi płakali z nią razem rozżalając się nad stratą, gdyż bez konia to jak przez ręk, zwłaszcza teraz na zwiesną i kiej chłopów nie było.

Juści, co sąsiadki obsiadły ją, z całego serca pocieszając; a pospólnie wspominały kasztana chwając go niemało.

– Piękny był koń, krzepki jeszcze, kiej dziecko łagodny.

– Skopał mi chłopaka, kumo, ale po prawdzie wałach był przedni.

– Prawda, grude miał w kulasach i ździebko ślepiął, ale zawdy czterdzieści papierków daliby za niego.

– A figlował kiej pies, nie ściągał to pierzyn z płotów? co?

– Szukać takiego drugiego, szukać! – wyrzekały bolejąco, niby nad jakimś umarlakiem, a Balcerkowa co spojrziała na złób, to ją nowy ryk wstrząsał i nowe żalście chwyciły za gardziel i ta pusta stajnia, kiej świeży grób, budziła pamięć straty nieodżałowanej i krzywdy. Uspokoiła się dopiero, kiej powiedzieli, jako sołtys wziął Pietrka od Hanki, księżego Walka, młynarczyka i pojechali szukać u Cyganów.

– Hale, szukaj wiatru w polu: kto ukradnie, schowa ładnie.

Dobrze już było pod wieczór, kiej powrócili rozповідаjąc, że ani śladu nikaj, jakby kamień rzucił we wodę.

Wójt też się pokazał we wsi i choć już mrok zapadał, zabrał sołtysa na brykę i pojechał donieść strażnikom i kancelarii, a Balcerkowa z Marysią poszły na sąsiednie wsie szukać na swoją rękę.

Ale wróciły z niczym, dowiedziały się jeno, że po inszych wsiach również mnożyły się kradzieże. Bez to na ludzi padło jeszcze cięższe udręczenie, bo strach o dobytek, jaże wójt ustanowił stróże i w braku parobków po dwie kobiety wespół ze starszymi chłopcami miały co noc obchodzić wieś i pilnować, a oprócz tego i w każdej chałupie z osobna czuwali, wszystkie zaś dziewczki poszły spać do stajni i obór.

Jednako i to nie pomogło, a trwoga jeszcze barzej urosła, gdyż mimo tych stróżowań zaraz pierwszej nocy Filipce z za wody złodzieje wyprowadzili maciorę na oprosieniu.

Prosto nie opowiedzieć, co się z tą chudziaczką wyrabiało: tak rozpaczała, że i po dziecku nie poredziłaby ciężej, boć to był jej dobytek jedyny, za którego rachowała się przeżyć do żniw; ryczała też tłukąc się o ściany, jaże strach było patrzeć. Nawet do dobrodzieja poleciała z lamentami, że litując się nad nią, dał jej całego rubla i obiecał prosiaka z tych, co się dopiero miały ulać na żniwa.

A naród już nie wiedział, co począć i jak zapobiec kradzieżom. Dzień nastał iście pogrzebowy, że zaś i pogoda się przemieniła, deszczyk siepał od rana i szare, ciężkie niebo przygniatało świat wszystkim, to smutek ogarniał dusze, ludzie chodzili w utrapieniu, wzdychający i żalni, ze strachem myśląc o nocy najbliższej.

Jakby na szczęście przed samym wieczorem zjawił się Rocho i biegając po chałupach roznosił nowinę tak dziwną, że zgoła nie do uwierzenia. Oto rozповідаł radośnie, jako we czwartek, pojutrze, zjadą się całą hurmą sąsiedzi pomagać Lipcom w polnych robotach.

Nie mogli zrazu uwierzyć, ale kiej i dobrodziej wyszedłszy na wieś potwierdzał najuroczyściej – radość buchnęła po ludziach, że już o zmierzchu, kiej deszcz przestał, a ino kałuże poczerwieniały od zórz przeciekających spod oparów, zaroily się drogi, rozbrzmiewając weselnymi krzykami. Zagotowało się po chałupach od gwarów, biegali po sąsiadach rozważać i dziwować się tej nowinie, zapominając całkiem o kradzieżach i tak się ciesząc serdecznie tą pomocą niespodzianą, że nawet mało kto pilnował tej nocy.

Nazajutrz, jeno się świt przetał chyla tyła, cała wieś stanęła na nogi; wyprzątali chałupy; brali się do pieczenia chlebów, rychtowali wozy, krajali ziemniaki do sadzenia, szli w pola rozrzucać nawóz, leżący na kupach – a w której chałupie turbowano się wedle jadła i napitku la tych gości niespodzianych, rozumiano bowiem, jako trza wystąpić godnie, po gospodarsku, iż bez to niejedna kura i gaska, ostawiona na przedanie, dały gardło, i niemało znowu nabrali na bróg w karczmie i we młynie, że jak przed wielkim świętem uczyniło się w Lipcach.

A Rocho może najbardziej radosny i wzruszony, cały dzień uwijał się po wsi popędzając jeszcze tu i owdzie do przygotowań, a tak był jaśniejący i na podziw rozmowny, że kiej zajrzał do Borynów, Hanka, która znowu leżała czując się chorą, rzekła cicho:

– Oczy się wam świecą kiej w chorobie...

– Zdrowym, jeno radosny, jak nigdy w życiu. Miarkujecie: tyła chłopów się zwali na całe dwa dni do Lipiec, że najpilniejsze roboty obrobiją. Jakże się nie radować?

– Dziwno mi jeno, że tak za darmo, przez zapłaty, za jedno Bóg zapłać chcą robić... tego jeszcze nie bywało...

– A za Bóg zapłać przyjadą pomagać, jak prawe Polaki a chrześcijany powinny! Juści, co tak nie bywało, ale i bez to złe panoszy się we świecie. Przemieni się jeszcze na lepsze, zobaczycie! Naród przyjdzie do rozumu, pomiarkuje, że nie ma się na kogo inszego oglądać, że nikt mu nie pomoże, jeno on sam sobie, wspierając jeden drugiego w potrzebie! A rozrośnie się wtenczas po wszystkie ziemie kiej ten bór niezmożony i nieprzyjacioły jego szczoną niby śniegi! Obaczycie, przyjdzie taka pora! – wołał promieniejąc, a ręce wyciągał gdziesik, jakby chciał kochaniem objąć wszystkich naród i wiązać go miłością w jeden pęk nieprzełamany...

Ale uciekł zaraz, gdyż zaczęła wypytywać, kto sprawił taki cud, że przyjadą z pomocą? Chodził po wsi, gdyż do późnej nocy świeciło się

po chałupach, że to dzieuchy prawie świąteczne obleczenia szykowały, spodziewając się, iż coś parobków jutro przyjedzie.

A nazajutrz, ledwie świt pobielił dachy, wieś już była gotowa, z kominów się kurzyło, dziewczyny kiej oparzone latały między chałupami, chłopaki zaś skrały się po drabinach na kalenice, patrząc na drogi. Świąteczna cisza padła na wieś. Dzień przyszedł chmurny, bez słońca, ale ciepły i dziwnie jakoś tęskny. Ptactwo zajadłe świergotało po sadach, zaś głosy ludzkie cichły, ciężko się ważąc w tym nagrzanym wilgotnym powietrzu.

Długo czekali, bo dopiero kiej przedzwonili na mszę, zadudniały głucho drogi, a spod sinych rzadkich mgieł jęły się wytaczać szeregi wozów.

- Jadą z Woli!
- Jadą z Rzepek!
- Jadą z Dębicy!
- Jadą z Przyłęka!

Wrzeszczeli ze wszystkich stron na wypródki biegnąc przed kościół, kaj już pierwsze wozy zajechały, a wkrótce wszystek plac ludźmi się zapchał i zaprzęgami. Chłopi, świątecznie przyodziani, zeskakiwali z wasągów rzucając pozdrowienia kobietom nadchodzącym zewsząd, dzieci zaś jak zawdy wrzask podniesły, otaczając przybyłych.

I szli zaraz na mszę, bo już w kościele zahuczały organy.

A skoro ksiądz skończył, prawie cała wieś wysypała się za wrótnie cmentarza pod dzwonnice, gospodynie wystąpiły na przedzie, dzieuchy kręciły się na bokach wiercąc ślepiami parobków, a komornice zbiły się osobno w kupę kiej kuropatki, nie śmiejąc cisnąć się na oczy do brodzieja, który wnet się ukazał, pozdrowił wszystkich i razem z Rochem jął rozporządzać, który do jakiej chałupy ma jechać robić, bacząc jeno, by bogatszych do bogatszych kwaterować.

Tak ano w mig wszystko rozporządził, że nie przeszła i pół godziny, a już rozdrapali chłopów, przed kościołem ostały jeno splakane komornice, na darmo czekające, że i im któryś przypadnie, po wsi zaś rwetes się czynił: wystawiali ławy przed chałupy, duchem podając śniadania i częstując gorzałką na pędsze skumanie. Dziewki rade usługiwały, ledwie tykając jadła, gdyż większość była parobków i tak wystrojonych, jakby na zmówiny, a nie do roboty zjechali.

Nie było czasu na rozgadki, tyle jeno mówili, z których są wsi i jak się wołają, nawet jedli mało wiele wymawiając się wielce politycznie, jako jeszcze nie zarobili na sutsze jadło.

Wrychle też, pod przewodem kobiet, zaczęły wyjeżdżać w pola.

Jakby to uroczyste świętko uczyniło się na świecie.

Puste i zdrewniałe pola ożyły, potrząsnęły się głosy, ze wszystkich podwórz wytaczały się wozy, wszystkimi drózkami ciągnęły pługi, wszystkimi miedzami ludzie ruszali, a wszędy, skroś sadów i przez pola rwały się pokrzyki, leciały radosne pozdrowienia, konie rżały, turkotały rozeschłe koła, psy ujadały zapamiętałe ganiając za źrebakami, a bujna, mocna radość przepelniała serca i po ziemiach się niesła – i na poletkach pod ziemniaki, na jęczmiennych rolach, na rzyskach, na zachwaszczonych ugorach stawali i wesołym pogwarem, szumnie i rozgłośnie kiej do tańca.

Naraz przycichło wszystko, baty świsnęły, zaszczękały orczyki, sprężyły się konie i rdzawe jeszcze pługi jęły się z wolna wpierać w ziemię i wywalać pierwsze skiby czarne i lśniące, a naród się prostował, nabierał dechu, żegnał, potaczał oczyma po rolach, przyginał i pracy a trudu się imał.

Zgoła nabożna i święta cichość ogarnęła pola, jakby się rozpoczęło nabożeństwo w tym niezmiernym kościele. Naród w pokorze przywarł do zagonów, ścichnął i ze wzdychem serdecznym rzucał święte, rodne ziarna, posiewał trud na plenne jutro, matce ziemi oddawał się wszystkim i z dufnością.

Hej! ożyły znowu lipeckie pola, doczekały się gospodarzy tęskniące, a toć, jak okiem sięgnął, od borów chmurnych aż po wyżnie polnych granic, po wszystkich ziemiach w tym szarozielonawym, mgławym powietrzu, niby pod wodą, jaże roilo się od czerwonych wełniaków, pasiastych portek, białych kapot, koni przygiętych w pługach i wozów po miedzach.

Niby pszczelny rój obsiadł ziemię pachnącą i roilo się pracowicie w cichości bladego zwiesnowego dnia – że jeno skowronki rozgłośniej śpiewały waząc się gdziesik niedojrzane, wiater też przewiał niekiedy, zatargał drzewiny, rozwiął przyodziewy kobietom, przyglądził żyta i w bory uciekał z chichotem.

Długie godziny pracowali bez wytchnienia, tyle jeno odpoczywając, co tam ktoś grzbiet wyprostował, odzipnął i znowuj się przykładał do zagona. Że nawet na południe z ról nie zjeżdżali, przysiedli jeno na miedzach pojeść z dwojaków i kościom dać folgę, ale skoro tylko konie przejadły, za pługi się imali, nie leniąc ni ociągając. Dopiero o samym zmierzchu zaczęli ściagać z pól.

Wnetki rozbłysły chaty i zawrzały gwarem a krętaniną, cała wieś stanęła w łunach ogni, co się z okien i drzwi wywartych darły na drogę, w każdej chałupie zwijali się kiele obrządków i wieczerzy. Rwetes się podniósł, przekrzyki, rżenia koni, skrzypy wierzei, cielece beki, gęgoty gęsi na noc spędzonych do zagród, dziecińskie wrzaski, że cała wieś huczała i trzęsa się tym dziwnie radosnym bełkotem.

Przycichło dopiero, kiej gospodynie do mich zapraszały, tak sielnie honorując chłopów, że sadzały ich na pierwszych miejscach, podtykając co najlepsze, nie żalowały bowiem ni mięsa, ni gorzałki...

We wszystkich chałupach wieczerzali, wszędy przez wywarte okna i drzwi widne były głowy w krąg zebrane i gęby ruchające, skrzybot łyżek się rozchodził, a smaki słoniny przysmażonej wiały po drogach, aż w nozdrzach wierciło.

Tylko jeden Rocho nikaj nie przysiadł na dłużej, chodził od domu do domu, siał dobrym słowem, poredzał i szedł dalej do drugich, jako ten gospodarz zapobiegliwy i o wszystkim jednako baczący, a tak samo jak cała wieś pełen wesela i może barzej jeszcze przejęty radością.

Nawet u Hanki czuć było to dzisiejsze świątko, bo choć pomocy nie potrzebowała, to by drugim ulżyć, zaprosiła do siebie na kwatere dwóch Rzepczaków, które robiły u Weronki i Gołębowej.

Tych se wybrała, że to Rzepczaki za szlachtę się miały.

Juści, co w Lipcach przekpiwali się zawdy z takiej szlachty i za psi pazur ich nie mieli, gorzej niżli na miejskich łachmytków i prefesjan-tów powstając; ale skoro weszli do chałupy, Hanka zaraz spostrzegła, że to inszy gatunek, znaczniejszy.

Chłopy były drobne i chuderlawe, z miejska w czarne kapoty odziane, ale sielnie miniaste; wąsiska im sterczały kiej wiechy konopne i oczyma toczyli górnje, jednako rozmowni byli, a obejście mieli delikatne i mowę zgoła pańską. Obyczajny był naród, bo tak wszycko grzecznie chwalili, a każdej poredzili tym słowem zabasować, że kobiety jaże urastały z kumentności.

Sutszą też wieczerzę kazała Hanka narządzić i podać im na stole pokrytym czystą płachtą.

Sielnie ich obserwowała, przykazując wszystkim uważnie, że prawie na palcach kiele nich chodziły, z oczu odgadując potrzeby, Jagna zaś, jakby całkiem głowę straciła, wystroiła się kieby na odpust i siedziała zapatrzona w młodszego niby w obraz.

– Ma on swoje dwórki, na bosc ani spojry – szepnęła Jagustynka, jaże Jaguś w ogniach stanęła i na swoją stronę uciekła.

Rochu wszedł był właśnie, za stołkiem się rozglądając.

– Temu się najbarzej zdumiewają nasze chłopcy, co ludzie z Rzeppek zjechali Lipcom pomagać! – rzekł cicho.

– Nie o swoją sprawę pobili się w lesie, to nikt z nas zawziętości nie żywi – odpowiedział starszy.

– Bo zawdy bywa, że kiej się dwóch za łby bierze, trzeci korzysta!

– Prawda, Rochu, ale niech no dwóch się zgodnie zmówi w przyja-
cielstwo, to ten trzeci może niezgorzej oberwać po łbie – co?

– Mądrze mówicie, panie Rzepecki, mądrze...

– A co dzisiaj Lipcom dolega, jutro może przyjść na Rzepki.

– I na każdą wieś, panie Rzepecki, jeśli miasto za sobą obstawać i
pospólnie się bronić, kłyżnią się, dzielą i przez złościę wydają wrogo-
wi. Mądre i przyjacielskie sąsiady to jak te płoty a ściany bronne: świ-
nia się bez nie nie przeciśnie i zagona nie spyska...

– Wie się już o tym, Rochu, między nami, jeno chłopcy jeszcze tego
nie miarkują i stąd bieda idzie...

– I na to już pora przychodzi, panie Rzepecki: mądrzeją...

– Wytoczyli się wnet po wieczery na ganek, kaj już Pietrek przy-
grywał na skrzypicy dziewczynom, co się były zleciały posłuchać.

Wieczór szedł cichy i ciepły, mgły białymi kożuchami zsiadały się
na łągach, czajki kwiliły z mokradeł i młyn po swojemu turkotał, a cza-
sem drzewa zaszumiały. Niebo było wysokie, ale zawalone burymi
chmurzyskami, że jeno na obrzeżach zwałów przecierały się miesięcz-
ne brzaski, a miejscami z wyrw głębokich kieby w studniach gwiazdy
bystro świeciły.

Wieś huczała kiej ul przed wyrojem. Do późna jarzyły się wszyst-
kie okna, do późna też w opłotkach i po drogach wrzały przyciszone
szepty i śmiechy buchały wesołe; dziewczki szczyrzyły zęby do kawale-
rów i rade się z nimi wodziły nad stawem, starsze zaś zasiadłszy z go-
spodarzami na pro- gach, ugwarzały się godnie zażywając chłodu i
odpocznienia.

A nazajutrz, ledwie się niebo zarumieniło zorzami, jeszcze w świ-
towych, przyziemnych sinościach, zaczęli się zrywać ze śpiku i sposo-
bić do pracy.

Słońce wzeszło pięknie, że świat, kieby tym srebrem szronami po-
trząśnięty, w ogniach stanął cały, w skrzeniach mokrawych i w chłod-
nym a rzeźwym poranku. Ptactwo uderzyło w krzyk ogromny, zaszu-
miały drzewa, zabełtały wody, podniosły się ludzkie głosy i wiatery
otrząsając krze roznosił po wsi terkoty, wołania, ryki, dzieuszynie

śpiewki, co kajś zatrzepotały, i cały ten rwetes i krętaninę wychodzących na robotę.

Na łągach mgły jeszcze leżały białe kiej śniegi, jeno na wyższych rolach porzedły i słonecznymi biczymi pocięte i spędzone, dymiły już kiej z trybularzów i ku czystemu niebu darły się strzępiastym przedziwem; w szronach leżały jeszcze pola, kuląc się w dośpiku i nabrzmiewając niby pąki; a naród z wolna wpierał się wszystkimi stronami w orosiałe, senne zagony, wtapiał się w przesłoneczniane tumany i przywierał do poletek w cichości – bo od ziem, od drzew, z sinych dalekości, od wód błyskających krętowinami, od mgieł i od nieba, wynoszącego rozgorzały krąg słońca – wszystkim światem taka wiosna waliła i bił taki czad mocy i upojenia, że jaże w piersiach zapierało, jaże dusza się trzęsła w takiej przenajświętszej radości, co to jeno łzami skapuje cichymi, wzdychem się wypowie albo klękaniem przed tym zwiesnowym cudem i w najlichszej trawce widowym.

To i mnogi ów naród obzierał się długo dokoła, żegnał pobożnie, pacierze szeptał i w cichości za robotę się brał, że kiej przedzwaniali na mszę, już wszyscy byli na swoich miejscach.

Mgły rychło się rozwiały i pola stanęły na słonecznej jaśni, że jak okiem sięgał po lipeckich ziemiach, pociętych pasami zielonych ozimin, wszędy czerwieniały wełniaki, orały pługi, wlekły się brony, wodzone przez dziewczki, gmerały się rzędy kobiet, sadzących ziemniaki, a gęsto po czarnych i długich zagonach chodziły chłopcy przepasane płachtami: pochyleni ździebko i nabożnym, sypkim rzutem ręki rozsiewali ziarna w spulchnione, czekające role...

Tak zaś wszyscy pracowali gorliwie, głów nawet nie podnosząc, iż ani spostrzegli dobrodzieja, któren zaraz po mszy jawił się przy swoim parobku, orzącym nade drogą, a potem ku zdumieniu chodził po poletkach, pozdrawiał wesoło, częstował tabaką, komu i papierosa udzielił, tam rzucił jakieś słowo łaskawe, ówdzie dziecińskie głowy przygładził i z dzieuchami zażartował, indziej zaś to wróble stado, na zasiany jęczmień spadłe, pecyną zgonił, a często pierwszą garść siewu krzyżem błogosławił albo i sam rozrzucił, a wszędy do pośpiechu przynaglał, jakby i ekonom nie poredził lepiej.

I zaraz po obiedzie razem ze wszystkimi do roboty się stawił objaśniając kobietom, że choć to dzisiaj wypadło świętego Marka, ale procesja odbędzie się dopiero w oktawę, trzeciego maja.

– Nie pora dzisiaj, szkoda czasu, bo chłopcy drugi raz nie przyjadą pomagać!

Tłumaczył i sam też z pola nie zeszedł aż do samego końca; sutannę podkasał, kijem się wspierał, że to tęgie brzuchoch musiał dźwigać, i chodził niestrudzenie, niekiedy jeno przysiadając po miedzach, by pot obetrzeć z łysiny a odzipnąć.

Radzi mu byli serdecznie, iż pod jego okiem robota jakby szła prędzej i lekciej, chłopcy zaś za honor sobie miały, co im sam dobrodziej ekonomuje.

Słońce już czerwone i pełne nad bory się zwieszało, ziemie gasły, a dale jęły modrzeć, kiej pokończywszy co najpilniejsze roboty zaczęły ściągać do wsi; śpieszyli się, bych jeszcze za widoku do dom zdążyć.

Wielu i za wieczrę dziękowało, przegryzając jeno co niebądź naprędcę, a insi z pośpiechem brali miski wczas narządzone; konie, już założone do wozów, rżały przed domami.

Ksiądz się znowu pokazał na wsi wraz z Rochem, obchodził wszystkich i każdemu chłopcu z osobna raz jeszcze dziękował za pocziwą pomoc Lipczakom.

– Bo co dasz potrzebującemu, jakbyś samemu Jezusowi dawał! No, mówię wam, że choć nieskorzy jesteście dawać na mszę, choć o potrzebach kościoła nie pamiętacie, choć już od roku wołam, że dach mi zacieka na plebanii, co dzień modlić się za was będę, za waszą pocziwość Lipcom okazaną... – wołał ze łzami, całując chylące mu się po drodze głowy.

Właśnie byli kiele kowala, skręcali na drugą stronę wsi, kiej im zastąpiły drogę zapłakane komornice z Kozłową na przedzie.

– A to dopraszam się dobrodzieja, szlim pytać: czy to nam chłopcy pomagać nie będą?

Zacęła hardo, podniesionym głosem.

– Bo czekalim, że i na nas przyjdzie kolej, a oni już odjeżdżają...

– I my sieroty ostaniem przez żadnego wspomnienia... wraz mówiły.

Ksiądz zafrasował się, srodze poczerwieniawszy.

– Cóż wam poradzę?... nie wystarczyło dla wszystkich... i tak całe dwa dni pocziwie pomagali... no, mówię... – bełkotał latając po nich oczyma.

– Juści! pomagali, ale gospodarzom, bogaczom jeno... zaszłochała Filipka.

– Nama jako zapowietrzonym nikto się nie pokwapił wspomóc...

– Nikogój głowa nie zaboli o nas, sieroty...

– Żeby choć kilka pługów do ziemniaków to i tego nie! – szeptały łzawo.

– Moiście... odjeżdżają już... no... zaradzi się jakoś... prawda, że i wam ciężko... i wasi mężowie z drugimi... no mówię, że się zaradzi.

– A o czym to będziem czekać tej pomocy?... a jak się jeszcze i tego ziemniaka nie wsadzi, to już ino postroneczka szukać! – zawiedła Gulbasowa.

– No, mówię, że się zaradzi... Dam wam swoich koni, choćby na cały dzień, jeno mi ich nie zgońcie... młynarza też uproszę, wójta, Boryny, może dadzą...

– Może! Czekaj tatka latka, jaż kobyłę wilcy zjedzą! Chodźta, kobiety, nie skamlajta po próznicy!... żebyta nie potrzebowały, to by wama dobrodziej pomogli... La gospodarzy jest wszystko, a ty, biedoto, kamienie gryź i łzami popijaj! Owczarz jeno stoi o barany, bo je strzyże, a z czegóż to nas oskubie, cheba z tych wszy! – wywierała pysk Kozłowa, jaże ksiądz zatkał uszy i poszedł.

Zbiły się w kupkę i rzewnymi łzami płakały, w głos wyrzekając, a Rocho utulał je, jak umiał, obiecując pocziwie pomoc jaką wyjednać. Odwiódł gdziesik pod płot, bo już zaczęli się rozjeżdżać na wszystkie strony, drogi zaczerniały od koni a ludzi, zaturkotały wozy i ze wszystkich progów leciały gorące słowa dziękczynień:

– Niech wama Bóg zapłaci!

– Bywajcie zdrowi!

– Odplącam się jeszcze w sposobną porę!

– A zawdy w niedzielę zajeżdżajcie do nas kiej do krewniaków!

– Ojców pozdrówcie! A kobiety nam swoje przywieźcie!

– W potrzebie się któren znajdzie, z całej duszy pomozem!

– Ostajta z Bogiem i niech wama plonuje, ludzie kochane! – krzykali czapami trzających do się i rękoma wymachując.

Dziewczyny i co ino było dzieci szły przy wozach odprowadzając ich za wieś. Największą kupą tłoczyli się na topolowej, gdyż tamtędy aż z trzech wsi jechali. Wozy toczyły się wolno, rozmawiali wesoło buchając częstym śmiechem i baraszkując.

Mrok się już sypał, zorze gasły, jeno wody kajś niekaj gorzały czerwono, mgły się zwijały na łęgach i wieczorna, zwiesnowa cichość przedła się po ziemiach. Żaby jęły gdziesik daleko a zgodnie rechotać...

Doprowadzili się do rozstajów i tam żegnali się wśród śmiechów i krzykań, ale nim jeszcze konie ruszyły z kopyta, kiej któraś z dziewczyn zaśpiewała za nimi:

Dasz, Jasiu, na zapowiedzie!
Słuchaj ino, tatuś jedzie,
Dudni na moście –
da dana!

Dudni na moście!

A chłopaki im na to odwracając się z wozów:

Teraz, Maryś, takie ziąby –
Zskrzytwiałyby dziewosłaby;
Dam w Wielkim Poście...
da dana!
Dam w Wielkim Poście!...

Dzwończyły młode głosy po rosie i we wszystek świat się niesły ra-
dosne.

ROZDZIAŁ 7

Chłopy wracają!

Piorunem ta wieść runęła i kiej płomień rozniesła się po Lipcach!

Prawda-li to? I kiedy? I jak?...

Nikto jeszcze nie wiedział.

To jeno pewne było, że stójka z gminy, któren jeszcze przed wschodem leciał do wójta z jakimś papierem, rzekło tym Kłębowej, wypędzającej właśnie gęsi na staw, ta się w ten mig rzuciła z nowiną do sąsiadów, zaś Balcerkówny rozkrzyczały od siebie najbliższym chałupom, że nie wyszło i Zdrowaś, a już całe Lipce zerwały się na nogi trzęsąc radosną wrzawą, aż się zakotłowało w izbach.

A rano było jeszcze, tyle co się świt przetaił i majowy, wczesny dzień wstawał, jeno że jakiś poczerniały i mokry; deszcz mżył kiej przez gęste sito i pluskał cichuśko po rozkwitających sadach.

– Chłopy wracają! Chłopy wracają! – rwał się krzyk nad wszystką wsią, przez, sady leciał hukliwie, z każdej chałupy bił kiej dzwon radosny, z każdego serca buchał płomieniem i z każdej gardzieli się wydierał.

Dzień dopiero co wstał, na wieś już wrzała kiejby na odpusćcie; dzieci wylatywały z krzykiem na drogi, trzaskały drzwi, kobiety odziewały się na progach, już wypatrując tęskliwie wskroś drzewin rozkwitłych i szarugi przysłaniającej dalekości.

– Wszystkie wracają! Gospodarze, parobcy, chłopaki, wszystkie! Już idą! Już wyszli z lasa, już są na topolowej! – wołali na przemiany i ze wszystkich progów dały się krzyki, a co gorętsze wybiegały kiej oszalałe; gdzie już płacz się rozlegał i tętenty biegnących naprzeciw...

Jeno trepy kłapały i błoto się otwierało, tak wyrwali za kościół na topolową – ale na długiej, zadeszczonej drodze jeno mętne kałuże stały i siwiły się koleiny, głęboko wyrzniete.

Ni żywey duszy nie wypatrzył pod szerniałymi od pluchy topolami.

Choć srodze zawiedzeni, bez namysłu i w dyrdy rzucili się na drugi koniec wsi, za młyn, na drogę od Woli, boi tamtędy mogli powracać.

Hale cóż, kiej i tamój było pusto! Deszcz zaciął przysłaniając szarą kurzawą szeroki, wyboisty gościniec; gliniaste wody rowami waliły, w brzdach burzyła się woda i drogą też szorowały strugi spienione, a rozkwitłe ciernie, brzeżące zielonawe pole, skulały zziębłe kwiaty.

– Wrony kołują górą, to plucha przejdzie! – rzekła któraś próżno wypatrując.

Posunęli się jeszcze ździebko, gdyż od spalonego folwarku ktosik zamajaczył na drodze i ku nim się zbliżał.

Dziad to był ślepy i wszystkim znany; pies, którego go wiódł na sznurku, zaszczekał zajadle i jął się ku nim rwać, ślepiec zaś nasłuchiwał pilnie, kij gotując ku obronie, ale dosłyszawszy rozmowy przyciszył pieska i pochwaliwszy Boga rzekł wesoło:

– Miarkuję, co to lipeckie ludzie... hę? I coś sporo narodu...

Dziewczyny go obstały i nuże rozpowiadać jedna przez drugą.

– Sroki me opadły i wszystkie naraz skrzeczą! – mruknął nasłuchując uważnie na wsze strony, gdyż cisnęły się z bliska.

Kupą już wracali, dziad w pośrodku włókł się huśtający na kulach i nogach pokręconych, wypierał naprzód ogromną, ślepą twarz.

Policzki miał czerwone i spaśne, oczy bielmem zasnutę, brwie siwe i krzaczaste, nochal kiej trąbę, a brzuch niegorzej wzdęte.

Cierpliwie słuchał, aż wymiarkowawszy przerwał im trajkoty:

– Z tymem i śpieszył do wsi. Niechrzczony jeden powiedział mi w sekrecie, co Lipczaki dzisiaj wracają z kreminalu! Wczoraj mi rzekł, myślę sobie, jutro do dnia skoczę i pierwszy dam znać. Jakże, szukać takiej wsi jak Lipce! A które to wpodłe drepcą? – bo nie poredzę po samym głosie rozeznać?!

– Marysia Balcerkówna!... Nastka Gołębiów!... Ulisia sołtysowa!... Kłębowa Kasia!... Sikorzanka Hanusia! – wołały wszystkie.

– Ho! ho! sam ci to kwiat pannowy wyszedł! Widzi mi się, co wam było pilno do parobków, a dziadem musita się kontentować!... he?

– A nieprawda! po ojców wyszlim – zawrzeszczały.

– Loboga, dyć ślepy jezdem, ale nie głuchy! – aż baranicę głębiej nacisnął.

– Powiedziały we wsi, że już idą, tośmy wyleciały naprzeciw!

– A tu nikaj nikogo!

– Jeszczek za wcześniej; dobrze, by na południe zdążyli gospodarze, bo chłopaki to może i do wieczora nie ściągną...

– Jakże; razem ich puszczą, to i razem przyjdą!

– A może się w mieście zabawią? mało to tam pannów?... cóż to im za niewola do waju się śpieszyć?... he! he! – przekomarzał się śmiejący.

– A niech się zabawią! nikto za nimi nic płacze!

– Juści, w mieście nie brakuje tych, co w mamki poszły albo w piecach u Żydów palą... takie będą im rade – szepnęła chmurnie Nastusia.

– Któryn mieskie wycieruchy przekłada, o takiego żadna nie stoi!

– Dawnoście, dziadku, w Lipcach nie byli? – zagadnęła któraś.

– A dawno, coś na jesieni! Zimowałem se u miłosiernych ludzi, we dworzem przesiedział zły czas.

– Może we Wólce? u naszego? co?

– A we Wólce! Ja ta zawdy za pan brat z dziedzicami i z dworskimi pieskami: znają me i nie ukrzywdzą! Dały mi ciepły przypiecek, warzy, ile wlażło, tom bez cały czas powróła kręcił i Boga chwalił. Człek się wyporządził i pieskowi też niezgorzej boki wydobrzały! Ho! ho! dzie-dzic mądry: z dziadami trzyma i wie, że torbę i wszy za darmo miał będzie... he! he! – aż brzuchem trząśł i łypał powiekami od śmiechu, a wciąż rajcował.

– A dał Pan Jezus zwiesnę, sprzykrzyły mi się pokoje i dworskie przypochebstwa, zacniło mi się za chałupami i tym światem szerokim... Hej, deszczyk ci to siepie kiej czyste złoto, ciepły i rześisty, i rodzący, jaże świat pachnie młodą trawą... Kaj to lecita? Dzieuchy?!

Dosłyszał naraz, że poniesły się z miejsca, ostawiając go przed młynem.

– Dzieuchy!

Ale żadna już nie odkrzyknęła: dojrzały kobiety, ciągnące nad stawem ku wójtowej chałupie, i do nich śmigaly. Z pół wsi już się tam zbierało, by się coś rzetelnego dowiedzieć.

Wójt snadź wstał niedawno, bo jeno w portkach siedział na progu owijając onucami nogi, a o buty krzyczał na żonę.

Przypadły do niego z wrzaskiem, zadyszane, obłocone, które jeszcze nie myte ni czesane, a wszystkie ledwie zipiące z niecierpliwości.

Dał się im wyrajcować, buty co ino sadłem wysmarowane naciągnął, umył się w sieni i, poczesując kudły w otwartym oknie, rzucił drwiąco:

– Pilno wama do chłopów, co? Nie bójta się, wracają dzisiaj z pewnością Matka, daj no papier; co go to stójka przyniośł... za obrazem leży.

Obracał go w garściach, aż trzepnąwszy weń palcami rzekł:

– Wyraźnie stoi o tym jak wół... „Tak jak krześcijany wsi Lipeć, gminy Tymów, ujeżdża...” – a czytają se same! Wójt wama mówi, co wracają, to prawda być musi!

Rzucił im papier, którego szedł z rąk do rąk, i chociaż żadna nie wymiarkowała ni literki, że to był urzędowy, przypinały się do niego, wlepiając oczy z jakąś trwożną radością, kiejby w obraz, aż dostał się Hance, która, wzięwszy przez zapaskę, oddała z powrotem.

– Kumie, czy to wszystkie wracają? – spytała lękliwie

– Napisane, co wracają, to wracają!

– Razem brali całą wieś, to i razem puszcza! – ozwała się któraś.

– Wstąpcie, kumo; przemiękliście ździebko! – zapraszała wójtowa, ale Hanka nie chciała, naciągnęła zapaskę na czoło i pierwsza ruszyła z nawrotem.

Wolniusko jeno szła, ledwie dychająca z radości a strachu zarazem.

– Juści, co i Antka wróca, juści! – pomyślała wspierając się naraz o płot, bo tak ją w dołku ścisnęło, że omal nie padła. Długo łapała powietrze zgorączkowanymi wargami... Nie, niedobrze się jeszcze czuła, dziwnie słabo. – Wróci Antek, wróci! – radość ją rozpierała do krzyku, a jednocześnie jeły ją przenikać strachy jakieś, niepewności, obawy jeszcze zgoła ciemne.

Coraz wolniej szła i ciężiej, usuwając się pod płoty, bo całą drogą waliły kobiety, leciały szumnie, że śmiechami, rozwrzeszczane i jaśniejące radością, a nie bacząc na pluchę, kupiły się pod chałupami, to nad stawem i rajcowały zawzięcie.

Dopędziła ją Jagustynka.

– Juści, że wiecie! no, to dopiero nowina. Czekam na nią co dnia, a kiej przyszła, zwała me kiej pałą w ciemię. Od wójta idzicie?

– Przytwierdził i nawet z papieru o tym przeczytał.

– Przeczytał, to juści, że pewne! Chwała ci, Panie, powrócą chudziaki, powrócą gospodarze! – szeptała gorąco rozwodząc ręce.

Łzy posypały się jej z wyblakłych oczu, aż Hanka się zdumiała.

– Myślałach, że zapomstujecie, a wy w bek, no, no!...

– Co wy?! w taką porę bych pomstowała! Człowiek jeno z biedy da czasem folgę ozorowi, ale w sercu co inszego siedzi, że czy chce, czy nie chce, a z drugimi radować się musi albo i smucić... Nie poredzi żyć z osobna, nie...

Przechodziły koło kuźni: młoty biły hukliwie, ogień buchał czerwony z ogniska, a kowal obręcz naciągał na koło pod ścianą. Spoztrze-

głszy Hanke wyprostował się i wparł oczy w jej rozgorączkowaną twarz.

– A co?... doczekały się Lipce święta!... wracają pono niektóre:

– Wszystkie wracają, wójt o tym czytał! – poprawiła go Jagustynka.

– Wszystkie, zbójów przecież tak zaraz nie wypuszczą, nie...

Hance aż się w głowie zakotłowało i serce dziw nie pękło z bólu, ale zdzierzyła uderzenie i odchodząc rzekła mu ze straszną nienawiścią:

– By ci ten psi ozór przyrósł do podniebienia!

Przyśpieszyła kroku uciekając od jego śmiechu, co jakby kłami chwycił za serce.

Dopiero z ganku obejrzała się na świat.

– Maże się i maże... ciężko będzie z pługiem, wyjechać na rolę

Udawała spokój:

– Ranny deszcz i starej baby taniec niedługo trwają.

– Trza będzie tymczasem sadzić ameryki pod motyczkę.

– Kobiet ino patrzeć; spóźniły się bez tę nowinę, ale przyjdą... byłam u nich z wieczora, wszystkie się obiecały na odrobek.

W izbie już ogień buzował; ciepło było i jaśniej niżli na dworze. Józka skrobała ziemniaki, a dzieciak wrzeszczał wniebogłoso mimo zabawiań starszych dzieci. Hanka przyklękawszy przed kołyską jeła go karmić.

– Józia, niech Pietrek narządzi deski, gnój będzie wywoził od Flor-ki na te zagony kiele Paczesiowego żyta. Nim plucha przejdzie, parę fur wywiezie... co się ma wałęsać po próżnicy!

– Przy was to nikt z leniem się nie stowarzyszy.

– Bo i sama kulasów nie żałuję! – powstała chowając piersi.

– Hale, ady bym na śmierć zapomniała, przeciek to od południa świętko! Proboszcz procesję zapowiadał, odłożoną ze świętego Marka na oktawę...

– Przeciek to ino w krzyżowe dni bywają procesje!...

– Z ambony zapowiadał na dzisiaj, to musi, co i bez krzyżowych dni można chodzić do figur i święcić granice.

– Chłopaki będą brały dzisiaj na pokładankę po kopcach! – zaśmiała się Józka do wchodzącego Witka.

– Idą już, idą. Bieżyjcie z nimi, a zarządzcie, co potrza. Ja ostanę w chałupie, obrządę i śniadanie zgotuję. Józka z Witkiem będą donosili ziemniaki na pole! – zarządzała Hanka wyzierając na komornice, które pookręcane w płachty i zapaski, że ledwie im było oczy widać, z ko-

szykami na rękę i motyczkami, schodziły się pod ścianę otrzepując trepy o przyciesie.

Powiedła je zaraz Jagustynka przez przełaz nad polną drogą, kaj tuż przy brogu leżały czarne, przesiąknięte wodą zagony.

Stały wnet do roboty, po dwie na zagonie, głowami do siebie – dziubały motyczkami dołki, a wraziwszy węń ziemniak, przygarniały go ziemią, okopując zarazem w poprzeczne rządki.

Cztery robiły, stara była jeno na przyprzążkę, do poganiania.

Cóż, kiej robota szła niesporo!... ręce grabiały z zimna i w brudach było mokro, w trepy nabierało się wody, a szmaty na nic się marały w błocie, bo deszcz, choć ciepły i coraz drobniejszy, mżył ciągiem, rozpryskując się po skibach, a trzepiąc po sadach, co zwiesiły okwiecone gałęzie nad drogę i z jakąś lubością nastawiały się na pluchę.

Ale już szło na odmianę: kokoty piały, niebo się stronami podnosiło niezgorzej przetarte, jaskółki jeły śmigać powietrzem kiejby na zwiady, a zaś wrony uciekały z kalenic i niesły się cichusko a nisko nad polami.

Baby gmerały przygięte do zagonów, podobne do kłębow szmat przemoczonych, poredzając, wolniuśko robiąc, a z długimi odpoczynkami, że to na odrobek przyszły, aż dopiero stara, obsadzająca grochem piechotą nadbrudzia” zaczęła w głos rozglądając się dokoła:

– Niewiela dzisiaj gospodyń w polu ni na ogrodach.

– Chłopy wracają, to nie robota im w głowie!

– Pewnie, tłuste jadro narządzą i pierzyny grzeją...

– Prześmiewacie, a samej jaże łysty do nich drygają! – rzekła Kozłowa. – Nie wyprę się, co mi już Lipce obmierzyły bez chłopów. Staram przeciek, ale prosto powiem, że choć to są juchy, łajdusy, świedlerze i zabijaki, a niech się jawi choćby i ta najgorsza pokraka, to zarno z nim raźniej i weselej; i lekciej na świecie. Która co inszego powie, żełże jak pies.

– Wyczekały się na nich kobiety kiej kania na deszcz! – westchnęła któraś.

– Niejedna to czekanie ciężko przyplaci, a dzieuchy najprzódziej...

– Że i trzy kwartały nie miną, a dobrodziej chrzcic nie nadaży...

– Stare, a bają trzy po trzy: dyć na to Pan Jezus stworzył kobietę! nie grzech mieć dziecko! – podniosła głos przekornie Grzeli z krzywą gębą kobieta.

– A wy ciągiem swoje: zawdy za bękartami stoicie!

– A zawdy, jaże do samej śmierci każdemu do oczu stanę i rzeknę: bękart czy nie – zarówno ludzkie nasienie, prawo ma na świecie jedno i jednakowo je Pan Jezus szanuje, wedle zasług jeno a grzechów...

Zakrzyczały ją wyśmiewając wzgardliwie. Zabiła ręce i pokiwała głową.

– Szczęść Boże na robotę! jakże idzie? – krzyknęła Hanka z przełazu.

– Bóg zapłać! dobrze, ino mokro.

– Nie brakuje ziemniaków?

Przysiadła nieco na żerdce.

– Donoszą, ile potrza; jeno mi się widzi, co za grubo krajane...

– Za grubo, dyć ino na pół, przeciek u młynarza co

drobniejsze ziemniaki całe sadzą. Rocho powiedział, że takie są dwa razy plenniejsze.

– Musi, miemiecka to moda, bo jak Lipce Lipcami, zawdy się ziemniaki krajało na tyła, chyla oczków miały – kwękała sprzeczwie Gulbasowa.

– Moiście, przeciek dzisiejsi ludzi nie głupszi wczorajszych...

– Hale, tera jajo chce być mędrze od kury i stadu przewodzić...

– Rzekliście! Ale po prawdzie, co poniektóre, choć lata mają, rozumu nie nabyły! – zakończyła Hanka cofając się z przełazu.

– Zadufana w sobie, jakby już na całej gospodarce Borynów siedziała – mruknęła Kozłowa obzierając się za nią.

– Poniechajcie jej: szczerze złoto, nie kobieta! Nie wiada, czyby się nalazła od niej lepsza i mądrzejsza. Co dnia z nią siedzę, a oczy i rozumienie mam. Nacierpiała się ona i przeszła krzyże, że niech Bóg broni...

– Czeka ją jeszcze niejedno... Jagna w chałupie, i skoro Antek wróci, cudeńka się tu zaczną i breweryje, będzie czego słuchać...

– Że Jagna z wójtem się sprzegła, cosik mi o tym bąknęli – prawda to? Zaśmiały się z Filipki, że pyta, o czym już wróble świergocą.

– Nie rozpuszczajta ozorów: i wiaterek czasem słucha i roznosi, kaj nie potrzeba! – zgromiła Jagustynka.

Przygięły się do roli, dziabki migają szcękając niekiedy o kamienie, a one rajcowały zawzięcie całą wieś obgadując:

Zaś Hanka szła od przełazu chyłkiem pod wiśniami, bo ją chwytaly za głowę obwisłe i przemoczone gałęzie, jakby nabite zbiełałym już pąkowie i listeczkami.

Poszła w podwórze przegłądać gospodarstwo.

Od samych świąt prawie się nie wychylała z domu, że to pogorszyło się jej po wywodzie. Dzisiejsza nowina zerwała ją z łóżka i trzymała na nogach, że choć się chwiała na każdym kroku, zaglądała po kątach złączając się coraz bardziej.

A to krowy były jakoś osowiałe i do pół boków w gnoju, prosiaki coś za mało przyrosły, nawet gęsi wydawały się dziwnie niemrawe, jakby zamorzone.

– Ady byś choć wiechciem wytarł wałacha! – wsiadła na Pietrka, wyjeżdżającego do gnoju, ale parobek cosik mruknął złęgo i pojechał.

W stodole nowa zgryzota: w kupie ziemniaków, leżących na klepisku, pyskał se w najlepsze Jagusin wieprzek, zaś kury grzebały w pośladzie, którego dawno miał być zniesiony na górę. Skrzyczała za to Józkę i do Witkowych kudłów skoczyła, ledwie się chłopak wyslizgnął i uciekł, a dziewczyna bekiem i skargą się zaniesła:

– Haruję ciągiem kiej koń, a wy krzyczycie: Jagnie, co się całe dni wałkoni, to przepuszczacie!

– No, cicho, głupia, cicho! Sama widzisz, co się tu wyrabia...

– Mogłam to wszyćkiemu uradzić? co?

– No, cicho! Nieśta ziemniaki, bo zbraknie kobietom!

Dała już spokój krzykom. – Prawda, dziewczyna wszyćkiemu nie uradzi, a najemniki!... Boże się zmiłuj. Od rana już zachodu wyglądają. Dorabiać się w najemników to jakby wilki zgodził do owiec wodzenia. Przez sumienia są ludzie:

Rozmyślała z goryczą, wywierając całą złość na wieprzaku, jaże z kwikiem pognał, że go to i Łapa jeszcze po swojemu za ucho odprowadzał...

Do stajni potem zajrzała, ale jakby po nową zgryzotę – ano klacz obgryzała pusty żłób, a źrebak, utyłany kiej świnia, słomę wyciągał z podściółki.

– Kubie by serce pękło, kiejby cię takim zobaczył – szepnęła zakładając im za drabkę siano i głaszcząc po mięciuchnych a ciepłych chrapach.

Ale już nie poszła dalej: ogarnęło ją naraz zniechęcenie i taki płacz chycił za gardziel, że wsparłszy się o barłóg Pietrkowy zaryczała, sama nie wiedząc laczego.

Tak zbrakło jej sił, że opadła w sobie kiej ten kamień ciężki. Już nie mogła uredzić doli, mój Jezu, nie mogła, a toć poczuła się taka opuszczona na świecie, jako to drzewo rosnące na wywieisku, samotne i na każdą złą przygodę wystawione! Ani wyzalić się przed kim! I ani koń-

ca przewidzieć złej doli! Nic, jeno ciągiem truć się zgryzotą i płakaniem... nic kromie udręki wiecznej i czekania na gorsze...

Żrebak lizał ją po twarzy, że bezwolnie przytuliła głowę do jego karku i zanosila się coraz boleśniej.

Cóż jej ta po gospodarce, po bogactwie, po ludzkim uważaniu, kiej la siebie nie miała ani jednej chwili szczęśliwości w całym życiu, nic zgoła! Skarzyła się tak żałośnie, jaże klacz zarżała ku niej, targając się na łańcuchu.

Zawlekła się do izby i przysadziwszy do piersi rozkrzyczanego chłopaka zapatrzyła się bezmyślnie w zapocone szyby, zbrudzone ociekającymi kroplami.

Dziecko jakoś matyjasilo skamląc i popłakując.

– Cicho, maluśki, cicho!... wróci tatulo, przywiezie ci kuraska... wróci, synka na koń wsadzi... cicho, maluśki: A, a, a! kotki dwa! szare bure obydwu!... Wróci tatulo, wróci! – przyśpiwywała huśtając go i chodząc po izbie.

– A może i wróci! – potwierdziła sobie przystając nagle.

Płomień ją ogarnął, moc rozprężyła przygięte plecy i taka radość wstąpiła w serce, że się już rwała do komory rznąć kawał świniny la niego, że już po gorzałkę chciała posyłać la niego, nawet już ku skrzyni szła, by się przyodziać świętecznie la niego – ale nim to uczyniła, przypominki słów kowalowych spadły na obolałe serce kiej jastrzębie ostrymi pazurami, zmartwiła na miejscu, obzierając się jeno po izbie rozpalonym wzrokiem, jakby za ratunkiem, nie wiedząc znów, co myśleć, co poczynać...

– A jak nie wróci? Jezu! Jezu! – jęknęła chwytając się za głowę,

Bała się tego mówić, a głos ten huczał w niej kiej w studni: gotował się, wrzał i wzbierał w piersiach krzykiem strachu.

Dzieci jęły się za łby wodzić i krzyczeć, wyciągnęła je za drzwi, zabierając się do narządzania śniadania, bo już Józka zaglądała do izby wietrząc łakomie, czy zgotowane.

Łzy ustać musiały i boleście przytaić się w duszy, bo jarzmo codziennego trudu w kark się wpijało przypominając, że robota czekać nie może...

Uwijała się też, jak mogła, choć nogi się pod nią plątały i wszystko leciało z rąk. Jeno wzdychała żałośnie, łzę jaką puszczając niekiedy, a we świat zamglony tęsknie spoglądając...

– Czy to Jagusia nie wyjdzie do sadzenia? – wrzasnęła Józka przez okno.

Hanka odstawiała gar z barszczem i na drugą stronę pobiegła.

Stary leżał na bok, twarzą do okna, jakby patrząc na Jagnę, czesząc długie, jasne włosy przed lusterkim, na skrzyni ustawionym.

– Czy to dzisiaj święto, że do roboty nie wychodzicie?...

– Z rozplecionymi włosami nie poletę...

– Od świtania, mogłaś je już dziesięć razy zapleść!

– Mogłam, ale nie zaplełam!

– Jagna, wy tak ze mną nie igrajcie!

– Bo co? Odprawicie mnie może albo wytrącicie z zasług? – warknęła hardo nie śpiesząc się z czesaniem – nie u was siedzę i nie na waszej łasce!

– A ino kaj? co?

– U siebie jezdem, byście sobie to baczyli...

– Niech ociec zamrą, to się pokaże, czy u siebie jesteś!

– Ale póki żyją, to ja waju mogę drzwi pokazać.

– Mnie! mnie! – skoczyła jakby biczem podcięta.

– Przyczepiacie się ciągiem do mnie kiej rzep do ogona! Marnego słowa wam nie mówię, a wy ino huru buru jak na tego łysego konia...

– Podziękuj Bogu, że gorszegoś nie oberwała! – rozczapierzyła się groźnie.

– Spróbujcie: inom jedna sierota, ku mojej obronie nikto nie stanie, ale uwidzicie, czyje ostanie na wierzchu!

Odgarnęła włosy z twarzy i srogie, pełne zawziętości oczy uderzyły kieby nożem, jaże Hanke z miejsca taka złość poniesła, iż jęła wytrząsać pięściami a krzyczeć, co ino ślina przyniesła.

– Grozisz! Zaczynj ino, zaczynj! Niewiniątko, sierota pokrzywdzona... Juści... Dobrze ludzie wiedzą, co wyrabiasz! W całej parafii wiedzą o twoich sprawkach. Nie raz cię już widzieli z wójtem w karczmie, nie dwa! A wtedy, com ci po północy drzwi otwierała, wracałaś z pijatyki, z łajdactwa, pijana byłaś kiej świnia... Do czasu dzban wodę nosi, do czasu... Nie bój się, kto w głośności żyje, o tym cicho mówią! Skończy się twoje panowanie, że ni wójt, ni kowal cię nie obronią, ty... ty!...

Jaże się zakrztusiła z krzyków.

– Robię, co robię, a każdemu wara do mnie jak temu psu! – wrzasnęła nagle, odrzucając włosy na plecy, kiejby tę przygarść lnu najczystszeo

Rozjuszona już była i gotowa nawet do bitki, bo jaże się cała trzęsła; ręce jej latały kole bioder i tak srogo ciepła ślepiami, że w Hance opadło serce, zmiłkła i trzasnąwszy jeno drzwiami uciekła z izby.

Ale po tej kłótni ruchać się nie mogła, siadła z dzieckiem pod oknem, a Józka zajmowała się podawaniem śniadania.

Dopiero kiej się znowu porozchodzili do roboty, zebrała się jakoś w sobie i, poniechawszy robót, wybrała się do ojca, którego zachorzał już parę dni temu, ale z pół drogi zawróciła do chałupy.

Tak się w niej roztrzęsło, że ani sposób iść było.

A zaś potem, choć przyszła nieco do sił, rękoma jeno robiła, bezwolnie prawie, a głównie myślała o Antku, we świat się zapatrując daleki...

Pogoda się też robiła, deszcz ustał, kapało jeno z dachów i z drzew, że to wiatr jał otrząsać gałęzie, drogi siwiły się kałużami, świat stawał się coraz jaśniejszy.

Rachowali, co na przypołudnie słońce pokaże się niechybnie, bo już jaskółki latały górą; białe, przezłoczone chmury szły po niebie stadami, a z pół ciepło buchało i ptasi wrzask podnosił się w sadach, jakby ośnieżonych kwiatami. Zaś wieś galanto pogłośniała; kurzyło się ze wszystkich prawie kominów, smaczne jadła narządzali, radość wydzieiała się z chałup i babie jazgoty niesły się od chałupy do chałupy, dzieuchy przyodziewały się świątecznie; wstęgi zaplatając w kosy, niejedna w dyrdy leciała po gorzałkę, bo Żyd, ucieszony powrotem chłopów, dawał na bóg, ile kto ino chciał, a coraz to ktosik wlaził na drabinę i z dachów przepatrywał pilnie wszystkie drogi biegnące od miasta...

Tak się zajęły porządkami, że mało która szła w pole; nawet gęsi zapomniały powyganiać nad rowy, że gęgały wrzaskliwie w podwórzach, zaś dzieciśka, puszczone dzisia na wolę i nie przykarcane, wyprawiały po drogach takie breweryje, że niech Bóg bron! Starsze, z długachnymi tykami; zwijały się na topolowej, skrabiąc się na drzewa i spychając wronie gniazda, że wystraszone ptaszyska, kiej chmura sadzy; kołowały wysoko z żalonym, jęklwym krakaniem; a znowuj drugie, mniejsze, ganiały ślepego konia księżego, założonego do beczki na saniach, chcąc go napędzić z wyższego brzegu do stawu, jeno co koń mądrała nie dał się zażyć z mańki. Niekiedy, już nad samiutką krawędzią, przystawał jakby na złość, łeb spuszczał, głuchnął na wrzaski, cierpliwie się otrząsając z błota i grud, których mu nie szczędzili. Ale skoro poczuł, że mu na beczkę wlażą i do uzdy już sięgają, rzał groźnie i ponosił, skręcając z nagła w największą kupę zboreźników iż

rozlatywali się z krzykiem. Dobrze parę pacierzy tak się zabawiali, jaże go w końcu i zmanili podtykając pod chrapy wiecheć zapalony, że konisko zestrachane rzuciło się w bok, akuratnie prosto na przywarte opłotki Borynowe. Wywalił wrótnie i tak się w nie zaplątał orczykami, że go dopadły z bliska i dalejże prać batami, co ino wlaźło.

Kulasy byłby sobie połamał w żerdkach, kieby nie Jagna, która dosłyszawszy krzyki kijem rozpędziła wisusów i wywiedła go na drogę, ale że koń wystraszony stracił wiatr, nie wiedząc, w jaką stronę się obrócić, a chłopaczyska czały się za drzewami, powiedła go na plebanię.

Dróżką między księżym ogrodem a Kłębami go poprowadziła, gdy właśnie bryczka organistów zajechała przed ich dom stojący w głębi. Organiścina już była na siedzeniu, a Jasio całował się przed progiem z rodziną.

– Konia przywiedłam, bo dzieci go płoszyły... – zaczęła nieśmiało.

– Ojciec, krzyknij na Walka, niech go odbierze! Te, ryfo jedna, konia samego porzucasz, żeby nogi połamał, co? – gruchnęła na parobka.

Jasio, spostrzegłszy Jagnę, jeno śmignął oczyma po ojcach i rękę do niej wyciągnął.

– Zostańcie, Jaguś, z Bogiem.

– Do klasów to już?

Za serce ją cosik ścisnęło, jakby żal cichy.

– Na księdza go odwożę, moja Borynowo! – napuszała się dumnie.

– Na księdza!

Podniosła zdumione oczy na niego. Siadał właśnie na przednim siedzeniu, plecami do koni.

– Będę dłużej patrzył na Lipce! – zawołał ogarniając przytulającym spojrzeniem opleśniałe dachy ojcowej chałupy i te sady, lśniące rosami a kwiatami obwalone.

Konie ruszyły truchcikiem.

Jagna poszła w trop tuż za bryczką. Jasio krzyczał jeszcze cosik do sióstr, buczących pod domem, a patrzył jeno na nią jedną: w jej modre, zwilgotniałe oczy, kieby ten dzień majowy bardzo cudne; na jej głowę jasną, oplecioną warkoczami, co jak grubachne postronki leżały potrójnie nad białym czołem, zwisając jeszcze półkuliście kiele uszu, na jej twarz białuchną i tak śliczną, iż do róży polnej podobną.

Ona zaś szła prawie bezwolnie, jakby urzeczona jego oczyma jarzącymi, wargi się jej trzęsły, że zębów zawrzeć nie mogła, serce lubo dygotało, a oczy szły za nim pokornie, zgoła truchlejąc z dziwnej słodkości...

Jakby ją sen zmorzył nagły i tym pachnącym kwiatem niepamięci zasypywał... Dopiero kiej bryka skręciła ku topolowej, rozerwały się ich oczy, puściły te parzące ogniwa i rozprysnęły się tak doszczętnie, jaże uderzyła się pojrzeniem o pusty świat i przystanąła nagle.

Jasio machał czapką na pożegnanie. Wjeżdżali już w mrok topoli.

Rozglądała się dokoła, oczy trąc, jakby ze snu wyrwana.

– Jezu, taki to by ślepiami do samego piekła zaprowadził...

Otrząsnęła się jakby z tych parzących, spojrzeń Jasiowych.

– Organistów syn, a kiej dziedziców się widzi... I księdzem ostanie, może jeszcze do Lipiec go dadzą!...

Obejrzała się; bryka już zniknęła, turkot jeno dochodził i głosy pozdrowień zamienianych z przechodzącymi.

– Taki mleczak, dzieciuch prawie, a niech spojrzy, to jakby kto drugi w pół objął, jaże ciągotki bierą i w głowie się mąci...

Wzdrygnęła się oblizując czerwone wargi, a przeciągając się prężaco, z lubością...

Chłód ją nagle przejął. Dopiero spostrzegła, że jest z gołą głową, boso i prawie w koszuli, bo tylko w jakiejś podartej chuścinnie na ramionach. Szczerwieniła się przywstydzona i jęła stronami przebierać się ku domowi.

– Chłopy wracają, wiecie to? – krzykały do niej dzieuchy z opłotków, to kobiety, to dzieci nawet, a wszystkie zadyszane i ledwie zipiące z radości

– No to co? – rzekła którejś już prawie ze złością.

– Wracają!... mało to? – zdumiewały się jej oziębłości.

– Tyla z nimi, co i przez nich! Głupie! – mruzczała, przykro tknięta, że to każda kiej zwariowana wyglądała swojego...

Zajrzała do matki. Jędrzych był jeno, pierwszy raz dopiero zwlókł się z barłogu, przetracony kulas miał jeszcze spowity w szmaty, koszyk wyplatał na progu i pogwizdywał srokom, łączącym po płotach.

– Wiesz to, Jaguś?... Wracają nasi!...

– Dyc już kiej te sroki cały świat to jedno rozpowiada!

– Wiesz, a Nastusia to prosto od rozumu odchodzi, że i Szymek wróci...

– Czemuż to? – Błysnęła ślepiami srogo, po matczynemu.

– I... nic... A to me znowuj kulas rozbolał... – zająkał strachliwie. – Cichoj, ścierwy – rzucił patykiem w sień na rozgdakane kwoki.

Niby to rozcierał nogę bolącą, a pokornie zaglądał w jej twarz dziwnie omroczałą.

- Kaj to matka?
- Na plebanię poszli... Jaguś, o Nastce to mi się ino tak wypsnęło...
- Głupi; myśli, co o tym nikto nie wie! Pobierą się i tyła...
- A bo to matka pozwolenstwo dadzą, kiej Nastuś ma jeno morgę?
- Pytał się będzie, to nie pozwolą. Hale, lata już parob ma, to i rozum swój powinien mieć, bych wiedzieć, co i jak...
- A ma, Jaguś, ma, i kiej się uweźmie i pójdzie, udry na udry, to i matki nie posłucha, na złość się ożeni, swój gront odbierze i na swoim postawi.
- Pleć, kiej ci ciepło, pleć, bych cię jeno matka nie posłyszeli!
- Markotność ją przejęła. Jakże! taka Nastka, a i to zabiega o chłopa, i to ma swoje radoście, a drugie dzieuchy to samo. Wściekną się chyba dzisiaj, boć do każdej ktosik powróci, do każdej.
- Prawda, dyć wszystkie powrócą... – Porwała ją nagła, niecierpliwa radość, że porzuciła wystraszonego Jędrzycha i skwapnie poniesła się do chałupy szykować i robić porządki na przyjęcie, jak i drugie, i czekać gorączkowo powracających, jak i cała wieś w tej chwili.
- Zwijiała się tego, jaze przyspiewując z radości a z utęsknieniem, i nie raz jeden wybiegała patrzeć na drogi, kaj i wszystkie wisały oczyma.
- Kogo to wyglądacie? – zagadnął ją ktosik niespodzianie.
- Jakby ją kto przez ciemność zdzielił, zbladła, ręce jej opadły kieby te skrzydła przetrącone i serce zadygotało z żalości.
- Prawda, na kogoż to czeka? przeciek nikomu do niej nieśpieszno, przeciek na wszystkim świecie sama jest jako ten kołek!... – Tyle co może Antek!... – dodała trwożnie.
- Antek! – wyszeptwała cichuśko, serce jej wezbrało westchnieniem i przypominki przewiały przez pamięć kiej te mgły nikłe i kiej sen cudny, ale dawno już śniony. Może i wróci! – dumiała.
- ...Choć kowal jeszcze wczoraj upewniał, że go z drugimi z kremi-
nału nie puszczą, że na długie lata tam pozostanie:
- A może go i puszczą! – Przywtórzyła głośnie, jakby już wychodząc myślą i oczekiwaniem naprzeciw, ale bez radości, bez uniesienia i z jakąś przyczajoną w sercu trwożną niechęcią.
- A niech se wróci! co mi tam z niego! – ciepnęła się niecierpliwie. Stary jął cosik bełkotać...
- Zadem się odwróciła od niego z obmierzłości, nie podając jeść, choć wiedziała, że o to skamle po swojemu.
- Byś już raz zdechł! – rozsrożyła się nagle i aby go stracić z oczu, na ganek znowu poszła.

Kijanki trzepały nad stawem i kajś niekaj pod drzewami czerwieniły się kobiety pierące. Suchy, leciutki wiaterek ledwie co tykał wierzby zielonych, że zatrzęchły się niekiedy. Słońce co ino miało się wyłupać zza białych chmur, że już polśniewały kałuże i po gładzi stawu tańczyły złotawe migoty. Deszczowe mgły już opadły, że z szarych, kamiennych płotów wynosiły się coraz barzej na jaśnie powietrza rozkwitające sady, kieby te wielgachne snopy kwietne, wionące zapachami i pełne ptasich świegotów, młyn turkotał ostro, a z kuźni rozlatywały się dźwiękliwe, przejmujące bicie młotów, zaś ludzkie głosy i cały ten rwetes przygotowań był jako to pszczelne brzęczenie wśród drzewin.

– A może go i obaczę! – dumiała wystawiając twarz na wiaterek i na te rosy skapujące z obsychających kwiatów i liści.

– Jaguś. nie wyjdziecie to do roboty? – wrzasnęła Józka z podwórza.

Ani jej do głowy przyszło się opierać: zabrała motyczkę i zaraz poszła do kobiet. Odpadła ją moc i chęć sprzeciwu, a nawet rada poddała się przykazowi, którego ją wyrывał z myślenia i niepewności. Przejmowała ją jeno dziwna tęsknota, że jaże łzy nabiegały do oczu, a dusza się kajściś rwała. Tak się przypięła do roboty, że komornice ostały daleko na zajdach, ale nie ustawała, nie zważając na Jagustynkowe przycinki ni widząc babich ślepiów, co ją obiegały ciągiem, kieby te psy przyczajone dokaśliwego chwytu.

Tylko niekiedy prostowała się nagle, jako ta grusza ociężała kwiatem prostuje się na miedzy pod tknięciem wiatru i chwieje się ździebko, i patrzy po świetle tysiącami oczu, i płacze białym, wonnym okwiatem po rozchwianych, zielonych zbożach, i może zimy srogie spomina...

Jaguś o Antku myślała niekiedy, a częściej Jasiowe oczy jarzące i Jasiowe wargi czerwone stawały w pamięci, i Jasiowy głos luby odzywał się w sercu tak słodko, jaże smutki pierzchały i pojaśniało w niej, że przygiąwszy się barzej nad zagonem, czepiała się całą mocą utęsknień tych wspominków. Naturę bowiem już taką miała, kieby te wiotkie trzmieliny czy chmiele dzikie, które zawdy czepić się muszą jakiej gałęzi lebo kole pnia wyniosłego owinać – bych rosnąć mogły i kwitnąć, i żyć – zaś oderwane podpory i sobie ostawione, na pastwę złej przygodzie łącno idą.

A komornice, naszeptawszy się o niej do syta, że to ciepło już się zrobiło galante, pozrzucały z głów płachty i zapaski i wzięły raźniej pogwarzać, częściej się przeciągać, na południe tęskliwie wyglądając...

– Kozłowa, wyższaście – to obaczcie, czy chłopów nie widać na topolowej?

– Ani widu, ani słyhu! – odrzekła, próżno się na palcach wspinając.

– Gdzieby zaś tak rychło... nie zdążą przed mrokiem... karwas drogi...

– I pięć karczmów na rozjazdach! – zakpiła po swojemu Jagustynka.

– Chudziaki, biedota, kaj im tam karczmy będą w głowie!

– Wymizerowali się tylachna czasu, nacierzpieli...

– Taka im była krzywda, że się w cieple wyspali i najedli po grdykę...

– Juści, tyle tej dobroci zażyły, co te karmiki na pokrzywach z plewami.

– Dyc o suchym ziemnioku, a lepiej na wolności – rzekła Grzeli kobieta.

– Dopiero to smaki taka wolność!.. ho, tyła z niej biednemu, że może sobie zdychać z głodu, kaj mu się spodoba, bo sztrafu za to płacić nie każą, ni go strażnik do kreminalu nie pojmie!... – wydziwiała.

– Prawda, mościewy, prawda! ale co niewola, to niewola!..

– A co groch ze sperką, to nie rosół na osikowym kołku! – przedrzeźniała Jagustynka, jaże wszystkie śmiechem gruchnęły.

Odcięła się cosik Filipka, ale mogła tó utrzymać wtór z takim pyskaczem i ozornicą? Jagustynka nawydziwiała nad nią, co ino wlażło, i jeła cudeńka wygadywać o młynarzu, jako na bórg daje stęchłą kaszę, a za pieniądze też oszukuje na wadze. Zaś potem już z Kozłową na spółkę używały na całej wsi, nie przepuszczając nawet dobrodziejowi; a przewłócząc każdego złymi ozorami kieby przez te ostre ciernie...

Grzelowa spróbowała bronić poniekórych, ale ją zakrzyczała Kozłowa:

– Wy byście radzi bronić nawet takich, co kościoły rozbijają...

– Bo wszystki człowiek zarówno potrzebuje obrony! – szepnęła łagodnie.

– A już najbarzej Grzela przed waszą magłownicą...

– Nie wam przestrzegać pocziwości, któraście Bartka Kozła kobieta!.. – rzekła twardo, prostując się wyniośle.

Struchlały wszystkie czekając, że skoczą sobie do kudłów, ale one jeno przewlekły po sobie srogimi ślepiami. Dobrze, co w samą porę

Witek przyleciał zwoływać na obiad i kosze zbierać, że to świątkować mieli od południa.

Mówiły już mało wiele nawet przy obiedzie, którego Hanka kazała podać na ganku, bo słońce się już całkiem wykryło, cały świat się rozjaśnił, a wszystkie dachy i drzewa kwitnące, kiej tym bieluchnym śniegiem przyprószone – pławiły się w przejrzystym, pachnącym powietrzu.

Dzień się roztoczył słoneczny i cichy, wiaterek żdziebko przegarniał po drzewinach, ale tak mięciutko, kieby te ręce matczyne gładziły pieściwie dziecińskie gębusie.

Świątko też szczerze stanęło, bo już od poobiedzia nikto w pole do roboty nie wyszedł, nawet bydło zegnali z pastwisk, że jeno poniektóra biedota swoje zamorzone karmicielki wywodziła na postronkach popać kajś po miedzach lub nad rowami.

A kiej słońce odtoczyło się na parę chłopca z południa, jeli się ludzie zbierać pod kościołem, wygrzewali się pod murami, przegwarzając z cicha jako ci ptakowie świergocący w klonach i lipach, co wyniosłym kręgiem jaże ku dachom kościoła sięgały gałęziami, ledwie przytrząśniętymi zielenią. Słońce przypiekało niezgorzej, jak to zwyczajnie bywa po rannym deszczu. Kobiety zestrojone świątecznie postawały kupami, a poniektóre wyglądały tęskliwie za mur, na topolową, zaś ślepy dziad siedział wraz z pieskiem we wrótniach smętarza i pobożne pieśni wyciągał jękliwie, uszami strzygł na wsze strony i potrzasał miseczką do wchodzących.

Wyszedł rychło i dobrodziej w komżę ubrany i stułę, z gołą głową, że mu jaże łysina błyskała w słońcu.

Pietrek Borynów krzyż ujął, bo Jambroż nie uradziłby lecieć tyła drogi, zaś wójt, sołtys i któraś z tęższych dzieuch wynieśli chorągwie, co się jęły zaraz rozwijać na wietrze, trzepać i błyskać kolorami. Michał organistów poniósł wodę święconą i kropidło, Jambroży rozdał brackim świece, a organista z książką w ręku stanął wpodłe dobrodzieja, którego dał znak, i ruszyli w cichości przez wieś okwieconą; nad stawem, jaże we wodzie cichej odbijała się cała procesja.

Sporo jeszcze kobiet i dzieci przyłączało się po drodze, zaś na ostatku młynarz z kowalem pobok księdza się dociskali.

A na samym końcu, za wszystkimi, wlekła się Agata, często pokaszlując, i ślepy dziad kolebał się na kulach, jeno że od mostu zawrócił i pono do karczmy pociągnął.

Dopiero za młynem zastawionym, bo i umęczony młynarczyk przystał do kompanii, zapalili świece, ksiądz nadział czarną, rogatą czapkę, przeżegnał się i zaintonował: „Kto się w opiekę...”

Zawtórowali z całego serca, jak kto umiał, i ruszyli wzdłuż rzeki, łąkami, kaj pełno było jeszcze kałuż, a miejscami tak grząsko, że po kostki zapadali. Osłaniając światło rękoma; rozwłóczyli się po wąskiej drożynie, kiej różaniec uwity z czerwonych, pasiastych wełniaków.

Rzeka migotała w słońcu i wiła się pokrętnie wskroś łąk zielonych, nabitych kajś niekaj kępami żółtych i białych kwiatków.

Chorałowie wiały się nad głowami, niby te ptaki wielgachne żółto-czerwonymi skrzydłami, krzyż kołysał się na przedzie, a głosy rozśpiewane roznosiły się z wolna w cichym, przejrzystym powietrzu, spadając na trawy, na kępy łożin jasnozielonych, na cierniowe krze, całe w białościach kwiatów kieby w tych gzałach przenajświętszych.

Woda pluskała o brzegi, gęsto upstrzone kaczeńcami, kieby do cichego wtóru pieśniom i oczom leącym przed się w dale jasnego nieba, w rzekę rozmigotaną złotymi łuskami, w te wsie widniejące na wyżniach suchych, a ledwie znaczne w modrawym powietrzu wstęgami sadów biało kwitnących.

Ksiądz szedł z asystą tuż za krzyżem i śpiewał wraz z drugimi.

– Coś dużo kaczek się podrywa! – szepnął zezując na prawo.

– Przelotne, krzyżówki – odparł młynarz patrząc za rzekę w niziny, zarosłe żółtą, zeszłoroczną trzcina i olchami, skąd raz w raz podrywały się ciężko całe stada.

– I bociaków coś więcej niżli zeszłego roku.

– Mają co żreć na moich łąkach, to się z całego świata zwłóczą.

– A ja swojego straciłem, w same święta się gdzieś zapadział.

– Do stada się pewnie przyłączył, na przelocie.

– Co to jest w tych uwałowanych redlinach?

– Końskiego zęba wsadziłem całą morgę... trochę tu mokro, ale że mówią, co na suchy rok idzie, to może się uda.

– Byle nie tak, jak mój zeszłoroczny: schylać się nie było po co.

– Kuropatkom się udał: sporo się ich tam wywiedło – żartował cicho.

– Juści, pan jadł kuropatwy, a moje siwki zębami dzwoniły o żłób...

– Obrodzi się, to już księdzu dobrodziejowi z furkę jaką użyć.

– Bóg zapłać, bo i koniczyna zeszłoroczna nietęga; jeśli susze przyjdą, przypadnie! – westchnął żałośnie i zaczął znowu śpiewać.

Dochodzili właśnie pierwszego kopca, któren był tak pokryty krzami rozkwitłych tarnin, że wynosił się kiej biała kopa, nastroszona kwiatami rozbrzęczonymi pszczelnym rojem.

Otoczyli go kręgiem świateł rozchwianych, krzyż się wzniósł zatknięty w krzacz, chorągwie się rozwinęły nisko pochylone i ludzie przyklękli kołem, jakby przed ołtarzem, na którym, w kwiatkach i pszczelnym brzęku zwieszny, objawił się majestat święty!...

Wraz też ksiądz odczytywał modlitwę od gradu i kropił wodą święconą wszystkie cztery strony świata; i drzewiny, i ziemię, i wody, i te głowy chylące się pokornie, cały ten świat rozdygotany cichą radością rostu i mocy, i szczęścia, wszystko, co dołą swoją poczyniło i co martwe jest.

Naród zaszumiał nową pieśnią i podnosił się raźniej i weselniej.

Ruszyli dalej, biorąc się od razu na lewo, w poprzek łąk, pod łagodne wzgórze. Dzieci jeno dłużej się zatrzymały, że to Gulbasiaki z Witkiem, wedle starego obyczaju, sprawiały na kopcu poniekórym chłopakom tęgą łaźnię, że podniósł się taki wrzask, jaże ksiądz im z dala wygrażał.

A za łąkami weszli na szeroki wygon graniczny, w gąszcz smukłych jałowców, rosnących z kraja, jakby na straży pól rodnych. Wygon był szeroki, a kręcił tedy i owędy kiej rzeka zieloną falą traw gęsto nabitych kwiatuškami, że nawet w starych koleinach mrowiły się żółte mleczki i białe stokrotki. Kajś rozwalaly się wielkie kamionki, obroste w ciernie, że trzeba je było potem obchodzić, a gdzie znów stały samotnie dzikie grusze, całe we kwiatkach i pszczelnym brzękiem rozśpiewane i tak bardzo cudne i święte, jako te Hostie unoszące się nad polami, jaże się klękać chciało przed nimi a całować ziemię, co je na świat wydała.

A gdzie znowu brzócka się pochylała, przyodziana w bieluśkie gżło i cała owionięta zielonymi, rozplecionymi warkoczami, a tak czysta i drżąca w sobie, kiej ta dziewczyna do pierwszej komunii stająca.

Podnosili się z wolna na wyniosłość, obchodząc lipeckie pola od północy, wzdłuż młynarzowych ról, szumiących żytem.

Ksiądz szedł za krzyżem, za nim cisnęły się kupkami dziewczyny i co młodsze kobiety, zaś w końcu, w pojedynkę albo i po parze w rządku, wlekły się staruchy z Agatą, kusztokającą daleko za wszystkimi. Dzieci jeno płątały się na bokach, chroniąc się księżych oczu, bych śmieiej baraszkować.

Aż wynieśli się na równię, kaj i cichość stanęła większa, wiatery ustał zupełnie, chorągwie zwisły, a naród się rozwlókł na staję, że jako te kwiaty widniały kobiety wśród zieleni, zaś płomyki świec drżały skrami niby złotawe motyle.

Niebo wisiało wysokie i czyste, tylko niegdzie leżała jakaś biała chmura, kieby owca na modrawych, nieobjętych polach, przez które niesło się ogromne, rozgorzałe słońce, zalewając świat ciepłem i blaskami.

Jeno pieśń się wzmogła: huknęli z całej mocy i tak rozgłośnie, jaże ptaki uciekały z drzew pobliskich; czasem kuropatka wystraszona furknęła spod nóg albo i zajączek wyrывał się gdziesik spod kotyry i gnał na oślep.

- Oziminy dobrze idą – szepnął ksiądz.
- Ba! wczoraj już piętę w życie znalazłem.
- A któż to tak spaprał?... – połowa gnoju na skibach.
- Ziemiaki którejs komornicy, jakby w krowę przyorywała.
- Przecież brona wszystko wywlecze. Paskudziarze juchy!
- Dyc to parobek dobrodziejów przyorywał – wtrącił cicho kowal.

Dobrodziej się rzucił, ale zamilkł i przyśpiewując narodowi, chodził oczyma po tym nieobjętym rozlewie pól rodnych, co pogarbione i miejscami ździebko wzdęte, jako te piersi matki karmiącej, zdały się dychać w słodkim wzbieraniu, bych co ino przypadnie do rozwartego łona, pożywić się mogło i przytulić, i o doli srogiej zapomnieć.

Hej! szeroko niesły się oczy, i daleko, i przestrono, że cała procesja zdała się jeno ciągiem mrówek wśród zbóż, a głosy ludzkie tyle ważyły nad polami, co te skowronkowe świergotania.

Słońce się przetaczało ku zachodowi, że już pozłociały zboża, okwiecone drzewa rzucały cienie, zaś lipecki staw wybłyskiwał rozgorzałą szybą z obrzeży sadów, spienioną bielą kwiatów przytrząśniętych. Wieś leżała niżej, jakby we dnie michy wielgachnej, a tak przysłoniona drzewami, że ino kajś niekaj dojrzał szarą stodołę; jeden kościół, co się wynosił białymi murami ponad wszystko i złotym krzyżem na niebie świecił.

Zaś po prawej ręce idących rozlewały się równie, niby te nieprzejrzane wody szarozielone, z których wynosiły się wsie gęstymi kępami drzew okwieconych, krzyże przydrożne i drzewa samotnie rosnące. Oczy się tam niesły jak ptaki, ale nie sięgnęły w kołującym locie innych granic, kromie tych borów czerniejących dokoła.

- Coś za cicho... aby deszcz w nocy nie przyszedł... – zaczął ksiądz.

- Nie będzie: wytarło się na dobre i chłód zawiewa.
- Rano lało, a teraz wody ani znaku.
- Zwiesna przeciek, to w mig przesycha – wtrącił swoje kowal.

Dosięgli drugiego kopca, węglowego. Wielki był kiej usypisko; powiedali, że pod nim leżą pobite na wojnie. Krzyż stał na nim niski a struchlały całkiem, przystrojony w zesłoroczne wianuszki a obraziki, ubrane firaneczkami, zaś z boku tuliła się wypróchniała, rosochata wierzba, okrywając jego rany młodymi pędami. Strasznie tur było ja-koś i pusto, że nawet wróble nie gnieździły się w dziuplach, a chociaż naokół leżały rodzajne ziemie, kopiec był prawie nagi, odarte boki żółciły się piachami, że jeno rozchodniki, kiej te liszaje, czepiały się niegdzie i sterczały suche badyle dziewanny i szalejów łońskich.

Od moru odprawili nabożeństwo i przyśpieszając kroków, wzięli się jeszcze barzej na lewo, na skroś do topolowej drogi, mierząc pod sam las, jak wiodła wąska i wyjeżdżona mocno dróżka.

Już zwartą kupą ruszyli, tylko Agata ostała przy kopcu, kryjomo odarła szmatę z krzyża i podążając z dala za procesją zagrzebywała ją strzępkami po miedzach la jakiegoś zabobonu.

Organista zaintonował litanię, ale ciągnęli ją ospale, że śpiewał ino kto niekto, w pojedynkę, bo kobiety rajcowały z cicha, rzucając jeno w potrzebnym miejscu wrzaskliwie: „Módl się za. nami” – zaś dzieciska wyparły się na wypródki i baraszkowały swawolnie, jaże Pietrek Borynów, obzierając się na proboszcza, mruczał zeżłony:

- Obwiesie, juchy! zbereźniki!... bo jak paś spuszcze!

Ksiądz, znużony już sielnie, pot ocierał z łysicy, a rozglądając się po sąsiednich rolach pogadywał z wójtem:

- Ho, ho! tym już groch powschodził...
- A prawda!.. wczesny być musi, rola doprawiona i idzie kiej bór.
- Ja siałem jeszcze na Palmową, a dopiero kły puszcza
- Bo u do dobrodzieja na tym dołku zimnica, a tu grunt cieplejszy.
- I jęczmiona już im powschodziły, a równe, jakby siewnikiem posiane.
- Modliczaki dobre gospodarze, na dworską modę w polu robią.
- Tylko na naszych polach ani znaku jeszcze owsów i jęczmionów.
- Spóźnione wszystko, deszcze też przybiły, że nieprędko się ruszą.
- I spaprane, że niech Bóg broni! – westchnął ksiądz żałośnie.
- Darowanemu koniowi w zęby nie zaglądataj – zaśmiał się kowal.

– Te, wisusy, uszy poobrywam, jak nie przestaniecie! – krzyknął proboszcz na chłopaków śmigających kamieniami za stadkiem kuropatw, szorujących w poprzek zagonów.

Przycichły z nagłą rozmowy, chłopaki przywarły po bruzdach, organista znów jął beczeć, kowal zawtórował, jaże w uszach zawierciało, a cieniuśkie głosy kobiet podniosły się jękliwym chórem, że litania rozwlekła się nad polami, niby ten ciąg ptaków zmęczonych długim lotem i już z wolna i coraz niżej opadających.

Parli się tak wśród pól zielonych długim i rozśpiewanym zagonem, że ludzie, pracujący na modlickich polach, a nawet i na dalszych, podnosili się od roboty czapy zdejmując, to przyklękając na zagonach, gdzie zaś było zaryczało, podnosząc ciężkie, rogate łby, a kajś znowu spłoszony żreback odbiegł maci, w cały świat gnając.

Ze staje mieli jeszcze do trzeciego kopca i figury przy topolowej, gdy ktosik wrzasnął z całych sił:

– Chłopy jakies z lasu wychodzą!

– A może to nasi?

– A nasi! nasi! – buchnęło z kupy i kilkanaścioro rzuciło się na przód.

– Stać! Nabożeństwo pierwsze – nakazał ostro ksiądz.

Juści, że ostali, przeddeptując z niecierpliwości. Zbili się jeno barzej w kupę, stowarzyszając jak popadło, bo każdego dziw nie podrywało z miejsca, ale ksiądz nie puścił, przyspieszał jednak kroku.

Wiaterek skądś zawiął, że świece pogasły, chorągwie zatrzepały i żyta, krze i ukwiecone drzewa jęły się kolebać, jakby kłaniając i do nóg się chyląc procesji. Ale naród, choć śpiewał coraz głośniejsze, w dyrdy już sunął i oczy wpierał w bór niedaleki, między drzewa przydrożne, kaj już wyraźnie białą się kapoty chłopskie.

– Nie pchajcie się, głupie: chłopcy wam nie uciekną! – zgromił ksiądz, bo mu już następowały na pięty tłocząc się jedna przez drugą.

Hanka, co była szła w rzędzie z najpierwszymi gospodyniami, aż krzyknęła dojrzwawszy kapoty. Wiedziała przeciek, jako tam Antka nie zobaczy, a mimo to zatrzęsła się radością i pijana zgoła nadzieja rozsadzała jej duszę, że zesza na bok, w bruzdę, i oczy wypatrywała...

Zaś Jagusia, idąca wpodług matki, porwała się z miejsca, bych lecieć, ognie ją przejęły i taki dygot, co zębów nie poredziła zewrzeć; a drugie kobiety też nie mniej się rwały ku tym wyteśknionym. Jeno niektóre dzieuchy i chłopaki nie wstrzymały długo, bo naraz chlasnęły z kupy, kiej woda z cebra wstrząśniętego, i mimo wołań pognały na

przełaj do drogi, jaże im łysty bieląły. Procesja rychło dosięgła krzyża Borynów, za którym tuż zaraz był kopiec, na skraju ziem lipeckich i dworskiego boru.

Chłopy już tam stały kupą w cieniu brzoź wielgachnych, stróżujących przy krzyżu; z dała już odkrywali głowy i oczom kobiet pokazały się lube twarze mężów, ojców, braci a synów utęsknionych, twarze pochudłe, wymizerowane a pełne radości, pełne uśmiechów szczęścia.

– Płoszki! Sikory! Mateusz! Kłab! i Gulbas! i stary Grzela! i Filip! Mizeraki kochane! Biedota! Jezus Maria, Matko Przenajświętsza! – rwały się wołania i pokrzyki a szepty gorące, i już oczy gorzały radością, już się ręce wyciągały, już tłumione płacze kwiliły i krzyk narbrzmiewał w gardzielach, już ponosiło wszystkich, ale ksiądz jednym gromkim słowem powstrzymał i uciszył naród, a dowiódłszy pod krzyż, czytał spokojnie modlitwę „od ognia”; jeno czytał wolno, bo niechący a cięgiem obzierał się na strony i pocziwymi oczyma chodził po twarzach wynędzniałych.

Wszyscy też przyklękli w półkole i wraz z żarliwą i dziękczynną modlitwą łzy płynęły z oczu, uwieszonych na Chrystusie przybitym do krzyża. Dopiero kiej zakończył i wodą skropił głowy chylące się do ziemi, zdjął rogatą czapeczkę i wesoło a w cały głos huknął:

– Niech będzie pochwalony! Jak się macie, ludzie kochane!

Juści, co chórem odkrzyknęli, cisnąc się do niego kiej te owce do pasterza, a w ręce całując, a za nogi obłapiając, a on ci każdego brał do serca, po głowach całował, po zbiedzonych twarzach głąskał, troskliwie pytał j i z dobrym słowem odpuszczał, aż utrudzony siadł pod krzyżem, pot obcierając i te łzy pocziwe

A naród skotłował się kiej ten wrzątek kipiący.

Buchnęła wrzawa, śmiechy, cmokania, płacze radosne dziecińskie jazgoty, gorące słowa i szepty, krzyki, co jak śpiew się wydzierają z serc uszczęśliwionych, wołania tęsknic z nagła zapomnianych; każda swojego na stronę odciągała i każdego kiej ten chojak kolebał się wpośród krzyków w kupie kobiet i dzieci, w radosnej wrzawie gwaru i płaczów... Dobrze ze dwa pacierze trwały powitania i byłyby się przeciągnęły do nocy, aż ksiądz się spamiętał, że pora, i dał znak.

Ruszyli do ostatniego kopca, drogą wzdłuż lasu, niskimi zaroślami jałowców i sośnianej młodzi.

Ksiądz zaśpiewał: „Serdeczna Matko”, a wszystkie jak jeden człowiek zawtórowali wielkim głosem, aż bór zajęczał i echami oddawał, wesele bowiem przepęniało duszę, taką moc dając pierśmiom, że śpiew

zrywał się kiej burza wiośniana i chlustał nad bory słupem rozognionych uniesień...

A że sporo narodu przybyło, to już zapchali całą drogę, szli także i borem między drzewami, szli i nad polami, że całe Podlesie zaroilo się ludźmi, a hukalo pieśnią niebosięzną.

Jeno co rychło śpiew opadł kiej chmura, gdy już pierun ze siebie wypuści, że tylko i ze samego przodka jeszcze nutę wyciągali, mnogim zaś zrobiło się pilno zgwarzać ze swoimi. Ciąg się też porwał i rozpierzchał na strony, chałupami szli, wiewa dzieci pomniejsze na ręce wzięło, drugie a co młodsze parami szli, cosik se rozpowiadając, a in-sze już się w gąszcz wywodzili, od ludzkich oczu, zaś dzieuchy spłoni-one kiej wiśnie przywierały do swoich chłopaków nie bacząc na ni-kogo. A kiej niekiej, snadź la ulżenia sobie w kumentnościach, śpie-wem znów gruchali rozgłośnym, jaże wrony z gniazd wylatywały na pola, jaże świece gasły od pędu, a bór odhukiwał z wolna i bełkotał, kieby z tej głębokiej, nieprzejrzanej gardzieli.

To cichość się rozpościerała, że ino tupot nóg się rozlegał i pryska-ły w gąszczach rozognione śmiechy, ściszone słowa lub te pacierze staruch, mamrotane jęklivymi nawrotami.

Zachód już nadchodził, niebo się wyniosło, jakby wzdymając w rozzłoconą, szklaną banię, że jeno kilka chmur przesiąkniętych czerwienią mdlało w sinych wysokościach, słońce zesunęło się na sam wrąb i nad borami zawisło, a wśród pni ogromnych, w zielonych podszyciach roztrzęsały się brzaski złotawe, zaś na polanach samotne drzewa zdały się żywym ogniem płonąć, rozgorzały wody, przytające w gąszczach, i cały bór jakby w ogniach stanął i w krwawych dymach, że tylko miej-scami, kaj wyniosłe chojary stały zwartą gęstwą i kieby chłopcy wsparte o się ramionami, tam czarne mroki zalegały, a i to jeszcze prześwietlone niegdzie tym dżdżem słonecznym.

Bór pochylał się nad drogą i na pola zdał się patrzeć, wygrzewając w zachodzie czuby wielgachne, a stał tak cichusko, iż kucie dzieci-ciółów trzaskało przenikliwie, kukułka gdziesik kukała zawzięcie, a z pól dochodziły ptasie świergotania:

Droga kręciła się miejscami samą krawędzią pól, że chłopcy pre-stawali opowiadać i cisnąć się nad bruzdą przydrożną, szli pochyleni, obejmując oczyma te niwy zielone, kaj gęsto kwitnące drzewa gorzały w zachodzie, te długie zagony, co wlekły się ku nim pokornie, te kiej wody ździebko rozkolebane pola ozimin, chylące się jakby pod nogi gospodarzom z chrzęstem radosnym. Żarli ci też ślepiami tę mać żywi-

cielkę, że niejeden się żegnał, niejeden „Pochwalony” mówił czapę zdejmując, a zaś wszystkim zarówno dusze klękały w niemej, gorącej czci przed tą świętą i utęsknioną.

Juści, co po tych pierwszych przywitaniach nowe gwary się podniosły i nowe radoście rozpieły serca, jaże chciało się niejednemu huknąć po lesie albo i przypaść do tych zagonów i zapłakać.

Tylko Hanka poczuła się jakby za całym światem. A toć tuż przed nią i za nią, i wszędy chłopcy szły szumno, a kiele każdego kobiety i dzieci tułą się radośnie niby te krze wąż, a toć gwarzą, cieszą się, w oczy sobie zagładają, cisną się do siebie, a ona jedna przemówić nie ma do kogo! Cały naród wre ukropem radości niepowstrzymanej, a ona, choć idzie w pośrodku, tak się czuje opuszczona i nieszczęsna, jako to drzewo usychające w gąszczach, na którym nawet wrona gniazda nie uwije ni żaden ptak nie przysiadzie. Nawet mało kto ją przywitał – jakże! każdemu było pilno do swoich... co im tam ona?... a tylachna ich wróciło... nawet Kozieł, że znowu będzie trzeba pilnować komory i chlewy zamykać... nawet i te największe buntownicy: Grzela, wójtów brat, i Mateusz... Antka jeno nie puścili... może go już nigdy nie zobaczy...

Nie, nie mogła już wytrzymać, bo te rozmysły przygniatały ją kieby kamienie, że ledwie nogi zbierała, ale szła z głową podniesioną, harda na oko i pyszna jak zawdy. Kiej zaśpiewali, śpiewała z drugimi donośnie; kiej modlitwę ksiądz zaczynał, pierwsza powtarzała zbiełatymi wargami, jeno w tych długich przerwach, gdy posłyszała wokoło ściśzone od żarów szepty, wpierała ciężkie oczy w krzyż błyszczący i szła, strzegąc się jeno tych łez zdradzieckich, co jak złodzieje wymykały się niekiej spod rozpalonych powiek. Nie poważyła się nawet pytać o Antka – jeszcze bych się mogła wydać z męki przed ludźmi!... Nie, nie, tyle znieśła, to i więcej przemoże, przecierpi... udźwignie... Nakazywała sobie czując zarazem, jak w niej łzy piekące wzbierają, jak żal za gardziel dusi, mrokiem przesłaniają się oczy i jak ta męka rośnie z minuty na minutę.

Nie samać jedna tak biadolila, nie, boć i Jagusia czuła się nie lepiej: szła ona z osobna, przemykając się lękliwie kiej ta sarna spłoszona. I ją poniesły radoście, że pobiegła naprzeciw i prawie pierwsza chłopów dopadła, a nikto do niej nie wyskoczył, nikto nie przytulił i nie całował. Jeszcze z dala dojrzała Mateuszową głowę nad insze wyniesioną, więc ku niemu rzuciły się jej oczy rozgorzałe, ku niemu porwały ją nagle dawno już zapomniane tęsknoty, że przepychała się przez ciżbę z wrza-

skiem radosnym. Ale on jakby jej nie dojrzał... Nim go dosięgła, już matka wisiała mu na szyi, Nastusia w pół trzymała i młodsze dzieci wieszaly się dokoła, zaś Tereska żołnierka, czerwona jak burak, rozbezczana, trzymała go za rękę, nie strzegąc się już oczu niczyich.

Jakby ją kto wodą zimną. oblał, że wypadła z kupy i w las pognąła, sama nie wiedząc, co się z nią wyprawia. Jakże to, miała straszną ochotę poczuć się w gromadzie i ścisku, w tej przejmującej wrzawie powitań, chciała się cieszyć jak i drugie; przeciek, kiej wszystkie, miała serce pełne żarów i gotowe do uniesień i szlochów radosnych, a oto sama iść musi, z dala od ludzi niby ten pies oparszywiały.

Rozdygotała się też ciężkim żalem, ledwie już łzy wstrzymując a wyrzekania i wlekła się jako ta chmura posepna, co to leda chwila deszczem rześnistym zapłacze.

Parę razy próbowała uciekać do dom, ale nie poredziła: żal jej było ostawiać procesję, to i plątała się potem pomiędzy ludźmi, jak ten Łapa szukający w ciżbie swoich gospodarzy. Nie ciągnęło jej do matki ni do brata, którego przemyślnie zagubiał się w jałowcach i kole Nastusi kołował, a kto drugi też się z nią nie stowarzyszył, zajęty swoimi. Aż w końcu złość ją zatrzęsła, że byłaby z lubością puściła kamieniem w całą kupę i w te rozradowane, śmiejące się gęby.

Szczęściem, że już wychodzili z boru.

Ostatni kopiec stał na rozdrożu, skąd jedna z dróg skręcała prosto ku młynowi.

Słońce już zachodziło i zimny wiaterek powiał z nizin, ksiądz przyśpieszał nabożeństwo, że to i Walek czekał na niego z bryczką.

Śpiewali ta jeszcze coś niecoś, ale już wszystko szło na rzadki pytel, bo utrudzeni byli, zaś chłopcy rozpytywały z cicha o folwerek spalony we święta, którego rumowiska okopcone sterczały niedaleko, a przy tym i na dworskich polach działały się ciekawości.

Dziedzic ano skakał po zagonach na swojej bułance za jakimiś ludźmi, jakby rozmierzającymi role długimi prętami, a zaś przy krzyżu, na rozwidleniu dróg i kole stogów spalonych widniały bryki żółto malowane.

- Co to może być? – zauważył ktosik.
- Juści, co pole wymierzają, jeno że to nie omentry.
- Kupce pewnikiem, niej wyglądają na chłopów.
- Na Miemców patrzą.
- Pewnie: kapoty granatowe, faje w zębach i portki na cholewach.
- Rychtyk, podobni do Olendrów z Grunbacha.

Szeptali oczy wytrzeszczając ciekawie, ale jakiś głuchy niepokój zaczął przejmować gromadę, że nawet nie spostrzegli, jak kowal wyniósł się cichaczem i prawie chyłkiem, brzdami, przebierał się ku dziedzicowi.

- Podleski folwarek kupują czy co?
- Już we święta powiadali, co dziedzic ogląda się za kupcami.
- Ale niech ręka boska broni od miemieckich somsiadów!

Poniechali rozważań, bo skończyło się nabożeństwo ksiądz wsiadał na bryczkę wraz z organistami.

Naród się rozbił na kupy i z wolna pociągnął do wsi, rozwlekli się po drodze, to miedzami szli gęsiego, jak ta komu bliżej było do chałupy.

Słońce już zaszło i mrozczało nad ziemiami, na zielonkawym zaś niebie rozżarzały się zorze ogniste. Z łąk za młynem ruszały się białe opary, rozwłócząc kieby przędę na wszystkie niziny. W cichości, jaką się przyodziewał świat, jeno bociek klekotał gdziesik rozgłośnie.

Bo nawet głosy ludzkie pogasły i cała procesja wsiąkała z wolna w pola, że jeno gdzieniegdzie czerwieniał wełniak, lebo białe kapoty mgliły się w zapadających, modrawych cieniach.

A pokrótce wieś jęła się napęlniać i rozbrzmiewać, bo już wszystkimi stronami a gwarnie walili, każdy zaś chłop krzyżem świętym witał dawno nie widziane progi, a nie-jeden na ziem rymnął przed obrazami, w głos rycząc szczęścia

Ponowiły się witania, a babie i dziecińskie jazgoty, a opowiadania, przerywane wybuchami gorących całunków i śmiechów.

Kobiety, rozognione i jakby oszalałe z wrzasku, jęły usadzać swoich nieboraków przed michami, podtykając im jadło i niewoląc ze wszystkiego serca.

Że i krzywd zapomnieli, i pamięci bied, i długich miesięcy rozłąki się zbyli, bo każdy z całego serca cieszył się powrotem i swoimi, które raz po raz obłapiał i do serca przyciskał, a o różności wypytywał.

Kiedy zaś już sobie podjedli do sytu, ruszyli gospodarki oglądać i radować się dobytkiem, że choć już dobrze ściemniało, a łazili po obejściach i sadach, lewentarze poklepując albo i tykając palcami obwisłe pod kwiatem gałęzie, kieby te kochane, dziecińskie główiny.

Że już i nie opowiedzieć, jakim weselem rozgorzały Lipce.

Tylko u jednych Borynów było zgoła inaczej.

Dom ostał prawie pusty, Jagustynka poleciała do swoich, Józka też z Witkiem poniesła się, kaj ludniej było i weselej, że jedna Hanka cho-

dziła po ciemnej izbie pohnęta na rękę dziecko kwilące i już puszczać wodze żalom i bolesnym, palącym łzom.

Jeno że i w tym nie ostała dzisiaj sama jedna, bo ano Jaguś tak samo ciskała się w mrocznym obejściu, rychtyk tymi samymi smutkami szarpana i tak samo tłukąc się kiej ten ptak o klatkowe pręty.

Tak się już bowiem splezło dziwnie.

Jagna przyleciała jeszcze przed drugimi, a chociaż mroczna była kiej noc i rozeźlona, rzuciła się do roboty, robiła, co ino jej wpadło pod oczy, za wszystkich; wydoła krowy, napoiła cielaka, nawet świniom żarcie poniesła, jaże Hanka zdumiała się, ledwie wierząc własnym oczom. A ona nie bacząc na nikogo pracowała, jakby się chcąc zarobić i tak umęczyć, by zapomnieć krzywdy jakiejś i zabić w sobie smutki a żale.

Ale cóż, choć ręce mdlały z utrudzenia i krzyż dziw nie pękał, łzy i tak ciągiem stały jej w oczach i często palącym sznurem ciekły po twarzy, a w duszy krzewił się coraz bujniejszy i sroższy smutek

Zapłakane oczy nic nie widziały wpodłe siebie, nawet Pietrka, któren już od samego przyjścia na krok jej nie odstępował i pomagając zagadywał z cicha i rozżarzonymi ślepiami obejmował, a przycierał się nieraz tak z bliska, jaże bezwolnie się odsuwała. A że przyszło do tego, że kiej w stodole nabierała w opałkę sieczki, chwycił ją wpół, do sąsiedka przypierał mamrocząc cosik i do jej warg chciwie sięgając...

Nie sprzeciwiła się, nie miarkując, do czego idzie i dając się na jego wolę, jakby nawet rada temu, że ją jakaś moc pojena i ponosi, ale skoro ją rzucił na słomę i poczuła na twarzy jego wilgotne wargi, porwała się niby wichur i odrzuciła go precz kiej ten wiecheć, jaże bęcnał na klepisko...

Straszna złość ją zatrzęsała...

– Ty pokrako zapowietrzona!... ty świniarzu!... Poważ się jeszcze kiej mnie tknąć, to ci kulasy poprzetracam!... Dam ja ci jamory, jaże się juchą oblejesz!... – krzyczała rzucając się z grabiami.

Ale wnet zapomniła o wszystkim i pokończywszy obrządki, do chałupy poszła.

W progu natknęła się na Hanke: zajrzały sobie w oczy przeszkłone łzami a bólem ocieźzałe i śpiesznie się rozbiegły.

Z obu izb drzwi stały wywarte do sieni i w obu już się paliły światła, że co chwila, jakby z niewytłomaczonego musu, spozierały z dala na siebie.

Zaś potem, narządzając wspólnie kolację, kręciły się z bliska siebie, ale żadna nie puściła pary, żadna i słowa nie powiedziała, jeno kryjomo kiej złodzieje chodziły za sobą ślepiami. Juści, dobrze wiedziały, co każda dzisiaj cierpi, że często złe i mściwe oczy przyskakiwały do siebie kiej noże ostre, a zaciśnięte nieme usta mówiły uragliwie:

– Dobrze ci tak! dobrze!

Ale przychodziły i takie chwile, że zaczynało im być siebie żal, że byłyby zagwarzyły przyjaźnie, że każda ino czekała zaczepki, by odrzeknąć pocziwym słowem, że nawet przystawały wpodłe, zezując ku sobie wyczekując, gdyż ustępowała zawziętość, przymierały zadawnione gniewy, a pospólna dola i opuszczenie kłoniły je ku sobie coraz bliżej... jeno co nie skłoniły, bo zawdy je cosik powstrzymywało: to płacz dziecka, to wstyd jakiś, to nagłe ocknienie w pamięci krzywud, jaże i w końcu rozniosło je daleko i zawziętość znowu w sercach zawrzała, złości sprężyły dusze i oczy poczęły się żgać błyskawicami nienawiści.

– Dobrze ci tak! dobrze – syczały z cicha, prażąc się ślepiami, znowu gotowe do kłótni, do bitki nawet, bych całą złość wyrzecz na drugiej.

Na szczęście, do tego nie przyszło, bo Jagusia zaraz po kolacji wyniesła się do matki.

Wieczór był ciemny, ale cichy i ciepły; gwiazdy jeno z rzadka przebłyskiwały w płowych głębokościach; na moczarach leżały białe, grube kożuchy oparów, żaby zaczynały rechotać, a niekiedy zabłąkało się jękliwe kwilenie czajek. Ziemię zaś otulały mroki, że jeno kajś wynosiły się na jaśnię nieba drzewa pospane, sady szarzały jakby wapnem skropione, a bijące zapachami niby z trybularzóww rozżarzonych; wiśniowy kwiat pachniał i bzy ledwie roztlące, pachniały zboża, wody i te ziemie przewilgocone, a każdy kwiat czuć było z osobna i wszystkie razem wionęły upajającym, słodkim zapachem, jaże w głowie się kręciło.

Wieś jeszcze nie spała, ciche pogwary trzęsły się od progów i przyźb, tonących w ciemnościach, zaś drogi, przysłonione cieniami drzew, a jeno niegdzie porznięte świetlistymi pręgami z okien bijącymi, mrowiły się od ludzi. Jaguś niby to do matki zmierzała, a jęła kręcić nad stawem, kołować, przystając coraz częściej, bo prawie co krok natykała się na jakąś parę, mocno splecioną i cicho gwarzącą.

Spotkała i brata z Nastusią: trzymali się wpół całując zapamiętale.

Wlazła też niechcący na Marysię Balcerkównę z Wawrzkiem: gdziesik pod płotem, w grubym cieniu stojali, przytuleni do siebie i o Bożym świetle nie wiedzący.

Rozpoznała po głosach i drugie, że z każdego cienia nad wodą, spod płotów, zewsząd roznosiły się szepty, dyszące słowa, upalne westchnienia, jakieś dygoty i szamotania. Cała wieś zdała się wrzeć ukropem miłowań i lubością, że nawet i te skrzaty ledwie odrosłe, a i to wodziły się z chłopakami, gząc się a przeganiając po drogach.

Obmierzło jej to nagle, że wzięła ich wymijając, kierując się prosto do matki, ale przed domem spotkała się oblicznie z Mateuszem; nie spojrzał nawet na nią mijając kiej to drzewo; wiódł się z Tereską trzymając ją wpół i cosik jej prawiać... Przeszli, a ona jeszcze słyszała ich głosy i przytłumione śmiechy.

Zawróciła nagle i już w dyrdy, jakby goniona przez wszystkie psy, uciekała do chałupy.

A wieczór cichy, wiośniany, pachnący, nabrzmiały radością powitań, przejęty świętą cichością szczęścia, płynął niepowstrzymanie.

Gdziesik w nocy, w rozpachnionych sadach czy na polu, fujarka zaświergotała tęskną nutą, jakby do wtóru tym szeptom i całunkom, i radościom.

Zaś na moczarach żaby zarechotały wielkim chórem, niekiedy jeno przerywanym, a drugie, we stawie przymglonym kiej oko zasypiające, odpowiadały im przeciągłym, sennym, coraz cichszym hukaniem... aż dzieci, baraszkuje po drogach, jeły się z nimi przemagać i krzyceć przekomarzając:

Reh! reh! reh!
Bocian zdechł!
Ja rada, ty rada, obie my rade!
Rade! rade! rade!....

ROZDZIAŁ 8

Dzień wstawał cudny, ciepły, a jędrny, niby ten chłop dobrze wyspany, któren ledwie przecknąwszy na równe nogi się zrywa i szepcąc pacierze, trąc oczy, a ździebko poziewając za robotą się rozgląda.

Słońce wschodziło pogodnie; czerwone i ogromne, z wolna wtaczało się na wysokie niebo, jakoby na to pole nieobjęte, kaj w sinych oprzędach mgieł, leżały nieprzeliczone stada białych chmur.

I wiater się już wałęsał po świecie, kieby ten gospodarz budzący wszystko na świtaniu; przegarniał zboża pomdłałe, dmuchał we mgły, że rozpiezchały się na wsze strony, targał obwisłymi gałęziami, kajś na rozstajach huknął, to chyłkiem przebrał się ku uśpionym jeszcze sadom i rymnął w gąszcze, że z wiśni posypał się ostatni kwiat i kiej śnieg trząśł się na ziemię; kiej lży na wody stawu padał.

Ziemia się budziła, ptaki zaśpiewały w gniazdach, drzewa też jęły szemrać niby tym pacierzem pierwszym; kwiaty się otwierały podnosząc do słońca ciężkie, zwilgocone i senne rzęsy, a lśniące rosy sypały się gradem perlistym.

Długi a luby dygot zatrząśł wszystkim, co znowu się budziło do życia zaś gdziesik z ziemie, ze dna wszelkiego stworzenia buchnął niemy krzyk i jak głucha błyskawica przeleciał nad światem, jak kiedy człowieczą duszę w twardym śpiku zmora dusi, że targa się, stracha, zamiera, aże raptem oczy ozewrze na słoneczną światłość i krzykiem szczęsnego oniemienia dzień wita i to, że między żywymi jest jeszcze, niepompna, jako to nowy dzień trudów a boleści, jak wczoraj było; jak z jutrem przyjdzie, jak zawdy będzie...

Więc i Lipce jęły się budzić i rażno zrywać na nogi; niejedna głowa rozczochrana wyzierała, wodząc zaspanymi oczyma po świecie; kajś już się myli przed chałupami, to po wodę do stawu wypadały rozdżiane jeszczek kobiety, ktosik drwa rąbał; wozy też wytaczano na drogę, dymy niekajś wykwitały z kominów, a tu i owdzie roznosiły się krzyki na leniących się wstawać.

Rano było jeszcze, słońce ledwie co na parę chłopca wyniosło się nad wschodem i z boku przez mrocznawe sady bodło czerwonymi płomieniami, a już ruchano się wszędy galanto.

Wiater się kajścić zapodział, że w lubej cichości wszystko się syciło rześwym, pachnącym porankiem, słońce grało we wodach i rosy skapywały z dachów sperlonymi sznurkami, jaskółki śmigwały w czystym powietrzu, boćki leciały z gniazd na żer, kokoty piały po płotach wytrzępując radośnie skrzydłami, a gęsi z gęgotliwym krzykiem wywodziły młode na staw szcerwieniony. Bydło ryczało po oborach, zaś wszędy przed progami a w opłotkach doili pośpiesznie krowy i z każdego obejścia wyganiali inwentarz na drogi, że szedł kolebiąco rycząc przeciągle, a cochając się o płoty i drzewa, zaś owce z zadartymi łbami pobekując cisnęły się środkiem drogi w tumanie kurzu. Spędzali wszystko na plac przed kościołem, kaj paru starszych chłopaków na koniach, trzaskając batami a klnąc siarczyście, oganiało rozłażące się stado i wrzeszczało na opóźnionych.

A kiej ruszyli, stłaczając się na topolowej, bo jaże pod lasem leżały wspólne pastwiska, przykryła ich kurzawa orosiąła i czerwono w mieniąca się w słońcu, że jeno belki owiec i pieskowe szczekania rwały się z ciężkich tumanów, znacząc drogę, kaj się podzieli.

Zaś pokrótce za nimi i gęsiarki wypędzały białe, rozgęgane stada, to ktosik cielną krowę wiódł na miedzę albo konia spętanego prowadził za grzywę na ugory.

Ale i potem niewiele się przyciszyło, że to wieś jęła się szykować na jarmarek. Było to jakoś w tydzień po powrocie chłopów z kreminą.

Wszystko już w Lipcach wracało z wolna do dawnego, jakoby po tej burzy srogiej, co szkód narobiła niemałych, że naród, ochłonawszy z trwogi, wyrzekając a żaląc się na dolę, imał się po ździebku pracy wetującej.

Juści, co nie szło jeszcze, jak było iść powinno, chociaż chłopcy już ujęły rządy w swoje kwarde ręce, jesczech się bowiem lenili nieco poranić, do późna nieraz wylegując się pod pierzynami; jesczech nie jeden często gęsto do karczmy zaglądał, niby to nowin zasięgając w sprawie; jesczech ten i ów pół dnia przewałęsał po wsi i przegadał z kumami, a zaś drugie spychali jeno co pilniejsze roboty, boć niełacno było po tylin próżnowaniu brać się na ostro – ale już co dnia przemieniało się na lepsze, co dnia puściej robiło się w karczmie i po drogach i co

dnia gęściej mus chytał za łby i przyginał do ziemi, do ciężkiej, znoonej pracy zaprzęgając.

Że zaś dzisiaj akuratnie wypadał jarmarek w Tymowie, to mało kto do roboty wychodził, szykując się na niego.

Przednowek wcześniej latoś zawitał i tak ciężki, jaże skwierczało po chałupach, więc co jeno kto miał jeszcze do przedania, śpiesznie wyprowadzał, zaś drugie szły la zgwarzenia się ze somsiady, la obaczenia świata i wypicia choćby tego kieliszka.

Każden miał swój frasunek, a kajże się to naród pocieszy, wyżali, skrzepi, a nowin dowie, jeśli nie na jarmarku lebo na odpuszcie?...

Więc skoro powypędzano inwentarze na paszę, zaczęli się zbierać, rychtować wozy, a wychodzić, kto piechty iść musiał.

Biedota ruszyła najpierwej, bo Filipka z płaczem pognała sześć starych gęsi, oderwanych od młodzi ledwie co porosłej, że to chłop zachorzał po powrocie i do garnka nie było co wstawić.

Któryś też z komorników ciągnął za rogi jałowicę, co się była teraz na zwiesnę pognała... Że zaś bieda ma długie nogi a ostre pazury, to Grzela z krzywą gębą, choć na ośmiu morgach siedział, a dojną krowę poprowadził na powrósle, somsiad zaś jego, Józek Wachnik, maciorę z prosiętami popędzał.

Ratowały się chudziaki, jak jeno mogły, bo już niejednego tak przypierało, że ostatnią koninę wyprowadził, jak to Gulbas musiał, sprocosowała go bowiem Balcerkowa za piętnaście rubli, które był kiejś pożyczył na krowę, i teraz gotowym wyrokiem groziła, że wśród płaczów całej rodziny a wyrzekań i gróźb siadł nieborak na kasztanka i przedawać go pojechał.

Wozy się z wolna wytaczały jeden za drugim, boć i gospodarze wywozili, co któren miał, gdyż wójt o podatki wołał i karami straszył, zaś gospodynie też się wybierały ze swoim dobrem, że często gęsto kokoszki gdakały spod zapasek lub tęgi gęsior zasyczał z wasąga, a drugie piechty idące jajka niesły w chustach; to masło kryjomo przed dziećmi zbierane, a poniektóre to i świąteczne wełniaki lub zbędne płótne dźwigały na plecach.

Bieda ano popędzała, a do żniw, do nowego, było jeszcze daleko.

Tak się wszystkim śpieszyło, że nawet msza odprawiała się dzisiaj znacznie wcześniej. Jeno parę kobiet klęczało przed ołtarzem, nie mogąc nadażyć za księdzem, bo ledwie odmówiły na Podniesienie, a już Jambroź gasił świece i kluczami podzwaniał.

Tereska żołnierka, która z jakąś sprawą przyszła do proboszcza, trafiła rychtyk, kiej już wychodził na śniadanie. Nie śmiała go juści zaczepić, więc jeno stanęła przed sztachetami wypatrując, kiej się na ganku pokaże. Nim się jednak zebrała przystąpić, siadł na bryczkę i przykazywał ostro ruszać do Tymowa.

Westchnęła żałośnie, długo patrząc na topolową, kaj kurz wisiał i szarą chmurą kładł się na pola; wozy turkotały coraz dalej, a ino czerwien kobiet ciągnących gęsiego nad drogą mignęła niekiedy między drzewami.

Lipce ścichły pokrótce, młyn nie turkotał, kuźnia stała zamknięta i drogi do cna opustoszały, bo kto ostał, dłubał cosik w obejściach i na ogrodach za chałupami.

Tereska sielnie sfrasowana wróciła do domu.

Mieszkała za kościołem, pobok Mateusza, w chałupinie o jednej izbie z półsionką, gdyż drugą przy działach brat oderznął i przeniósł na swój grunt, że kiej rozcięte w poprzek żebra sterczały przepiłowane ściany i dach, przypierające do okopconego komina.

Dojrzała ją z proga Nastka, że to ino wąski sadek ich dzielił.

– No cóż? co ci wyczytał? – zawołała biegnąc ku niej.

Tereska z przełazu opowiadała, co ją spotkało.

– A może by organista przeczytał?... pisane musi poredzić.

– Juści, co poredzi, ale jak tu z gołymi rękoma iść do niego?

– Weź parę jajków.

– Matka wszystkie ponieśli do miasta; kacze ino zostały.

– Nie turbuj się: weźmie on i kacze..

– Poszłabym, a czegoś się boję! Bym to wiedziała, co tu napisane!

– Wyjęła zza gorsu list od męża, którego był jej wójt przywiózł wczoraj wieczorem z kancelarii – Co tam może stoć?

Nastka wzięła jej z rąk zaczerniony papier i, przykucnąwszy pod przełazem, rozpostarła go na kolanach i znowu z niemałym trudem próbowała odczytywać. Tereska przysiadła na żerdce i wsparłszy brodę na pięściach patrzyła z lękiem na te jakieś kreski, z których tyle jeno Nastka wysylabizowała, że Pochwalony stojało na początku.

– Nie rozbierę więcej, to darmo. Mateusz to by pewnikiem poredził.

– Nie, nie! – poczerwieniała strasznie i cicho jęła prosić: – Nie mów mu o liście, Nastuś, nie powiadaj...

– Żeby drukowane, to na każdej książce przeczytam, litery znam dobrze i baczę, jaka która jest, ale tutaj niczego złożyć nie poredzę:

same jakieś kulasy i wykretasy, jakby muchę uwalaną w czernidle puścił kto na papier.

– Nie powiesz, Nastuś, co?

– Dyć już ci wczoraj rzekłam, że nic mi do waju. Wróci twój z wojska, to i tak wszystko musi się wydać! – rzekła powstając.

Tereska jakby się zachłysnęła płaczem, że ino robiła gardłem, słowa nie mogąc wydobyć.

Nastka cosik zeżłona odeszła, kury zwołując po drodze, a Tereska, zawiąawszy w węzełek pięć jajek kaczych, powlekła się do organisty.

Ale nieletko jej być musiało, przystawała co trocha i kryjąc się w cieniu, z bojaźnią wpatrywała się w niezrozumiałe litery listu.

– A może go już puszczają?...

Trwoga chwytala ją za gardło, nogi się uginały, serce się tak rozpaczliwie tłukło, że przyciskała się do drzew, zapłakanymi oczyma biegając jakby za ratunkiem.

– A może ino o pieniądze pisze!

Szła coraz wolniej; męzowy list tak jej ciężył a parzył, co ciągiem przekładała go zza gorsu do rąk i aż w róg chustki zawinęła.

U organistów jakby nikogo nie było: drzwi stały powywierane do pustych izb, że tylko w jednej, kaj okno było przysłonięte spódnicą, ktosik chrapał rozgłośnie spod pierzyny. Z nieśmiałością przesunęła się przez sień, rozglądając się po podwórzu, tylko dziewczka siedziała przed kuchnią z kierzanką między kolanami, masło wybijając, i oganiała się gałęzią przed muchami.

– A kaj to pani?

– Na ogrodzie, zaraz ją tu posłyszycie...

Tereska pobok stanęła miętosząc list w rękę i chustkę naciągając barzej na czoło, gdyż słońce wyłaziło za budynków.

Z księzego podwórza, płotem jeno odgradzonego, roztrzęsały się wrzaskliwe głosy drobiu, kaczki trzepały się w kałużach, młode indyczki biadoliły kajściś pod płotem, zaś indory gulgocąc rozczapierzały skrzydła, podskakując zajadle ku prosiętom, wylegującym w błocie, gołębie podrywały się sprzed stodoły, krążyły w powietrzu i spadały co trocha na czerwone dachy plebanii kiej ta chmura śniegowa. Wilgotnawe a rzeźwe ciepła buchało z pól, sady rozkwitłe pławiły się w słońcu, jabłonie obwalone kwiatem wносиły się z zieleni kiej białe chmury opylone zorzami; pszczoły z cichuśkim brzękiem leciały na pracę, kajś już i motyl zamigotał kiej ten płatek kwiatowy, to stado wróbli z nie-małym wrzaskiem spadało z drzew na płoty.

Teresce naraz łyzy się puściły z oczu i ciurkiem pociekły.

- Organista jest w domu? – spytała, twarz odwracając.
- A kajby. Dobrodziej wyjechał, to się wyleguje kiej ten wieprz.
- Dobrodziej pewnie na jarmark?
- Juści, byka mają kupować.
- A mało to już ma różnego dobra? co?
- Kto ma dosyć, to chciałby jeszczek więcej – mruknęła dziewczka.

Tereska zmiłkła, zrobiło się jej strasznie żałośnie, że to ludzie mają wszystkiego po grdykę, a ona ledwie się, pożywi, głodując często.

– Gospodyni idą! – zawołała dziewczka, ruchając mocno koziełkiem w kierzance, jaże śmietana wypryskiwała wokoło.

– To twoja sprawka, próżniaku!... umyślnie puściłeś konie w koniczyne! – rozległ się w sadzie jazgotliwy głos organiściny. – Nie chciało ci się na ugór pędzić. Jezus, że to na nikogo się spuścić nie można! Ze dwa pręty koniczyny spasiono! Czekał, powiem zaraz, a wuj takie ci fryko sprawi, darmożjadzie jeden, że popamiętasz.

– Wygnałem na ugór, sam spętałem i na lince przywiązałem do kołka! – tłumaczył się płaczliwie Michał.

- Nie cygań. Wuj się z tobą rozmówi, no...
- Ja nie wygnałem, mówię ciotce.
- A kto? ksiądz może? – wrzeszczała urągliwie.
- Zgadła ciotka: ksiądz wypasł swoimi końmi – podniósł głos.
- Wściekł się!... – przywrzyj pysk, żeby się nie roznieśli!

– Nie przywrę, w oczy mu powiem, bo widziałem. Ciotka na mnie krzyczy, a to ksiądz wypasł: Poszedłem do dnia po konie: gniady leżał, a klacz się pasła; były tam, gdzie je zostawiłem na noc. Dosyć zostawiły śladów, można sprawdzić, jeszcze gorące. Rozpętałem je i wsiałem na gniadego, a tu widzę, że w naszej koniczynie jakieś konie. Świtało dopiero, dostałem się przegonem pod księży ogród, żeby im drogę zastąpić, wyłażę na dróżkę Kłębową, a tu proboszcz stoi z brewiarzem, rozgląda się dokoła i raz po raz popędza je batem coraz głębiej w koniczyne, to...

– Cicho, Michał! Słyszane to rzeczy, żeby sam ksiądz... Dawno już mówiłam, że to siano w przeszłym roku... cicho, tam jakaś kobieta stoi.

Potoczyła się naprzód śpiesznie, właśnie i organista krzyczał spod pierzyny na Michała.

Tereska oddała jej węzełek z jajkami, a podejmując za nogi, prosiła nieśmiało o przeczytanie listu od męża.

Kazała jej zaczekać.

A dopiero w parę dobrych pacierzy zawołano ją do izby. Organista rozmamłany całkiem, w gaciach jeno, popijając kawę jął czytać.

Słuchała z zamierającym sercem, bo właśnie mąż jej zapowiadał swój powrót na żniwa, razem z Kubą Jarczykiem z Wólki i z Grzelą Borynowym. List był poczciwy, troskał się o nią, wypytywał o wszystko, co się dzieje w domu, przysyłał pozdrowienia znajomym i buchał radością powrotu, a w końcu Grzela dopisywał prosząc, by zawiadomiła jego ojca o powrocie. Chudziaczek nie wiedział, co się stało z Maciejem.

Zaś Tereskę te ciepłe, poczciwe słowa prażyły kiej baty i do ziemi przyginały. Mocowała się, bych nie poznali po niej, bych zdzierzyć spokojnie tę wieść straszną, ale zdradliwe łzy same jakoś pociekły rozpalonymi paciorkami.

– Jak się to cieszy z powrotu chłopca! – szepnęła urągliwie organista.

Teresce jeszcze rześystszy grad posypał się z oczu. Uciekła biedota, aby krzykiem nie wybuchnąć, i długo się tuliła kajś w opłotkach.

– Co ja teraz pocnę, sierota? co? – wyrzekała z bezradną żalnością.

Juści, chłop wróci, dowie się o wszystkim! Strach ją porwał jako ten zły, luty wichur. Jasiak był poczciwy, ale zawzięty jak wszystkie Płoszki: krzywdy nie przepuści, jeszcze go zabije! Jezus, ratuj, Jezus! Ani pomyślała o sobie. Popłakując a szarpiąc się w sobie, znalazła się u Borynow. Hanki nie było: pojechała do miasta jeszcze wczesnym rankiem; Jagna też u matki robiła, że w chałupie była jeno Jagustynka z Józką: płótno zmoczone rozpościerały w sadzie.

Powiedziała o Grzeli, chcąc się wynieść czym prędzej, ale stara odwiedła ją na bok i dziwnie dobrotliwie szepnęła:

– Tereska, opamiętaj się, miejże rozum, ozorów złych nie utniesz... Jasiak wróci, to się i tak dowie. Pomiarkuj, parobek na miesiąc, a mąż na całe życie! Dobrze ci radzę.

– Co wy powiedacie? co? – bełkotała, niby nie rozumiejąc.

– Nie udawaj głupiej, wszyscy wiedzą o was, Mateusza odpraw, póki czas, to Jasiak nie uwierzy, stęsknił się do ciebie, łącznie wzmówisz, co ino zechcesz. Mateusz się znarowił do twojej pierzyny, ale przeciek nie przyrósł, wypędź go, póki czas. Nie bój się, Jasiak też nie ułamek... A kochanie przejdzie jako ten dzień wczorajszy, nie wstrzymasz, choćbyś życiem płaciła; kochanie to jeno suta omasta przy niedzieli; jedź co dnia, a rychło ci zmierznie i odbekiwać będziesz. Kochanie płkanie, a ślub grób – powiadają. Może i prawda, jeno że ten grób z chłopem i

dzieciskami lepszy niżli wolność w pojedynkę. Nie bucz, a ratuj się, póki pora. Jak cię twój bez to kochanie sponiewiera i z chałupy wygna, kaj to pójdziesz? We świat na zatracenie i pośmiewisko! Hale, pomieniał się stryjek za siekierkę kijek! Zlecisz z woza, to biegnij potem za rozworą z wywieszonym ozorem! pod wiatr rychło dech stracisz i sił się wyzbędziesz, i rychło cię odjadą! Głupia, kaźden chłop ma portki, Mateusz mu czy Kuba, kaźden jednako przysięga, jak sięga, kaźden jak miód, pókiś mu miła. Pomiarkuj sobie i do głowy weź, coć mówię, wuj nam ci przeciek i dobra la ciebie pragnę.

Ale Tereska już nie mogła wytrzymać, uciekła w pole a buchnąwszy gdziesik w żyto, tam dopiero popuściła żalom i płakaniom.

Darmo próbowała rozważyć słowa starej, gdyż co chwila chwycił ją taki żal za Mateuszem, że z rykiem tłukła się po bruździe jako ten poraniony zwierz.

Dopiero jakieś niedalekie wrzaski podniosły ją na nogi.

Jakby przed wójtową chałupą rozlegała się sroga kłótnia.

Juści: to wójtowa z Kozłową przezywały się od ostatnich.

Stojały naprzeciw siebie, płotami a drogą podzielone, w koszulach jeno i wełniakach, a ledwie już zipiąc ze złości, pomstowały ze wszystkiej mocy, pięściami do siebie wygrażając.

Wójt konie zakładał do wasąga, zagadując niekiedy do chłopca z Modlicy siedzącego w ganku, któren jaże tupał z uciechy, pokrzykując judżaco na kobiety.

Krzyki roznosiły się daleko, że kiej na dziwowisko zbiegali się ludzie: sporo już ich stało na drodze, a spoza wszystkich płotów sąsiedzkich i węglów wyściubiały się głowy.

Bo też kłóciły się, że niech Bóg broni! Wójtowa, cicha zazwyczaj i zgodliwa kobieta, jakby się dzisiaj wściekła, srożyła się coraz barzej, zaś Kozłowa z rozmysłu nieco przycichała i nie przepuszczając niczego, żgała ją powoluśku naśmiechliwymi słowami.

– Jazgocz se, pani wójtowo, jazgocz, pieski cię nie przeszczekają! – wołała.

– A bo to pierwszy raz, a bo to drugi! Nie ma tygodnia; by mi co z chałupy nie zginęło! Kokoszki nieśne, kurczęta, kaczki, a nawet stara gęś, że już nie wypowiem tych szkód na ogrodzie i w sadzie! A bodajś się struła moją krzywdą! żeby cię pokrećciło! żebyś stergła pode płotem...

– Ozdzieraj się, wrono, krzycz, to ci ulży, pani wójtowo...

– A tom dzisiaj! – zwróciła się do Tereski, wylażającej na drogę – a tom rano pięć kawałków płótna wyniesła na bielnik. Zachodzę po śniadaniu; aby je zmoczyć. Brakuje jednego! Szukam! Jakby pod ziemię się zapadł! Dyc kamieniami przycisnęłam, a wiatru nie było! Płótno cieniuśkie, paczesne, że kupne nie byłoby lepsze, i zginęło!

– Kiej świni tłuszcz ci ślepie zalewa, toś nie dojrzała!...

– Boś mi płótno ukradła! – wrzasnęła.

– Ja ci ukradłam! Powtórz to jeszcze, powtórz!

– A ty złodzieju jeden! Przed całym światem zaświarczę. Przyznasz się, kiej cię w dybach do kreminalu popędzą.

– Złodziejką me przeżywa! Słyszyna, ludzie! Do sądu podam, jak Bóg w niebie, wszyscy słyszeli. Ja ci ukradłam, masz świadki, ty torbo?..

Wójtowa, chyciwszy jakiś kolek, na drogę wypadła i docierając kiej pies rozwścieczony, jazgotała zajadle:

– Ja ci kijem przytwierdze! ja ci zaświarczę! jak ci...

– Podejdz, pani wójtowo! Tknij me jeno, świńska kumo! tknij me, ty sobacza pokrako! – zawrzeszczała wybiegając naprzeciw.

Odepchnęła męża, któren ją powstrzymywał, i rozkraczywszy się pod boki się ujęła krzycząc urągliwie:

– Bij me, bij, a kryminał cię nie minie, pani wójtowo!...

– Zawrzyj pysk, bym cię pierwej do kozy nie zapakował! – krzyknął wójt.

– Psy se wściekle zamykaj, boś od tego, babę swoją weź lepiej na postronek, bych się ludzi nie czepiała! – gruchnęła nie mogąc już wytrzymać.

– Urzędnik do cię mówi, pomiarkuj się, kobieto! – zawołał groźnie.

– Gdziesik mi twój urząd – rozumiesz! Groził mi będzie, widzisz go, sameś może płótno wzion la jakiej kochanicy na koszulę. Gromadzkich pieniędzy już ci nie starczyło, boś je przechłał, pijanico. Nie bój się, wiedzą, co wyrabiasz. Posiedzisz se i ty, panie urzędniku, posiedzisz!

Ale tego już było za wiele la obojga, że kiej wilki skoczyli na nią; pierwsza wójtowa chlasnęła ją kijem przez pysk i z dzikim kwikiem w kudły się wczepiła pazurami, zaś wójt jął prać pięściami, kaj popadło.

Bartek w ten mig skoczył na pomoc swojej.

Zwarli się kiej psy w nierozplątana kupę, że ani rozeznał, czyje pięście młóca kieby cepami, czyje głowy się taczają i czyje są krzyki. Przywarli się do płota i przetoczyli się znowu na drogę kiej snopy wi-

churą zakręcone, aż w końcu, zmagając się coraz zajadlej, runęli na ziem, w piasek.

Kurz ich zakrył, iż jeno krzyki a pomstowania się rozlegały; tulali się po drodze bijąc a wrzeszcząc wniebogłosy.

Czasem ktosik wyrywał się z kupy, czasem i wszystkie naraz podnosiły się na nogi, a chytając w garście, co popadło, znowu bili na siebie, za łby się wodząc, za orzydle, za szpondry.

Wrzask się rozniósł na całą wieś, wystrachane kury gdakały po sadach, psy jęły szczekać, baby podniosły lamenty, tłocząc się dokoła bezradnie, aż dopiero nadbiegłe chłopcy rozerwali bijących.

Co tam było jeszcze przekleństw, płaczów a wygrażań, to i nie wypowiedzieć. Somsyadi porozlatali się zaraz, aby ich na świadków nie podano; ale rozpowiadali wszędy, niby pod sekretem, jak wójtowie srodze zbili Kozłów..

A nie wyszło i paru pacierzy, wójt z zapuchłym pyskiem wraz z kobietą, też niezgorzej zasinioną i podrapaną, pierwsi pojechali skargę podawać. Zaś dopiero w jaką godzinę ruszyli Kozłowie.

Stary Płoszka, nawet wielce chętnie, bo za darmo, zgodził się ich powieźć do miasta, byle się jeno po przyjacielsku przysłużyć wójtowi.

Jechali podawać skargę, więc jak się byli podnieśli z bitki ni ździebka się nie ogarniając, tak ruszyli.

Umyślnie też przez wieś jechali stępa, by móc rozpowiadać swoje krzywdy, a rany okazywać każdemu, kto jeno chciał patrzeć.

Kozioł miał łeb rozwalony do kości, jaże mu krew zalewała całą twarz, szyję i piersi, widne spod porozrywanej koszuli. Niewiela go już bolało, ale co trocha za boki się chwycił i przeraźliwie wrzeszczał:

– Laboga, nie zdzierzę! Wszystkie ziobra mi przetrącił! Ratujta, ludzie, ratujta, bo pomrę!...

A Magda wtórowała lamentliwie:

– Kłonicą go prał! Cichoj, chudziaku! sponiewierał cię kiej psa, ale jest jeszcze sprawiedliwość i kara na zbójów, jest! Cichoj, mizeraku! dobrze ci on zapłaci! Na śmierć chciał go zabić, widzieli ludzie, ledwie go obronili, to zaświarczą w sądzie pocziwie! – darła się, raz po raz wybuchając strasznym rykiem, a tak była sponiewierana, że ledwie ją poznawali. Z gołym łbem jechała, włosy miała powyrywane wraz ze skórą, naderwane uszy, oczy zakrwawione i całą twarz podartą pazurami, jakby ją kto pobronował, że choć wiedzieli, co to za ziółko, a niejeden szczerze się litował.

– Żeby tak pobić ludzi, no!

– Wstyd i obraza boska; toć ledwie żywi jada.

– Niezgorzej poszlachtowani, co? I rzeźnik lepiej nie poredzi... Ale panu wójtowi przeciek wszystko wolno, nie urzędnik to, nie figura? – dorzuczał urągliwie Płoszka zwracając się do narodu.

Stropili się tym wielce, bo choć Kozły dawna już przejechali, wieś jeszcze długo nie mogła się uspokoić.

Tereska, która ze strachu schowała się w czas bitki, wylazła skądciś dopiero, kiej już obie strony pojechały do sądów.

Zajrzała zaraz do Kozłów, że to Bartek pociotkiem jej wypadał z matczynej strony. W chałupie nie było nikogo, jeno na dworze pod ścianą siedziało tych troje dzieci przywiezionych z Warszawy.

Tuliły się do siebie, łapczywie ogryzając ziemniaki nie dogotowane, a broniąc się piskiem i łyżkami od prosiąt. A tak były zabiedzone, wychudłe i obrosłe brudem, jaże litość ją wzięła. Przeniesła je do sieni, a pozawierawszy drzwi, już w dyrdy poleciała z nowinami.

U Gołębiów jeno Nastka była.

Mateusz jeszcze przed śniadaniem poszedł był do Stacha, Bylicowego zięcia. Właśnie wraz z nim penetrował rozwaloną chałupę, czyby się nie dała podnieść. Bylica chodził za nimi, jākając niekiedy swoje.

Pan Jacek zaś siedział jak zawdy na progu, papierosa kurzył i pogwizdywał na gołębie kołujące nad trześniami.

Słońce się już podnosiło ku południowi, ciepło było galante.

Nagrzane powietrze mieniło się nad polami kiej woda, zboża i sady stały jakby w słońce zapatrzone, że jeno niekiedy z trześni Bylicowych spadał okwiat chwiejąc się na trawach niby biały motyl.

Dochodziło południe, kiej Mateusz skończył oglądanie; a dzióbiąc toporem jeszcze tu i owdzie po bokach, rzekł stanowczo:

– Zetlałe do cna, samo próchno, nic z tego nie postawi, to darmo...

– Dokupiłbym nieco nowego, może by... – szepnął błagalnie Stacho.

– Dokupcie na całą chałupę, z tego gnoju nie wybierze ni jednego bala.

– Bójcie się Boga!

– Dyc przyciesie jeszcze by wytrzymały, węgary jeno dać nowe... ściany też by podporami wesprzeć... klamrami ściągnąć... dyc... – jękał stary Bylica.

– Kiejście taki majster, to sobie stawiajcie, ja z próchna nie poredzę – rzucił gniewnie naciągając spencerek.

Nadeszła na to Weronka z dzieckiem na ręku i jęła wyrzekać:

– A cóż my teraz poczniemy, co?

– Ze dwa tysiące trzeba by na nową! – westchnął frasobliwie Stacho.

– Hale, cheba o jednej izbie ze sionką.

– Przeciech coś by drzewa dostał z naszego lasu... juści, żeby tylko chyła tyła... a resztę dokupię... juści... chwaciłoby... W urzędzie prosić...

– Dadzą to teraz, kiej bór w procesie!... przecież nawet zbieraniny wzbronili. Poczekajcie z chałupą do końca sprawy! – radził Mateusz.

– Czekaj tatka latka, a kajże się to na zimę podziejem? kaj? – wybuchnęła Weronka i zapłakała żałośliwie.

Pomilkli. Mateusz zbierał swoje porządki ciesielskie, Stacho drapał się w głowę, a Bylica nos wycierał za węglem, że w tej smutnej cichości jeno Weronczyn płacz chlipał.

Naraz pan Jacek się podniósł i głośno rzekł:

– Nie płaczcie, Weronka, drzewo się na chałupę znajdzie.

Ośłupieli stając z rozdziawionymi gębami, aż dopiero Mateusz pierwszy się pomiarkował i śmiechem gruchnął:

– Mądry obiecuje, a głupi się raduje! To głowy nie ma kaj przytuścić, a chałupy będzie drugim rozdawał! – powiedział ostro, spode łba patrząc na niego, ale pan Jacek już się nie ozwał, siadł znowu na progu, zakurzył papierosa i jak przódzi, skubiąc bródkę, po niebie wodził oczyma.

– Poczekajta ino, a niezadługo i cały folwarczek wama przyobieca.

Zaśmiał się Mateusz i rzuciwszy ramionami poszedł.

Na lewo się wziął zaraz z miejsca, ścieżką wiodącą pod stodołami.

Mało ludzi robiło dzisiaj na ogrodach, bo jeno kajś niekaj czerwieniała kobieta albo jakiś chłop naprawiał dach, to cosik majdrował we wrótniach stodół, powywieranych na pola.

Nieśpieszno było Mateuszowi, gdyż rad przystawał poredzając z chłopami o wójtowej bitce, do dzieuch zęby szczyrzył i wesoło zagaadywał, a gdzie znów babom tak trefnie przysolił, jaze śmiech zarechotał na ogrodach, że niejedna wzdychając szła za nim oczyma.

Jakże, urodny był i wyrosły kiej dąb, a jakby król wszystkich we wsi parobków, bo i moczcz po Antku Borynie pierwszy, i tanecznik równy Stachowi Płoszce, a i mądrala. Że zaś przy tym sprawny był do każdej roboty, bo i wóz zrobił, i komin postawił, i chałupę wyrychtował, i na fleciku pięknie wygrywał, to chociaż prawie nie miał grontu i grosz się go nie utrzymał, iż szczodry był la drugich, a niejedna matka

rada by z nim przepiła choćby całego cielaka, bych go jeno na zięcia przysposobić, zaś niejedna dziewczyna już go przypuszczała do podufałości rachując, co potem prędzej zanieśie na zapowiedzie.

Ale na nic szły wszystkie zabiegi, z matkami pił, z córkami jamorował, a od ożenku wykręcał się kiej piskorz.

– Niełacno wybrać, bo każda dobra, a jeszcze lepsze podrastają, poczekam... – powiadał swachom, rającym mu różne dziewczuchy.

A zimą zmówił się był z Tereską i żył z nią prawie na oczach wszystkiej wsi, nie bacząc na gadania ni pogrozy.

– Wróci Jasiek, to mu ją oddam, jeszczek gorzałki postawi, zem mu kobiety pilnował – prześmiewał się z przyjaciółmi jakoś wkrótce po powrocie, że to już przykrzyła mu się i z wolna od niej odstawał.

I teraz, na obiad idąc, dłuższą drogę wybrał, bych se po drodze pozartować z dzieuchami a uszczypnąć, którą się da.

I całkiem niespodzianie natknął się na Jagnę: pełła cosik na matczynym ogrodzie.

– Jagusia! – wykrzyknął radośnie.

Jagusia podniosła się i strzeliła nad zagonem kiej ta malwa wysmukła.

– Żeś to me dojrzał? Cie, jaki prędki, już tydzień we wsi, a dopiero...

– Dyć jeszcześ śliczniejsza! – szepnął z podziwem.

Ugięta była do kolan, spod czerwonej chusty, pod brodą zawiązaną, modrzały ogromne; słodkie oczy, białe zęby grały w wiśniowych wargach i cała gębusia, zarumieniona kiej jabłuszko, a śliczna, jaże się prosiła o całowanie. Ujęła się hardo pod bok i biła w niego skrzącymi ślepiami z taką mocą, że dreszcze go przeszły. Obejrzał się dokoła i bliżej podszedł.

– Od tygodnia cię szukam i wypatruję po próżnicy.

– Cygań se psu, to ci może uwierzy. Co wieczór zęby suszy po opłotkach, co wieczór innej basuje, a teraz będzie mi co inszego wmaśniał!

– Tak mię to, Jaguś, witasz? co? tak?..

– Jakże to mam inaczej? Może cię za kolana podjąć i dziękować, żeś se o mnie przypomniał?

– Baczę, jakieś to me łoni przyjmowała.

– Co było łoni, to nie teraz – odwróciła się twarz kryjąc, a on się przysunął nagle, obejmując ją chciwymi rękoma.

Wyrwała mu się z gniewem.

– Poniechaj, bo mi Tereska ślepie wydrapie za ciebie!

– Jagusia! – ledwie jęknął.

– Do swojej żołnierki wróc se z jamorami... wysługuj się, póki tamten nie wróci. Odpasła cię w kreminale, naszkodowała się na ciebie, to jej teraz odrabiaj! – chlastała kiej batem, a tak wżgardliwie, że Mateusz zapomniał języka w gębie.

Wstyd go przejął, poczerwieniał kiej burak, przygiął się i uciekł po prostu.

A Jagnę, choć powiedziała, co czuła i z czym się już cały tydzień nosiła, żal teraz ogarnął: nie myślała, iż się ozgniewa i pójdzie sobie.

– Głupi, przeciech ja ino tak sobie powiedziałam, przez złości! – myślała, markotnie patrząc za nim. – I żeby się zaraz ozgniewać!...Mateusz!

Ale nie usłyszał, śmigając przez sad jakby poszczuty.

– Zła osa, ścierwo! – mruczał lecąc już prosto do domu. Gniew nim miotał na przemian z podziwem. Jakże, zawdy była taka trusia, gęby ozewrzeć nie poredziła. Toć go sponiewierała kiej psa! Wstyd nim zatrząś, że zobejrzał się, czy aby kto nie słyszał jej pyskowania.

– Tereskę mu wypomina! Głupia!... co mu ta żołnierka?... zabawa i tyła! A jak to ślepiami sypnęła! jak to harno pod bok się ujęła! jak to buchnęło od niej lubością!... Jezu, i w pysk wziąć od takiej nie wstyd, bele się jeno dostać do miodu... – Cięgotki go wzięły, zwolnił kroku przed chałupą.

– Ozgniewała się, zem o niej przepomniał... Bogać, com winowaty... i o Tereskę... – skrzywił się jak po occie. Dosyć już miał tej płaksy, zbrzydły mu te ciągle kwiki. Nie ślubował przeciek, bych się jej musiał trzymać jak ten ogon krowy! Ma przeciek chłopa! I ksiądz gotów go jeszcze wypomnieć z ambony! Z taką to i człowiek flaczeje. Psiakrótką z tymi babami! – srożył się w sobie.

Obiad się dopiero dogotowywał, skrzyczał więc Nastkę za mitrężenie i zajrzał do Tereski. Właśnie krowę doiła w sadzie; podniosła na niego oczy dziwnie smutne, ledwie co obeschę z płaczu.

– Czegoś to buczała?

Tłumaczyła się cicho, miłującymi oczyma ogarniając twarz jego.

– Wymion byś lepiej pilnowała, strzykasz ano mlekiem na wełniak.

Kwardy był dzisiaj i przez dobroci, że łamała sobie głowę, co mu się stało, sprawując się już kiej trusia, gdyż za każdym odezwaniem złością pryskał i ślepiami toczył.

Niby to czegoś po sadzie szukał i kole domu, a głównie przyglądał się jej kryjomo dziwując się coraz barzej:

– A gdzież to miałem oczy? Takie to cherlawe i wymiękłe... Ni to z pierza, ni z mięsa! Gnat rozkwaszony. Cyganicha prosto. Ni postury, ni...

Prawda, jedne oczy to miała piękne, równe może Jagusynym, ogromne, jasne kiej niebo i czarnymi brwiami opięte, a ilekroć spotkał się z nimi, odwracał głowę i klął z cicha:

– Wytrzeszcza ślepie niby cielak, kiej ogon podniesie!

Niecierpliwiło go to patrzenie i w sroższy gniew wprowadzało.

– Na złość na cię nie spojrzę, ślepiaj se psu w ogon! Nie przeciągniesz me.

Razem jedli obiad, ale ni razu do niej się nie ozwał, ni nawet spojrział w jej stronę. Nastce jeno przygadywał co trocha:

– Pies by się nie chycił za taką kaszę: jak uwędzona!...

– Bogać ta, ździebko jeno przypalona i kiej cie w zęby kluje...

– Nie przeciwiaj się! Muchami ją zmaściłaś, więcej ich niżli skwaraków.

– Już mu muchy szkodzą! jaki przebierny! nie strujesz się!

Zaś przy kapuście wyrzekął na stare sadło.

– Mazią od woza omaścić, też gorsze by nie było.

– Poliz osi, to obaczysz, ja ta nie probantka! – odpowiadała twardo.

Czepiał się bele czego i piekłował. Że Tereska cały czas się nie odzywała, to zaraz po obiedzie wziął się i do niej, dojrzał bowiem jej krowę cochającą się o węgiel.

– Obrosła gnojem kiej skorupą: nie możecie to jej wycierać, co?

– Mokro w oborze, to się wala.

– Mokro! Są w lesie kolki, są; czekacie jeno, by wam kto nagrabił i do chałupy przyniósł. Dyc odparzy sobie kłęby w tym gnoju, zgnije! Tyla bab w chałupie, a porządku ani za grosz! – wrzeszczał, ale Tereska ustępowała mu pokornie, nie śmiejąc się już bronić, a jeno prosząc ślepiami o pomilowanie.

Cicha przecież była jak zawsze, uległa i pracowita jak mrówka, nawet rada, że wziął nad nią górę i kwardo panuje. A właśnie on i bez to srożył się coraz barzej. Gniewały go jej kochające, lęklive oczy, gniewał chód cichy, gniewała twarz pokorna, gniewało i to, że ciągiem plątała się kole niego. Miał już ochotę krzyknąć, by mu z oczu ustąpiła.

– Żeby to morówka wziena, psiakrew! – buchnął wreszcie i zabrawszy porządki ciesielskie, nawet nie wytchnąwszy przypołudnia, poszedł do Kłębów, kaj miał jakąś robotę przy chałupie.

Siedzieli tam jeszcze przy michach, na dworze.

Zakurzył papierosa siedząc pod ścianą.

Kłęby pogadywali o powrocie z wojska Grzeli Borynowego.

– Wraca to już? – zapytał spokojnie.

– Nie wiecie to? Dyc razem z Jaśkiem Tereski i Jarczakiem z Woli.

– Na żniwa się obiecują. Tereska latała dzisiaj z listem do organisty, bych przeczytał. Powiadał mi o tym.

– To ci nowina! Jasiak powraca! – zawołał bezwolnie.

Zmilkli wszyscy, jeno ślipia obleciały po sobie, a kobiety się szcerwieniły powstrzymując śmiech. Nie pomiarkował i jakby rad wieści, powiedział spokojnie:

– Dobrze, co powraca; może przestaną obgadywać Tereskę.

Żaże łyżki zawisły nad michą, tak się zdumieli, a on tocząc zuchwałymi ślepiami dodał:

– Wiecie, jak jej nie szcędzą. Nic mi do niej, chociaż mi powinowata z ojcowej strony, ale żeby tak na mnie padło, dobrze bym pleciuchom gęby pozatykał: zapamiętaliby! A już kobiety la drugich najgorsze: niechby najbielsza, nie przepuszczą i błotem obwałą.

– Pewnie co tak, pewnie! – przywórzili wbijając oczy w michę.

– Byliście już u Boryny? – zagadnął niespokojnie.

– Dyc zbieram się i zbieram, a co dnia cosik przeszkodzi.

– Za wszystkich cierpi, a nikto o nim nie pamięta.

– Zaglądałeś to do niego? co?

– Hale, pójdę sam, to powiedzą, co do Jagny ciągnę:

– Cie! uważny kiej dziewczka po przypadku – mruknęła stara Agata, siedząca pod płotem z miseczką na kolanach.

– A bo mi już obmierzły szczekania.

– I wilk się statkuje, kiej mu kły spróchnieją – śmiał się Kłęb.

– Albo kiej się za barłogiem rozgląda – odpowiedział Mateusz.

– Ho, ho, to ino patrzeć, jak do której z wódką pošlesz – żartował Kłębiak.

– Właśnie, ciągiem już deliberuję, do której by przepić.

– Prędko wybieraj, a w druhny me proś, Mateusz – pisknęła Kasia, najstarsza.

– Cóż, kiej niełacno: wszyckie zarówno wybrane i jedna w drugą najlepsze. Magdusia najbogatsza, ale już przez zębów i ze ślepiów jej

cieknie; Ulisia niby kwiat, jeno co ma jedno biedro grubsze i beczkę kapusty we wianie; Franka z przychowkiem; Marysia zbyt szczodra dla parobków; Jewka, choć ma całe sto złotych samą koprowiną, wałkoń, pod pierzyną cięgiem wyleguje. A wszystkie by tłusto jadły, słodko popijały i nic nie robiły. Czyste złoto takie dzieuchy! A zaś jeszcze drugie mają la mnie za krótkie pierzyny.

Gruchnęli śmiechem, jaże się gołębie porwały z dachów.

– Prawdę mówię. Przymierzałem u niejednej, ledwie mi do pół łyst sięgają, jakże bym to zimą wyspał? cheba w butach, co?...

Zgromiła go Kłębowa, iż zbereżeństwa gada przy dzieuchach.

– La śmiechu jeno mówię. Przeciek powiedają, co pocziwe żarty nie szkodzą i pod pierzyną.

Ale dziewczyny rozczapierzyły się kiej te jendyczki.

– Hale, jaki przebierny!... będzie się tu przekpiwał ze wszystkich! Kiej ci w Lipcach mało, na drugich wsiach se szukaj! – jazgotały.

– Jest ich w Lipcach, jest: przeciek łacniej o dostałą pannę niżli o całą złotówkę. Po dydku i już z ojcowym litkupem je przedają. Bych jeno kupce się nalazły! Tyle tego, jaże się wieś trzęsie od skrzeków pannowych, wszyckie gotowe pod kozik, że co sobota w każdej chałupie już od świtania pucują się do czysta, kosy we wstęgi pletą i kokoszki po sadach gonia, bych je ponieść Żydowi na gorzałkę, a od samego południa jeno z za węglów patrzą, czy z której strony swaty nie ciągną. Widziałem, które i z dachów, zapaskami powiewały wrzeszcząc: „Do mnie, Maciuś, do mnie!” Zaś matki wtórzyły: „Do Kasi przódzi, Maciusiu, do Kasi! Syrek i mendel jajków przyłożę do wiana! Do Kasi!”

Rzypowiadał uciesznie, jaże chłopaki kładły się ze śmiechu, jeno Kłębianki podniosły wrzask na niego, że stary krzyknął:

– Cichojsa! skrzeczą kiej te sroki na deszcz.

Nie zaraz się uspokoiłi, więc by przerwać te przekpinki, zapytał:

– Byłeś to, Mateusz, przy wójtowej wojnie?

– Nie. Mówili, co Kozłom sielnie się dostało.

– Że już lepiej nie można. Strach, jak wyglądali! Wójt se pozwolił, no!...

– Gromadzki chleb tak go roznosi, to i bryka.

– Głównie, co się nikogo nie boja. Któż to mu stanie na sprzeciw? Drugi za taką sztukę dobrze by zapłacił, ale jemu włos z głowy nie spadnie. Z urzędnikami się zna, to w powiecie mocen wszystko, co ino zechce...

– Bośta barany, że dacie takiemu przewodzić nad sobą! Poniewiera i wynosi się nad wszystkie, a oni go dziw po nogach nie całują!

– Sami go wybralim nad sobą, to i uważać musim.

– Kto go wsadził, ten i zesadzić rmoże.

– Dyc nie krzycz, Mateusz, jeszcze się, rozniesie.

– A doniesą mu, to będzie wiedział. Niech me ino zaczepi!

– Maciej chory, to kto mu inszy poredzi? Każden się waguje iść na pierwszego, bo każden ledwie swoim biedom wydoli – szepnął stary podnosząc się z ławy.

Podnieśli się wraz i drudzy.

Kto po jadle legł odpoczywać, kto na drogę wychodził kości przeciągnąć i pasa odpuścić, a kto, jak dzieuchy, do stawu poszły myć garnki a chłodzić się i rajcować. Mateusz zabrał się zaraz do obcieszowania podpór do chałupy, zaś Kłab fajkę zapalił i na progu przysiadł.

– Kto jeno o drugich stoi, tego bieda wydoi! – mruknął pykając smacznie.

Słońce wisiało nad samą chałupą, przypołudnie zrobiło się nagrzanne, ciepłem wiało od pól. Sady stały w cichości, między drzewinami mieniło się od słońca, okwiat cichuśko słał się na trawy, pszczoły brzęczały po jabłoniach, staw polśniewał wskroś gałęzi, nawet ptactwo pomilkło. Przedpołudniowa, słodka senność siała się po świecie.

Że Kłab, aby nie zadrzemać, powlókł się do dołu z ziemniakami.

Zaś potem cosik ostro pykał przygasłą fajkę i spluwał, odrzucając głową włosy, opadające mu na twarz.

– Obejrzałeś, co? – zapytała żona wychylając się ze sieni.

– Juści... żeby tak raz w dzień warzyć, starczyłoby ziemniaków do nowych!

– Hale, raz na dzień! Młode i zdrowe, to i żreć potrzebują.

– Nie dociągniem. Tyla narodu. Dziesięć gąb, a brzuchy mają kiej ćwiercie. Trza będzie cosik zaradzić.

– O jałówce myślisz, co? To ci zapowiadam, że przedać jej nie pozwolę. Rób se, co chcesz, a bydłatka nie dam. Zapamiętaj sobie.

Zatrzepał rękoma, kiejby od osy uprzykrzonej, i gdy odeszła, jał znowu fajkę zapalać.

– Psiachmać baba... Potrza, to i jałówka nie ołtarz!

Słońce prażyło prosto w oczy, cienie były jeszcze maluśkie, to się jeno odwrócił plecami i pykał coraz wolniej i rzadziej. Popuścił pasa, bo mu coś ziemniaki ciążyły, słońce przypiekało, gołębie gruchały we

strzesze i cichuśki szmer liści tak rozbierał, że jał się kiwać i żydy wozić po ścianie.

– Tomaszu! Tomaszu!

Ozwał oczy, Agata siedziała pobok, trwożnie poglądając.

– Ciężki macie przednówek – mówiła cicho. – Byście chcieli, to mam parę groszy, wygodziłabym waju. Na pochówek je ścibałam, ale kiejscie w takiej potrzebie, pożyczę. Jałówki szkoda. Przy mnie się łoni uległa... z mlecznego gatunku. Może mi Pan Jezus pozwoli dożyć, to mi z nowego oddacie. Wziąć od swojego w potrzebie nie wstyd i gospodarzowi, weźcie – wsunęła mu w rękę samymi złotówkami cosik ze trzy ruble.

– Schowajcie sobie! Jakoś se poredzę.

– Weźcie, dyć jeszcze z pół rubla dołożę, weźcie – prosiła cichuśko.

– Bóg zapłać wama. Cie, jakaście to pocziwa!

– To już całe trzydzieści złotych bierzcie, do równa – supłała z węzełka dodając po dziesiątce – bierzcie – skamlała powstrzymując łyzy: dusza się jej darła, jakby każdy grosik pruła sobie z wnętrzości.

Pieniądze dziwnie kusząco lśniły w słońcu. Przymrużał oczy z lubości, grzebiąc między nimi: nowe były i czyste. Wzdychał ciężko zmagając się ze straszną chęcią, jaże odwrócił się i szepnął:

– Schowajcie dobrze, a to podpatrzą i jeszcze wama ukradną.

Napraszała go jeszcze cichuśko, ale jeno tak la zwyczaj, bo kiej się nie ozwał, jeła skwapnie zawijać i chować te swoje skarby.

– Czemuż to nie siedzicie u nas? – zagadnął po jakimś czasie.

– Jakże, robocie żadnej nie poredzę, nawet za gąskami nie wydadzę. Darmo to żreć będę, co?... Słabam, już z dnia na dzień końca czekam. Pewnie, co u krewniaków milej by pomrzeć, milej... choćby nawet w tej komorze po jałówce... juści, jeno gdzieżby wam taki kłopot i turbacje! Całe czterdzieści złotych mam na pochówek... bych to i ze mszą było... po gospodarsku... co?... Pierzynę bym dołożyła... Nie bójcie się, cichuśko wama usnę, ni się spodziejecie... pokrótce... – jąkała nieśmiało, z bijącym sercem oczekiwania, że ją przyjmie i powie: „Ostańce!”

Ale się nie odezwał, jakby nie rozumiejąc tych skamlań, przeciągał się jeno, poziewał i jał się chyłkiem przebierać kole chałupy ku stodółce, na siano...

– Gospodarz taki... juści... jakżeby... dziadówkam ino... Łkała w sobie cichuśkim, żalnym skrzybotem, podnosząc wyplakane oczy ku niemu.

Powlekła się wolniuszko, kaszląc często i przysiadając co trocha nad stawem. Poszła znowu, jak co dnia, wypatrywać po wsi, kajby mogła pomrzeć po gospodarstwu, przez oszukaństwa.

I wlekła się szukać ludzi sprawiedliwych. Snuła się po wsi jako ta nikła pajęczyna, co leci, nie wiedząc, kaj się uczepli.

A naród się prześmiewał i la uciechy radził biedocie, że u krewniaków ostać powinna, zaś Kłębom, niby to z przyjaciółstwa, też mówili:

– Powinowata przeciech, grosz swój ma na pochówek i długo wama w chałupie nie zagości... Kajże się to podzieje?

Wszystko to przyszło do głowy Kłębowej, gdy mąż opowiedział jej o dzisiejszym z Agatą. Spać się już położyli, a kiej dzieci jęły chrapać, zaczęła go cicho namawiać:

– Miejsce się znajdzie... w sionce może poleżeć... gęsi się wygna pod szopę... bele czym się przeżywi.. długo nie pociągnie... na pochówek ma... Ludzie by nie gadali... a pierzyny nie potrza by oddawać... juści, na drodze tego nie znajdzie – tłumaczyła gorąco.

Ale Kłęb jeno zachrapał w odpowiedzi. I dopiero nazajutrz rano rzekł:

– Żeby Jagata była całkiem bez grosza, przyjąłbym, trudno, dopust Boży, ale tak, powiedzą, co la tych paru złotych dobrość świarczymy. Przeciech już pyskują, co la nas poszła na żebry... Nie można.

Kłębowa, że słuchała się we wszystkim męża, to ino westchnęła żalnością za pierzyną i poszła przynaglać dziewczyny do pośpiechu.

Kapustę mieli ano dzisiaj sadzić.

Dzień zrobił się był jak i wczorajszy, śliczny, słoneczny i prawdziwie majowy. Wiaterek jeno przyszedł baraszkujący i swywolił po polach, że zboża chlustały po zagonach kiej wody rozkołysane. Sady się chwiały z poszumem, gęsto trzęsąc okwiatem, a pełne, ciężkie kiście bżów i czeremchy rozwiewały zapachem. Powietrze szło rzeźwe, przejęte ziemią i kwiatami. Spod leśnych pastwisk śpiewy się niesły z wiatrem. W kuźni dzwoniły młoty. Od samego rana pełno już było na drogach gwarów i ludzi. Kobiety ciągnęły na kapuśniska dźwigając w przetakach i koszach rozsądę, a rozpowiadając w głos o wczorajszym jarmarku i wójtowej sprawie.

Że pokrótce, jeszcze nim rosa obeschła, na czarnych kapuśniskach, pociętych jeno bruzdami pełnymi wody polśniewającej w słońcu, zaroiło się od czerwieni.

Kłębowa z córkami też tam pociągnęła, zaś Kłęb z Mateuszem i chłopakami wzięli się do podpierania chałupy.

Ale skoro słońce zaczęło przypiekać, stary zdał robotę na synów i wywoławszy Balcerka, poszli odwiedzać Borynę.

– Piękny czas, kumie – rzekł Kłęb przyjmując tabakę.

– Galanty. Byle jeno za długo nie przypiekało.

– Stronami przechodzą deszcze, toż i nas nie ominą.

– Robactwo jaże się roi na drzewach, na suszę się ma.

– A jarzyny spóźnione, mogłoby przypalić. Może Pan Jezus nie dopuści... Cóż ta na jarmarku? dowiedzieliście się co o koniu?

– I... dałem starszemu trzy ruble, przyobiecał.

– Że to przezpieczności nie ma żadnej!... człowiek pod strachem ciągiem żyje jak ten zając, a nikt nie poradzi.

– A wójt kiej malowany – szepnął ostrożnie Balcerek.

– Trza będzie pomyśleć o nowym – rzucił Kłęb.

Balcerek spojrział na niego, ale stary dodał gorąco:

– Już wstyd przez niego na wieś idzie. Słyszeliście o wczorajszym?

– I... bitka każdemu przytrafić się może, zwyczajnie... Drugie miarują: byśmy za te jego rządy nie dopłacili.

– Sam się nie rozporządza: dyć i kasjer pilnuje, i pisarz, i urząd...

– Psy mięsa pilnują! Warują, a w końcu ty, chłopie, dopłać, bo nie dopilnowali.

– Bogać ta inaczej! Wiecie ta co nowego?

Balcerek jeno splunął i ręką machnął; nie chciał gadać, chłop był mrukliwy i przez babę zahukany, to i barzej strzegący języka.

Doszli też do Borynów.

Józka skrobała ziemniaki na ganku.

– Idźcie, ojciec ta sami leżą. Hanusia na kapuśniku, a Jagna robi u matki.

W izbie pusto było, przez otwarte okno zaglądały kiście bzów i słońce siało się przez zieleń.

Stary siedział na łóżku. Wychudły był, siwa broda jeżyła mu się na żółtej twarzy kiej szceć, głowę miał jeszcze obwiązaną, ruchał cosik sinymi wargami.

Pochwalili Boga, nie odrzekł ni się poruszył.

– Nie poznajecie to nas? – ozwał się Kłęb za rękę go biorąc.

Jakby nic nie wiedział, nasłuchiwał niby tego świegotania jaskółek lepiających gniazda pod strzechą lebo tego szmeru gałęzi szorujących po ścianach i w okno niekiedy zagładających.

– Macieju! – rzekł znów Kłęb wstrząsając nim zdziebko.

Chory drgnął, oczy mu się zatrzęsły, obejrzał się na nich.

– Słyszycie? dyć Kłęb jestem, a to Balcerek, wasz kum; poznajecie, co?

Czekali patrząc mu w oczy.

– Sam tu, chłopcy! Do mnie! Bij psubratów! bij! – krzyknął z nagłą ogromnym głosem, podniósł ręce jakby w obronie i zwałił się na wznak.

Józka wpadła na krzyk i jęła mu głowę obwalać mokrymi szmatami, ale on już leżał cichy, a w szeroko otwartych oczach lśnił jakiś strach śmiertelny.

Wyszli pokrótce, sfrasowani i pełni zgrozy.

– Trup ci tam leży, a nie żywy człowiek! – rzekł Kłęb odwracając oczy na chałupę.

Józka znowu skrobała ziemniaki na ganku, dzieci bawiły się pod ścianą, a w sadzie spacerował Witkowy bociek, zaś wiatr przysłał gałęziami okno wywarte.

Szli czas jakiś w milczeniu zgrozy, jakby z grobu wyszli.

– Każdemu przyjdzie na to, każdemu – szepnął łzawo Kłęb.

– A każdemu... woła Boża, cóż, nie poredzi... Hale, mógł jeszcze pożyć jaką porę, żeby nie ten las...

– Pewnie. Zginał, a drugie się z tego pożywią – westchnął.

– Raz kozie śmierć... mało się to naharował?

– I nama też może niezadługo przyjdzie za nim iść.

Patrzeli kwardo we świat, w pola rozkołysane, na bory widne jak na dłoni, na role zieleniące, na ten dzień jasny, ciepły i zwiesnowy, i dusze im kamieniały w rezygnacji a poddaniu się woli Bożej.

– Nie zmienić tego człowiekowi, coć mu przeznaczone, nie...

I z tym się rozeszli.

Zaś drudzy tegoż jeszcze dnia i następnych poczęli nawiedzać chorego, jeno co tak samo nikogo nie poznawał, że w końcu zaprzestali.

– Jemu tylko pacierze o prędkie skonanie potrzebne – powiedział ksiądz.

A że każdy miał dosyć swoich turbacji a bied, to i nie dziwota, co wrychle zapomnieli o nim, zaś jeśli zdarzyło się komu spomnieć, to jakby o nieboszczyku.

Co prawda, to i leżał se chudziaszek w takim opuszczeniu, kieby już do grobu złożony i trawą porosły.

Komuż ta był w pamięci?

Bywało nieraz, iż całe dni leżał bez kropli wody, może by i pomarł prosto z głodu, gdyby nie Witkowe dobre serce, któren porywał, co się

jeno dało, i niósł gospodarzowi, a nawet krowy często poddają kryjomu i mlekiem go poił. Chory bowiem przejmował go dziwnie frasobliwą troską, aż raz ośmielił się zapytać parobka.

– Pietrek, prawda to, że kto przez spowiedzi zamrze, do piekła idzie?

– Prawda. Przeciek ksiądz zawdy tak mówią w kościele.

– To i gospodarz by do piekieł poszli? – przeżegnał się trwożnie.

– Taki człowiek jak i drugie.

– Hale! gospodarz taki człowiek jak i drugie! hale!

– Głupiś kiej głab kapuściany! – zaperzył się Pietrek, długo mu tłumacząc, ale Witek nie uwierzył; swoje on wiedział i zgoła drugie.

Tak ano przechodziły dnie w Borynowej chałupie...

Zaś na wsi kotłowało się kiej w garnku.

Wójtowa bitka to sprawiła, obie bowiem strony szukały świadków, przeciągając naród na swoją stronę.

Chociaż to jeno z Kozłami była sprawa, ale wójt nie zasnął i tego zabiegał. Górę też wziął zaraz z miejsca, bo więcej niżli połowa wsi za nim się opowiedziała. Znali go jak zły szeląg, ale wójtem był przeciech, mógł w niejednym poredzić, ale i mógł dobrze sadła zalać za skórę, to i namową, przypochlebstwem a gorzałką przysposobił sobie świadków, jakich mu było potrza.

Kozioł leżał ciężko chory i księdza z Panem Jezusem sprowadzali do niego. Powiedali ta różnie o tej chorobie, bąkając w sekrecie, co jeno udaje, by wójt jeszcze lepiej beknał na sądach. Ale Bóg wie, jak to tam było. Wiedziano jeno dobrze, że sama Kozłowa całe dnie latała po ludziach pomstując a wyrzekając. Opowiadała, co już sprzedała maciorę z prosietami na lekovanie męża i prawie co dnia wylatywała umyślnie przed wójtów krzycząc wniebogłosy, jako już Bartek umiera, Boga i ludzi sprawiedliwych wzywając na świarczenie i poratunek.

Biedota jeno i co tklivsze kobiety stanęli po ich stronie, a nawet jeden z pomniejszych gospodarzy, Kobus, że to człowiek był niespokojny i swarliwy. Ale reszta ni słuchać nie chciała, w żywe oczy się wypierając, jakoby co niebądź widzieli, zaś niejeden radził jesczek, by z wójtem nie zadzierali, bo niczego nie wskórają.

Nowe z tego wychodziły historie, że to Kobus miał ozór niepowściągliwy, łącno się z pięściami ponosił, a baby też w słowach nie przebierały.

Więc jeno wrzaski z tego szły i gniewy, bo cóż? mogli to poredzić gospodarzom i wójtowi?

Nawet już Żyd się z nich prześmiewał i na bóg dawać nie chciał.

A nie przeszedł i tydzień, dość już wszystkie miały tej sprawy i tych jazgotów lamentliwych, że już słuchać przestali.

Aż tu nowa pomoc im przyszła i we wsi znowu się zakotłowało.

Oto Płoszka zmówił się z młynarzem i wraz otwarcie a głośno stanęli po stronie Kozłów...

Juści, szło im akuratnie o nich co o ten śnieg łośki – swoje w tym mieli zamysły i la siebie jakieś wygody rychtowali.

Płoszka był chłop sielnie ambitny, skryty, a we swój rozum i bogactwa dufający, zaś młynarz, wiadomo, co la grosza dałby się powiesić, kutwa i zdzierus.

Wojna się też wnet zawiązała między stronami cicha i zawzięta, boć przy ludziach w oczy świarczyli sobie przyjacielstwo, witali jak i przódzi, a nawet nieraz i do karczmy pod ręce się wiedli.

Co mądrzejsi wnet się pomiarkowali, jako tej spółce nie o sprawiedliwość chodzi, nie o krzywdy Kozłów, a o coś inszego, może i o wójtostwo.

– Pożywił się jeden, niech się ta pożywią i drugie!– powiadali starzy kiwając głowami.

I tak czas schodził, że męt we wsi był coraz większy.

Aż tu któregoś dnia gruchnęło po chałupach:

– Niemcy w karczmie popasają!

– Na Podlesie pewnikiem ciągną – rzekł ktoś domyślnie.

– Niech jadą z Bogiem!... co wama do nich? – przekładał drugi.

Ale jakaś niespokojna, trwożna ciekawość owładnęła ludźmi. Przez sady krzykali se tę nowinę, w opłotkach stawali gadać o niej, a insze zaś już do karczmy się przebierały na przewiady.

Jakoż prawdę rzekli, pięć bryk stało na podjeździe, a wszystkie na żelaznych osiach, na żółto i niebiesko malowane, budami płóciennymi nakryte, spod których wyzierały kobiety i różny sprzęt gospodarski, zaś w karczmie przed szynkwasem z dziesięciu Niemców popijało.

A tęgie były juchy, rozrosłe i brodate, w granatowe kapoty przyodziane, ze srebrnymi łańcuchami na spaśnych brzuchach, a pyski to jaże się im świeciły od dobrego jadła. Szwargotali cosik ze Żydem.

Chłopy całą kupą stawali pobok o wódkę krzycząc, a patrząc i nasłuchując uważnie, ale trudno było wymiarkować choćby i jedno słowo. Dopiero Mateusz, któren z Żydami poredził szwargotać, tak cosik do nich zaszprechował, jaże karczmarz odwrócił się zdziwiony. Niemcy łysnęli jeno po sobie ślepiami, a nie odrzekli, zaś potem i Grzela,

wójtów brat, powiedział im jakieś niemieckie słowo. Zadami się wykręciły do chłopów, rechocąc między sobą jakoby te świnię nad korytem.

– To ino prac po tych świńskich pyskach! – rzekł rozgniewany Mateusz.

– Kijem by potrza zmacać boki, a wnet by przemówiły.

A Adam Kłębiak szepnął z zapalczywością:

– Pchnę w kałdun tego j z brzegu, zwali me, to pierzta na odlew.

Powstrzymali go, bo i Niemcy, jakby poczuwszy groźby, wzięli antał z piwem i prędko się wynieśli z karczmy.

– Te, pludry, nie tak śpieszno, portki pogubita!

– Świńskie pociotki! – krzyczeli za nimi chłopaki.

Ale zaraz po ich wyjeździe Żyd wyznał przed parobkami, jako Niemcy już prawie kupiły Podlesie, że już pojechali rozmierzać kolonię, że całe piętnaście familii osiadzie na folwarku.

– My się dusim na zagonach, a Niemcy będą na włóckach rozwalali.

– To podkup ich, a nie daj! Rusz rozumem, kiej się masz za mądrałę!... – wykrzykiwał na Grzełę Stacho Płoszka.

– Psiakrew z taką sprawą! – zaklął Mateusz bijąc pięścią w szynkwas. – Jak się usadzą na Podlesiu, to i ciężko będzie w Lipcach wytrzymać – zapewniał, że to bywały był we świecie, a Niemców znał dobrze.

Nie wierzyli mu zrazu, ale mimo to cała wieś się zakłopotala; jęli medytować i rozważać, co by z takiego somszedztwa mogło wypaść złego la Lipiec?

A tu co dnia pastuchy i przechodzący donosili, jako na Podlesiu grunta już rozmierzają, kamienie zwożą i studnię kopią.

Że niejednen przez ciekawość pociągał za młyn ku Woli, a własnymi oczyma sprawdzał, że prawdę powiadali.

Ale jak stoją rzeczy, nie sposób się było dowiedzieć.

Przypierali kowala, bo z Niemcami się już zwałchał i konie im podkuwał, ale wykręcał się i ni to, ni owo odpowiadał.

Dopiero Grzeła, wójtów brat, poszedł na przewiady i prawdę wyłożył.

Było zaś tak: dziedziec był winien jednemu Niemcowi piętnaście tysięcy rubli. Oddać nie miał, a ten mu w długi chciał wziąć Podlesie i resztę gotowym groszem dopłacić. Dziedzic się niby godził, a za kupcami posyłał, bo Niemiec dawał jeno po sześćdziesiąt rubli za morgę. Dziedzic zwłoczy, jak może.

– Ale zgodzić się musi! We dworze pełno Żydów, każdy o swoje krzyczy! Powiadał mi borowy, co już krowy zajęte za podatek. Skądże to weźmie zapłacić? Wszystko na pniu przedane! Lasu przeciek teraz, dopóki z nami w procesie, ciąc mu nie pozwolą. Nie poredzi sobie inaczey i sprzedać musi choćby za bele co – twierdził Grzela.

– Taka ziemia, po sto rubli za morgę nie za dużo.

– Kupujcie, przeda i jeszcze waju w rękę pocałuje.

– Hale, drogi grosz, jak go braknie!

– Miemcy se użyją, a ty, chłopie, ślinę łykaj!

Pogadywali wzdychając żałośnie. Markotność ich rozbierała. Juści, żal było takiej ziemi, bo to przyległa i rodna. Każdemu by się przydało kilka morgów, każdemu. Dyc się już cisnęli na swoich zagonach kiej mrówki, dyc ledwie się już przeżywali ode żniw do żniw. Taki kawał wybranej ziemi, w sam raz la synów i zięciów. Nową wieś by wystawili i łąki mieliby niezgorsze, i woda pobok... Ale cóż, nie poredzi! Miemcy siędą, będą się panoszyć, a ty, człowieku, zdychaj.

– Kaj się to wszystko podzieje? – wzdychali starzy patrząc na młódź, gżącą się wieczorami po drogach, a było tego, było, jaże się ściany rozpierały! A za cóż to miał kto grunta kupować, kiej ledwie na życie starczyło?

Głowili się niemało, nawet do księdza szli po radę. Nie poredził: z pustego nie naleje.

– Kto nie ma grosza, nie umacza nosa. Biednemu zawdy wiater w oczy!...

Ale i wyrzekania a biadolenia też nic nie pomogły.

A jakby na dobitkę; upały szły coraz większe. Maj dopiero się miał ku końcowi, a przypiekało kieby w lipcu. Dnie wstawały ciche i duszne, słońce od samego wschodu wynosiło się rozpalone na czyste niebo i tak przypiekało, że już po wyżniach i na piaskach jarzyny mdlały pozółkle, trawy do cna wypalało po ugorach, strugi wysychały, ziemniaki zaś, choć zrazu niezgorzej ruszyły, ledwie okrywały ziemię chudymi łącinami. Oziminy jeno nie ucierpiały wiele, wykłoszone, pięknie wyrosłe, szły jeszcze galanto w górę, jaże chałupy się skryły i jakby do ziemi przycupnęły, dachami jeno widne nad tym borem kłosistym.

Noce też były duszne i tak nagrzanę, że już po sadach sypiali, gdyż trudno było w chałupach wytrzymać.

Zaś przez te gorąca, przez kłopoty i żałościę, przez Płoszkowe judzenie na wójta, przez przednowek cięższy latoś niżli po inne roki, dość, że w Lipcach nastał czas dziwnie swarliwy i niespokojny.

Chodzili rozdygotani w sobie upatrując jeno, kogo by żgnąć tym bolącym słowem albo i za orzydle chycić. Każden rad stawał przeciw drugiemu, że jakby piekło zrobiło się we wsi. Co dnia bowiem już od świtania trzęsło się od kłótni a wyzwisk, bo co dnia przychodziło coś nowego. A to Kobusowie się pobili, jaże ksiądz musiał godzić i napominać, a to Balcerkowa z Gulbasem kudłów sobie nastrzępili o prosiaka, któren marchew spyskał, to Płoszkowa pożarła się ze sołtysem o przemienienie gąsiąt; to o dzieci szły kłótnie, to o szkody somsiedzkie, to o bele co, bych się jeno przyczepiać a kłyżnić, a wrzeszczeć i wyzywać ze wszystkiej mocy – że jakby zaraza na wieś padła, tyle powstawało swarów, bijatyk i procesów.

Nawet Jambroży prześmiewał się przed obcymi:

– Niezgorszy przednowek latoś dał mi Pan Jezus! Umarlaków nie ma, nikto się nie lęgnie, nikto nie żeni, a mnie dzień w dzień ktosik gorzałkę stawia, honoruje, a na świadki prosi. Żeby tak parę roków jeszcze się kłócili, a na nic by się człowiek rozpił...

Juści, co się źle działo w Lipcach.

Ale cheba co w chałupie Dominikowej działo się najgorzej.

Szymek powrócił z drugimi, Jędrzych wyzdrowiał, bieda im nie doskwierała jak indziej, to powinno było iść wszystko po dawnemu. Bogać ta poszło, kiej chłopaki odmówiły matce posłuchu! Stawiali się hardo, kłócili ząb za ząb, bić się nie pozwolili, a żadnych robót kobiecych, jak przódzi, ani tknęli.

– Dziewkę se przyjmijcie albo i sami róbcie – powiedali twardo.

Paczesiowa miała żelazne ręce i duszę nieustępliwą – jakże! tyle lat wszystkim rządziła, tyle lat nikto nie śmiał się jej przeciwnić ni w poprzek stawać. A tu kto stawał? kto się przeciw niej ważył? – własne dzieci!

– Jezus miłosierny – wołała w zapamiętaniu i złości, przy leda okazji chwytając za kij na synów, chciała ich przemóc i zmusić do posłuchu. Nie dali się, zacięli się jak i matka i poszli na udry. To powstawały prawie co dnia takie wrzaski a gonitwy kole chałupy, jaże ludzie się zbiegali uspokajać.

Nawet ksiądz, snadź przez nią podmówiony, wzywał ich do się, a do zgody i posłuszeństwa napominał. Wysłuchali cierpliwie, w ręce go ucałowali, a za nogi, jak przystało, z pokorą podjęli, ale się nie przemienili.

– Nie dziecim, wiemy, co nama robić. Niech matka pierwsza ustąpi! – tłumaczyli się przed ludźmi. – Cała wieś się z nas prześmiewała...

A Dominikowa jaże poźółkła ze złości a zmartwienia, bo w żaden sposób zmóc się nie dawali, a przy tym miasto w kościele przesiadywać i po kumach, jak przódzi, musiała teraz robić kole gospodarstwa, Jagusię ciągiem przyzywała do pomocy. Ale i córka nie szczędziła jej zgryzot i wstydu. Paczesiowa trzymała wójtową stronę, nawet świarczyła przeciwko Kozłom, gdyż była przy bitce i opatrywała wójtów.

Pieter też często wieczorami zaglądał do niej, niby to na poredy, a głównie, bych Jagusię wywołać i prowadzić się z nią na ogrody.

Na wsi się nic nie ukryje, dobrze wiedzą, z czego się kurzy i kaj, to i zgorszenie z tych grzesznych jamorów rosło coraz barzej i dobrzy ludzie już nieraz ostrzegali starą.

Mogła to zapobiec, kiej Jagna mimo próśb i błagań robiła jakby na złość. Wolała bowiem grzech najcięższy i obmowy ludzkie niżli przesiadywanie w tej obmierzłej chałupie mężowej. Złe ją porwało i niesło, a nikt nie był mocen powstrzymać.

Hance to nawet szło na rękę i nawet często o tym rozpowiadała przed ludźmi.

– Niech się zabawia, póki wójtowi nie wzbronią tracić gromadzkie. Dyć jej niczego nie żałuje i zwozi z miasta, co ino może, we złoto by ją oprowił. Niech se używają i końca patrzą. Co mi tam do nich!

Juści, mało to ją własnych zmartwień żarło! Nie żałowała pieniędzy la adwokata, a jeszcze nie wiada było, kiej się Antkowa sprawa odbędzie i co go czeka. A on tam chudziaczek schnął w kreminalu i Bożego zmiłowania wyglądał. W chałupie też się z wolna rozpręgało. Mogła to dopilnować wszystkiego? Parobek się rozzuchwalał coraz barzej, snadź przez kowala podmawiany, że tak robił, jak mu się podobało, a nieraz, kiej do miasta pojechała, cały dzień się przewalał po wsi. Groziła mu potem, że niech jeno Antek powróci, a z nim się często porachuje.

– Wróci! Jeszcze na to nie przyszło, bych zbójów puszcza! – odkrzykiwał zuchwale.

Jaże cierpła z gniewu, bić by jeno ten pysk niepoczciwy, ale poredzi mu to? Jeszcze ją sponiewiera, a któż to się za nią upomni, kto wesprze? Trza było wszystko znieść i w sobie schować na później, do sposobnej pory, bo jeszcze pójdzie i wszystko na jej ręce spadnie; już i tak ledwie mogła wydolić robocie. Zapadała przeto na zdrowiu coraz więcej. Jakże, i żelazo w końcu rdza przeżre, i kamień jeno do czasu wytrzyma, a nie dopiero słaba kobieta!

Któregoś dnia pod koniec maja ksiądz z organistą pojechali na odpust, zaś Jambroży tak się spił z Niemcami, które często zaglądały do karczmy, że nie było komu przedzwonić na Anioł Pański ni kościoła otworzyć.

Zebrali się przeto odprawiać nabożeństwo pod cmentarz, kaj pobok bramy stała mała kapliczka z figurą Matki Boskiej. Każdego maja przystrajały ją dziewczyny w papierowe wstęgi a korony wyzłacane i polnym kwieciem obrzucały, broniąc od zupełnej ruiny, gdyż kapliczka była odwieczna, spękana i w gruz się sypiąca, że nawet ptaki już się w niej nie gnieździły, a jeno niekiedy, w czas słót jesiennych, pastuch jaki schronienia szukał. Smętarne drzewa, lipy staruchy, brzozy wysmukłe i te, pogięte krzyże osłaniały ją nieco od burz zimowych i wichrów.

Zeszło się sporo narodu i jak się naprędce dało, przybrali kapliczkę w zieleń, a kwiaty, ktosik śmieci wygarnął, ktosik żółtym piaskiem wysypał, że nawtykawszy w ziemię u stóp figury świeczek i lampek zapalonych, wraz jęli klękać nabożnie.

Kowal przyklęknął na przedzie, przed progiem, zarzuconym tulipanami a głogiem różowym i pierwszy zaczął śpiewać.

Było już dobrze po słońcu, mrocząło, niebo na zachodzie paliło się jeszcze we złocie całe i bledziuską zielenią przytrząśnięte, czas był cichy, obwisłe warkocze brzoź jakby się lały ku ziemi, zboża stanęły przygięte, kieby zasłuchane dźwiękliwe bełkot rzeczki i to cichuśkie strzykanie koników polnych.

Ostatnie stada do obór ściągały; od wsi, z pól, z miedz już niedojrzanych buchały niekiedy jazgotliwe śpiewki pastusze i długie, przeciągłe poryki. Zaś naród śpiewał, wpatrzony w jasną twarz Matki, co wyciągała błogosławiące ręce nad wszystkim światem:

Dobranoc, wonna lilija,
Dobranoc!

Zapach młodych brzoź powiał ze smętacza i wraz też słowiki jęły jakby próbować gardzieli, wyciągać rwaną nutą, wzbierać mocą, jaże w końcu buchnęły złote, spienione strugi, jaże polały się te trele perliste, te kląskania cudne i te lube, rzewliwe zawodzenia, zaś niedaleko ze zbóż ozwały się też pana Jackowe skrzypice przywtarzając ludziom tak słodko, cichuśko a przejmująco, jakby to te żytnie, rdzawe kłosy dzwoniły o się, to złote niebo lebo przyschła ziemia taką pieśnią zagrała majową.

I już wraz śpiewali wszystkie, i naród, i ptaszki i skrzypce, a kiej na to oczymgnienie ustawali, kiej słowiki tak się zaniesły, aż ci-
chło, a struny jakby tchu nabierały, wtedy nieprzeliczony żabi chór
podnosił rechotliwe głosy i grał zgodliwym skrzekiem i nukaniem
przeciągłym.

I tak już szło na przemiany.

Długo się owo nabożeństwo ciągnęło, jaże kowal zaczął przyśpie-
szać, wydzierał się mocno, nad drugimi górując; a często wołał za sie-
bie:

– Pośpieszajta się, ludzie... – że to opóźniali się z nutą niektóre.

A nawet raz huknął na Maciusia Kłębowego:

– Nie drzyj się, jucho, boś nie za bydłem!

Że zgodliwie już poszło, i głosy podrywały się razem kiej te stada
gołębie i krążąco, z wolna unosiły się ku niebu ciemniejącemu.

Dobranoc, wonna lilija!

Dobranoc!

Niepokalana Maryja!

Dobranoc!

Mrok już zgęstniał i noc ciepła i cicha świat otulała, zasie na niebie
występowały gwiazdy rosą roziskrzoną, kiej się zaczęli rozchodzić.

Dzieuchy, w pół się pobrawszy, zawodziły po drogach.

Hanka powracała jeno z dzieckiem na ręku i srodze czegoś zadu-
mana, gdy przysunął się kowal i wpodłe szedł.

Nie ozwała się; dopiero przed domem, widząc, iż nie ostaje, rzekła:

– Wstąpicie to, Michał?

– Przysiędę w ganku i powiem co wam – szepnął cicho.

Ścierpła nieco, szykując się jakąś nową biedę posłyszeć.

– Byliście pono u Antka? – pierwszy zaczął.

– Byłam, ale mnie do niego nie puścili.

– Tegom się i bojał.

– Mówcie, co wiecie! – mróz ją przeszedł.

– Co ja ta wiem?... tyła jeno, co mi się udało ze starszego wycią-
gnąć.

– A co? – wparła się w słupek i dziecko mocniej przycisnęła do
siebie.

– Powiedział, że Antka, przed sprawą nie wypuszczą.

– Laczego! – ledwie wyjąkała, dygot ją trząsł i łamał. – Dyc... prze-
ciek adwokat mówił, co może puszczać.

– Hale, żeby im uciekł! Tak przez niczego nie puszcza! Wiecie, przyszedłem dzisiaj do was całkiem po przyjacielsku. Co tam pomiędzy nami było to było; obaczycie kiedyś, zem był praw... Nie wierzyliście mi... wasza wola... ale teraz wysłuchajcie, co rzeknę, a jak księdzu na spowiedzi, tak prawdę powiem... Z Antkiem jest źle! z pewnością ciężko go zasądzą, może na dziesięć lat. Słyszycie to?...

– Słyszę, ale nic a nic nie wierzę – uspokoiła się nagle.

– Każdy nie wierzy, póki nie przymierzy; prawdę wam rzekłem.

– Zawdy taką mówicie – zaśmiała się wzgardliwie.

Ciepnał się i jął gorąco upewniać, jako teraz z prostego przyjacielstwa przyszedł, bych poredzić. Słuchała chodząc oczyma po obejściu, już się parę razy podnosiła niecierpliwie: krowy ano nie wydojone porykiwały w oborze, gęsi były nie zapędzone na noc i żrebak gonił się w opłotkach z Łapą, a chłopaki rajcowały w stodole. Nie wierzyła mu już ani słóweczka. – Niech się wygada, może się wyda, z czym przyszedł – myślała trzymając się na baczności.

– Cóż poredzić? co? – odpowiadała, byle coś rzec.

– A, rada by się nalazła – powiedział ciszej jeszcze.

Odwróciła się do niego.

– Dać wykup, to go puszcza jeszcze przed sprawą, a potem to już se poredzi, choćby i do tej Hameryki... nie zgonią...

– Jezus, Maria! Do Hameryki! – krzyknęła bezwolnie. – Cichocie, jak pod przysięgą mówię, tak dziedzic radził. „Niech ucieka – powiada – najmniej dziesięć lat... zmarnuje się chłop...” Wczoraj mi mówił”.

– Uciekać ze wsi... od grontu... od dzieci... Jezu... – to ino zrozumiała.

– Dajcie jeno wykup, a resztę to już Antek postanowi, dajcie...

– Skądże to wezmę?... Mój Boże, w tyli świat... od wszystkiego.

– Pięćset rubli chcą! Przeciek macie te ojcowe... weźcie je na wykup... policzym się później... byle jeno ratować...

Skoczyła na równe nogi.

– Jako ten pies ciągiem jedno szczekacie! – chciała odejść.

– Ciepiecie się jak głupia – rozgniewał się. – Tak se ino powiedziałem... Hale, będzie się tu honorować o bele słowo, a tam chłop w krenalnie zgnije, Powiem mu, jak to zabiegacie, by mu ulżyć.

Przysiadła znowu, nie wiedząc już, co myśleć.

Opowiadał szeroko o tej Jameryce, o ludziach znajomych, które tam pojechały, że listy piszą, a nawet pieniądze przysyłają la swoich. Jak tam dobrze, jaką wolę ma każdy, jakie bogactwa zbierają. Antek

mógłby zaraz uciekać: zna Żyda, którego już niejednego wyprowadził. Mało to już takich uciekło! Zaś Hanka mogłaby jechać potem la niepoznaki. Grzela wróci z wojska, to spłaciłby z ojcowizny, a nie, kupiec się też rychło znajdzie.

– Poradźcie się księdza, obaczycie, co wama przytwierdzi moje słowa. Poznacie, żem prawy i ze szczerego serca namawiam, nie la swojej wygody. Jeno przed nikim ani pary z gęby, bych się strażnicy nie zmiarkowali, zaś wtedy i za tysiące go nie puszcza, a jeszcze w kajdany zakują – zakończył poważnie.

– Skąd wziąć na wykup! tylachna pieniędzy! – jęknęła.

– Znam kogoś z Modlicy, kto by dał na dobry procent... znam i drugich... pieniądze by się nalazły... Moja w tym głowa... pomógłbym.

I długo jeszcze radził a namawiał.

– Rozważcie, trza rychło postanowić.

Odszedł cicho, że ani spostrzegła, kiej się zapodział w nocy.

Późno już było, w chałupie spali, tylko Witek siedział pod ścianą, jakby stróżując gospodyni, na wsi też wszyscy legli, nawet psy nie poszczekiwały, woda jeno bulgotała i ptaki zawodziły w sadach. Księżyc się wtoczył na niebo i szedł srebrnym sierpem przez te straszne, mroczne wysokości. Białe i niskie mgły pokrywały łąki, zaś nad żytami wisiał płowy tuman kwietnej kurzawy; staw polśniewał wskroś drzew kieby tafla lodowa... Aże dzwoniło w uszach od tej cichości a słowicznych kłaskań i zawodzeń.

Hanka siedziała wciąż na jednym miejscu jakby przykuta.

– Jezu, uciekać ze wsi, od grontu, od wszystkiego! – myślała jedno w kółko.

Groza ją przejęła, rosnąc z minuty na minutę, a serce ściskając strasznym żalem i przerażeniem.

Łapa zaczął wyć na podwórzu, słowiki ścichły, zawiał wiat, że zakolebały się cienie i jękliwy, smutny szum przeleciał.

– Kubową duszę obaczył! – szepnął Witek żegnając się strachliwie.

– Głupiś! – skarciła go, spać wypędzając.

– Kiej przychodzi, do koni zagląda, obroku im dosypuje... bo to raz?

Nie słuchała już, cichość znowu spadła na świat, słowiki zaśpiewały, a ona siedziała kieby zmartwiała, powtarzając niekiedy z męką i strachem:

– W cały świat uciekać! Na zawsze! Jezu miłosierny! Na zawsze...

ROZDZIAŁ 9

Jeszcze były po świątkach umajenia chałup do cna nie przewiędły, kiej któregoś dnia rankiem najniespodziewaniej zjawił się Rocho.

Jeno co dopiero po mszy i długiej rozmowie z księdzem pokazał się na wsi. Niewiela ludzi kręciło się w obejściach, że to pora była osypywania ziemniaków, lecz skoro się rozniosło, jako Rocho idzie przez wieś, wnet ci ten i ów na drogę śpieszył witać dawno nie widzianego.

A on zaś szedł, jak zawdy na kiju się wspierając, wolniuško, z podniesioną głową, w tej ci samej kapocie szarej, i tak samo z różańcami na szyi; wiaterek mu rozgarniał siwe włosy, a chuda twarz jaśniała dziwną dobrocią i weselem.

Wodził oczyma po chałupach i sadach, prześmiechując się radośnie do wszyckiego, witał się z każdym z osobna, że nawet dzieciom, co się były do niego garnęły, główiny przyglądał pocziwie, zaś do kobiet pierwszy zagadywał, tak był rad, że wszystko zastaje po dawnemu.

– W Częstochowie byłem na odpuszcie – odpowiadał, gdy napierali ciekawie, kaj się to zadziwiał przez tyła czasu.

Ale tak się szczerze, cieszyli z jego powrotu, że zaraz po drodze jęli mu rozpowiadać lipeckie nowiny, a ktosik już i rady jakiejś zasięgał, zaś drugi chciał się wyżalić, odwodząc go na stronę i supląc przed nim turbacje, kiejby ten grosz na ostatnią potrzebę schowany.

– Do cna ustalem, dzień jaki odpocznę – tłumaczył się zbywająco.

Na prześcigi jęli go zapraszać do swoich chałup.

– Na tymczasem zakwateruję się u Macieja, jużem to Hance przyobiecał; a przyjmie mnie kto potem, do tego przystanę na dłużej.

I żwawo ruszył do Borynów.

Juści, co Hanka przyjęła go radośnie i z całego serca ugaszczać chciała, ale skoro jeno złożył torby i odzignął nieco, do starego się wybrał.

– A obaczcie ich, leżą w sadzie, że to gorąc w chałupie. Mleka wama bez ten czas uwarzę, a może byście i jajków zjedli? co?

Ale Rocho już był w sadzie i chyłkiem przebierał się pod gałęziami do chorego, którego leżał w półkoszku, wymoszczonym pierzyną, i kożuchem przyokryty. Łapa, zwinięty w kłębek, warował mu przy nogach, a Witków bocięk gajdał się pociesznie między drzewami kieby na straży.

Sad był stary i mroczny; rozrosłe drzewiny tak przysłaniały niebo, że dołem na murawach jeno niekajś gmerały się słoneczne pręgi, podobne złotym pająkom.

Maciej wznak leżał. Rozruchane gałęzie z cichym poszumem chwiały się nad nim płachtą cieniów, że jeno czasem, kiej ją wiaterek ozdał, słońce chlustało mu w oczy i coraz kawał modrego nieba się odsłaniał.

Rocho przysiadł.

Drzewa szumiały, czasem pies warknął na muchy, a niekiedy rozświetlane jaskółki śmignęły wskroś pni czarnych na pola zielone i rozkołysane.

Chory naraz zwrócił się do niego.

– Poznajecie mnie, Macieju, co? Poznajecie?

Borynie leciutki przyśmich wionął po twarzy, oczy się zatrzepały i jął ruchać sinymi wargami, ale głosu nie dobył.

– Jak Pan Jezus przemieni, to możecie jeszcze wyzdrowieć.

Snadź rozumiał, gdyż potrząsnął głową i jakby niechętnie odwrócił się od niego. Zapatrzył się znowu w rozkołysane gałęzie i w te słoneczne bryzgi, zalewające mu oczy raz po raz.

Rocho jeno westchnął, przeżegnał go i odszedł.

– Prawda, co ojcu jakby już lepiej? – pytała Hanka.

Długo coś miarkował, aż rzekł cichym, ważnym głosem:

– Toć i lampa przed zagaśnięciem żywszym płomieniem wystrzeli na ostatku: Mnie się zdaje, co Maciej już dochodzi... Aż mi nawet dziwno, że jeszcze żyje; przecież na wiór wysechł...

– Dyc jeść nic nie chce, nawet mleka nie zawsze popije.

– Musicie być gotowe; że lada dzień skończy.

– Pewnie, że tak, mój Boże, pewnie. To samo wczoraj mówił Jambroży, a nawet radził, żeby już nie czekać i trumnę obstalować.

– Każcie zrobić, nie będzie długo czekała, nie... Jak duszy pilno ze świata, niczym jej nie powstrzyma, nawet płakaniem, boby już poniektóre całe wieki ostawały między nami – mówił smutnie, zabierając się do mleka, które mu narządziła, i popijając z wolna, wypytywał, co się tu we wsi działo.

Powtarzała, co już był słyszał po drodze od drugich, i o swoich kłopotach ją się skwapnie a szeroko rozwodzić.

– Kaj to Józka? – przerwał jej niecierpliwie.

– W polu, ziemniaki osypuje z komornicami i Jagustynką, zaś Pietrek pojechał do lasu: zwozi Stachowi drzewo na chałupę.

– Buduje się to?

– Przeciek pan Jacek dał mu dziesięć chojarów.

– Dał mu? Powiadali mi coś o tym, ale nie uwierzyłem.

– Bo to i nie do wiary! Zrazu nikto nie powierzył. Obiecał, ale przeciech niejeden obiecuje. Obiecanka cacanka, a głupiemu radość – powiedają. A pan Jacek dał Stachowi list i kazał mu z nim iść do dziedzica. Nawet Weronka się przeciwiała, by szedł, bo powiada, co będzie buty darł na darmo?... jeszcze się z niego wyśmieją, że zawierzył głupiemu... Ale Stacho się uparł i poszedł. I powiada, że może w pacierz po oddaniu listu dziedzic go kazał zawołać na pokoje, poczęstował gorzałką i rzekł: „Przyjeżdżaj z wozami, to ci borowy wycechuje dziesięć sztuk budulcu...” Dał mu Kłęb koni, dał sołtys, dałam i ja Pietrka. Dziedzic już na nich czekał w porębie i zaraz sam wybrał co najsmiglejsze z tych, co to je zimą cięli la Żydów. No i zwożą, bo dobrze trzydzieści wozów będzie z gałęziami. Stacho galantą chałupę se wyszykuje! Nie potrza mówić, jak panu Jackowi dziękował i przeproszał; bo po prawdzie wszyscy go mieli za dziadaka i za głupawego, że to nie wiada, z czego żyje, i pod figurami, to we zbożach grywa na skrzypicy, a czasem tak bele co i nie do składu powie, jako ten niespełna rozumu... A on taki pan, że mu sam dziedzic posłuszny!... Kto by to przódzi dał wiarę?...

– Nie patrzcie na człowieka, jeno na jego uczynki.

– Ale dać tylachna drzewa, które, jak Mateusz rachuje, warto z tyśiąc złotych, i to jeno za Bóg zapłać, tego jeszcze nie bywało!

– Powiadali, co za to starą chałupę bierze w dożywocie...

– Hale, tyle warta co ten trep rozłupany! Jużeśwa nawet myśleli, czy w tej dobroci nie ma jakiego podejścia, jaże Weronka dobrodzieja się redziła. Skrzyczał ją, że głupia.

– Bo i prawda. Dają – to brać i Bogu za łaskę dziękować.

– Przeciek człowiek niezwyuczajny brać darmochoy i jesczech od dziedziców! Słyszane to rzeczy! Jakże, kiej to chto chłopu dał co z dobroci? Żeby po najmniejszą poredę iść, a i to na ręce patrzą, zaś w urzędzie się przez grosza nie pokaż, bo ci jutro przyjąć każą albo za

niedzielę... Przez tę Antkową sprawę dobrze poznałam, jakie to jest urządzenie na świecie i niemało już pieniędzy wyniesłam...

– Dobrze, coście mi Antka wspomnieli. Wstępowałam do miasta.

– Toście go może widzieli?

– Nie było czasu.

– Jeździłam niedawno, nie puścili me do niego. Bóg wie, kiej go obaczę.

– Może i prędzej, niżli miarkujecie – rzekł z uśmiechem.

– Jezus, co wy powiadacie!

– Prawdę! W głównym urzędzie powiedzieli mi, że Antka mogą przed sprawą puścić na wolę, jeśli kto poręczy za nim, co nie ucieknie, albo da w zastaw sądowi pięćset rubli.

– Rychtyk podobnie i kowal mówił! – jęła zaraz opowiadać jego rady co do słowa.

– Rada dobra, ale że to Michałowa, nieprzezpieczna: ma on tu coś w tym, ma... Ze sprzedaniem się nie śpieszyć: z grontu wyjeżdża się w ogiery, a powraca rakiem, na czworakach... Co inszego trzeba wynaleźć... Może by kto poręczył?... przewidzieć się potra między ludźmi... Juści, żeby pieniądze były...

– Może by się i znalazły – szepnęła ciszej. – Mam cosik gotowego grosza, jeno zrachować nie poredziłam, ale może by chwaciło...

– Pokażcie; to razem przeliczymy.

Zniknęła gdziesik w obejściu, a powróciwszy po jakimś pacierzu przywarła drzwi na zasuwę i położyła mu węzełek na kolana.

Były w nim papierowe pieniądze, były i srebrne nawet było parę złotych i sześć biczów koralii.

– To po matce, dał je Jagnie, a potem snadź odebrał – szepnęła przykucając przed ławą, na której Rocho rozliczał.

– Czteryście trzydzieści dwa ruble i pięć złotych! Od Macieja, co?

– Tak... juści... dał mi po świętach... – jąkała czerwieniąc się.

– Na zastaw nie starczy, ale moglibyście co sprzedać z inwentarza!

– Juści, mogłabym sprzedać maciorę... krowę jałową też by można, zbędna, Żyd już o nią przepytywał... to parę korczyków zboża...

– A widzicie, ziarnko do ziarnka i zbierze się miarka. Bez niczyjej pomocy Antka wykupimy. Wie to kto o waszych pieniądzach?

– Ojciec mi dali na ratowanie Antka, przykazując, abym nikomu ni słówkiem nie pisnęła. Wama pierwszemu się zawierzam. Jakby Michał...

– Nie rozgłoszę, bądźcie spokojni. Jak powiadomią, że pora, pojedę z wami po Antka. Uładzi się jakoś na dobre, uładzi, moi kochani – szeptął całując ją w głowę, bo mu się do nóg rzuciła z podzięką.

– Rodzony ojciec lepszy by nie był – wołała z płaczem.

– Wróci chłop, Panu Bogu podziękujecie. Gdzie to Jagusia?

– Dyc jeszcze do dnia pojechała do miasta z matką i z wójtem. Powiadały, co do rejenta, stara pono gront przepisuje na córkę.

– Wszystko Jagnie? a chłopaki?

– Przez złość do nich, że to chcą działów. Piekło tam u nich, a to dzień nie mija przez kłótni; zaś wójt broni Dominikowej, opiekunem był nad sierotami jeszcze po śmierci Dominika.

– A ja myślałem, że co inszego, bo to mi różnie opowiadali.

– To świętą prawdę mówili. Jagną się ano opiekują, ale tak, co mi wstyd rozpowiadać podrobnie. Stary jeszcze rzezi, a ta jak suka... Nie powtarzałabym po kim, ale samam ich w sadzie zdybała, no...

– Dajcie mi gdzie wypocząć – przerwał jej powstając z ławy.

Chciała mu słać Józine łóżko, ale wołał iść do stodoły.

– Pieniądze dobrze schowajcie – ostrzegł ją jeszcze i poszedł.

Aż dopiero po południu się pokazał, zjadł obiad i na wieś się wybierał, kiej Hanka z wielką nieśmiałością się odezwała:

– Byście mi to, Rochu, ołtarz pomogli przystroić...

– Prawda, jutro Boże Ciało. Gdzież to go stawiacie?

– Gdzie i co rok, przed gankiem. Pietrka ino patrzeć z lasu, przywiezie gaci jodłowej i świerczaków, zaś Jagustynkę z Józką zarno po obiedzie pchnęłam po ziele na wianki.

– A świece, lichtarze macie to już?

– Jambroży przyobiecał przynieść z kościoła wczesnym rankiem.

– U kogóż to jeszcze będą stawiali ołtarze?

– Po naszej stronie u wójta, zaś po tamtej u młynarza i przed Płoszkami.

– Pomogę wam, wstąpię jeno do pana Jacka i przed zmierzchem przyjdę.

– Kaźcie Weronce, by zaraz z rana przyszła pomagać!

Kiwnął głową i poszedł już prosto do Stachowej rudery.

Pan Jacek siedział na progu, jak zawdy, papierosa palił, bródkę skubał i przewłóczył oczyma po rozkołysanych zbożach, i za ptakami patrzył.

Zaś przed chałupą i pod trześniami leżało już parę tęgich chojarów i kupy wierzchołów i gałęzi, stary Bylica kole nich łąził, wymierzał toporzyskiem, gdzie jaki sęk odciupnął siekierą i ciągiem mrucał:

– I tyś przyszedł na nasze podwórko... juści... galantyś, widzę... Bóg ci zapłać... zaraz cię Mateusz do ostrego kantu wyrychtuje... na przyciesie zdatnyś... sucho miał będziesz, nie bój się...

– Jakby do żywej osoby mówi – szepnął zdziwiony Rocho.

– Siadajcie. Z radości w głowie mu się pomieszało, całe dnie tak przesiaduje przy drzewie. Słuchajcie no.

– A i ty wystalaś się, chudziaczko, w boru, to se teraz odpoczniejsz... juści, nikto cię już nie ruszy!.. – gadał stary gładząc miłosnymi rękoma żółtą, złuszczoną korę sosny.

Polazł do najgrubszej, zwalonej na dróżkę, kucnął przed przekrojem i patrząc z lubością na żółte, nabrzmiałe żywicą słoje, mamrotał:

– Tylachnaś, a dali ci radę! co? Żydy by cię do miasta wywiezły, a tak Pan Jezus pozwolił, co u swoich ostaniesz, u gospodarzy, obrazy na tobie powieszają, ksiądz cię wodą święconą skropi, juści... co?...

Pan Jacek jeno prześmiechał się z tego nieznacznie i pogadawszy cosik z Rochem, wziął skrzypki pod pachę i miedzami ruszył ku borom.

Rocho zaś potem u Weronki siedział wysłuchując różności.

Na świecie miało się już pod wieczór, upał przechodził, a nawet już od łąk przewiewały chłodnawe ciągi, wiater też niezgorzej jął dmuchać od samego południa, że żytnie pola, rdzawe od młodych kłosów, toczyły się skłębione kiej wody, raz po raz zakolebały się gwałtownie, zakreściły wirami i chlustały ku drogom i miedzom, jakby już ino, ino wylać się miały; ale jeno tłukły płowymi grzywami o ziemię i poddawały się w tył, kiej stado źrebców dęba stających. Wiater z różnych stron parł na nie i miotał kiejby la zabawy, że wzburzone znowu hulały po zagonach pełne gurb płowych, zielonych zatok, rdzawych smug i chrzęstu, i trzepotów. Skowronki wydzwaniały wysoko, czasem stado wron przeciągnęło, ważąc się na wietrze i spadając odpoczywać na rozkołysanych drzewinach. Słońce już czerwieniało opuszczając się coraz niżej i po całym świecie, po polach rozkołysanych i po sadach trzepoczących się niby stada na uwięzi rozlewał się z wolna czerwona wybrzask kończącego się dnia.

Zaś z powodu jutrzejszego święta ludzie wcześniej schodzili z pól, kobiety wiły wianki przed chałupami, dzieci znosiły naręcza tataraku, przed Płoszkami i młynarzem stożyły się brzeziny i świerki, które

wkopywali, kaj miały się stawiać ołtarze, gdzie już i dzieuchy mały ściany, drogę też miejscami równali zasypując wyboiska, któraś też jeszcze prała nad stawem, że ino kijanka trzaskała i gęsi strachliwie gęgały.

Rocho właśnie zbierał się wyjść od Weronki, kiej na topolowej we srogiej kurzawie ukazał się ktosik pędzący na koniu. Wstrzymywały go nieco wozy ze Stachowym drzewem, że polem chciał objeżdżać.

– Te! konia ochwacisz, kaj ci tak pilno! – krzyczeli.

Wyminął ich jakoś i pognął do wsi z całych sił, jaże koniowi zagrała wątroba.

– Hej! Adam, poczekaj no! – wołał Rocho.

Kłębiak wstrzymał się nieco i jał krzyczeć z całych sił:

– A to nie wiecie, jakieś zabite leżą w boru! Jezus, zatkało me całym. Konia pasłem na smugu i jużeśmy z Gulbasiakiem jechali do dom, aż tu przed Borynowym krzyżem koń się rzucił w bok, jażem bęcnał na ziem. Patrzę: ki lichu strachnęło konia? a tu jakieś ludzie w jałowcach leżą... Wołałim, a oni nic, leżą kieby pomarłe...

– Głupi, będzie tu cudeńka rozpowiadał! – zawrzeszczeli.

– Obaczcie sami: leżą tam! Gulbasiak też widział, jeno co ze strachu w las pognął do komornic, które susz zbierały. Nieżywe leżą.

– W imię Ojca i Syna, to jedźże do wójta powiadomić!

– Wójt jeszcze z miasta nie przyjechali – rzekł ktosik.

– To sołtysowi dać znać!... kole kowala drogę poprawia z chłopakami!... – wołali za nim, bo już ostrym galopem się puścił.

Juści, co po wsi w ten mig się rozgłosiło o pomordowanych, wrzask się czynił zgrozy pełen i bieganina, ludzie jaże się zegnali z przerażenia. A nim słońce zaszło, z pół wsi wyległo na drogi. Ktoś dobrodzieja uwiadomił, że wyszedł przed plebanię rozpytywać, kupą już tam szli niemałą, rając z cicha, młodzi puścili się nieco naprzód topolową, a wszyscy z wielką niecierpliwością czekali na sołtysa, któren wozem pojechał zabierając ze sobą Kłęba i parobków.

Długo czekali, bo dopiero o zmierzchu powrócił; ale ku niemałemu zdumieniu wójtowymi końmi i bryką. Zły był jakiś, bo srodze kłał i podcinał szkapy, ani myśląc przystawać przed ciżbą, ale ktoś konie za uzdy chwycił, że musiał przystanąć i rzekł:

– Juchy te chłopaki, wymyśliły sobie co niebądź la zabawy. Żadnych zabitych nie było w lesie, ludzie se jakieś spały pod krzakami. Złapię Kłębiaka, to ja mu dam strachania. Spotkałem po drodze wójta i zabrałem się z nim, to cała historia. Wio! maluśkie!

– A cóż to, wójt chory, że leży kiej baran? – pytał ktoś zaglądną do wasąga.

– Śpik go zmorzył i tyła! – śmignął konie i już kłusem ruszył.

– Ścierwy te wisusy, żeby taką rzecz wymyślić!

– Gulbasiaka to sprawka, on pierwszy do psich figłów!

– Rzemieniem by ich złoić, co mają ludzi trwożyć po próżności!

Wyrzekali z oburzeniem, rozchodząc się z wolna po chałupach.

Jeszcze gdzieniegdzie stojali kupkami nad stawem szcerwienionym od zórz, gdy się pokazały komornice z ciężkimi brzemionami drzewa na plecach. Kozłowa szła na przedzie, jaże wpół zgięta pod ciężarem, i dojrzawszy ludzi wsparła się brzemieniem o drzewo.

– Sołtys waju dobrze ocyganił! – powiedziała ledwie zapiąc z utrudzenia. – Zabitych w lesie nie było, to prawda, ale może co gorszego.

I skoro zebralo się więcej ludzi, zwabionych jej głosem, puściła ózór:

– Wracalim podleśną drogą ku krzyżowi, aż tu Gulbasiak leci naprzeciw i krzyczy zestrachany: „Pod jałowcami jakieś zabite leżą!” Zabite, to zabite, myślę, ale warto zawdy obejrzyć Poszliśmy... widzimy z dala, prawda, leżą jakieś ludzie kieby nieżywe... jeno im kulasy sterczą spod jałowców. Filipka me ciąga, by uciekać... Grzelowa już pacierz trzepie i mnie też mróz po plecach chodził, alem się przeżegnała, podchodzę bliżej... patrzę... a to pan wójt leży przez kapoty, a pobok Jagusia Borynowa... i śpią se w najlepsze. Spili się w mieście, gorąc był, to se chcieli wypocząć w chłodzie i pojamorować. Jaże buchała od nich gorzałka! Nie budzili: niech świadki przyjdą, niech cała wieś obaczy, co się wyprawia! Wstyd mówić, jak była rozdiana; jaże Filipka z litości przyokryła ją zapaską. Czysta sodoma. Stara jestem, a jeszcze o takim zgorszeniu nie słyszałam. Sołtys zaraz przyjechał i budził, Jagna w pola uciekła, zaś pana wójta ledwie na wóz wdygowali, spity był kiej świnią!

– Jezus, tego jeszcze w Lipcach nie bywało – jęknęła któraś.

– Żeby to parobek z dziewczką, ale to gospodarz, ociec dzieciom i wójt!

– A Boryna ze śmiercią się mocuje, wody mu nie ma kto podać, a ta...

– Ja bym ją ze wsi wyświeciła! ja bym ścierwę różgami pod kościołem siekła! – zaczęła znowu wrzeszczeć Kozłowa.

– Zgorszenie samo krzyczy; co tu dodawać? – uspokajały ją kobiety, załamując ręce.

- A kaj Dominikowa?
- Z rozmysłem ją w mieście ostawili, bych nie przeszkadzała...
- Jezu, strach pomyśleć, co się wyprawia teraz na świecie!
- Taki grzech, takie zgorzenie, dyć wstyd na całą wieś padnie!
- Jagna się ta osławy nie boja, jutro gotowa to samo robić.

Wyrzekali po chałupach, załamując ręce, że już z tej zgrozy i oburzenia co miętsze kobiety płakały spodziewając się kary srogiej od Boga na wszystkich ludzi. Cała wieś się trzęsła od gadań i lamentów.

Tylko jedne chłopaki, co się były zeszły na most, wzięły Gulbasiaka rozpytywać podrobno i prześmiewały się z całej historii.

- To ci kokot z wójta, no! to chwat! – śmiał się Wachnik Adam.
- Odpokutuje jeszcze za te jamory: kobieta łeb mu obedrze!
- I z pół roku nie przypuści do siebie.
- Po Jagusi to i nieśpieszno mu będzie do swojej.
- Psiachmać, la Jagny kaźden by się ważył na wszystko...

– Jeszcze by! kobieta kiej łania, że nie wiada, czy nalazłby śliczniejszą w jakim dworze: ledwie spojrzy na człowieka, a już ciągotki biorą.

- Miód, nie kobieta, nie dziwno mi też, co Antek Boryna...

– Dajta spokój, chłopaki! Gulbasiak łże jedno, Kozłowa drugie, a baby przez zazdrość jeszcze dokładają, zaś po prawdzie to nie wiadomo, jak było... Na niejedną pyskują, choć najpocziwsza – zaczął mówić Mateusz jakimś smutnym i wielce strapionym głosem, ale nie skończył, gdyż się zjawił między nimi Grzela, wójtów brat.

- Cóż? Pietr śpią jeszcze? – pytali ciekawsi.

– Brat mój rodzony, ale kto tak robi, psem mi jest od dzisiaj! Ale ta ścierwa wszystkiemu winowata! – wybuchnął wściekłością.

– A nieprawda! – wrzasnął naraz Pietrek, parobek Borynów, przedzierając się z pięściami do Grzeli – któren tak szczeka, łże jak pies!

Zdumieli się tą niespodzianą obroną, a on wytrząchając pięściami krzyczał:

– Wójt jeno winien! To ona mu korale zwoziła? ona go do karczmy ciągała? ona po całych nocach w sadzie warowała, co? Dobrze wiem, jak przyniewalał i kusił; A może i jakich kropli jej zadał, by mu się nie oparła!

- Obrońca zapowietrzony! nie ciep się tak, bo obertelek zgubisz.
 - Dowie się, co ją bronisz, to ci zasługi podniesie.
 - Albo jakie portki po Macieju ochfiaruje!
- Aż się pokładali ze śmiechów i przekpiwań.

– Chłop za nią nie stanie się upomnieć ani kto drugi, to ja bronię będę... A będę, psiakrew, i niech jeszcze usłyszę złe słowo, pięści nie pożałuję... Pyskacze juchy, kieby się to przytrafiło z którego siostrą albo kobietą, to by mordy stulili!

– Zawrzyj i ty pysk, parobie jeden! nie twoja sprawa, pilnuj se końskich ogonów! – gruchnął na niego Stacho Płoszka.

– I bacz, byś czego przódzi nie oberwał – dodał Wachnik.

– A od gospodarzy ci zasie, kołtunie jeden! – dorzucił jeszcze któryś na odchodne.

– Gospodarze parszywe, dziedzice ścierwy! Ja służę, ale kryjomo ćwiartek nie wynoszę do Żyda ni z komory niczegój nie porywam! Jeszcze me nie znacie! – krzyczał za odchodzącymi śpiesznie, bo nijako się im zrobiło, że nie odzywając się już na jego wrzaski, porozchodzili się po chałupach.

Wieczór się już zrobił, jeno że jakiś wietrzny i dziwnie jasny; dawno bowiem było po zachodzie, a na niebie jeszcze leżały szerokie zatoiki zórz krwawych, kieby mrowiska porozrywane, i wzbierały z wolna wielgachne chmurzyska. Jakiś niepokój rozwiewał się nad światem, wiatery pohukiwał wysoko, że tylko co najwyższe drzewa szarpały się wierzchołkami; ptaki jakieś z wrzaskiem przeciągały niedojrzane, gęsi też nie wiada czemu krzyczały po obejściach, a psy ujadły kiej wściekłe, wybiegając aż na pola. Zaś w chałupach też było podobnie, bo po kolacji nikt w izbach nie ostał ni na progach siadał, jak zwyczajnie: wszyscy do sąsiadów szli kupiąc się przed opłotkami, a z cicha porodzając.

Wieś była kiej wymarła; nie rozlegały się śmiechy ni śpiewki, jak zawdy w ciepły wieczór, bo wszystkie szeptem raili strzegąc się dzieci i dzieuch i wszystkich przejmowało jednakie oburzenie i zgroza.

U Hanka też się zebrało na ganku parę kum: przyleciały się nad nią użalać i co nowego o Jagnie dowiedzieć. Poczywały z różnych stron, ale Hanka odrzekła smutnie:

– Wstyd to i obraza boska, ale i niemałe nieszczęście.

– Pewnie, a jutro cała parafia będzie o tym wiedziała.

– I zaraz powiedzą, że co najgorsze, to w Lipcach się staje.

– I na wszystkie lipeckie kobiety wstyd padnie.

– Bo wszyckie takie święte, że niechby je kto tak przyniewalał, to samo by zrobiły! – zaszydziła Jagustynka.

– Cichocie, nie pora na prześmiechy! – zgromiła ją Hanka wyniośle i już ani słowem się nie ozwała.

Jeszcze ją dusił wstyd, ale gniew, co ją zrazu chwycił na Jagnę, już się kajś zapodział, że skoro kumy się porozchodziły, zajrzała na drugą stronę, niby to do Macieja, ale dojrzawszy Jagusię śpiącą w ubraniu przywarła drzwi i po omacku rozebrała ją starannie.

– Niech Bóg broni takiej doli! – myślała potem z dziwną litością i jeszcze parę razy tego wieczora zaglądała do niej.

Jagustynka musiała cosik zmiarkować, bo rzekła jakby niechcący:

– Jagna bez grzechu nie jest, ale wójt najwinniejszy.

– Prawda, i jemu powinni zapłacić za wszystko, jemu! – przytwierdzała tak zajadle Hanka, jaże Pietrek spojrział na nią dziękczynnie.

I dobrze utrafiły, bo do późna w noc stary Płoszka i Kozły latały po wsi podburzając ludzi przeciw niemu. Płoszka nawet do chałup zachodził i niby to żartami gadał:

– Udał się nam wójt, w całym powiecie nie najdzie większego chwata!

A że jakoś nie bardzo mu basowali, do karczmy pociągnął. Było już tam kilku pomniejszych gospodarzy, postawił im gorzałki raz i drugi, aż kiej się podcięli, swoje jał wykladać:

– Wójt nam się sprawia? co?

– Nie pierwszyczna mu przecież! – rzucił ostrożnie Kobus.

– Trzymam o nim swoje i nie puszcę z gęby, trzymam! – mrucał podpiły dziebko Sikora wspierając się ciężko na szynkwasiu.

– Trzymaj se i co drugiego w zębach: nikto ci nie wydziera! – buchnął Płoszka i już cicho jał podjudzać na wójta prawiąc, jaki to zły przykład la ludzi daje, jaki wstyd przez niego i różne różności.

– Trzymam i o tobie swoje, jeno ci nie powiem – mrucał znowu Sikora.

– Zwalić go z urzędu, to jedyna rada, zaraz mu trąba zmięknie! – prawil stawiając nową kwaterekę. – Posadzilim go na wójtostwie, to mocnim i zesadzić! To, co dzisiaj zrobił, wstyd la całej wsi, aleć gorsze robił, z dziedzicem zawdy trzymał na szkodę gromady, szkołę chce w Lipcach stawiać, Miemców na Podlesie to on pono dziedzicowi naraił. A hula ciągiem, pije, stodołę sobie postawił, konia przykupił, mięso co tydzień jada i herbatę pija – za czyje to pieniądze? co? Juści, nie za swoje, jeno za gromadzkie...

– To trzymam, co świętuch jest wójt, ale i ty byś swojego ryja chciał wsadzić do koryta! – przerwał mu mamrot Sikory.

– Spił się i bele co powiada:

– Swoje trzymam, że cię na wójta nie wybierzem!

Odsunęli się od niego i cosik długo w noc uredzali. Zaś nazajutrz jeszcze rozgłośniej jęli rozgadywać całą historię, bo ksiądz zabronił stawiania ołtarza przed wójtem, jak to co rok bywało. Juści, co się wszystkiego dowiedział i zaraz rano kazał wołać Dominikową, która była dopiero o północy wróciła, i taki był zły, że organistę zwymyślał, a Jambroża cybuchem przekropił.

Ów dzień Bożego Ciała przyszedł był, jak i poprzednie, wielce pogodny, jeno dziwnie duszący i cichy; najmniejszy powiew nie przewiewał nad ziemią, słońce zarno od wschodu jęło prażyć niemiłosiernie, że w rozpalonym i suchym powietrzu liście mdlały powiędłe i zboża się kłoniły bezwładnie, piasek parzył w nogi kiej zarzewie, zaś ze ścian ściekały żywice, żarem wytopione.

Folgował se Pan Jezus i prażył coraz mocniej, ale naród jakby na to nie baczył; gdyż już od samego świtania rejwach się czynił na wsi i sroga krętanina: szykowali się do kościoła, a dziewczyny, które miały nosić feretrony i sypać kwiatem przed dobrodziejem na procesji, biegaly kiej oparzone jedne do drugich przymierzać stroiki, a czesać się i cudeńka wygadywać między sobą, zaś starsi na gwałt stroili ołtarze; stawiali u młynarzów, przed plebanią, zamiast u wójta, i przed Borynami, że Hanka wraz z domownikami już od świtu pomagała Rochowi.

Skończyli też prawie pierwsi, a tak pięknie przybrali, jaże się ludzie zdumieli powiedając, co nawet piękniejszy od młynarzowego.

I prawdę rzekli: przed gankiem stanęła kieby kapliczka, wypleciona z brzozowych gałęzi a zieleni, wykryli ją całą wełniakami, że jaże grała w oczach od kolorów, zaś w pośrodku, na podwyższeniu, stanął ołtarz, przykryty bielušką i cieńką płachtą i zastawiony świecami a kwiatami w doinkach, które Józka oblepiła w strzyżki ze złotego papieru.

Wielki obraz Matki Boskiej wisiał nad ołtarzem, a pobok zawiesili mniejsze, ile się jeno zmieściło. Zaś la większej przyozdoby nad samym ołtarzem przyczepili klatkę z kosem, którego Nastusia przyniesła: ptak się wydzierał po swojemu, że mu to Witek z cicha przygwizdywał.

A całe opłotki od drogi wysadzone były świerczyną na przemian z brzózkami, żółtym piaskiem grubo wysypane i zarzucone tatarakiem.

Józka zносиła całe naręcze modraków, ostróżek; wyczki polnej i przystrajała ściany kapliczki; opięła też nimi obrazy, lichtarze i co ino było można, że nawet ziemię przed ołtarzem potrzęsnęła kwiatami; nie darowała i chałupie, gdyż całe ściany i okna ginęły pod zielenią, zaś w snopki dachu nawtykała tataraków.

A przykładali się do roboty wszyscy zarówno, kromie jednej Jagusi, która wymknąwszy się z chałupy wczesnym rankiem; już się nie pokazała.

Wprawdzie skończyli pierwsi, ale już słońce wynosiło się nad wieś i coraz więcej turkotało wozów, z drugich wsi jadących.

Jęli się więc śpiesznie szykować do kościoła.

Witek jeno ostał na straży w opłotkach, bo chmara dzieci cisnęła się oglądać ołtarz i przygwizdywać kosowi, że gałęzią odganiał, a nie mogąc poredzić puszczał na nich swojego boćka, którego snadź przyuczony, wysuwał się czająco i groził ostrym dziobem w boscie nogi, jaże z wrzaskiem rozpierzchali się co chwila.

Sygnaturka akuratnie się ozwała, kiej cały dom wyszedł. Józka biegła przodem, w bieli cała, w trzewikach zasznurowanych czerwonymi tasiemkami, z książką w ręku.

– Witek, jak ci się widzę? co? – pytała obracając się przed nim na pięcie.

– Galanto, kiej ta biała gaska! – odrzekł z podziwem.

– Tyla się na tym rozumiesz co twój bociek. Hanka pedzieli, co żadna we wsi tak się nie przystroi – trzepała obciążając przykrótkie obleczenie.

– Cie!... a kolana ci się czerwienią przez kieckę niby gęsi spod pierza.

– Głupiś! Łapie w ogon se zajrzyj! Hale, boćka schowaj: ksiądz przyjdzie z procesją i jeszcze go obaczy i pozna – przestrzegala ciszej.

– Prawda, że śwarna i przystrojona, a i gospodyni też się rozczapierza kiej ten indor! – szeptał wyglądając za nimi na drogę, ale wspomniawszy przestrożę zaciągnął boćka do dołu po ziemniakach, zaś la obrony przed dziećmi Łapie przykazał warować przed ołtarzem, a sam poleciał do Macieja, leżącego w sadzie, jak co dnia.

Na wsi już całkiem ścichło, wszystkie wozy przejechały i ludzie przeszli, drogi opustoszały, jeno niekajś w opłotkach bawiły się dzieci, psy wylegały się w słońcu i jaskółki śmigaly nad stawem w rozpalonym powietrzu, zaś w kościele zaraz po sygnaturce rozpoczęło się nabożeństwo, dobrodziej wyszedł ze sumą i organy zagrały, ale snadź wnet po kazaniu uderzyły wszystkie dzwony, i huknęli takim śpiewaniem, jaże gołębie porwały się z dachów, i naród jął się wywalać wielkimi drzwiami, a nad nim wychodziły chorągwie pochylone, światła gorejące i obrazy, niesione przez dziewczyny w biel przybrane, zaś w końcu wynosił się czerwony baldach, a pod nim ksiądz ze złocistą

monstrancją w ręku wolniuśko zstępował ze schodów. A kiej się jako tako ustawili do procesji, czyniąc wskroś ciżby długą ulicę, obrzeżoną zapalonymi świecami, dobrodziej znowuj zaśpiewał:

U drzwi Twoich stoję, Panie!...

A wszystek naród odgruchnął mu w jeden ogromny, niebosiężny głos:

Czekam na Twe zmiłowanie...

I śpiewając ruszyli, cisnąc się we wrótniach smętarza i przepychając, gdyż zjazd był ogromny, cała parafia się stawiała, a nawet wszystkie dwory, że dziedzice prowadziły dobrodzieja i jeszcze w asyście szli pobok ze światłem, zaś baldach niesły gospodarze, jeno jakby na złość Lipczakom, same obce z drugich wsi.

Cała procesja wywalila się z cieniów smętarza na plac, jaże biały i wrzący od spieki, słońce lunęło w oczy, żywym ogniem prażąc, że już się wolno posuwali wśród bicia dzwonów, śpiewów, w pachnących dymach trybularza i w kłębach kurzawy, jaka się wnet podniosła, wśród światła i tego kwiecia, sypanego pod nogi dobrodzieja.

Powiedli się do pierwszego z prawej strony ołtarza, do Borynów; droga się w mig zapchała, jaże płoty trzeszczały, i niejeden we staw zleciał z wysokiego brzegu, i przydrożne drzewa się trzęsły od naporu. Walili ciężką, rozspiewaną ciżbą głów kiejby tą rzeką mieniącą się od farb, zaś środkiem, niby łódź na fali, płynął czerwony baldach i chwiała się chorągwie, obrazy i święte figury całe w tiulach a kwiatkach.

Parli się w tłoku wielkim głowa przy głowie, ledwie już dysząc z żaru i ciasnoty, ale śpiewając z całego serca, całą mocą, wszystkimi gardzielami, że zdało się, jakoby wraz z nimi świat cały śpiewał chwałę Panu – jakoby te lipy wyniosłe, te czarne olchy, te rozgorzałe w słońcu wody, te śmigłe brzoźki, te sady niskie i pola zielone, i dalekości okiem nieobjęte, i chałupy, i wszystko, co ino było, dokładało swój wtór serdeczny, nabrzmiały radością, że pieśń ogromna rozlewała się skłębio-nym grzmiotem w rozżarzonym powietrzu i ku blademu niebu do słońca się podnosiła.

Aż liście trzęsły się od głosów i ostatnie kwiaty z drzew leciały

Przed Borynami ksiądz odczytał pierwszą Ewangelię i odpocząwszy ździebko, powiódł naród do młynarzowego ołtarza.

Upał się był jeszcze podniósł, że już zgoła wytrzymać było nie sposób i kurz zapierał gardziele, słońce zbiełało i po jasnym niebie jęły się

zaciągać białawe, długie smugi; a rozprażone powietrze trzęsło się i mieniło w oczach kiej wrzątek – na burzę się zbierało.

Już z dobrą godzinę ciągnęła się procesja i choć już ustawiali ze spieki, a choć i sam proboszcz spotniały był i czerwony kiej burak, ale obchodzili z wolna, posobnie wszystkie ołtarze, przed każdym wysłuchując Ewangelie i śpiewając nowe pieśni.

A czasami, kiej naród ździebko ustawszy milknął, że ino tupot nóg się rozlegał, w onej cichości nagłej skowronki było słyhać na polach, kukulka gdziesik kukąła zawzięcie i jaskółki świegotały pod strzechami, zaś dzwony bimbały bezustannie; były z wolna, a długim, mocnym i gorącym głosem.

I chociaż naród znowuj śpiewał, chociaż chłopcy nie żałowały gardzieli, kobiety wydzierały się cieniušką nutą, dzieci piskały po swojemu, a małe dzwonki jazgotały i od ciężkiego tupotu dudniała wyschła ziemia – a głosy dzwonów wynosiły się nad wszystkim, śpiewały czyisto i górnio, śpiewały niebosięźnie jakimś złocistym, głębokim głosem, przejętym radością i weselem, a tak krzepko i rozgłośnio, jakby kto walił młotami we słońce, iż wszystek świat zdał się kolebać i rozdzwaniać.

Zaś kiej skończyli przed ołtarzami, to jeszcze długo trwało nabożeństwo w kościele, długo huczały organy i rozlegały się śpiewania.

A ledwie co wysypali się przed kościół, bych nieco ochłonać pod drzewami, grosz jaki dziadom wysupłać i zmówić się ze znajomkami, kiej pociemniało z nagłą, daleki grzmot zahuczał i suchy, pałacy wiater zakręcił, że drzewa się zatargały i kurz się podniósł na drogach.

Ludzie z bliższych wsi jęli na gwałt wyjeżdzać.

Ale zrazu ino drobny deszcz przekropił, gorący i rzadki, że jeszcze parniej się stało i duszniej, zaś słońce paliło niemiłosierniej, a żaby nukały ciszej i sennie, jeno co jakoś pomroczało, dale się przyćmiły, zahuczały znowu grzmoty i na posiniałym wschodzie jęły migotać blade, krótkie błyskawice.

Burza szła od wschodniej strony, kieby sierpem nadciągały ciężkie, granatowe płachty chmur, opite deszczem czy gradem, krótki a hukliwy wiater wyrывał się przodem, świszcząc po czubach drzew i szarpiąc zbożami, ptactwo z wraskiem uciekało pod dachy, nawet psy gnały do chałup, bydło wyrывało z pól, a po drogach już się kręciły słupy kurzawy, zaś grzmoty rozlegały się coraz bliżej.

A nie wyszło i dwóch pacierzy, kiej słońce jęło się zatapiać w rudych, paskudnych tumanach i przeświecało kiejby zza szyby przepalono-

nej, grzmoty już zahurkotały nad wsią i uderzył taki wichur, że dziw drzew nie powyrywał, jaże gałęzie i snopki z dachów w cały świat porwał, a pierwsze pioruny trzasnęły gdziesik w bory; całe niebo w mig posiniało niby wątroba, słońce zgasło, zawyły wichry i pioruny jęły bić jeden za drugim, grzmoty zatrzęsły ziemią i ognie błyskawic ozdierały schmurzone niebo, oczy wyżerając blaskami.

Domy dygotały od huków, a wszelkie stworzenie przyczaiło się w strachu.

Na szczęście, że burza przewaliła się stronami, pioruny były gdziesik daleko, wichura przeszła nie poczyniwszy szkód, niebo zaczęło się już wyjaśniać, gdy przed nieszporami lunął rześisty deszcz i posłała taka nawałnica, że w mig położyła zboża, rzeka wezbrała, a ze wszystkich rowów, miedz i bruzd waliła spieniona woda.

Uspokoilo się dopiero pod sam wieczór, deszcz przeszedł i na zachód słońce się wykryło zza chmur czerwoną i promienistą kulą...

Lipce ożyły znowu, ludzie jęli wywierać drzwi i wylazić na świat, i dychać z lubością ochłodzonym powietrzem; pachniało wszycko po deszczu, a już najbarzej młode brzózki i te mięty po ogródkach; prze-miękła ziemia jakby się rozpałiła w słońcu; gorzały kałuże po drogach, błyszcząły liście i trawy, paliły się spienione wody, spływające z rado-snym bełkotem do stawu.

Leciuchny wiaterek przegarniał pochylone zboża i rzeźwość mocna i weselna biła od borów i pól i przenikała duszę, że już dzieci z wrza-skiem brodziły po rowach i roztokach, ptaki ćwierkały w gąszczach, psy ujadały, księżę perliczki darły się na płotach, a wszystkie opłotki, drogi, chałupy i obejścia zadzwoniły przekrzykami i rozmowami, na-wet już tam kajś kole młyńna zawiodła któraś piesneczka:

Deszczyk rosi, zrosi me, zrosi me –
Moja Maryś, nocuj me; nocuj me!

Zaś od pola wraz z rykiem stad spędzanych darły się jazgotliwe, prędkie śpiewki pasterek:

Powiedziałeś, że mnie weźmiesz
Skoro żytko, jarzę zeźniesz;
A tyś zeżon i owiesek –
Teraz szczekasz kieby piesek –
Oj dana, da dana!..

Zaczęły też wyjeżdżać wozy ludzi, którzy ostali przeczekując burzę, ale wielu gospodarzy ze sąsiedzkich wsi pozostało w gościnie u Lipczaków: byli to ci, co tak poczciwie zjechali pomagać kobietom. Bogatsi ugaszczali ich po domach, nie żałując jadła ni napitków, zaś biedniejsze powiedły swoich dobrodziejów na poczęstunek do Żyda bo zawdy raźniej w kupie i w karczmie weselej.

Chłopaki sprowadziły muzykę, że już od nieszpórów roznosiło się z karczmy zawroscenie skrzypeków, dudlenie basów i brzękliwy warkot bębenka.

A i drudzy też gęsto pociągali na zabawę, gdyż od tyła czasu, bo od samych zapust, nie zbierali się na żadną ochotę.

Narodu się naszło co niemiara, miejsc zbrakło, że sporo musiało się kumentować siedzeniem na belkach leżących pod karczmą, jeno co czas był piękny i na niebie świeciły złote rozutki, to się gęsto kwaterowali pod ścianą, krzykając na Żyda, by im napitki wynosił.

Że prawie sama młódź przepelniała karczmę, zaraz też z miejsca poszli oberkiem, jaże ściany i dyle pojękiwały, a przewodził tanom ku niemałemu podziwowi Szymek Dominikowej z Nastusią. Darmo go młodszy, Jędrzych, odwoodził, cicho molestując, ale nie poredził, bo parobek się sielnie rozochocił i słuchać nie chciał, gorzałkę pił i do picia Nastkę i kamratów swoich przyniewalał, zaś co urzněła muzyka, dziesiątki rzucał grajkom, Nastkę w pół ujmował i z całej mocy wrzeszczał:

– Jeno ostro, chłopcy, z kopyta, po naszymu!

I nosił się po izbie kiej ten rozhlukany źrebiec, pokrzykując srogo i bijąc siarczyście obcasami.

– Wiechcie, jucha, z butów powytrzącha! – szeptał Jambroży, robiąc łakomie grdyką ku pijącym pobok:– A wali kulasami kiej cepem: jeszcze mu się rozleca! – dodał głośnie, bliżej się podsuwając.

– Baczcie ino, żebyście sami czego nie stracili – mruknął Mateusz, stojący ze swoimi kamratami.

– Gorzałki bym się z wami napił na zgodę – rzekł śmiejąc się Jambroży.

– Naści, szkła jeno nie zechlaj, pijanico! – podał mu pełny kieliszek i odwrócił się plecami, bo Grzela, wójtów brat, zaczął im cosik raic z cicha; że wsparci o szynkwas słuchali uważnie nie bacząc na tany ni na stojącą przed nimi gorzałkę. Sześciu ich było zebranych, wszystkie najprzedniejsze we wsi parobki, same rodowe, gospodarskie syny, radzili pilno, ale że wrzask się robił coraz większy i ciasnota, to przenie-

śli się do żydowskiej stacji, gdyż alkierz zajmowali gospodarze ze swoimi gośćmi.

Izba była ciasna; zapchana rozbabranymi betami, w których spały Żydzi, iż ledwie się pomieścili przy stole. Jedna łojówka kopciła się w mosiężnym świeczniku, wiszącym u pułapu. Grzela puścił flaszkę w kolejkę, przepili raz i drugi, ale jakoś nikt nie zaczynał, z czym przyszli: jaże Mateusz rzucił drwiąco:

– Zaczynaj, Grzela, to kiej wrony na deszczu tak siedzita!

Nie zdążył Grzela zacząć, gdy wszedł kowal i witał się szukając, kaj by przysiąść.

– Smolipysk jucha, zawdy tam wzejdzie, kaj go nie posiali! – buchnął Mateusz. – W twoje ręce, Michał! – dodał zaraz, tłumiąc gniew.

Kowal wypił i nadrabiając miną ozwał się żartobliwie:

– Nie łasym cudzych sekretów, a nic tu, widzę, po mnie...

– Rzekłeś! Dobrze wama z Miemcami w piątki na sperce z kawą, to jeszcze lepiej będzie dzisiaj, we święto...

– Powiadasz Płozka bele co, jakbyś się napił... – odburknął.

– Powiedam, co wiadomo, że co dnia z nimi hańdryliczysz.

– Kto mi robotę daje, temu robię, nie przebieram.

– Robotę! co inszego ty z nimi obrabiasz – rzekł ciszej Wachnik.

– Jakeś i z dziedzicem nasz las obrabiał – dodał groźnie Pryczek.

– Widzi mi się, co na sąd trafiłem... cie! jak to wszystko wiedzą.

– Dajta mu spokój, robi swoje bez nas, to i my weźmy się do swojego przez niego – powiedział Grzela patrząc mu ostro w ślepie rozbiegane.

– Kiejby was strażnik dojrzał przez okna, pomyślałby, co się zma-wiacie na kogo! – niby to drwił, ale wargi mu się ze złości trzęsły.

– Może i tak, jeno nie na ciebie: za małaś figura, Michał.

Nacisnął czapkę i wyszedł trzaskając drzwiami.

– Przewąchał cosik i na zwiady przyleciał.

– Gotów teraz iść słuchać pod okno.

– O sobie jeszcze co takiego usłyszysz, że mu się odechce.

– Cichojsza no, chłopcy! – zaczął Grzela uroczyście. – Mówiłem już wama, co Podlesie nie przedane jeszcze Miemcom, ale leda już dzień mogą pojechać do aktu, a nawet mówili, co na przyszły czwartek.

– Dyc wiemy i trzeba na to zaradzić! – zawołał niecierpliwie Mateusz.

– Radź, Grzela: na książce umiesz, gazetę czytujesz, to ci łacniej.

– Bo jak Miemce kupią i zasiądą o miedzę, to będzie jak w Górkach: powietrza prosto zbraknie do dychania w Lipcach i z torbami pójdziemy albo do Hameryki.

– A ojce jeno się we łby skrobiją, wzdychają i zaradzić nie poredzą.

– I z gospodarok nam nie ustąpią! – rzucali jeden po drugim.

– Wielka rzecz Miemcy! siedziały takuško w Liszkach a nasi ich wykupili co do jednego, że zaś w Górkach było inaczej, to same chłopcy winowate: piły, procesowały się ciągiem i torby se wygrały.

– To i z Podlesia możem wykupić i przegnać! – wołał Jędrək Boryna, stryjeczny Antka.

– Łacno mówić: teraz nie ma za co kupić; chociaż tylko po sześćdziesiąt rubli morgę sprzedają, a potem to znajdziesz z jakie tysiąc złotych za to samo?...

– Żeby ojce wydzieliły każdemu, co jego, a prędzej by poredził.

– Bo pewnie, juści! Zaraz bym wiedział, co robić! – zawrzeszczeli.

– O głupie, głupie! To starzy z całego ledwie się przeżywią, a wy na działach chcecie nazbijać pieniędzy! – przerwał im Grzela.

Zmilkli naraz, bo juści taką prawdę rzekł, jakby obuchem zwałił w ciemię.

– Bieda nie z tego, że ojcowie nie chcą wam popuścić gospodarok – mówił dalej – a jeno z tego, że Lipce mają ziemi za mało, że narodu ciągiem przybywa, gdyż co starczyło za dziadków la trojga, musi się teraz rozdzielać la dziesięciorga.

– Święta prawda! Juści, że tak! Juści! – szeptali sfrasowani.

– To kupić Podlesie i podzielić! – wyrwał się któryś.

– Kupiłbyś wieś, jeno pieniądze gdzieś! – mruknął Mateusz.

– Czekałta jeno, może się i na to znajdzie jaka rada.

Mateusz się naraz zerwał, buchnął pięścią w stół i zakrzyczał:

– A czekajcie i róbcie sobie, co chcecie, mnie już dosyć i jak się ozgniewam, to rzucę wieś i do miasta pójde, tam lepiej ludzie żyją.

– Twoja wola, ale drudzy muszą tutaj ostać i jakoś sobie radzić:

– A bo już wytrzymać nie mogę, jaże diabli człowieka bierą: ciasnota wszędy, że chałupy dziw się nie rozwalają, tyła w nich siedzi, bieda jaże piszczy, a tu pobok leży ziemia wolna i prosi się, by ją wziąć... a nie ugryziesz, choćbyś zdychał z głodu, nie ma jej kupić za co i pożyczyć nie ma od kogo. Żeby to wciórności z takim urządzeniem.

Grzela opowiedział, jak to jest indziej po drugich krajach.

Słuchali wzdychając żałośnie, a Mateusz mu przerwał:

– Cóż nama z tego, że drugie dobrze mają! Pokaż głodnemu miskę pełną i schowaj, niech się nachla patrzeniem! Dobrze mają: kaj indziej to jest opieka nad narodem, nie tak, jak u nas, gdzie kaźden chłop rośnie se jako ta dziczka w czystym polu, że czy zmarnieje, czy też wyrośnie – co to kogo swędzi?... bele jeno podatki płacił, w rekruty szedł i urzędom się nie przeciwił! Mierzi mi się już takie życie i do grdyki idzie...

Grzela, wysłuchawszy cierpliwie, zaczął znowu swoje:

– Jest tylko jeden sposób, żeby Podlesie było nasze.

Przysunęli się jeszcze bliżej, bych i słowa nie stracić, gdy naraz taki wrzask wstrząsnął całą karczmą, jaże szyby zabrzęczały, i muzyka grać przestała. Poleciał tam któryś na przewiady i opowiadał potem ze śmiechem, co się stało: Dominikowa narobiła takiego piekła, przyleciała bowiem z kijem po synów, chciała ich bić i siłą do domu zabierać, jeno co się oparli, matkę z karczmy wypędzili, a teraz Szymek jął pić na umor, zaś Jędrzych pijany do cna ryczy w kominie.

Nie pytali o więcej, gdyż Grzela zaczął wykladać swój sposób, który był taki: z dziedzicem się pogodzić i w zamian morgi lasu zażądać po cztery morgi pola na Podlesiu!

Zdumieli się wielce i strasznie rozradowali taką możliwością, a Grzela jeszcze powiadał, co tak samo się ugodziła jedna wieś koło Płocka, o czym był wyczytał w gazecie.

– Dobra nasza, chłopczy! Żydzie, gorzałki! – krzyknął Płoszka we drzwi.

– Za trzy morgi boru rychtyk by nam wypadło dwanaście pola!

– A nam z dziesięć, cała gospodarka!

– I niechby dodał co niebądź krzaków na opał.

– A za paśniki mógłby dać choć po mordze łaki.

– I nieco budulcu na chałupy! – wołali jeden przez drugiego.

– Jeszcze trochę, a będziecie chcieli, żeby wam dodał po koniu z wozem i po krowie, co? – przekpiwał Mateusz.

– Cichocie no!... trzeba teraz namawiać, aby się gospodarze zebrali, poszli do dziedzica i przełożyli, czego chcą: może się i zgodzi.

Mateusz mu przerwał:

– Jak nie ma noża na gardle, to się nie zgodzi: jemu zaraz potrza pieniędzy i Miemcy je dadzą choćby jutro, niech się tylko zgodzi... A nim się nasi wydrapią po łbach, nim się naredzą, nim się na jedno zgodzą, nim baby przeciągną na swoją stronę, to miesiące przejdą, dziedzic ziemię przeda i plecy wypnie: będzie miał o czym czekać, jak wypad-

nie sprawa z borem. Grzelowy sposób jest mądry, jeno widzi mi się, trza go innym końcem stawiać do pionu.

– To gadajże, Mateusz, radź!

– Nie gadać, nie naradzać się, a trza zrobić tak samo jak z borem.

– Czasem tak można, a czasem nie! – mruknął Grzela.

– A ja ci mówię, że można, w inny ździebko sposób, a to samo wyjdzie... Do Miemców iść całą gromadą i spokojnie im zapowiedzieć, abych się nie ważyły kupować Podlesia...

– A takie są głupie, że zaraz się nas ulękną i posłuchają!

– Toteż im się zapowie, że jeśli nie posłuchają i kupią, to nie pozwolim im siać, nie pozwolim się budować, nie damy krokiem się ruszyć za pola. Zobaczycie, czy się nie ulękną! Wykurzimy ich kiej lisów z jamy.

– A juści, niby to se nie poredzą!... jak Bóg w niebie, tak nas znowu za te pogrozy wsadzą do kreminau! – wybuchnął Grzela.

– Zapakują, to i puszczą, wiekować tam nie będziemy, ale kiej nas wypuszczą, to la Miemców będzie jeszcze gorzej... głupie one nie są i przódzi dobrze rozważą, czy im wojna z nami pójdzie na zdrowie... Dziedzic też będzie inaczej śpiewał, jak mu kupców rozpędzimy, zaś nie...

Ale już Grzela nie mógł wytrzymać, zerwał się od stołu i zaczął z całych sił odwozić od tych zuchwałych zamysłów. Przekładał, jakie to z tego wynikną procesy, nowe straty la wszystkich, nowe marnacje, że gotowi powsadzać ich za te ciągłe bunty na parę lat do kryminau... że to wszystko da się zrobić spokojnie ze samym dziedzicem... Zaklinał na wszystko i błagał, by nowego nieszczęścia nie ściągali na naród. Prawił ze dwa pacierze i jaże poczerwieniał, jaże całował ich posobnie molestując i prosząc, bych poniechali, ale wszystko to było na darmo, kiejby groch rzucał na ścianę, że w końcu Mateusz rzekł:

– Prawisz kiej w kościele, jakbyś z książki wyczytywał, a nam czego inszego potrza!

Wraz też wszyscy zaczęli mówić, zrywać się, tłuc pięściami w stół, a wrzeszczeć z wielkiej radości:

– Dobra nasza, na Miemców iść, rozegnać pludraków! Mateusz mądrze radzi, jego słuchamy, a któren się boja, niech pod pierzynę się chowa!

Ani sposób już było do nich mówić, tak ich ponosiło.

Żyd w te pore przyniósł flachę, wysłuchał i ścierając na stole porozlewaną gorzałkę powiedział nieśmiało:

– Mateusz ma kiepełe: mądrą radę daje.

– Ciel! Jankiel też na Miemców, no! – zakrzyczeli zdumieni.

– Bo ja wolę trzymać ze swoimi, biedy się użyje, jak i wszystkie, ale jakoś z pomocą boską żyć można... Ale gdzie przychodzą Niemcy, to już tam nie tylko biedny Żydek się nie pożywi, tam pies nie ma co jeść... Niech one zdechną, niech ich ta... tfy... choroba wytłucze!...

– Żyd i trzyma z narodem! Słyszeliście, co?

Dziwowali się coraz barzej.

– Ja jestem Żyd, ale mnie w boru nie znaleźli, ja się tutaj urodziłem jak i wy, mój dziadek i mój ojciec też... to z kim ja mam trzymać?... co?... Czy to ja nie swój?... Przecież jak wam będzie lepiej, to i mnie będzie lepiej!... Jak wy będziecie gospodarze, to ja będę z wami handlował!... Jak mój dziadek z waszymi, no nie?... A coście mądrze o Niemcach myśleli, to ja całą butelkę araku postawię!... Wasze zdrowie, gospodarze podleskie! – zawołał przepijając do Grzeli.

Pili gęsto i taka radość nimi owładnęła, że dziw Żyda nie całowali po brodzie, usadzili go między sobą i wszystko znowu rozpowiedzieli, radząc się go we wszystkim. Nawet Grzela się rozchmurzył i przystał znowu do nich, bych go nie posądzili o co złego.

Narada już niedługo trwała, bo Mateusz się podniósł i wołał:

– Do karczmy, chłopcy, nogi wyprostować, dosyć na dzisiaj!...

Hurmą tam poszli, a Mateusz odbił zaraz jakiemuś Tereskę i puścił się z nią w tany, a za nim drugie zaczęły dziewczki z kątów wyciągać, na muzykantów krzykać i w tany iść kiej wicher.

Juści, co zaraz rześściej gruchnęła muzyka, bo grajki wiedziały, że z Mateuszem nie przelewki, że płaci, ale i bić gotowy.

Roztańcowała się karczma na dobre, z czubów już się galancie kurzyło, że wrzaski, muzyka; tupoty a siarczyste pokrzyki jakby wrzątkiem przepelniały izbę i na świat się rozlewały przez powywierane drzwi a okna, zaś pod ścianami na dworze też szła niezgorsza zabawa, brząkały kieliszki, gospodarze często do się przepijali, a raili coraz głośniej i coraz bełkotliwiej.

Noc już się zrobiła, gwiazdy bystro zaświeciły, szumiały cicho drzewiny, a z mokradeł roznosiły się żabie rechotania i huczały niekiedy głosy bąków, po sadach słowiki zawodziły, ciepło było i pachnąco. Używali se ludzie wywczaś na świeżym, chłodnym powietrzu, a raz po raz jakaś para, trzymając się w pół, wysuwała się z karczmy i w cienie szła... Zaś pod ścianą było już coraz głośniej, gadali wszyscy razem, że trudno się było połapać.

-...a co jeno wieprzka wypuściłam, że jeszcze i ryja nie zdążył wsadzić w ziemniaki, a ta do mnie z pyskiem.

- Wypędzić ją ze wsi!... Wypędzić!...

- Baczę, co tak samo z jedną zrobili za moich młodych lat!... Przed kościołem do krwi ukarali, krowami wywieźli za kopce i był spokój...

- Żydzie, całą kwaterkę krzepkiej!

- Odebrała mleko mojej siwuli, odebrała!...

- Obrąć nowego, to każdy tak samo poradzi...

- Wyrwać złe, póki większego korzenia nie zapuści...

- Pleć zboże, póki chwasty nie zagłuszą...

- Przepijcie no do mnie, a cosik waju rzeknę...

- Byka bierz za rogi, a nie popuszczaj, jaże się zwali...

- Dwa morgi a jedna – trzy morgi; trzy morgi a jedna – cztery morgi.

- Pij, bracie, to i rodzone nie zrobiłyby pocziwiej...

Rwały się z mroków postrzępione rozmowy, że ani rozeznał, kto mówił i do kogo; tylko jeden grubachny głos z Jambroża górował wyraźnie nad drugimi w różnych miejscach, przechodził bowiem ciągiem od kupy do kupy, to do karczmy zaglądał i wszędy wygarniając po kusztyczku, pijany już był całkiem, sielnie się potaczał, ale chył przy szynkwasię któregoś za orzydle i jął go płaczliwie molestować:

- Ochrciłem cię, Wojtek, i twojej kobiecie tak dzwoniłem, jaże mi kulasy popuchły: postaw kieliszek bracie! A postawisz całą półkwaterkę, przedzwonię jej na wieczne odpoczywanie i drugą babę ci naraję... młodą, jedrną kiej rzepa! Postaw, bracie, półkwaterkę...

Młodzież hulala zawzięcie, że cała izba wypełniła się wrzaskiem a wiewającymi kieckami i kapotami, już piesneczki przyśpiewywali przed muzyką i tańcowali coraz zapamiętalej, że nawet starsze kobiety wytrząsały się, piskliwie pokrzykując, a Jagustynka przedarłszy się do środka ujęła się w pól i bijąc nogami o podłogę wyśpiewywała chrzypliwie:

Nie boję się wilka, choćby było kilka!...

Nie boję się chłopą, choćby było kopa!...

ROZDZIAŁ 10

Owóz te dni od Bożego Ciała do niedzieli nie przeszły letko Mateuszowi, Grzeli ni ich kamratom; Mateusz bowiem przerwał roboty przy Stachowej chałupie; zaś drudzy też poniechali swoich zajęć, a ino całe te dni i wieczory chodzili po chałupach w pojedynkę i podjudzali naród przeciwko Miemcom, nawołując do przepędzenia ich z Podlesia.

Karczmarz ze swojej strony też nie żałował namów, a jak było potrza na upartych, to i poczęstunków albo borgowań, ale szło kiej po grudzie; starsi drapali się jeno po łbach, wzdychali ciężko i, nie ważąc się na żadną stronę, oglądali się na drugich i na kobiety, które jak jedna ani słuchać nie chciały o wyprawie na Miemców.

– Hale! co im do łbów strzeliło! Mało to już marnacji przez bór?... jeszcze jednego nie odsiedziały i nowe biedy chcą na wieś sprowadzić! – wołały, a sołtysowa, cicha zazwyczaj, jaże pomietło chyciła na Grzelę.

– Jak będziesz niewolił do nowego buntu, to cię strażnikom wydam! Nygusy, ścierwy; robić się im nie chce, toby ino spacerowały! – rozwrzeszczała się przed chałupą.

Zaś Balcerkowa gruchnęła na Mateusza:

– Psy na was spuszczę, próżniaki! Wrzątku naszykuję!

I wszystkie progiem zaległy przeciwko namowom, głuche na tłumaczenia i prośby, że ani sposobu było im trafić do rozumu; zawrzeszczały każdego, a niejedna już i płaczem lamentliwym buchała.

– Nie dam mojemu iść! Kapoty się uwieszę, i choćby mi kulasy obcięli, a nie puszcze!... Dosyć my się już nabiedowały!...

– A żeby was, głąby jedne, siarczyste pieruny rozniesły! – kłął Mateusz. – To kiej sroki na deszcz krzyczą i krzyczą. Dyć to ciele prędzej zrozumie ludzką mowę niżli kobieta mądre słowo! – wyrzekał głęboko zniechęcony.

– Daj spokój, Grzela, nie trafisz z niemi do rozumu: trza by każdą sprać abo żebych twoja była, to cię wtedy może posłucha – żalił się smutnie.

– Takie już są, że przez moc nie przerobisz: inszym trza sposobem z nimi; oto nie przeciwić się, przytakiwać, a pomaluśku na swoją stronę pociągać.

Tłumaczył tak Grzela, nie odstępując sprawy, bo chociaż sam był jej zrazu przeciwny, ale skoro rozważył, że inaczej nie można, całą duszą się jej oddał.

Chłop był kwardy i nieustępliwy, a na co się jeno zawział, dopiąć musiał, żeby tam nie wiem co przeszkadzało; to i teraz na nic nie zważał: zawierali mu drzwi przed nosem – oknami gadał; kobiety mu wygrażały – nie gniewał się, przyświarczał jeszcze, a kaj było potrza – basował, zaś niejedną o dzieci zagadywał i porządki wychwalał, aż w końcu powiedział swoje, a nie udało się – szedł dalej. Całe dwa dni pełno go było na wsi, w chałupach, po ogrodach, w pola nawet szedł i zagadując o tym i owym ludzi, swoje im prawil, zaś tym, którzy nie miarkowali od razu, kijaszkiem rysował po ziemi podleskie pola, pokazywał działą i cierpliwie tłumaczył korzyści każdego. Ale mimo tych zabiegów na darmo byłyby te wszystkie zachody, gdyby nie pomoc Rochowa. Jakoś w sobotę po południu, zmiarkowawszy, że wsi nie poruszają, wyzwali Rocha za stodoły Borynowe i zwierzyli się przed nim; bojali się, że będzie im przeciwny.

Ale Rocho pomyślał krótko i powiada:

– Sposób to zbójceki, ale że na inny już nie ma czasu, pomogę wam z chęcią.

I zaraz poszedł na ogrody do proboszcza siedzącego przy parobku koszącym koniczynę, któren potem rozpowiadał, jako zrazu dobrodziej się ozgniewał na Rocha, krzyczał, zatykał uszy i słuchać nawet nie chciał, lecz potem siedli obaj na miedzy i długo se cosik uradzali: Snadź Rocho go przekonał, gdyż o zmierzchu, kiej ludzie zaczęli ściągąć z pól, proboszcz poszedł na wieś i niby to chłodu zażywał, a zaglądał w obejścia, pytał o różności, a głównie z kobietami się zmawiał i w końcu każdemu z osobna a cicho powiadał:

– Chłopaki dobrze chcą. Trzeba się śpieszyć, póki jeszcze czas. Zrobicie swoje, to ja już pojedę do dziedzica i będę go namawiał.

I tyle dokazał, że kobiety się już nie przeciwiły, zaś gospodarze zaczęli wywodzić, iż skoro ksiądz zachęca, to warto by tak zrobić.

Jeszcze się cały wieczór naradzali, ale już rankiem w niedzielę byli wszyscy zdecydowani na jedno.

Mieli iść po nieszporach i z Rochem na czele, że to mógł się rozmówić z Miemcami po ichnemu.

Właśnie to był Rocho teraz przyobiecał chłopakom; odeszli pohukując z radością; on siedział na Borynowym ganku przesuając ziarna różańca i cosik medytując.

Wcześniej jeszcze było, dopiero co miski sprzątnęli po śniadaniu, że zapach żuru i okrasz wierciał nozdrza, a Pietrek przeciągał się po jadle.

Czas się robił ciepły a nieupalny, jaskółki niby kule przecinały powietrze. Słońce podnosiło się dopiero zza chałupy, iż w cieniach polśniewały jeszcze osuszone, ciężkie trawy i z pól zawiewał chłód pachnący zbożami.

W chałupie cicho było, jak zazwyczaj w niedzielę, kobiety zwijały się kole porządków, dzieci obsiadłszy miskę przed gankiem pojadały z wolna, broniąc się łyżkami i piskiem przed Łapą, któren na gwałt rwał się do spółki, maciora stękała pod ścianą na słońcu, tak ją waliły łbami prosięta dobierając się do mleka, to bociek rozganiał kury i gajdał się za żrebakiem baraszującym w podwórzu, niekiedy drzewa zaszumiły i sad się rozkolebał, zaś polem rozchodził się jeno brzęk pszczoł idących na robotę i dzwonienia skowronków.

I na wsi zaległa niedzielna cichość, że tylko niekiedy słychać było głosy, kura któraś zwoływała, to gdziesik nad stawem ze śmiechami a chlupotem pucowały się chłopaki albo kaczki zakwakały.

Drogi leżały puste i rozmigotane w słońcu, mało kto przechodził, jeno niekaj na progach cesały się dziewczyny i ktosik z cicha grał na fujarce.

Rocho przebierał różaniec, czasem nasłuchiwał, a głównie myślał o Jagusi, słyszał ją kręcącą się po izbie, czasem stawiała za nim, niekiedy szła w podwórze, a wracając spuszczała przed nim oczy i krwawy rumieniec oblewał jej twarz wymizerowaną, że zrobiło mu się żal.

– Jaguś! – szepnął dobrotliwie, podnosząc na nią oczy.

Przystanęła z zapartym oddechem czekając, co powie, ale on, jakby nie wiedząc, co rzec, zamruczał jeno co niebądź i zamilkł.

Na swoją stronę znowu odeszła, przysiadła w wywartym oknie i wsparłszy się o futrynę patrzyła żalonymi oczyma we świat rozsłoneczniony, na te chmurki białe, co kiej gęsi błąkały się po niebie jasnym, i ciężkie westchnienia rwały się jej z piersi, a niekiedy łyzy kapąły z zaczerwienionych oczu i płynęły wolno po wychudzonej, mizernej twarzy. Juści, mało to przeszła przez te dni? Dyc cała wieś szczyła na nią, kieby na psa parszywego; kobiety odwracały się plecami, kiej przechodziła, a poniektóre spluwały za nią; przyjaciółki jej nie spo-

strzegały, chłopcy śmiały się wzgardliwie, a nawet wczoraj najmłodszy Gulbasiak śmignął za nią błotem i zakrzyczał:

– Wójtowa kochanica!

O! to jakby ją noże przeszyły i wstyd dziw nie zadusił!

Mój Boże, a bo to była winowata?... spoił ją przeciek, że o Bożym świecie nie wiedziała... mogła się to przeciwieć?... a teraz wszyscy na nią, teraz cała wieś ucieka kiej od zapowietrzonej, a nikt w obronie nie stanie.

Gdzież to teraz pójdzie? Drzwi przed nią pozawierają i jeszcze psami szcuć gotowi!... Nawet do matki nie ma iść po co: prawie ją wyгнаła mimo próśb i płaczów... że gdyby nie Hanka, już by co złego sobie zrobiła... Juści, jedna Antkowa zaopiekowała się nią pocziwie, nie cofając ręki pomocnej i jeszcze broniąc przed ludźmi...

A bo i niewinowata, nie, wójt winien, że ją skusił i przyniewolił do grzechu, a już najbardziej winien wszystkiemu ten stary zbuk! Pomyślała naraz o mężu.

– Całe życie mi zawiązał! Panną byłabym, to nie daliby mnie ukrzywdzić, nie... I cóżem to za nim użyła? Ni życia, ni świata!...

Rozmyślała gorączkowo, żalście się w niej kajść zapodziewały, a wstawał natomiast srogi gniew i tak ją rozpręzał, jaże zaczęła biegać po izbie.

– Pewnie, co wszystko złe przez niego... i z Antkiem by tego nie było... i wójt by się nie ważył... i... – skarżyła się. Żyłaby se spokojnie jak przodzi, jak żyją wszyckie... Zły go postawił na drodze i matkę skusił morgami, a teraz musi cierpieć... musi... – ażeby cię robaki roztoczyły!

Wybuchnęła zaciskając mściwie pięście i dojrzawszy przez szczytowe okno wasąg z chorym pod drzewami, pobiegła tam gwałtownie i nachylając się nad nim zasyczała nienawistnie:

– Abyś zdechł jak najprędzej, ty stary psie!...

Chory wytrzeszczył na nią oczy i cosik zamamrotał, ale już odleciała: ulżyło jej galańcie, miała się już na kim odbijać za swoje krzywdy..

Kowal stał na ganku, gdy przechodziła z powrotem, ale udawał, że jej nie spostrzega. Zagadał głośniej do Rocha:

– Mateusz rozpowiada, jako ich powiedziecie na Miemców...

– Prosili, to pójdę z nimi do sąsiadów – powiedział z naciskiem.

– Nowe dybki sobie szykują. Rozwydrzyły się chłopcy na dziedzicu i myślą, że jak znowu pójda hurmą z kijami a krzykiem, to Miemcy się ułękna i Podlesia nie kupią.

Ledwie się hamował ze złości.

– A może się i wyrzekną kupna, kto wie?...

– A juści! gronta porozmierzali, wszystkie famielie już się sprowadziły, studnie kopią, kamień na fundamenta zwożą...

– Wiem dobrze, że u rejenta jeszcze aktu nie podpisali

– Mnie się przysięgali, jako już po wszystkim.

– Mówię, co wiem, i gdyby dziedzic znalazł lepszych kupców...

– To przeciek Lipce nie kupią, nikt groszem nie śmierdzi...

– Grzela tu jakoś kalkuluje i zdaje mi się...

– Grzela! – przerwał gwałtownie – Grzela się pcha na pierwszego, a głupi naród bałamuci i do złego jeno prowadzi...

– Zobaczmy, jak to wyjdzie, zobaczmy! – mówił Rocho uśmiechając się nieco, gdyż kowal jaże wyrywał se wasy ze złości.

– Jacek z kancelarii! – zawołał spostrzegając stójkę w opłotkach.

– Dla „Anny Maćwiejówny Boryna” papier z kancelarii! – recytował Jacek wyciągając jakąś kopertę z torby.

Hanka przybiegła i niespokojnie obracała papier, nie wiedząc, co z nim począć.

– Przeczytam – rzekł Rocho.

Kowal chciał mu zajrzeć przez ramię, ale Rocho zamknął prędko list i rzekł najspokojniej:

– Sąd was zawiadamia, Hanka, że możecie się z Antkiem widywać raz na tydzień.

Hanka, opatrzywszy stójkę, wróciła do izby, zaś Rocho dopiero po odejściu kowala poszedł za nią, wołając radośnie:

– Co innego stoi napisane w papierze, nie chciałem tylko powiedzieć przy kowalu! Sąd powiadamia, byście przywieźli pięćset rubli zastawu albo poręczenie, to Antka zaraz wypuszczą... Co to wam?...

Nie odrzekła, głos jej odebrało, stanęła jak wryta, rumieńce pokryły twarz, potem zbladła kiej ściana, oczy się przyćmiły łzami, rozwiedła ręce i z ciężkiem westchnieniem jak długa rymnęła na twarz przed obrazami.

Rocho się wyniósł cichuśko, siedział na ganku i czytając jeszcze ten papier uśmiechał się zarówno rozradowany, zaś po jakimś czasie znowu zajrzał do izby.

Hanka klęczała na środku modląc się całą duszą, że dziw się jej serce nie rozpękło z radości i z onego żaru dziękczynień; krótkie, rwane westchnienia i szepty gorące zdały się całą izbę wypełniać błyskami, były kiej słupy serdecznego ognia pod stopy Częstochowskiej, żywą

krwią spływały. Umierała prawie ze szczęścia, łyzy ciekły strumieniami a wraz z nimi ściekała pamięć wszystkich bólów dawnych, pamięć krzywd wszelkich.

Podniosła się wreszcie i ocierając łyzy powiedziała Rochowi:

– Jużem teraz gotowa na nowe, bo choćby przyszło najgorsze, to już takie złe nie będzie.

Aż się zdziwił, tak nagle się przemieniła: oczy się zaiskrzyły, krew zagrała na białych policzkach, prostowała się, jakby jej z dziesięć lat ubyło.

– Uwińcie się ze sprzedażą, zróbcie, co potrzeba, pieniędzy i pojedziemy po Antka, choćby jutro albo we wtorek.

– Antek wraca! Antek wraca! – powtarzała bezwolnie.

– Nie rozprowadajcie! Powróci, to się i tak dowiedzą, zaś potem trzeba mówić, co go puścili przez zastawu: kowal nie będzie się was czepiał.

Nauczał cicho. Obiecała uroczyście, tylko jednej Józce zawierając tajemnicę, jeno co ledwie już zdzierzała tę straszną radość; chodziła kiej opita, całowała ciągiem dzieci, gadała do żrebaka, gadała do maciory, przedrzeźniała się z boćkiem, a Łapie, któren chodził za nią ze skamleniem i w oczy zaglądał, jakby cosik miarkując, szepnęła w same ucho niby człowiekowi:

– Cicho, głupi, gospodarz przeciek wracają!

I śmiała się, popłakując na przemian, Maciejowi długo o tym rozpowiadała, jaże oczy trzeszczył wystrachane i cosik mamlął językiem. Zabaczyła już o całym świecie, że Józka musiała przypominać, iż czas już się szykować do kościoła. Hej, ponosiło ją szczęście, ponosiło, że chciało się jej śpiewać, chciało się lecieć we świat i krzykać zbożom, co się do nóg kłaniały ze chrzęstem, drzewinom, ziemi wszystkiej:

– Gospodarz wracają! Antek wróci!

Jaże z onej radości Jagnę jęła zapraszać, bych razem poszły, ale Jagna nie chciała, wołała pozostać.

Nikto jej o Antku nie powiedział, ale domyśliła się łącznie wszystkiego z półsłówki i z tego, co Hanka wyprawiała. Poniesła i ją ta wiadomość i rozkołysała jakąś radosną, cichą nadzieją, że nie bacząc na nic poleciała do matki.

Nie w porę przyszła, trafiając akuratnie na srogą kłótnię.

Szymek bowiem zaraz po śniadaniu zasiadł pod oknem z papierosem w zębach, strzykał śliną na izbę, długo medytował, długo się ważył spoglądając na brata, aż w końcu rzekł:

– A to, matko, dajcie mi pieniędzy, bo na zapowiedzi muszę zanieść. Ksiądz pedział, bych przed nieszporama przyjsć na pacierze.

– Z kimże się to żenisz? – spytała z urągłym prześmiechem.

– Z Nastusią Gołębianką.

Nie odezwała się, krzątając się pilnie kole garnków i komina. Jędre podkładał drewek i choć się ogień buzował; dmuchał w niego ze strachu, zaś Szymek przeczekawszy z pacierz ozwał się znowu, jeno jakoś pewniej:

– Całe pięć rubli mi dacie, bo i zmówiny trza wyprawić...

– Posyłałeś to już z wódką, co? – pytała tak samo.

– Chodził Kłab z Płoszką.

– I przyjęła cię, co? – aż się jej broda trzęsła ze śmiechu.

– Jakże!... przyjęła, juści.

– Trafiło się ślepej kurze ziarno: jeszcze by nie, taka wywłoka!

Szymek się zmarszczył, ale czekał, co powie więcej.

– Przynieś wody ze stawu, a ty, Jędre, wieprzka wypuść, bo kwiczy...

Zrobili to prawie bezwolnie, a kiej znowu Szymek rozparł się na ławce i młodszy jał majdrować cosik pod blachą, stara rozkazała twarzym głosem:

– Szymek, picie zanieś jałowce!

– Wynieście se sami, za dziewczkę służył wama nie będę! – burknął hardo, rozpięając się na ławie jeszcze szerzej.

– Słyszałeś?! Nie doprowadzaj me do złości przy świętej niedzieli...

– Wyście też słyszeli, com rzekł: dajcie pieniędzy, a żywo!...

– Nie dam i żenić ci się nie przyzwolę! – buchnęła.

– I przez waszego przyzwolenstwa się obędę!

– Szymek, pomiarkuj się i ze mną nie zadzieraj!

Pochylił się naraz przed nią i pokornie podjął za nogi.

– Dyć was proszę; matko, dyć skamlę jak ten pies!...

Łzy mu zalały gardło.

Jędre też ryknął i dalejże matkę całować po rękę; obłapiać za nogi a molestować wraz z bratem.

Odgarnęła ich od siebie ze złością.

– Ani mi się waż przeciwic, bo cię wygonię na cztery wiatry!... – krzyknęła wytrząchając pięściami.

Ale Szymek już się nie uklęknął, matczyne słowa śmignęły go kiej biczem; że zakipiał, wyprostował się hardo i rodowa Paczesiów za-

wziętość buchnęła mu do głowy; postąpił na izbę i rzekł strasznie spokojnie, bodąc ją rozgorzałymi ślepiami:

- Dawajcie pieniądze a prędko!... czekał już ni prosił nie będę!
- Nie dam! – wrzasnęła rozjuszona oglądając się za czym do ręki.
- To sam se je znajdę!

Skoczył do skrzynki kiej ryś, jednym szarpnięciem oderwał wieko i zaczął z niej wywalać na podłogę obleczenia. Rzuciła się z wrzaskiem do obrony, próbowała go tylko zrazu odciągnąć, ale że ani na krok nie ustępował, wczepiła mu rękę w kudły, a drugą zaczęła bić po twarzy i głowie, kopać w zajdy i krzyzczeć wniebogłosy. Oganiał się jeszcze kiej od muchy uprzykrzonej, nie przestając szukać pieniędzy, jaże dostawszy gdziesik w słabiznę, otrząchnął się z taką złością, że padła na izbę jak długa, ale w ten mig się zerwała i chyciwszy pogrzebacz runęła znowu na niego. Nie chciał tej bitki z matką, to się jeno obraniał jeszcze, jak mógł, usiłując jej odebrać żelazo. Wrzask napełnił izbę. Jędrak, zanosząc się od płaczu, biegł dookoła nich i skamlał żałośliwie:

- Matulu, laboga!... Matulu!...

Jagna, wszedłszy właśnie na to, rzuciła się ich rozbrajać, ale na darmo, bo co Szymek się uchylił i w bok uskoczył, matka dopadała go znowu kiej ta suka rozjuszona i prała, kaj popadło, że już rozwścieczony z bólu oddawać zaczął. Szczepili się kiej psy i taczając się po izbie, tłukli się o ściany i sprzęty ze strasznym wrzaskiem.

Ludzie już zaczęli nadbiegać ze wszystkich stron, próbując rozdzielić – cóż, kiej przypięła się do niego niby pijawka i biła z oszalałą zapamiętałością.

Aż trzasnął ją pięścią między oczy, chycił za boki i rzucił kiej ocipką na izbę; potoczyła się i niby kloc całym ciężarem padła na rozpaloną blachę, pomiędzy gary pełne wrzątku, komin się rozwalił i wszystko się zapadło...

Juści, co zaraz ją wywlekli z rumowiska, ale chociaż była strasznie poparzona, nie bacząc na ból ni na tłące się kiecki, porywała się jeszcze na niego.

– Wynoś mi się, wyrodku przeklęty!... Wynoś się!... – ryczała nieprzytomnie.

Musieli przez moc gasić ogień na niej i przytrzymywać, bych chociaż twarz spaloną obwalić zmoczonymi szmatami, alić i tak się wydzierać.

- Żebych cię moje oczy więcej nie widziały... żebych cię...

Szymek zaś, ledwie już dychający, zbity i okrwawiony, jeno patrzył na matkę wytrzeszczonymi ślepiami, strach go ułapił za gardziel, trząsł się cały, słowa nie mogąc wykrztusić ni wiedząc, co się dzieje.

A ledwie się nieco uspokoiło, gdy naraz stara wyrwała się kobietom z rąk, skoczyła za komin do drąga z obleczeniem i zdzierając z niego Szymkowe rzeczy, jąła je wyrzucać przez okno do sadu...

– Precz z moich oczu! Nic tu twojego, moje wszystko, ani jednego zagonu ci nie dam, ani łyżki strawy, choćbyś zdychał z głodu! – wrzeszczała ostatkami sił i zmożona wreszcie przez srogie boleście padła z rozdzierającymi jękami.

Ponieśli ją na łóżko.

Ludzi się naszło, że zapchali izbę, w sieniach się już gnietli, a i przez okno wtykali głowy.

Jagna już głowę traciła, c nie wiedząc, co poczynać, bo stara już prosto ryczała z bólu... Jakże, toć całą twarz i szyję miała wrzątkiem oblane, ręce popieczone, włosy spalone i oczy, że ledwie widziała.

Szymek siadł w sadku pod ścianą chałupy, brodę wsparł na pięściach i jakby zastygł, okrwawiony, w siniakach cały i w tych krzepnących już soplach krwi na twarzy, nasłuchiwał jeno matczyńskich jęków.

– Mateusz przyleciał wkrótce i ciągnąc go za rękę rzekł:

– Chodź do mnie. Nic tu teraz po tobie...

– Nie pódę! Gront mój po ojcach, to na swoim ostane, nie ustąpię! – gadał z ponurą zaciętością, bezwolnie chytając się pazurami za węgieł.

Nie pomogły prośby ni molestowania, z miejsca się nie ruszył i zaprzestał odpowiadać.

Mateusz przysiadł pobok, nie wiedząc, co z nim począć, zaś Jędręk, zebrawszy właśnie powyrzucane kapoty, portki i koszule, związał je w płachtę i położył przed bratem nieśmiało.

– Pódę z tobą, Szymek, we świat, pódę! – skamlał rzewliwie popłakując.

– Psiachmać!... pedziałem, nie ruszę się stąd, to się nie ruszę!... – wrzasnął tłukąc pięściami we ścianę, jaże Jędrzych przykucnął ze strachu.

Zmilkli, gdyż nowe straszne jęki rozległy się w izbie: to Jambroż opatrywał chorą, obłożył poparzone miejsca młodym, niesolonym masłem, przykrył jakimiś liśćmi, na które znów nawalił zsiadłego mleka i wszystko owinął w mokre szmaty. Przykazawszy Jagusi, by co pa-

cierz zlewała zimną wodą, poleciał śpiesznie do kościoła, gdyż sygnaturka zadzwoniła.

Czas już było na sumę, ludzie walili całą drogą, wozy turkotały i sporo znajomych zaglądało po drodze do chorej, jaże Jagna drzwi musiała zawrzeć przed ciekawymi, tyle co jedna Sikorzyna z nią pozostała.

Wkrótce i uspokoiło się całkiem. Dominikowa ucichła, od kościoła roznosiło się ciche, brzęczące granie organów i głosy śpiewań tchnęły wskroś sadów rozełkanym, pieściwym trzepotem.

Słońce galanto przypiekało, w przypołudniowej cichości drzewa stały bez ruchu, jeno niekiedy zatrzęsła się jaka gałązka i zamrowiły się cienie, ptactwo pomilkło, zaś czasami ruszyły zboża i dzwoniąc cichuśkim chrzęstem, zagrały płowymi grzywami.

Chłopaki wciąż siedziały pod chałupą. Mateusz z cicha prawił, Szymek kiwał jeno głową, zaś Jędrzych leżąc przed nimi wpatrywał się w dym Mateuszowego papierosa, co jakby niebieską pajęczyną wynosił się ponad strzechę.

Jagna wyszła z wiadrem po wodę do stawu.

Wtedy Mateusz się podniósł, przyobiecując przyjść jeszcze po obiedzie, do kościoła zamierzał iść, ale dojrawszy, iż Jagusia siedzi nad wodą, przystąpił do niej.

Wiadro stało nabrane, nogi trzymała we wodzie.

– Jagusia!... – szepnął cicho, przystając pobok pod olszą.

Spuściła prędko wełniak na kolana i spojrzała na niego, ale miała tak przeplakane oczy i żałości a smutku pełne, że mu się serce zatłukło.

– Co ci to, Jaguś? choraś?...

Drzewa się zakolebały bez szumu, sypiąc na jej jasną głowę ulewę migotliwych brzasków i cieniów, kieby ten deszcz zielonożłoty.

– Ni... jeno mi niedrójko na świecie, nie... – odwróciła oczy.

– Bym ci co pomógł, zaradził... – rzekł serdecznie.

– Hale? uciekłeś wtedy na ogrodach i już się nie pokazał...

– Boś me skrzywdziła!... Śmiałem to? Jaguś... – pokorny już był i dobry.

– Aleć potem wołałam za tobą, nie usłuchałeś...

– Wołałaś to, Jaguś? naprawdę?!...

– Rzekłam!... Wydrzeć bym się mogła, a niktoby się nie pokwapił!... Kto ta stoi o sieroty?... Skrzywdzić to kaźden gotowy i sponiewierać!

Luna oblała jej twarz, odwiodła głowę i w zakłopotaniu jęła rozgarniać wodę nogami. Mateusz też się cosik zamedytował.

Cichość się znowu przedła; granie organów sączyło się kojącą, cichuską smugą, staw polśniewał i koliste gurby roztaczały się od nóg Jagusinowych kiej węże pręgowate, cienie się mrowiły po nadbrzeżnej gładzi, zaś pomiędzy nimi zaczęły już latać spojrzenia i wiązać się między sobą...

Mateusza coraz silniej ciągnęło do niej, że wzięłyby ją był na ręce kiej to dzieciątko i z nieopowiedzianą dobrością przyhołubił a uspokajał...

– Myślałam, coś mi nieprzyjazny... – ozwała się cichusko.

– Nigdy ci krzyw nie był... nie baczysz to?...

– Hale, może łoni, kiedyś... a teraz tak jak drudzy... jak... – szepnęła niebacznie.

Rzuciło nim nagłe przypomnienie, wstał w nim gniew i zazdrość.

– Boś... boś...

Nie, nie poredził wyrzucić ze siebie, co go dusiło, pohamował się jeszcze, że jeno krótko i twardo powiedział:

– Ostaj z Bogiem!...

Musiał uciekać, aby jej wójta nie wypomnieć.

– Uciekasz, a cóżem ci to znowu za krzywdę zrobiła?...

Wylękała była i rozżalona.

– Nie... nie... jeno. – mówił prędko, zaglądając w jej modre, przepłakane oczy, a żal, tkliwość i gniew nim miotały – jeno przepędź tę pokrakę od siebie, przepędź, Jaguś... – prosił gwałtownie.

– Abom go to przyciągała? abo go to trzymam! – krzyknęła gniewnie.

Mateusz stanął niepewny i wielce skłopotany.

Płacz ją chwycił, łzy jak groch sypnęły się po rozognionej twarzy.

– Taką krzywdę mi zrobił... tak me spoił... a niktó się za mną nie upomni... niktó się nie ulituje, a wszyscy na mnie bij zabij! Cóżem to winowata?... co? – skarżyła się z boleścią.

– Ja mu, ścierwie, odpłacę! – wybuchnęła podnosząc pięście.

– Odpłać, Mateusz! Odpłać, a ja już ci... – przywtórzyła zawzięcie.

Już się nie odezwał, jeno poleciał ku kościołowi.

Długo jeszcze siedziała nad stawem rozmyślając o Mateuszu, że może się za nią ujmie, a krzywdzić nie pozwoli.

– A może i Antek – przyszło jej naraz do głowy.

Powróciła do domu, pełna cichych i radosnych przeczuć

Dzwony zaczęły bić, naród wychodził z kościoła, zaroiły się wnet drogi a rozgłośniały turkotami wozów i rozmowami, śmiechy dzwoniły w powietrzu, szli całymi kupami, postając niekiedy przed opłotkami, tylko przed chałupą Dominikowej ludzie jakoś cichli, spoglądali na siebie i przechodzili z zaszępienymi twarzami; nawet nikt nie zajrzał do chorej.

Wnet ci rozgwarzyła się cała wieś, rozgwarzyły się izby a sienie i progi; po sadach też było głośno i rojno, gdyż zasiadano do obiadów pod drzewami, w cieniach a chłodzie, że wszędy było widać jedzących, skrzybot łyżek, szczęk mich; a zapachy jądła i skamłania piesków roznosiły się w skwarnej ciszy.

Tylko u Dominikowej było głucho i pusto: nikt się nie pokwapił z odwiedzinami. Stara pojękiwała w gorączce, Jaguś nie mogła już wysiedzieć, stawała w progu, to wychodziła aż na drogę, to znowu długie czasy patrzyła tęsknie przez okno, zaś Szymek, jak i przódzi, siedział pod chałupą, tyle co jeden Jędrzek głowy nie stracił i wziął się po drugiej stronie domu do gotowania strawy.

Dopiero w jakiś czas po obiedzie zajrzała do nich Hanka, jeno że jakaś była dziwna, rozpytywała o wszystko, turbowała się wielce o chorą, a ukradkiem, przyczajonymi oczyma chodziła za Jagną, wzdychając frasobliwie.

Pokróctce i Mateusz przyleciał do Szymka.

– Pójdiesz z nami do Miemców? – pytał.

– Gront mój po ojcu, nie ustąpię z miejsca – gadał swoje chłopak.

– Nastusia czeka na ciebie, przeciek macie ponieść na zapowiedzie.

– Nie pójdę nikaj... gront mój po ojcach...

– Głupie ośliisko! nikto cię za ogon nie ciąga... a siedź se choćby do jutra! – rozgniewał się, a że akuratnie Jagna odprowadzała Hanke w opłotki, przyłączył się do niej, nawet nie spojrzawszy na tamtą.

Poszli razem drogą nad stawem.

– Rocho przyszli już z kościoła? – zagadał

– Przyszli; już tam i sporo chłopów czeka.

Obejrzał się. Jagna patrzyła za nimi, więc odwracając się śpiesznie, zapytał cicho, nie patrząc w oczy:

– Prawda to, że ksiądz z ambony kogoś wypominał?...

– Słyszałeś, a jeszcze za język ciągniesz.

– Przyszedłem już po kazaniu, powiedali mi o tym, ale myślałem, co jeno cyganią tak la śmiechu.

– I nie jedną wypominał... jaże pięściami wytrząchał... Przykarcać głośno i na drugie kamieniami frygać to kaźden sprawny... jeno złemu przeszkodzić nie ma komu – zmartwiona była głęboko i zła – Ale wójta to ni słowem nie tknął, a on tu zawinił najbarzej – dodała ciszej.

Mateusz zaklął siarczyście i chociaź chciał jeszcze o coś pytać, zbrakło mu odwagi. Szli w milczeniu. Hanka czuła się głęboko dotknięta całą sprawą.

– Juści, że Jagna grzeszyła, juści, że trzeba ją było skarcić, ale żeby ją zaraz wypominać z ambony prawie po imieniu... tego już za wiele... Borynową była żoną, nie jakąś latawicą... – myślała rozżalona. Co pomiędzy nimi było, to ich sprawa, a drugim wara od tego.

– Magdy ni młynarzowych dziewczek to nie wypomina: wiadomo przeciek, co wyrabiają! A na dwórki z Woli też nie wygraża pięściami, zaś o dziedzicze z Głuchowa, choć cały świat wie, jak się tłucze z parobkami, głosu nie podniesie! – mówiła w najgłębszym oburzeniu.

– To prawda, co i Tereskę wypominał? co? – ledwie dosłyszała pytanie.

– Obiedwie wypominał; wszyscy pomiarkowali, o kim gada.

– Ktoś go musiał na nią podmówić – zaledwie zdzierzył wzburzenie.

– Powiadali, że to Dominikowej robota albo i Balcerkowej; jedna się mści na tobie za Szymka i Nastkę, zaś druga chciałaby cię odciągnąć do swojej Marysi.

– To tam raki zimują! Że mi to nawet do głowy nie przyszło...

– Chłopy zawdy to jeno widzą, co mają na oczach jak wół widne.

– Na darmo się truzi Balcerkowa, na darmo!... jeszcze co oberwać może od Tereski... A na złość Dominikowej Szymek musi się ożenić z Nastką: już ja tego dopilnuję! Ścierwy baby!

– One swoje sprawy robią, a bez to niewinne cierpią – rzekła smutnie.

– I tak jedni na drugich nastają, że już ciężko we wsi wytrzymać.

– Jak Maciej był, to i miał kto załagodzić, mieli się słuchać kogo.

– Juści, wójt trąba, głowy do niczego nie ma i wyprawia takie historie, że posłuchu mieć nie może w narodzie: Żeby choć Antek wrócił!...

– Wróci niezadługo, wróci! Ale kto go ta posłucha? – oczy jej rozbłyły.

– Jużeśmy o tym z Grzelą i chłopakami radzili, że jak powróci, to już my razem zrobimy we wsi porządek. Obaczycie!

– Byłby czas: dyć wszystko się rozwodzi jak te koła bez luśni.

Doszli wraz do chałupy; na ganku siedziała już gromada.

Mieli ruszyć w kilkunastu gospodarzy i co przedniejszych parobków, chociaż zrazu cała wieś napierała się iść, jak wtedy na bór.

Zebrał się oczekując z niecierpliwością na resztę.

– Wójt także powinien z nami iść! – zauważył któryś ostrugując kij.

– Do powiatu wezwał go naczelnik; pisarz mówił, co po to, aby zwołać zebranie i uchwalić szkołę w Lipcach i Modlicy.

– Niech zwołują: przeciek nie uchwalim! – zaśmiał się Kłęb.

– Byłby zaraz. z tego nowy podatek z morga, jak w Dołach.

– Pewnie; ale skoro naczelnik przykaże, to usłuchać musimy – zauważył sołtys.

– Cóż on tu ma nam do rozkazywania? Niech se strażnikom przykazuje, by wespół ze złodziejami nie kradli.

– Zuchwale se poczynasz, Grzela! – ostrzegał sołtys. – Już niejednego ozór dalej powiodł, niżli mu się chciało.

– Mówił będę, bo nasze prawo znam i naczalstwa się nie bojam, je-no wam, ciemnym baranom, łydy dygoczą przed bele łachmytkiem z urzędu.

Wrzeszczał, że stropili się taką zuchwałością i niejednemu skóra ścierpła ze strachu. Kłęb podjął:

– Po prawdzie, taka szkoła nam na nic... Mój Jadam całe dwa roki chodził do Woli, nauczycielowi dowoziłem, po korczyku ziemniaków, kobieta też masła i jajków dała mu na święta, a z tego wyszło, co na książce do nabożeństwa przeczytać nie potrafi, zaś po ruskiemu też ani me, ani be... Młodsze co się bez zimę uczyły u Rocha, to nawet pisane rozbierają i na pańskich książkach przeczytać poredzą...

– To Rocha ugodzić i niechby dalej nauczał; dzieciom szkoła barzej jest potrzebna niżli buty – wtrącił znów Grzela.

Na to sołtys wsunął się w gromadę i zaczął mówić półgłosem:

– Rocho byłby najlepszy, to wiem... moich chłopaków wyuczył... ale nie można. Urząd musiał już coś przewąchać i ma na niego oko... Starszy me spotkał w kancelarii i sielnie wypytywał o niego... Nie rzekłem mu wiele, że zeźlił się na mnie i jał wpierać, jako on dobrze wie, co Rocho dzieci naucza i książki polskie a gazety rozdaje ludziom... Trza go ostrzec, by się miał na bacności.

– Zła sprawa! Dobry człowiek, pobożny, ale przez niego może spaść na wieś bieda... trza cosik zaradzić... a prędko – wykladał stary Płoszka.

– Ze strachu to byście go i wydali... co? – szepnął zjadliwie Grzela.

– Jakby naród buntował przeciw urzędowi, a na szkodę wszystkim, to każdy by zrobił to samo. Młodyś, ale ja dobrze baczę, co się dzieje w tę wojnę panów, jak za bele co chłopów krajali batami. Nie nasza to sprawa.

– Wójtę chcecie zostać, a głupiście kiej but dziurawy! – dorzucił mu Grzela.

Przerwali, bo Rocho wyszedł z izby, powiódł oczyma po ludziach, przeżegnał się i zawołał:

– Pora już! chodźmy w imię Boże!

Przodem ruszył, a za nim chłopcy wywalili się na środek drogi, zaś z tyłu pociągnęło nieco kobiet i dzieci.

Skwar też już przeszedł, przedzwanieli właśnie na nieszpór, słońce przetaczało się ku lasom, niebo wisiało pogodne i jasne, zaś skraje były tak przejrzyste; że nawet dalsze wsie wynosiły się przed oczyma kieby na dłoni, a w zieleni borów okiem mógł rozeznaczyć żółte pnie sosen, białe gałęzie brzoźek i szare, wielgachne dęby.

Kobiety zostały za młynem; a chłopcy szli wolno pod wzgórze. Kurz się wzbijał za nimi, że jeno niekiedy zabielała jakaś kapota.

Szli w milczeniu. Twarze były surowe, miny zadzierzyste, a oczy wynosiły się hardo, nieustępliwie.

Zaś la ochoty bili niekiedy o ziemie dębowymi lagami, a czasem to i ktoś w garście pluł i prężył się kiejby do skoku.

W godnym porządku ciągnęli jakby za procesją, bo jeżeli któremu wyrwało się jakie słowo, wnet ścichnął pod karcącymi spojrzeniami: nie pora była na rajcowanie, każdy się stulał w sobie i krzepą wzbierał.

Na kopcach granicznych pod krzyżem przysiedli ździebko odpocząć, ale i teraz nikt się nie odezwał; bładzili jeno cichymi oczyma po świecie. Lipeckie chałupy ledwie widać było zza sadów, złota bania na kościelnej wieży błyszcziała w słońcu, pola się zieleniły jak okiem sięgnąć, na pastwiskach pod lasem gmerały się rozsypane stada, dym niebieską strugą wynosił się pod borem z jakiegoś ogniska i śpiewania dziecięce dzwoniły, a granie fujarek roznosiło się po całej ziemi strojnej we zwiesnę, w radość, w dziwny spokój, że niejednemu wezbrało serce cichym żalem i obawą, niejednemu westchnął ciężko i trwożnie zerkał na Podlesie...

– Chodźmy, nie o plewy przecież idzie! – przynaglał Rocho, dobrze miarkując, że się ociągać poczynają.

Skęcili prosto do zabudowań folwarcznych, starą zachwaszczoną drogą, że kiejby kwietna wstęga leżała wskroś zbóż zielonych; nędzne żyta niebieszczały od modraków spóźnione owsy żółciły się całe od ognich, pszenice wymiękłe a przypalone czerwieniały od maków, zaś ziemniaki ledwie co wschodziły. Opuszczenie było widne na każdym kroku i niedbalstwo.

– Prosto żydoska gospodarka, jaże patrzeć boli! – mruknął któryś.

– Najgorszy parobek, a jeszcze lepiej w groncie robi!

– Bo drugi, choćby i dziedzic, a nawet tej świętej ziemi nie poszanuje!

– Doi ją i doi kiej głodną krowę, to i nie dziwota, co zjałowiła.

Wyszli na ugory. Okopcone i zrujnowane zręby budynków wznosiły się już niedaleko, spalony sad poczerniałymi szkieletami drzew, wyciągających się boleśnie ku niebu, otaczał czworaki dworskie o zapadłych dachach i sterczących kominach, zaś pod ścianami, w chudych cieniach pomartwiałych gałęzi, widać było gromadę ludzi. Miemcy to byli. Antał piwa stał na kamieniach, ktosik w progu przygrywał na fleciku, a oni siedzieli, porozwalani na ławkach i trawie, w koszulach jeno, z fajami w zębach, i pili z glinianych garnczków; dzieci barszkowały kole domu a pobok pały się tęgie krowy i konie.

Musieli dojrzeć idących, gdyż jęli się zrywać, przysłaniać oczy garściami, a patrzeć ku nim i cosik wrzeszczeć, ale jakiś stary Szwab zaszargotał ostro, że wnet przysiedli ma miejsca spokojnie, pociągając z kuflów; flecik zagwizdał nutą jeszcze słodsza, skowronki dzwoniły prawie nad głowami, a ze zbóż sypało się gęste, nie milknące strzykanie świerszczów i kajś niekajś głos przepiórki się wyrwał.

A chociaż spieczona ziemia dudniała pod chłopami, a podkówki szczękały o kamienie coraz bliżej, Niemcy się ani poruszyli, jakby nic nie słysząc, a jeno lubując się piwskim i tą słodkością, jaką tchnęło powietrze przedwieczera.

A chłopcy już dochodziły, coraz ciężej szli jeno i wolniej, powstrzymując sapania i kije zaciskając; serca się zatłukły, gorący dygot warem oblewał krzyże, gardziele zasychały, ale grzbiety się przeżyły i ślepie rozgorzałe hardo wżerały się w Miemców, a z twarzy kieby zastygłych biła surowa zawziętość i nieustępliwa moc.

– Niech będzie pochwalony! – rzekł Rocho po niemiecku, przystając, a za nim półkolem stanęła gromada cisnąc się i przywierając ramionami.

Niemcy chórem odpowiedzieli, nie ruszając się z miejsc. Jenó ten stary, ze siwą brodą, podniósł się i pobladły wodził oczyma po ciżbie.

– Ze sprawą przysliśmy do was – zaczął Rocho.

– To siadajcie, gospodarze, z Lipiec, widzę, jesteście, to ogadamy po sąsiedzku! Johan, Fryc, ławek dla sąsiadów.

– Bóg zapłać, sprawa krótka, to postoiimy.

– Nie musi być krótka, kiedyście całą wsią przyszli! – zawołał po polsku.

– Bo wszystkich zarówno obchodzi.

– Jeszcze trzy razy tyle zostało w domu! – powiedział z naciskiem Grzela.

– Bardzośmy wam radzi, a kiedyście przyszli pierwsi, to może piwa się z nami napijecie... na sąsiedzką zgodę... Należcie no, chłopcy...

– Wychlaj se sam! Jaki szczodry! Nie na piwo przyślim! – zakrzy czeli gorętsi.

Rocho ich przyciszył oczyma, a stary Niemiec rzekł kwardo:

– No, to słuchamy!

Cichość padła, sapanie a krótkie przydechy się rozległy, Lipczaki barzej się zwarty, dreszcz przejął wszystkich, ca Niemcy też stanęli jak jeden, wynieśli się naprzeciw zwartą kupą i jęli złymi ślepiami wpierać w chłopów, za brody targać, nabzdyczać a cosik z cicha mamrotać.

Kobiety trwożnie wyglądały oknami, dzieci kryły się po sieniach, zaś jakieś wielgachne, rude psy warczały pod ścianami, a oni z dobre Zdrowaś stojali tak naprzeciw w głębokiej cichości kieby to stado baranów, co już ślepiami krwawo toczy, przebiera kopytami, grzbiety pręży, łby przygina i leda chwila runie na się rogami, aż Rocho prze rwał:

– Przyślim od całej wsi po to – mówił po polsku, głośno i wyraźnie – by was prosić po dobroci, żebyście nie kupowali Podlesia...

– Tak! Juści! Po to! – przywtórzili za nim trzaskając kijami.

Tamci zrazu osłupieli.

– Co on gada? Czego chce? Nie rozumiemy! – bełkotali uszom nie wierząc.

Więc im Rocho raz jeszcze i po niemiecku powtórzył, a ledwie skończył, Mateusz ciepnał zapalczywie:

– I byście se, pludry, poszły do wszystkich diabłów!

Skoczyli naraz jakby ukropem polani, wrzask buchnął, krzy czeli kłębiąc się a szwargocąc zajadle, trzających kulasami, tupiąc ze złością, że już niejeden z pięściami darł się ku chłopom i wygrażał, ale stali

nieporuszeni jak mur, pałac srogimi oczyma, ręce się im jeno trzęsły, a zęby zacinały.

– Czyście wy wszyscy powariowali? – wołał stary podnosząc ręce.

– Wzbraniacie nam kupować ziemię! Dlaczego? Z jakiego prawa?...

Znowu mu Rocho wyłożył wszystko spokojnie, szeroko i jak się patrzy, ale Niemiec poczerwieniawszy ze złości, wrzasnął:

– Ziemia jest tego, kto za nią płaci!

– Tak wygląda po waszemu, ale po naszymu jest inaczej, że powinna być tego, komu jest potrzebną – powiedział uroczyście.

– A to w jaki sposób, za darmo może, po zbójceku? – kpił urągliwie.

– Za te dziesięć palców, duża płata! – odpowiedział tak samo Rocho.

– Głupie gadanie! Co tu będziemy czas tracili na żarty, Podlesie kupiliśmy, jest nasze i pozostanie, a komu się to nie podoba, niech idzie z Bogiem i omija nas z daleka. No, czego jeszcze czekacie?...

– Czego? By wam powiedzieć: wara od naszej ziemi! – buchnął Grzela.

– Wynoście się sami, póki was gonić nie zacniem.

– Póki jeszcze prosimy po sąsiedzku! – wołali drudzy.

– Grozicie. Do sądu podamy! Znajdziemy na was sposób, nie odśiedzieliście jeszcze za las, to wam przyłożą i razem odrobiecie! – drwił stary, ale już się trząsł ze złości, a i drugie ledwie się hamowały.

– Wszarze przekłete!

– Zbóje! Psy śmierdzące! – wrzeszczeli po swojemu wijąc się w kupie kiej przydeptane gadziny.

– Cicho, psiekrwie, kiej naród do was mówi! – zaklął Mateusz, jeno że się nie ulękli, krzycząc coraz głośniej i całą kupą się przysuwając.

Rocho, bojąc się bitki, ogarniał chłopów, przyciszał i do spokoju niewolił, ale mu się wrywali krzycząc jeden przez drugiego:

– Zdzielże który w łeb pierwszego z brzega.

– Juchy im ździebko wypuścić!

– Damy się to; chłopcy? z całego narodu się wytrząsają!

– I na swoim nie postawimy? – wołali drudzy zachęcając się a ciśnąc coraz bliżej i groźniej, aż Mateusz odgarnął Rocha na stronę i wysunął się przed Niemców, kiej wilk błyskając zębami.

– Słuchajta, Miemcy! – ryknął wyciągając pięście. – Mówiliśmy do was po ludzku, pocziwie, a wy grozicie kreminalem i przekpiwacie się z nas! Dobra, ale teraz zagramy z wami inaczej! Nie chceta zgody, to

wama zapowiadamy przed Bogiem i ludźmi, jak pod przysięgą, że na Podlesiu nie wysiedzicie! Przyszlim z pokojem, a wy chceta wojny! Dobra, kiej wojna, to wojna! Mata za sobą sądy, mata urzędy, mata pieniądze, a my jeno te gołe pięście... Obaczymy, czyje będzie górą! A jeszcze to wam dołożę, byście zapamiętali... jako ogień ima się słomy, ale zeżre i murowańce, a chyta się i zboża choćby na pniu... bydło też pada na paśnikach... zaś żaden człowiek nie uciecze od złej przygody... Spamiętajta, co rzekłem: wojna w dzień i w nocy, i na każdym miejscu...

– Wojna! Wojna! i tak nam, Panie Boże, dopomóż! – huknęli wraz.

Niemcy skoczyli do drągów leżących pod ścianą; kilku wyniosło fuzje, to za kamienie chwytano, kobiety podniosły wrzask.

– Niech no który strzeli, a wszystkie wsie tu zlecą.

– Zastrzelisz, pludro, jednego, to cię drudzy kijami zatłuką jak psa parszywego.

– Nie zaczynajcie, Szwaby, bo z chłopami nie zdzierżyta.

– A waszego mięsa i głodny pies nie tknie.

– Tknij me, pludro jedna, tknij – grozili zuchwale i wyzywająco. Stali już z bliska, ślepiami się jeno bodąc, przestępując z nogi na nogę, trzaskając kijami a wrzeszcząc zajadle, że wymysły i pogrozy latały nad głowami kiej kamienie, już się wyciągały pazury i niejeden aż dygotał z gotowości, gdy Rocho ogarnął swoich i odwiódł w tył, chłopcy rade nierade odwracały się półbokiem i czujnie, pilnując zajdów, odchodzili, tym ci szydlawiej za się krzykając:

– Ostajta z Bogiem, świńskie pomioty!

– I czekajcie, aż wam czerwony kogut zapieje!

– Zajrzymy tu potaćcować z waszymi pannami!

Jaże ich Rocho musiał przyciszyć, tak srodze gębowali.

Zmierzch się już kładł na ziemiach, słońce zaszło, chłodny wiaterek przegarniał zboża, że kłoniły się dzwoniąc kłosami, wilgotniały trawy od ros siwych, głosy piszczałek i dziecińskie wrzaski roznosiły się od wsi, żabie rechoty grały na bagniskach i szedł już światem cichy i pachnący wieczór.

Chłopi wracali wolno, rozpięte kapoty powiewały niby białe skrzydła; szli gwarnie, przystając co chwila, któryś już śpiewał, jaże bory oddawały, jensi gwizdali z uciechy, to gwarząc obejmowali gorącymi ślepiami podleskie ziemie.

– Gronty łączno podzielne! – rzekł stary Kłab.

– Juści, gospodarki można by wykrajać kiej plastry miodu, jedna w drugą; i każda z łąką i paśnikiem.

– Byle jeno Miemcy ustąpiły! – westchnął sołtys.

– Nie turbujcie się, już my w tym, że ustąpią – zapewniał Mateusz.

– Wziąłbym tę ziemię z kraju; przy drodze – szepnął Pryczek Adam.

– A mnie by się widziały w pośrodku, te z figurą – rzekł inszy parobek.

– Ja bym się darł o te od Woli.

– Cie, żeby tak dostać na ogrodach po foliwaraku!

– Jaki mądrała, najlepsze by chciał!

– Wystarczy la wszystkich po kawale – uspakajał Grzela, bo już byli się sprzeczać zaczęli.

– Jeżeli dziedzic się zgodzi, a odda wam Podlesie, to niemała praca was czeka, niemały trud – ozwał się Rocho.

– Wydolim! wydolim wszystkiemu! – wołali radośnie.

– Owa! nie straszna praca na swoim!

– Nawet wszystkim dziedzicowym ziemiom byśmy poradzili.

– Niech jeno dadzą, a obaczycie!

– Człowiek bych się wparł w ziemię kiej drzewo i niech mu kto porędzi, niech poprobuje wyrwać!

Rozgwarzali się między sobą, coraz prędzej idąc, bo już od wsi zaciemniała gromada kobiet biegnących naprzeciw.

ROZDZIAŁ 11

Już tak dniało, że caluśki świat pokrył się był sinawą modrością kiej śliwa dojrzała, gdy Hanka zajechała przed chałupę, jeszcze leżącą we śpiku, ale na ostry turkot bryki dzieci wypadły z wrzaskiem i Łapa jął szczekać radośnie i wyskakiwać przed końmi.

– A kaj Antek? – krzyczała z proga Józka nadziejąc przez głowę wełniak.

– Za trzy dni dopiero go puszczą, ale powróci już niechybnie – odpowiadała spokojnie, całując dzieci, a rozdając im kukielki.

Witek też wyleciał ze stajni, a za nim źrebak, któren ze rzeniem jął się dobierać do klaczy, Pietrek wyciągał z wasaga sprawunki.

– Koszą to? – pytała siadając zaraz w progu, by dać piersi najmłodszemu.

– W pięciu zaczęli wczoraj w południe, Filip, Rafał i Kobus za odrobek, a Kłębów Jadam i Mateusz przynajęci.

– Mateusz Gołąb, cie?...

– Juści, mnie też było dziwno, ale sam chciał, powie, jako nie chce do cna zgarbacieć przy ciosołce, to musi se grzbiet wyprostować przy kosie.

Jagna wywarła okna po swojej stronie i na świat wyjrzała.

– Śpią to jeszcze ociec?

– W sadzie leżą, nie wnosilim go na noc, bo w izbie strasznie gorąco.

– Jakże tam z matką?

– Po dawnemu, choć może i ździebko lepiej. Jambroż lekują, przychodził wczoraj i owczarz z Woli, okadził ją, maście jakieś dał i pedział, co do dziewięciu niedziel będą zdrowi, byle jeno na światło nie wychodzili.

– To pono najlepsze na oparzelinę! – odrzekła, za czym dając dziecku z drugiej piersi, wypytywała skwapliwie o wczorajsze nowiny, jeno krótko to trwało, bo biały dzień się już robił, zorze zrumieniły niebo i zagrały brzaskami w powietrzu, rosy skapywały z drzew, ptaki zaświergotały po gniazdach i na wsi już się kajś niekaj rozlegały beki

owiec i porykiwania stad wypędzanych na pastwiska, zaś ktosik zaczął naklepywać kosę, że cieniuśki, ostry brzęk rozdzwaniał się przenikliwie.

Hanka co jeno rozdziawszy się z drogi pobiegła do Boryny; leżał w półkoszku pod drzewami, przykryty pierzyną i spał.

– Wiecie! – zaszepiała targając go za rękę – Antek za trzy dni powróci. Odstawili go do guberni, Rocho pojechał za nim z pieniędzmi, zapłaci tam okup i razem już powrócą!

Stary siadł raptem, przecierał oczy i jakby słuchał, ale wnet się zwalił w pościel i zaciągnawszy pierzynę na głowę, jakby zasnął znowu.

Nie było z nim co gadać i akuratnie kosiarze wchodzili w opłotki.

– Kole kapuśnisków położylim wczoraj łąkę – objaśniał Filip.

– A idźcie dzisiaj za rzekę, przy kopcach, Józka pokaże wama.

– To ta na Kaczym Dołku, karwas tego galanty.

– I trawa po pas jak bór, nie taka, jak wczorajsza.

– Taka to kiepska, co?

– Juści, wyschła prawie, jakby szczotkę kosił.

– Rosa obeschnie, to można by ją już dzisiaj przetrząsnąć.

Poszli zaraz, jeno Mateusz, zapalający coś długo papierosa u Jagusi, ruszył na ostatku i jeszcze się łakomie za się oglądał, kiej ten kot odegnany od mleka.

I z drugich domów jęli też gęsto wychodzić na kośbę.

Słońce właśnie co ino się pokazywało, ogromne i rozcierwienione, dzień robił się ciepły, na spiekotę znowuj się miało.

Kosiarze ruszyli gęsiego, wyprzedzani przez Józkę wlekącą tykę; kto pacierz mrucał, kto się jeszcze przeciągał i ślepie tarł ze śpiku, a kto rzucał niekiej jakieś zbędne słowo, przeszli za młyn; na łęgach leżały niskie, rzadkie mgły, kępy olch widziały się kiej krze dymiące, rzeka przebłyskiwała niekiedy spod sinych przesłon oroszone trawy stały pochylone; czajki już kwiliły kajś niekaj, a żarzące się od wschodu powietrze pachniało wilgotnym kwieciem.

Józka, dowiódłszy ich do kopców, odmierzyła ojcową łąkę i zaktknawszy na granicy tykę poleciała z powrotem.

Pozrucali spencerki, podwinęli portki do kolan, rozstawili się pobok i wparłszy drzewce w ziemię jęli raz po razie gładzić kosy osełkami.

– Sielna trawa jak kozuch, niejeden dobrze się zapoci – rzekł Mateusz stając na pierwszego i próbując rozmachu.

– Wysoka i gęsta, nabierają se siana, no! – rzekł drugi stając obok.
 – Byle ino pogodnie sprzątnęli – rzekł trzeci rozglądając się po niebie.
 – Skoro człowiek łąkę kosi, leda baba deszcz uprosi – zaśmiał się czwarty.

– Prawda to była po inne roki, ale nie latoś! – zaczynaj, Mateusz.

Przeżegnali się wraz, Mateusz przyciągnął pasa, rozkraczył się nieco, przygiął bary, w garście splunął, nabrał dechu i szerokim rozmachem spuścił kosę, tnąc już raz za razem, a za nim drudzy, ostawiając nieco na skos, by se nóg nie podciąć, czynili toż samo, wcinając się posobnie w omgloną łąkę i chlaszcząc równym, spokojnym rzutem kos, zimne ostrza jeno łyskały ze świstem i trawy kładły się ciężko osypując ich rosą kieby tymi łzami.

Wiater jał ździebko przegarniać trawy i czajki coraz jękliwiej krzyczały nad nimi, czasem kuropatki furknęły spod nóg, ale oni, kołysząc się z prawej strony na lewą, cięli niestrudzenie wpierając się w łąkę piędź za piędzią, tylko niekiedy przystawał któryś kosę naostrzyć lebo grzbiet wyprostować i znowu siekł zawzięcie ostawiając za sobą coraz dłuższe pokosy i wgniecione ślady nóg.

Zaś nim słońce wyniesło się nad wieś, już całe łąki jaże jęczały pod kosami, wszędy kosili, wszędy błyskały sine ostrza, roznosiły się zgrzytliwe ostrzenia i wszędy bił mocny zapach traw więdnących.

Pogoda była jakby wybrana na sianokosy, bo chociaż stara powiadka mówi: „Zaczynj sianokosy, zapłaczą wnet niebiosy”, ale latoś stało się jakby na przekór. Miasto deszczów przyszła susza.

Dnie wstawały oblane rosami, a rozpalone kiej człowiek w gorąccie, i kładły się we wieczory zionące spiekotą, że już wysychały studnie i rzeczki, zboża żółkły, okopowizny więdły, robactwo rzuciło się na drzewa, owoc oblatywał, krowy ostawiały mleko, że to głodne wracały z wypalonych pastwisk, gdyż dziedzic jeno tym pozwalał paść w porębach, które zapłaciły po pięć rubli z ogona.

Juści, co nie wszyscy mogli wywalić tyle gotowego grosza.

Ale i bez te różności przednowek stawał się coraz cięższy, zwłaszcza la komorników i drugiej biedoty.

Rachowali jeno, co na święty Jan muszą przyjść deszcze i wszystko w polach jeszcze się poprawi, nawet już na tę intencję na mszę dawali, nic jednak nie pomogło, susza wciąż trwała.

Do garnków u niejednego nie było co wstawić, ale za. to nie brakowało swarów ni kłótni i wyrzekań. Może jeszcze nigdy, jak jeno za-

pamiętali najstarsi, nie było w Lipcach tyle spraw różnych, a to o sądy za las się kłopotali, a to wójtowe sprawy kłyżniły ciągiem ludzi między sobą, a to Dominikowej spory ze synem, a to Miemcy, a to pomniejsze, sąsiedzkie spory, tyle tego było, że prawie zapominali o biedzie, żyjąc kieby w tym kotle w ciągłych plotach i swarach.

Nie dziwota też, że skoro nadeszły sianokosy, odetchnęli, biedota się wnet rozbiegła po dworach za zarobkiem, a gospodarze, zatykając uszy na wszelkie nowiny, do kos przypięli się z radością.

Nie zapomnieli jeno o Miemcach, bo co dnia ktosik leciał na Podlesie wypatrywać, co oni tam robią.

Siedzieli jeszcze, przestali jeno kopać studnie i zwozić kamień na fundamenta, zaś kowal któregoś dnia powiedział, że Miemcy zaskarżyli dziedzica o pieniądze, a Lipce o gwałt.

Chłopy naśmiały się z tego do woli.

Właśnie dzisiaj na łąkach w czasie obiadu szeroko o tym rozprawiano.

Południe przyszło upalne, słońce stanęło nad głowami rozpalone do białości, niebo wisiało białawym od pożogi tumanem, żar buchał kiej z pieca straszliwego, najślabszy wiater nie przewiał, liście zwisły pomdlałe, zamilkło ptactwo, cienie leżały chude i krótkie, niewiela chroniąc od spieki, duszno było, jeno od pokosów bił ostry zapach traw rozprażonych, zboża, sady i domy stały jakby ogarnięte białym płomieniami; wszystko zdawało się roztopiać w rozżarżonym powietrzu, trzęsącym się kieby ten war na wolnym ogniu, nawet rzeka płynęła wolniej, bez szmeru, wody błyszcząły roztopionym szkliwem, a tak przejrzyste, że każdy kiełb widniał pod włóknistą powierzchnią; każdy kamyk na dnie piaszczystym i każdy rak, gmerzący się w prześwielonych cieniach brzegów, cichość wlekła się nad ziemią słoneczną, usypiającą przedzą, jedne muchy, co brzęczały koło ludzi.

Kosiarze siedzieli nad samą rzeką, pod kępą olch wyniosłych, wyjadając z dwojaków. Mateuszowi przyniesła jeść Nastka, wyrobnikom zaś Hanka z Jagustynką; przysiadły na trawie w słońcu i nakrywając chustami głowy słuchały ciekawie.

– Ja od początku zawdy mówiłem jedno, że nie dziś, to jutro Miemcy się wynieść muszą! – mówił Mateusz wy – skrzybując garn-czek.

– Ksiądz tak samo utwierdza! – przywótrzyła Hanka.

– A tak będzie, jak się spodoba dziedzicowi – warknął kłótliwie Kobus rozciągając się pod drzewem.

– Jakże, to nie zlekli się waszych wrzasków i nie uciekli? – wtrąciła się po swojemu Jagustynka, ale któryś rzekł:

– Kowal powiadał wczoraj, jako dziedzic pogodzi się z nami.

– Jeno mi dziwno, że Michał teraz ze wsią trzyma.

– Węszy on w tym jakąś dobrą sztuczkę la siebie – syknęła stara.

– I młynarz też się pono wstawiał we dworze za wsią.

– Wszystkie za nami, dobrodzieje juchy – mówił Mateusz. – Po-wiem wam, laczego naszą stronę trzymają: kowalowi dziedzic obiecał dobrą oberchapkę za zgodę z Lipcami, młynarz się zleknał, że Niemcy mogą postawić wiatrak na górcie koło figury, zaś karczmarz też pomaga narodowi ze strachu o siebie, dobrze on wie, że kaj Miemce siądą, tam się już żaden Żydek nie pożywi.

– To i dziedzic boją się chłopów, kiej o zgodę zapobiega?...

– A zgadliście, matko, ten się najwięcej boją, zarno waju wyłożę...

Przerwał Mateusz, gdyż od wsi pokazał się Witek pędzący.

– Gospodyni, a to prędko chodźcie! – wrzeszczał już z dala.

– Co się stało? ogień czy co? – zerwała się trwożnie.

– A to... to gospodarz czegoś krzyczą!

Poleciała co tchu, nie rozumiejąc zgoła, co się tam stało:

A oto co było. Maciej już od samego rana był jakiś dziwny, matyja-sił, mamrotał ciągiem, zrywał się z pościeli, to szukał czegoś koło sie-bie, że Hanka odchodząc na łąki przykazała Józce pilniejsze na niego baczenie. Dziewczyna często zaglądała do niego, leżał spokojnie, aż dopiero w czasie obiadu zaczął wrzeszczeć wniebogłoso.

Gdy Hanka przyleciała, jeszcze siedział na literkach i wołał:

– Kajście mi buty zapodzieli! – dawajcie prędeej.

– Zaraz przyniesą z komory, zaraz... – uspakajała wylekła, gdyż wydawał się całkiem przytomny i groźnie toczył oczami.

– Zaspałem, psiachmać – przeziwnął szeroko: – Już biały dzień, a wy śpita. Kuba niech brony szykuje, siać pojedziem – rozkazywał.

Stali przed nim, nie wiedząc, co począć, gdyż naraz przechylił się i leciał bezwładnie na ziemię.

– Nie bój się, Hanuś... zemgliło me... Antek w polu, co? W polu? – powtarzał, kiej go znowu ułożyli na pierzynie.

– Juści... od świtania... – jąkała bojąc się przeciwić.

Rozglądał się bystro i ciągiem gadał, ale co jedno słowo rzekł do rzeczy; to dziesięć całkiem płanych i znowu jął się gdziesik wrywać, chciał się ubierać i o buty wołał, to chwycił się za głowę i tak przeraź-liwie jęczał, jaże się na drogi rozchodziło. Hanka rozumiejąc, jako na

koniec już mu przychodzi, kazała go przenieść do chałupy i przed wieczorem posłała po księdza.

Przyszedł wkrótce z Panem Jezusem, ale go jeno świętymi olejami namaścił.

– Więcej mu już nie potrzeba, lada godzina uśnie... – powiedział.

Na odwieczór naszło się narodu, bo zdawał się konać, że Hanka już mu gromnicę wtykała, ale się jakoś uspokoił i zasnął.

Zaś nazajutrz było tak samo, poznawał ludzi, rozmawiał przytomnie, to całe godziny leżał kiej trup. Siedziała przy nim kowalowa nieodstępnie, a Jagustynka chciała go okadzać.

– Dajcie spokój, jeszcze ogień zaproszycie.

Burknął niespodzianie, a gdy w południe przyleciał kowal i zaglądał mu w przywarte oczy, to ozwał się znowu z dziwnym prześmiewchem:

– Nie frasuj się, Michał... już teraz wam dojdę... niezadługo dojdę...

Odwrócił się do ściany i więcej nic nie powiedział, ale że widać było, jako słabnie i coraz barzej zapada, to go już pilnowali, a głównie Jagusia, z którą też wyprawiały się jakieś dziwności.

Przestała raptem dbać o matkę, zdając ją całkiem na Jędrka, i kamieniem zaległa przy mężu.

– Sama ich przypilnuję, to moje prawo! – rzekła Hance i Magdzie z taką mocą, iż się nie przeciwily, ile co każda dosyć miała swojej roboty.

I już się nie ruszyła z chałupy, jakiś głuchy strach trzymał ją kiebny na uwięzi, że nie poredziła odbieżyć chorego jak przódzi.

A cała wieś była na łąkach, sianokosy szły nieprzerwanie, od samego świtania, skoro jeno pierwsze zorze niebo zrumieniły, cały naród tam ciągnął, zaś rzędy chłopów, rozdzielanych do koszuli kiej te siodłate bociany, obsiadły łęgi, ostrzyły żeleźca i, błyskając kosami, całe dnie siekły zapamiętałe, całe dnie też jeno słychać było brzęki kos nakuwanych i przyśpiewki dzieuch grabiących.

Zielone, puszyste równie łąk roily się od ludzi a pobrzęków i gwarów, migotały pasiaste portki, czerwone wełniaki niby makowe kwiaty płonęły w słońcu, piesieczki się rozlegały hukliwie, dzwoniły kosy, buchały śmiechy wesołe i wszędy szła ochotna, siarczysta robota, a pod kaźden wieczór, kiej szcerwienione słońce kłoniło się nad bory i powietrze zawrzało krzykiem ptactwa, kiej wszystkie zboża i trawy jaże się trzęsły od muzyki świerszczów, a moczary zagrały żabimi rechotami, kiej buchnęły zapachy, jakby cała ziemia była trybularzem, toczyły

się po drogach ciężkie, opasłe wozy ze sianem, wracali ze śpiewami kosiarze, a na pożółkłych, zdeptanych wycinkach rozsiadały, się gęsto kopice i stogi, kiej te kumy podufałe przysiadając do cichej pogwary, a między nimi brodziły boćki, czajki kołowały z żalonym kwileniem i białe mgły wpełzały od bagnisk.

Przez otwarte okna Borynowej chałupy wciskały się te wszystkie głosy ludzi i pól, weselne głosy życia i trudu wraz z kadzielnymi woniami zbóż i łąk, i słońca, jeno Jagusia była głucha na wszystko.

W izbie cicho było i martwo, przez krze, osłaniające od żarów, siał się zielonawy, senny mrok, brzęczały muchy i Łapa, warujący przy gospodarzu, ziewnął niekiedy i szedł się poasić do Jagny, siedzącej całe godziny bez ruchu i myśli, zgoła do słupa podobnej.

Maciej już nie mówił, nie jęczał, leżał spokojnie i tylko ciągiem włóczył oczyma; te jasne ślepie, błyszczące kiej szklane gały, chodziły za nią z takim uporem i tak na wskroś przewiercały kiej zimne noże,

Na próżno się odwracała, na próżno chciała zapomnieć, patrzyły z każdego kąta, w powietrzu się unosiły i świeciły jednako strasznie i tak ciągnące nieprzeparcie, że dawała się na ich wolę, patrząc w nie kieby w przepaście nieprzejrzone.

A niekiedy, jakby wyrrywając się ze straszego snu, błagała żalownie:

– Dyć tak nie patrzcie, bo mi duszę wywleciecie, nie patrzcie!

Musiał dosłyszeć, gdyż drżał nieco, twarz mu się kurczyła w jakimś niemym krzyku, oczy patrzyły jeszcze straszniej i po sinych policzkach toczyły się ciężkimi kroplami łzy.

Uciekała wtedy na świat, strach ją wyganiał.

Patrzyła zza drzew na łąki, pełne narodu i radosnej wrzawy.

I odchodziła z płaczem.

Szła do matki, ale ledwie głowę wetknęła do ciemnej izby, ledwie ją owiał zapach leków, cofała się pośpiesznie:

I znowu płakała.

To wychodziła za dom i niesła się tęskliwymi oczyma po świecie szerokim. I płakała wtedy jeszcze żalniej, smutniej i boleśniej, jako ta ptaszka z połamanymi skrzydłami ostawiona przez stado, skarżyła się rzewliwie.

I tak bez przemian szły dni za dniami, Hanka wciąż była zajęta sianokosami na równi z całą wsią, dopiero trzeciego dnia została w domu od rana.

– Sobota, to już dzisiaj Antek wróci z pewnością! – rzekła radośnie, szykując dom na przyjęcie męża.

Południe już przeszło, a jego jeszcze nie było, Hanka wyglądała za kościół, aż na topolową szła patrzyć, ale pusto tam było i cicho.

Ludzie śpieszniej zaczęli zwozić siano, gdyż miało się na odmianę, kokoty piały, słońce barzej dopiekało, stronami wisiały ciężkie gradowe chmury i wiatr zrywał się kołujący.

Wyglądali burzy z ulewą, a jeno spadł krótki, chociaż rześisty deszcz, w mig wypity przez spieczoną ziemię, że tyle było z niego pociechy, co się odświeżyło powietrze.

Ale wieczór przyszedł nieco chłodniejszy, pachniało sianem i ziemią przemoczoną, po drogach leżały gęste mroki, księżyc jeszcze nie wschodził, niebo wisiało ciemne i jeno z rzadka poprzebijane gwiazdami, wskroś sadów błyskały światła chałup i kiej świętojańskie robaczki mrowiły się we stawie; kolacje jedli wszędy przed progami, ktosik grał na fujarce i śmiechy rozdzwaniały się kajś niekaj, ptaki już zaczynały śpiewać i pola przemówiły cichym strzykaniem koników i głosami przepiórek i derkaczów.

U Borynów tak samo jedli przed chałupą, pod oknem gwarno było i ludno, bo Hanka, że to skończyli kosić, zaprosiła wszystkich, występując ze sutą kolacją: pachniała jajecznica ze szczypiorkiem, rażno skrzybotały łyżki, a skrzekliwy głos Jagustynki rozlegał się co chwila, niecąc wybuchy śmiechu. Hanka dokładała co trochę z garów zapraszając, bych se nie żalowali, ale całą duszą nasłuchiwała każdego głosu z drogi, a co chwila biegła wyglądać w opłotki.

Ani śladu Antka, natknęła się tylko raz na Tereskę przywartą do płota i jakby na kogoś czekającą.

Mateusz, nie mogąc się dogadać z Jagusią, mrukliwą dzisiaj i niechętną, jał się ze złości spierać z Pietrkiem, gdy Jędrak przyleciał po siostrę, że matka ją wzywa.

Wkrótce rozeszli się wszyscy, tylko jeden Mateusz coś długo się ociagał, że dopiero w dobry pacierz poszedł.

Po chwili i Hanka wyszła, na darmo wypatrując w ciemnościach, kiej ją doszedł znad stawu jego warkliwy, gniewny głos:

– Czego za mną łazis jak ten pies... nie ucieknę ci... już dosyć nas miałą na ozorach... – i coś tam jeszcze przykrzejszego, a w odpowiedzi posypały się rozsłochane słowa i rześisty płacz.

Ale Hanki to nie wzruszyło, czekała na męża, to co ją tam mogły obchodzić cudze sprawy? Jagustynka robiła wieczorne porządki, a że

dziecko zaczęło coś matyjasić, wzięła je na ręce i pohuśtując zajrzała do chorego.

– Antka ino co patrzeć! – zakrzyczała od proga.

Boryna leżał zapatrzony w lampkę, dymiącą nad kominem.

– Dzisiaj go puścili, Rocho czeka na niego – powtarzała mu w same uszy, stróżując radosnymi oczami jego źrenic, czy pomiarkował, ale snadź i ta nowina nie przedarła się do mózgu, gdyż ani się poruszył, ni spojrzął na nią.

– Może już do wsi wchodzi... może już... – myślała wybiegając co chwila przed dom, a tak była pewna jego powrotu i tak roztrzęsiona oczekiwaniem, że przytomność traciła, wybuchała śmiechem z leda powodu, rozprawiała ze sobą i potaczała się kiej pijana. Ciemnościom powiadała o swoich nadziejach, nawet bydłatom się zwierzyła przy udoju, bych wiedziały, jako ich gospodarz wracają.

I czekała z minuty na minutę, ale już ostatkami sił i cierpliwości.

Noc się już czyniła, wieś kładła się spać, Jagusia, powróciwszy od matki, zaraz przyległa w pościel, cały dom wkrótce zasnął, a Hanka jeszcze późno w noc warowała przed domem, jaże wybita ze sił i sro-dze splakana, pogasiwszy światła też się położyła.

Wszystek świat pogrążał się w głębokiej cichości odpoczywania.

Na wsi gasły światła jedno po drugim, jak oczy snem przywierane.

Księżyc się wtoczył na granatowe, wysokie niebo, gwiazdnym migotem przesiane, i wznosił się coraz wyżej, leciał kiej ptak wlekący wskroś pustek srebrzyste skrzydła, chmury spały kajś niekaj, pozwijane w puszyste, białawe kłęby.

Zaś na ziemiach wszelkie stworzenie uznojone legło w cichy i słodki sen, jeno ptak jakiś tu i owdzie śpiewał rześiste piosneczki, jeno wody szemrały cosik jakby przez sen, a drzewiny, pławiące się w księżycowych brzaskach, zadrgały niekiedy, jakby się im dzień marzył, czasem pies warknął albo przelatujący lelek zatrzepał skrzydłami, a niskie opary jęły z wolna i troskliwie przysłaniać pola kieby tę mać utrudzoną.

Spod ledwie rozeznanych ścian i ze sadów rozchodziły się ciche dychania, ludzie spali na powietrzu, powierzając się z dufnością nocy.

I w Borynowej izbie leżała senna cichość, świerszcz jeno strzykał pod kominem i Jagusine oddechy trzepały się kiej skrzydła motyle.

Noc musiała być już późna, pierwsze kury zaczęły pisać, gdy naraz Boryna poruszył się na łóżku jakby przecykając, wraz też i księżyc

uderzył w szyby i chlusnął oblewając mu twarz srebrzystym wrzątkiem światła.

Przysiadł na łóżku i kiwając głową a robiąc usilnie grdyką, chciał cosik powiedzieć; ale mu jeno zabalgotać w gardzieli.

Siedział tak dość długo, rozglądając się nieprzytomnie, a niekiedy gmerząc palcami we świetle, jakby chcąc zebrać w garście ową rozmigotaną rzekę księżycowych brzasków, bijącą mu w oczy.

– Dnieje... pora... – zamamrotał wreszcie, stając na podłodze.

Wyjrzał oknem i jakby się budził z ciężkiego snu, zdało mu się, że to już duży dzień, że zasnął, a jakieś pilne roboty czekają na niego...

– Pora wstawać, pora... – powtarzał, żegnając się wielokrotnie razy i zaczynając pacierz rozglądał się zarazem za odzieniem, po buty sięgał, kaj zwykły były stoić, ale nie znalazłszy niczego pod ręką, zapomniał o wszystkim i błędził bezzadnie rękoma dokoła siebie, pacierz mu się rwał, iż jeno niektóre słowa mamlął bezdźwięcznie.

Skołtuniły mu się naraz w mózgu wspominki jakichś robót, to sprawy dawne, to jakby odgłosy tego, co się dokoła niego działo przez cały czas choroby, przesiąkało to w niego w strzępach nikłych, w bładych przypomnieniach, w ruchach zatartych jak skiby na rżyskach i budziło się teraz nagle, kłębiło w mózgu i na świat parło, że porywał się co chwila za jakimś majakiem, lecz nim się go uczeplił, już mu się rozłaził w pamięci jako te zgniłe przedze, i dusza mu się chwiała, kiej płomień nie mający się czym podsyć.

Tyle jeno teraz wiedział, co się może śnić o pierwszej zwieśnię drzewom poschniętym, że pora im przecknąć z drętwicy zimowej, pora nabrane chlusty wypuścić ze siebie, pora zaszumieć z wichrami weselną pieśń życia, a nie wiedzą, że płone są ich śnienia i prózne poczynania...

Za czym cokolwiek robił, czynił, jako ten koń po latach chodzenia w kieracie czyni na wolności, że ciągiem się jeno w kółko obraca z przywyku.

Maciej otworzył okno i wyjrzał na świat, zajrzał do komory i po długim namyśle pogrzebał w kominie, zaś potem, jak stał, bosy i w koszuli, poszedł na dwór.

Drzwi były wywarte, całą sień zalewało księżycowe światło, przed progiem spał Łapa, zwinięty w kłębek, ale na szelest kroków przebudził się, zawarczał i poznawszy swojego poszedł za nim.

Maciej przystanął przed domem i skrobiąc się w ucho ciężko się głowił, jakie go to pilne roboty czekają?...

Pies radośnie skakał mu do piersi, pogładził go po dawnemu, rozglądając się frasobliwie po świecie.

Widno było jak w dzień, księżyc wynosił się już nad chałupą, że modry cień zesuwał się z białych ścian, wody stawu połśniewały kiej lustra, wieś leżała w głębokim milczeniu, jedne ptaszyska, co się wydierały zapamiętałe po gąszczach.

Z nagła przypomniało mu się cosik, bo poszedł śpieszno w podwórze, drzwi wszystkie stały otwarte, chłopaki chrapały pod ścianami stodoły, zajrzał do stajni, poklepując konie, jaże zarzały, potem do krów wsadził głowę, leżały rzędem, że ino im zady widniały we świetle; to spod szopy zachciał wóz wyciągnąć, już nawet porwał za wystający dyszel, ale dojrawszy błyszczący pług pod chlewami, do niego pośpieszył i nie doszedłszy całkiem zapomniał.

Stał w pośrodku podwórza, obracając się na wszystkie strony, bo mu się wydało, że skądś wołają.

Żuraw studzienny wynosił się tuż przed nim, cień długi kładąc.

– Czego to? – pytał nasłuchując odpowiedzi.

Sad, porznięty światłami, jakby zastąpił mu drogę, srebrzące się liście szemrały cosik cichusko.

– Kto me woła? – myślał dotykając się drzew.

Łapa, chodzący wciąż przy nim, zaskomlał cosik, że przystanął, westchnął głęboko i rzekł wesoło:

– Prawda, piesku, pora siać...

Ale w mig i o tym przepomniał; rozsypywało mu się wszystko w pamięci kiej suchy piasek w garściach, jeno że wciąż nowe wspominki popychały go znów gdzieś naprzód; motał się w one złudy jak to wrzecziono w nieć uciekającą wiecznie, a ciągiem na jednym miejscu.

– Juści... pora siać... – powiedział znowu i ruszył raźnie kole szopy opłotkami wiedzącymi na pole, natknął się na bróg ów nieszczęsny, spalony jeszcze zimą i już postawiony teraz na nowo.

Chciał go zrazu wyminąć, lecz nagle odskoczył, rozwidniło mu się na mgnienie, błyskawicą rzucił się wstecz czasu, wyrwał z płota kołek i ujawszy go oburącz kiej widły i z nasrożoną twarzą rzucił się na słupy, gotowy bić i zabijać, lecz nim uderzył co bądź, wypuścił kołek bezradnie.

Za brogiem, od samej drogi a pobok ziemniaków, ciągnął się długi szmat podorówki, przystanął przed nim wodząc zdumionymi oczyma.

Księżyc już był w pół nieba, ziemie pławiły się w przymglonych brzaskach i leżały operlone rosami, jakby zasłuchane w milczeniu.

Nieprzenikniona cichość biła z pól, zamglone dale łączyły ziemię z niebem, z łąk pełzały białawe tumany i wlekły się nad zbożami kiej przedze, obtulając je niby ciepłym, wilgotnym kozuchem.

Wyrośłe, zielonawe ściany żyta pochylały się nad miedzę pod ciężarem kłosów, zwisających kieby te rdzawe dzioby piskląt, pszenice szły już w słupek, stały hardo, lśniąć czarniawymi piórami, zaś owsy i jęczmiona, ledwie rozkrzewione, zieleniały kiej łąki w płowych przesłonach mgieł i światła.

Drugie kury już piały, noc była późna, pola, pogrążone w głęboki sen odpoczywania, jakby dychały niekiej cichuśkim chrzęstem i jakimś echem dziennych zabiegów i trosk – jak dycha mać, kiej przyleganie wśród dzieciątek, dufnie śpiących na jej łonie...

Boryna naraz przykleknął na zagonie i jał w nastawioną koszulę nabierać ziemi, niby z tego wora zboże naszykowane do siewu, aż nagarnawszy tyła, iż się ledwie podźwignął, przeżegnał się, spróbował rozmachu i począł obsiewać...

Przychylił się pod ciężarem i z wolna, krok za krokiem szedł i tym błogosławiącym, półkolistym rzutem posiewał ziemię na zagonach.

Łapa chodził za nim, a kiej ptak jaki spłoszony zerwał się spod nóg, gonił przez chwilę i znowu powracał na służbę przy gospodarzu.

A Boryna, zapatrzony przed się w cały ten urokliwy świat nocy zwiesnowej, szedł zagonami cicho, niby widmo błogosławiące każdej grudce ziemi, każdemu źdźbłu, i siał – siał wciąż, siał niestrudzenie.

Potykał się o skiby, płątał we wyrwach, niekiedy się nawet przewracał, jeno że nic o tym nie wiedział i nic nie czuł kromie tej potrzeby głuchej a nieprzeparte, bych siał.

Szedł aż do krańca pól, a gdy mu ziemi zabrakło pod ręką, nowej nabierał i siał, a gdy mu drogę zastąpiły kamionki a krze kolczaste, zawracał.

Odchodził daleko, że już ptasie głosy się urywały i kajś w mglistych mrokach zginęła cała wieś, a obejmowało płowe, nieprzejrzane morze pól, ginął w nich kiej ptak zabłąkany lub kiej dusza odlatująca ze ziemi – i znowu się wyłaniał bliżej domów, w krąg ptasich świergotów powracał i w krąg zamilkłych na chwilę trudów człowieczych, jakby wynoszony z nawrotem na krawędź żyjącego świata przez chrzęstliwą falę zbóż...

– Puszczaj, Kuba, brony a letko! – wołał niekiedy niby na parobka.

I tak przechodził czas, a on siał niezmordowanie, przystając jeno niekiedy, bych odpocząć i kości rozciągnąć, i znowu się brał do tej płonej pracy, do tego trudu na nic, do tych zbędnych zabiegów.

A potem, kiej już noc ździebko zmętniała, gwiazdy zbladły i kury zaczynały pisać przed świtaniem, zwolniał w robocie, przystawał częściej i zapomniawszy nabierać ziemi pustą garścią siał – jakby już jeno siebie samego rozsiewał do ostatka na te praojcowe role, wszystkie dni przeżyte, wszystek żywot człowieczy, któren był wziął i teraz tym niwom świętym powracał i Bogu Przedwiecznemu.

I w oną żywota jego porę ostatnią cosik dziwnego zaczęło się dziać: niebo poszarzało kiej zgrzebna płachta, księżyc zaszedł, wszelkie światłości pogasty, że cały świat oślepl nagle i zatonął w burych skołtunionych topielach, a coś zgoła niepojętego jakby wstało gdziesik i szło ciężkimi krojcami wskroś mroków, że ziemia zdała się kolebać.

Przeciągły, złowróżbny szum powiał od borów.

Zatrzęsły się drzewa samotne, deszcz poschniętych liści zaszemrał po kłosach, zakołysały się zboża i trawy, a z niskich, rozdygotanych pól podniósł się cichy, trwożny, jękliwy głos:

– Gospodarzu! Gospodarzu!

Zielone pióra jęczmion trzęsły się jakby w płaczu i gorącymi całunkami przylegały do jego nóg utrudzonych.

– Gospodarzu! – zdały się skamleć żyta zastępujące mu drogę i trzęsły rosistym gradem łez. Jakieś ptaki zakrzyczały żałośnie. Wiater załkał mu nad głową. Mgły owijały go w mokrą przedzę, a głosy wciąż rosły, olbrzymiały, ze wszystkich stron były jękliwe, nieprzerwanie:

– Gospodarzu! Gospodarzu!

Dosłyszał wreszcie, że rozglądając się wołał cicho:

– Dyc jestem, czego? co?...

Przygłuchło naraz dokoła, dopiero kiej znowu ruszył posiewać ocieżała już i pustą dłonią, ziemia przemówiła w jeden chór ogromny:

– Ostańcie! Ostańcie z nami! Ostańcie!...

Przystanął zdumiony, zdało mu się, że wszystko ruszyło naprzeciw, pełzały trawy, płynęły rozkołysane zboża, opasywały go zagony, cały świat się podnosił i walił na niego, że strach go porwał, chciał krzyczeć, ale głosu już nie wydobył ze ściśniętej gardzieli, chciał uciekać, zabrakło mu sił i ziemia chwyciła za nogi, plątały go zboża, przytrzymywały bruzdy, łapały twarde skiby, wygrażały drzewa zastępujące drogę, rwały osty, raniły kamienie, gonił zły wiater, błąkała noc i te głosy, bijące całym światem:

– Ostańcie! Ostańcie!

Zmartwił naraz, wszystko przycichło i stanęło w miejscu, błyskawica otworzyła mu oczy z pomroki śmiertelnej, niebo się rozwarło przed nim, a tam w jasnościach oślepiających Bóg Ociec, siedzący na tronie ze snopów, wyciąga ku niemu ręce i rzecze dobrotliwie:

– Pódziże, duszko człowiecza, do mnie. Pódziże, utrudzony parobku...

Zachwiał się Boryna, roztworzył ręce, jak w czas Podniesienia:

– Panie Boże zapłać! – odrzekł i runął na twarz przed tym Majestatem Przenajświętszym.

Padł i pomarł w onej łaski Pańskiej godzinie.

Świt się nad nim uczynił, a Łapa wył długo i żałośnie...